

Jurij Andruchowycz
Perwersja



Jurij Andruchowycz

Perwersja

Przełożyły

Ola Hnatiuk i Renata Rusnak

wydawnictwo  czarne

Wołówiec 2012

Tytuł oryginału ukraińskiego PERWERZIJA

Projekt okładki i stron tytułowych KAMIL TARGOSZ

Copyright © by JURIJ ANDRUCHOWYCZ, 1996

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2003

Copyright © for the Polish translation

by OLA HNATIUK i RENATA RUSNAK, 2003

Redakcja FILIP MODRZEJEWSKI

Projekt typograficzny i skład komputerowy ROBERT OLEŚ / D2D.PL

Książka została wydana dzięki pomocy finansowej

FUND FOR CENTRAL AND EAST EUROPEAN BOOK PROJECTS

AMSTERDAM

ISBN 978-83-7536-338-8

Wołowiec 2012

Wydanie III

Cena: 26,90 zł,

*Johnowi Siddharcie
wędrownemu więźniowi z Nottingham
poświęcam*

Italia, błogostawiona Italia, widniała przede mną

IZDRYK

SŁOWO WSTĘPNE OD WYDAWCY

Zagadkowe i wyraźnie przedwczesne zniknięcie Stanisława Perfeckiego z widnokregu, które zdarzyło się na początku marca ubiegłego roku w Wenecji, nie wstrząsnęło niestety do głębi naszym społeczeństwem. Nie wzburzyło nawet jego powierzchwni — wyjątkiem były krótkie komentarze telewizyjne oraz jedna czy dwie kilkuzdaniowe wzmianki w prasie bulwarowej w rodzaju *Nikогда nie jezdicie w Wienieciju, panowie ukraïnskije paety!* („Baju-baju” z 8 kwietnia oraz „Kijewskije dzieła” z 10 kwietnia tegoż roku). Jedynie lwowska „Idea XXI” szerzej skomentowała to zdarzenie (antyżdarzenie?), jednak ostentacyjnie patetyczny upodabnia ów komentarz raczej do nekrologu.

Ani dyplomacja, ani też służby specjalne naszego kraju nie interweniowały, zdaje się, w tej sprawie. Natomiast włoskie organa ścigania zadowolily się biernością strony ukraińskiej oraz nieprzekonującymi dowodami rzeczowymi, znalezionymi po zniknięciu Perfeckiego w jego pokoju hotelowym. Rozpatrywano (tak nie dbale, jak to tylko możliwe) równoległe dwie wersje — zabójstwa i samobójstwa — z których nie rozwinęła się trzecia, będąca syntezą: upozorowane samobójstwo. Po przeanalizowaniu całego szeregu pozostawionych przez samego Perfeckiego dowodów (kasety magnetofonowe z nagraniem jego głosu, notatniki, dyskietki i in.), lecz bez uwzględnienia zasadniczej rzeczy — braku *corpus delicti*, czyli ciała poety, którego przez tydzień daremnie poszukiwali doświadczeni weneccy pletwonurkowie w głębinach Wielkiego Kanału — śledztwo zostało beztriosko zamknięte.

Przenikliwy i nastrojowy artykuł zatytułowany *Ciao, Perfecki...?!* ukazał się na łamach „Idei XXI” nadzwyczaj szybko — już 21 marca. Podpisał się pod nim czytelnikom dotychczas nieznanymi Bielinkiewicz (mogę przypuszczać, że to pseudonim). Tekst ten jest niemal chorobliwą mieszanką gatunków. Nie mogę się jednak oprzeć pokusie przedrukowania go w całości — ze wszelkimi wadami i zaletami, z zachowaniem nie zawsze poprawnego stylu i ortografii. Uważam, że pomoże to nam w znacznym stopniu powstrzymać dalszą lawinę tekstów, które zawiera w sobie ta na poły sensacyjna książka.

CIAO, PERFECKI...?!

11 marca o poranku z okna swojego pokoju w weneckim hotelu „Biały lew” wyskoczył w wieczne wody Wielkiego Kanału doskonale znany mieszkańcom Lwowa ukraiński poeta i kulturolog młodej generacji, pochodzący z miasteczka Czortopole, Stach Perfecki. Nie zabrał tam ze sobą prawie niczego, pozostawiając na biurku nawet okulary, a na zjedzonym przez korniki i pleśń parapecie otwartej w nieznaną bramę okna — buty, obrócone czubkami „do wyjścia”. Czy dowiemy się, jakie były jego ostatnie słowa?...

Stach był wiecznie uśmiechnięty, niczym Japończyk. Znałmy go jako człowieka łagodnego, czasem zasmuconego, otwartego we wszystkich najbardziej błahych sprawach i jednocześnie całkowicie zamkniętego w sprawach najistotniejszych. Miałem szczęście być jego szkolnym kolegą, on z kolei zawsze o tym pamiętał.

Stach wyruszył na podbój Lwowa jako młokos. Teraz mogę powiedzieć z całkowitą pewnością: to mu się udało. Znał doskonale wiele języków — angielski, niemiecki. Miał wiele twarzy i wiele imion. W kręgach cyganerii artystycznej nazywano go nie tylko Perfecki. Jonasz Ryb, Karp Lubański, Sum Rachmański, Szura Ptak, Chujan Perez, Bimber Bibamus, Pierre Doliński, Kamal Manchmal, Johann Cohan, Hamburger, a ponadto — Szpas, Gas i Luz-blues... A spis ten jest dalece niepełny.

Czy zauważyliście Państwo, o ile uboższy stał się nasz miejski pejzaż od czasu jego zniknięcia? O, umiał on wlatywać nad ulicami i wstrząsać kawiarniami jak nikt inny, niczym młody czart wciąż zmieniając skórę i wypełniając nas coraz to nowymi genialnymi wierszami! Na umieszczonym poniżej zdjęciu widzicie jego podobiznę z okresu, jak to sam nazywał, „kozackiego dandyzmu” — we fraku, z głową gładko wygoloną aż do oseledca oraz z monoklem w lewym oku; co prawda w miejscu muszki łatwo dostrzec można zasuszoną kurzą łapkę, będącą symbolem protestu przeciwko zagrożeniu nuklearnemu.

Stale ryzykował — majątkiem, talentem, życiem. Niemal wszystkie jego akcje, te eskapady zuchwalstwa, dokonywane publicznie, z towarzyszeniem telewizji i wideopiratów, zapowiadały totalną klępkę, a jednak kończyły się absolutnym tryumfem. A jakże wspaniałe było przerażające i słodkie widowisko *Zmartwychwstanie Barbary Langysz*, zrealizowane przy znaczącym udziale sponsorów przed jednym z na wpół rozwalonych grobowców Cmentarza Łyczakowskiego, kiedy to o północy z dwunastu kartonowych wież wypuszczono w lwowskie pełne deszczu niebiosa setki gołębi, baloników, prezerwatyw, wron i poetyckich metafor?! (Nasza gazeta swego czasu zamieściła reportaż poświęcony temu kontrowersyjnemu wydarzeniu — red.). Albo pamiętny śmiały lot nad dachami i placami z Wysokiego Zamku — *Młody Poeta w Szponach Lotniarza?!*

Stach Perfecki nie tylko deklamował swe wiersze. Grał i śpiewał z grupami rockowymi, kwartetami symfonicznymi, ulicznymi jazzmanami, chórami i orkiestrami (oratorium *Niewolnicze noce*), z peruwiańskimi wędrownymi muzykantami i Cyganami ze Zboiszc, z Ormianami, z czortopolską kapelą Drumla, którą pewnego razu przywiózł do Lwowa prosto z połoniny trzema helikopterami wojskowymi, a także z Eltonem Johnem, goszczącym (*incognito*) ubiegłego roku w naszym mieście. Stach umiał grać na wszystkich instrumentach muzycznych, ale najdoskonalej grał na naszych duszach — na tych zupełnie niewidzialnych gołym okiem strunach jego wielbicieli i nieprzyjaciół...

O nieprzyjaciółach jednak ani słowa.

Niekiedy na długo znikał. Wszyscy wiedzieli wówczas, że właśnie powstają nowe wiersze, rodzą się nowe idee, że to zgorzkniały tlen istnienia uderza mu w piersi — aż do wiecznego skurczu. Gdzie znikał? W lasach karpackich czy na arabskiej pustyni? A może wił sobie dziwnie wilgotne gniazda ze starych manuskryptów i damskich pończoch na przepastnych lwowskich poddaszach? A teraz gdzie zniknął?

Porzucił to miasto — jak dziś się okazuje na zawsze — wczesną jesienią dziewięćdziesiątego drugiego roku, urządziwszy na dworcu kolejowym akcję pożegnalną *Dwanaście najwspanialszych kochanek*. I każdej z nich pozostawił coś po sobie, jakąś cząstkę, *a kind of magic*. Którejs przypadł w udziale najnowszy zeszyt poezji, innej — przedwojenna harmonijka ustna, z którą ruszał do boju nieznanymi żołnierz Wehrmachtu, jeszcze innej z kolei — gipsowy odlew własnego członka. O, tak, Perfecki uwielbiał obdarowywać. Swoimi rzeczami, myślami, obrazami, ciałem, duszą. Nawet nie zauważaliśmy, jak chodzimy przezeń obdarowani. Aż go nam zabrakło.

Tego kędzierzawego poranka, jak pisał inny nasz wielki poeta Antonycz, „płakało po nim dwanaście najlepszych kochanek”. Jak zawsze uśmiechnięty i krótkowzroczny, Stach Perfecki machał ręką ze schodków powoli oddalającego się wagonu. Jak się okazało, pociąg numer 75 nie był pociągiem relacji Lwów–Przemyśl. Zawiózł naszego Stacha nie do sąsiedniego polskiego miasta, ale do... nikąd.

Cóżeś robił, Przyjacielu, między tą wczesną jesienią a następną wczesną wiosną, kiedy umyśliłeś, nie zapytawszy nas o zdanie, rozliczyć się z życiem w przesiąkniętej słonymi oparami i wielowiekową kulturą Wenecji? I jak nazywała się Twoja ostatnia akcja artystyczna — swobodny spadek z okna hotelowego? Odpowiedz! Nie ma odpowiedzi!

Co pozostało? Jakieś pożegnania, jakieś wspomnienia.

Zbiorki poetyckie, które niczym kamienie wylatywały z jego duchowego matacza (tu niewątpliwy błąd korekty: zamiast „matacza” miało być „miotacza” — J. A.). A oto

one w kolejności ukazywania się: *Astrologia dla buraków* (Lwów—Czortopole, 1989), *Grabież w hotelu George* (Lwów 1990), *Utwory wyprane* (Lwów—Paryż—Monachium, 1990), *Z uwagą słuchajcie* (Lwów, 1991), *Życie jako śmierć* (Nowy Jork—Tarnopol, 1992).

Eseistyka literacka, krążąca przeważnie w drugim obiegu: *Konkretne czytadło* (1991), *Budowanie buduaru* (1992).

Najgłośniejsze akcje (nie wszystkie z nich są udokumentowane — ten nasz nieustanny bajzel — i ściśle wiążą się z datami): *Stryjski Jurassic park*, *Miłość do trzech arlekinek*, *Wskrzeszenie Barbary Langysz*, *Przyjazd najjaśniejszego cesarza Franciszka Józefa I do Lwowa latem 1855 r.*, *Młody Poeta w Szponach Lotniarza*, *Jubileuszowy bankiet w Teatrze Anatomii*, *Pożeranie Wielkiej Ryby*.

Koncerty, wieczory, dyskusje, pijatyki, skandale.

Co ponadto?...

Raz jeszcze spójrzmy na zdjęcie. Lekko uśmiechnięty, trochę ironiczny, ale zarazem łagodny, w nienaturalnie odstającym fraku, Stachu przeszywa nas kłującym spojrzeniem swojego lewego oka zza monokla. Prawe oko spogląda ciepło i życzliwie, promieniuje miłością. Czy nie dlatego, że bez okularów nic prawie nie widział? A może wręcz przeciwnie, może właśnie dlatego, że widział wszystko. I teraz widzi wszystko. Stamtąd.

I. Bielinkiewicz

p.s. Redakcyjni eksperci dowiedzieli się z raczej wiarygodnych źródeł, że zniknięcie (samobójstwo?) Stacha Perfeckiego zauważono następnego ranka po dniu jego urodzin, który na ironię losu zawsze przypadał 10 marca. Tego dnia skończył właśnie... Zresztą, nie ma to już znaczenia.

Tak wygląda publikacja w „Idei XXI”. Należy przypuszczać, że redaktora naczelnego zaraz po jej wydrukowaniu musiały spotkać poważne nieprzyjemności, albowiem już w następnym numerze

z 28 marca w dolnym rogu ostatniej strony umieszczono drobniutkim drukiem oświadczenie redakcji: „Wszelkie pogłoski i insynuacje, dotyczące osoby niejakiego St. Perfeckiego, redakcja z góry odrzuca, traktując jako pomówienia. Prosimy pt. czytelników, by nie zwracali się więcej w tej sprawie”.

Takie oświadczenie, samo w sobie sporo mówiące o rzeczywistym stanie wolności prasy w naszym demokratycznym kraju, zachęciło mnie do rozpoczęcia pewnych poszukiwań i umyślnie dyskretnego prywatnego śledztwa. Oprócz tego uznałem to za swój obowiązek i jako jeden z tych, którzy osobiście znali Perfeckiego, i jako autor jednego z imion Stacha („Hambbs/m/burg/h/er”, a nie jakiś tam „Hamburger” — za wymysł podejrzanego dobrodzieja „Bielinkiewicza”). A skoro już mowa o fantazjach, spekulacjach i zmyśleniach tego ostatniego, to warto raz jeszcze sprostować wymysł najbardziej rażący: hotel „Biały Lew” (a nie „Biały lew”, jak u „Bielinkiewicza”), z okna którego jakoby wyskoczył Perfecki, został zamknięty na zawsze jeszcze dwieście lat temu, choć wszelacy monarchowie oraz ich utrzymanki istotnie lubili tam się zatrzymać nie tylko w XVII i XVIII wieku.

Wróćmy jednak do Perfeckiego.

W ciągu kilku lat z napięciem śledziłem rozwój tej nieprzeciętnej osobowości, czasami brałem udział w jego akcjach i prowokacjach, i — szczerze mówiąc — nie mogłem go nie polubić.

Wykorzystując pewne znajomości w sąsiednich krajach europejskich, zdołałem zebrać informacje o działalności Stacha w tym tajemniczym okresie, który — nie bez taniego blichtru — autor artykułu w „Idei XXI” umieścił „między tą wczesną jesienią a następną wczesną wiosną”. Fakty, do których chcę się tu odwołać, to najczęściej notatki prasowe, zeznania świadków, kartki pocztowe, programy, afisze i in. Wszystkiemu temu należy wierzyć, zachowując wyjątkową ostrożność, ale mimo wszystko wierzyć.

Grafomańsko opiewany przez Bielinkiewicza (he, he) pociąg nr 75 przybył jednakowoż owego dnia do Przemyśla, a Perfecki wysiadł z niego. Stwierdzam to, ponieważ już trzy dni później, w niedzielę, 20 września, odbyło się spotkanie Stacha Perfeckiego z ukraińską społecznością tego miasta. Liczni słuchacze (w licz-

bie 37) po mszy odprawionej w miejscowej cerkwi greckokatolickiej (dawny kościół garnizonowy) trafili na spotkanie z (jak powiadamia o tym wydarzeniu pismo Ukraińców w Polsce „Widryżka”) „sławnym gościem z grodu Lwa i jego poetycką żoną”. Prócz kilku najnowszych wierszy, zupełnie niezrozumiałych dla przybyłych na spotkanie, Perfecki wykonał parę etiud akrobatycznych, a także odpowiedział na pytania dotyczące sytuacji na Ukrainie. Z całego programu największy sukces odniosły etiudy akrobatyczne, a zwłaszcza chodzenie na rękach. Jeśli zaś chodzi o żonę, to mogła nią być Ewa, studentka astrofizyki, warszawianka, wariatka i dawna przyjaciółka Stacha. Zresztą sformułowanie dotyczące „poetyckiej żony” można potraktować również jako daninę złożoną arcynowoczesnej metaforyce, utrzymanej w duchu najlepszych tradycji elitarnego gazeciarsstwa.

Cała dalsza droga Perfeckiego, prześlazona przeze mnie niemal w najdrobniejszych szczegółach, jest upartym, nieustannym i bez zbaczania z kursu przemieszczaniem się na Zachód z jego subtelnym, acz wyrazistym zmierzchem. Migocą niczym w kalejdoskopie światła miast, placów, mostów, wieże katedr i bramy uniwersytetów, podejrzane piwniczki, noclegownie dla weneryków i pięciogwiazdkowe hotele. Jak mu się udawało pokonywać granice? O tym wiem niewiele. Ale — co rzuca się w oczy — ani kroku na Wschód! To niby realizacja jakiejś ważnej misji, o której sensie dowiadujemy się dopiero tam, na niebotycznych i zimnych strategicznych wierzchołkach.

Rozłóżmy którąkolwiek z dostępnych dziś map Europy. Czeką nas wspaniała wielka podróż, którą autor powieści dla nastolatków mógłby nazwać „Śladami zaginionego poety”.

Następnym miastem po Przemyślu był Kraków, dostatecznie przywykły do osobliwości i dziwactw. Perfecki *vel* Jonasz Ryb czuł się tam jak ryba w wodzie. Najpierw wygłosił dla pięciuset studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego skrajnie hermetyczny, ale błyskotliwy wykład poświęcony charakterystyce statystycznej systemów wersyfikacyjnych. Co prawda z innych źródeł wynika, że tego feerycznego wykładu (jego tekstu nie odnaleziono do dziś) wysłuchało nie pięciuset, a trzynastu studentów. W każdym razie jego

wystąpienie odniosło na tyle niezaprzeczalny sukces, że Perfecki zapragnął pobyc w Krakowie jeszcze czas jakiś. Zagwarantowawszy sobie poparcie dwu czy trzech miejscowych (właściwie z półświatka) chuliganów, przez kilka następných dni i nocy bachanalizował okolice Rynku i przyległych dzielnic żydowskich, nazywając tę ryzykowną akcję *Tatarzyn w mieście. Sceny z historii Krakowa*. Jej skutkiem było rozbicie czterech witryn na Świętojańskiej i Franciszkańskiej, nocne czytanie co bardziej kontrowersyjnych urywków z poematu Szewczenki *Hajdamacy* pod pomnikiem Mickiewicza, a także cała fura flaszek po jałowcówce, orzechówce, pieprzówce, cytrynówce, szafranówce, piwie Okocim oraz innych słowiańskich napojach, którymi Perfecki *vel* Bimber Bibamus zalewał siebie i swoich anonimowych przyjaciół, nie omijając przy tym żadnego napotkanego krakusa. Zakończenie akcji odbywało się już na posterunku policji, gdzie wyjaśniając swe niekonwencjonalne poczynania, Perfecki zdołał zapewnić tylko co do jednego: zgodnie z jego własnymi przypuszczeniami, zamieszkał w nim duch legendarnego tatarskiego najeźdźcy, który w czasach późnego średniowiecza strzałą z łuku przerwał w pół nuty życie sumiennego trębacza z Wieży Mariackiej. Policjantów miasta Krakowa ta wersja niezbyt przekonała, więc sprawa nieuchronnie zmierzała w kierunku sądu, lecz pewnego dnia w niewyjaśniony sposób i całkiem bez śladu Perfecki (*vel* Karp Lubański) zdołał się wyśliznąć z za krat. Mozolnie pracując płetwami, rozplłynął się w niezgłęzionym niebycie.

Liżąc rany i wracając do siebie z otchłani całkowitego wyczerpania, Stach zatrzymuje się na tydzień czy dwa w górskim klasztorze braci redemptorystów w pobliżu granicy słowackiej. Przeorem klasztoru był niejaki ojciec Remigiusz, w niedawnej przeszłości usunięty z Politechniki Lwowskiej za utworzenie na raz trzech tajnych stowarzyszeń o różnej orientacji. Perfecki znał go trochę jeszcze ze Lwowa (wspólne uczestnictwo w protestacjach w 1990 roku, ale dopiero tu, w spokojnej głuszy październikowych tatrzańskich lasów, zbliżyli się duchowo i zaprzyjaźnili, spędzając dni na dobroczynności, spokoju duchowym, łacińskich i krysznaickich śpiewach, medytacjach, zbieraniu późnych poziomek, a także na niespiesznych rozmowach o pszczelarstwie i serowarstwie.

W drugiej połowie października Stach Perfecki — jako Sum Rachmański — duchowo odnowiony, wynurza się z wód Dunaju na brzegach Bratysławy, gdzie bezskutecznie zabiega o wystąpienie z publicznym wykładem *Słowacy jako etniczne odgałęzienie narodu ukraińskiego*. Zachował się nawet afisz, co prawda strasznie poszarpany, najwyraźniej przez jakiegoś słowackiego nacjonalistę. Nic więcej nie zdarzyło się w Bratysławie, jeśli nie liczyć tego mało prawdopodobnego faktu, że tam właśnie Perfeckiemu udaje się zdobyć austriacką wizę (i to nie w ambasadzie, jak to zazwyczaj czynią wszyscy wędrowcy, lecz od samarkandzkiego Cygana Jaszkiina, z którym nasz Orfecki zwąchał się w jakiejś podmiejskiej noclegowni).

I w ten sposób na drodze bohatera naszej opowieści zjawia się Wiedeń, ów zupełnie inny świat. W Wiedniu widywano go na uroczystych przyjęciach, często bywa w operze, za każdym razem w innej łoży i w innym towarzystwie, czasem mignie w jakiejś dyskusji telewizyjnej o przyszłości Europy czy Afryki (perfekcyjne władanie niemieckim i wszystkimi bez wyjątku formami czasownikowymi języka angielskiego wyrabia Perfeckiemu opinię wesołego i interesującego rozmówcy). Jednakże zupełnie nieoczekiwanie pewnego dnia znika z powierzchni ziemi i zanurza się w odmętach. I następnie mamy dwie wersje o dalszym ciągu jego wiedeńskich wakacji.

Według wersji pierwszej kilka wieczorów pod rząd spędził w pewnym konspiracyjnym mieszkaniu, w którym spotykał się nie wiadomo z kim i nie wiadomo po co. *À propos*, mieszkań tego typu znajduje się w Wiedniu całe mnóstwo, co jest jedną z fatalnych pozostałości imperium.

Wedle drugiej wersji, która wygląda na bardziej prawdopodobną, Stach Perfecki zatrudnił się jako tancerz w na pół legalnym porno klubie na Margaretengürtel, gdzie co noc, tenże Pierre Doliński, wykonywał skomplikowane figury erotyczne ku zadowoleniu stałych bywalczyń — nobliwych starszych pań.

Jakkolwiek by było, tego roku zima zastaje Perfeckiego w Pradze, gdzie przedostał się w kobiecym odzieniu i z podrobionym paszportem. Co prawda, wszystkie te tajniackie atrybuty wydają się zupełnie nieuzasadnione, albowiem podówczas Praga od dawna oczekiwała nań z niecierpliwością i poważnym zaproszeniem: w Środkowo-

Europejskim Uniwersytecie miał on wygłosić cykl wykładów pod wspólnym tytułem *Objawienie na zaplutyh marginesach*. Pierwszy wykład okazał się dla początkowo sceptycznie nastrojonych słuchaczy prawdziwym szokiem. Perfecki świętował to małe zwycięstwo upojnie, nie opuszczając przez dwa następne tygodnie śmierzdzącej i pełnej zgiełku piwiarni „Dachový posrãnek” gdzieś na Žižkovie. Przyjeżdżali tam, by tylko nań spojrzeć, wszelcy wybitni Czesi w rodzaju Václava Havla czy Egona Bondy’ego. Stach Perfecki, tenże Johann Cohan, zadziwiał ich swoim dowcipem i prostodusznością, a ponadto nauczył wszystkich pijaków na Žižkovie kilku ukraińskich pieśni i toastu: „Bud’mo!”.

Kiedy jednak po dwu tygodniach w murach uniwersytetu wygłosił drugi wykład z cyklu *Objawienie na zaplutyh marginesach*, reakcja sali wypełnionej po brzegi publiką wszelkiej maści okazała się być znacznie bardziej powściągliwa. Lecz nie stało się to dla Perfeckiego przestrożą; po dwóch dniach buńczucznie (by nie powiedzieć bezczelnie) wystąpił z trzecim wykładem, choć sam nie do końca wiedział, o czym ma mówić. Kara była nieunikniona: już po czwartym wygłoszonym przez Stacha zdaniu, przy akompaniamencie gwizdów i tupania, obrzucono go zgniłymi pomidorami i niewybrednymi słowy w różnych europejskich językach. Nic nie mogło zatrzymać go w Pradze dłużej.

Na Boże Narodzenie tenże Kamal Manchmal znalazł się więc w Berlinie, dokąd zapewne trafił przez Drezno. O tym, czy zatrzymał się w Dreźnie, do dziś nie wiadomo. Berlin zaskoczył go nieskończoną ilością lampionów, rozwieszonych na gołych drzewach, i nie mniejszą liczbą dorodnych uliczników, przechadzających się w botfortach i z nahajkami w rękę, dziewczęta z nastaniem zmierzchu całkowicie przejmowały kontrolę nad wszelkimi przejściami i wyjściami w okolicach placu Savigny i reszty Charlottenburga. Stach jednak nie poddał się ich aż nazbyt przejrzystym aluzjom do pieszczoł, tym razem zagrzawszy miejsce w niedrogiej lewackiej restauracyjce „Terzo mondo”, utrzymywanej przez zeusopodobnego Greka Kostasa i obsługiwanej przez mnóstwo młodych Greczynek, z których każda była w jakiś sposób spowinowacona z gospodarzem. Do jednej z nich — trzeba przyznać, że najbardziej urodziwej, o tak obfitym biuście, że

dech zapierało od samego przyglądania się, Zoi — Stach Perfecki *vel* Pieprzyłło zapałał czymś nadzwyczaj podobnym do miłości. Godzinami przesiadywał przy swym stoliku w przepojonym zapachem wina i marihuany półmroku „Trzeciego Świata”, i niczym głodny kot, wodził za nią smutnym, krótkowzrocznym spojrzeniem; odprowadzał wzrokiem i witał każde pojawienie się prześlicznej Dionizyjki, która jednakże pozostawała wobec niego niemal obojętna, ale czasem przynosiła kielich darmowego czerwonego imiglikosa. Stach popadał w coraz głębsze melancholijne odrętwienie, przekonując się pomalą, że nikomu nie jest na tym świecie potrzebny. Czasami dośiadał się do niego gospodarz zakładu Kostas i wszystko doskonale rozumiejąc, jakby czytał z dłoni, radził mu jednak zapomnieć o Zoi, która wkrótce ma wyruszyć do domu, do Grecji, gdzie o prawo do jej ręki walczą aż dwaj zalotnicy. Stary Grek współczuł Perfeckiemu, ale uprzedzał, że jakby co, wedle zwyczaju wszystkich południowych Greków, zostanie wykastrowany. Perfecki dziękował mu i proponował, by zaśpiewali coś w duecie.

Bywało, że do stolika przybijał też niejaki Nachtigal von Ramensdorf, ale ten zdeklasowany aktor-tragik, potomek rycerzy i lichwiarczy, który umiał naśladować głos Edith Piaf albo Elli Fitzgerald, w żaden sposób nie umiał pocieszyć zasmuconego Stacha. Tak, w samotności i odrętwieniu, Stach przywitał Nowy Rok, przy okazji przygotował dla Berlińskiej Akademii przejmujący do głębi referat na temat *Dawna kultura grecka i współczesna grecka dziewczyna: wypukłości i wklęsłości*. Ośmiu profesorów wysłuchało go uważnie, sceptycznie pobłyskując szkiełkami, pod koniec jednak nagrodzili go oklaskami — na tyle rzadkimi, na ile jest to możliwe w wykonaniu ośmiu profesorów.

I w tym okropnym momencie jego życia, kiedy zmęczony bezsennością i oczyma Zoi, Perfecki zaczynał już rozmyślać nad propozycjami ulicznych kobiet w botfortach, odnalazło go zaproszenie z Monachium. Ktoś Niewidzialny dbał o niego, rozpostarłszy skrzydła i za każdym razem inicjując nowy, zbawienny dlań bieg wydarzeń. Z zaproszenia wynikało, że pewna instytucja mecenackiego typu gorąco pragnie widzieć go jako swojego stypendystę, proponuje więc całkowite trzymiesięczne utrzymanie, lokum w pobliżu Monachium,

u podnóża Alp, *schöne Umgebung*¹, pięciusetletnia tradycja piwa, zamrznięte jezioro, gorące kąpiele, zaczarowane łąbędzie, pocztówki we wszystkie zakątki świata, marmurowa sala, świeczki, marmolada, inkrustowany klawesyn służący ćwiczeniom w dobrze utemperowanej muzyce, troskliwa opieka, *bayrische Spezialitäten*, rzadkie gatunki drzew, parkowe rzeźby, gospodyni w czepku i getrach, niebotyczne stogi, ptasie mleko, świeże jaja, białe wypukłości pagórków, *Kirche, Kinder, Küche*, całe złoto świata, porcelana, majolika, toccaty i fugi, sonety i oktawy, muzea, muzea, muzea, *ja-ja, eine gute Idee, jo-jo, eine Starnberger See, und eine feine Blechmusik, und meine kleine Nachtbumsik, und Hofbräuhaus und Nazis-raus, und besser ist, dass es München gibt mit Franzl und Platzl und Kindl und Rudl — willkommen am Stachus, Herr Stach, lieber Strudl*².

23 stycznia Stach Perfecki *vel* Johann Kohan postawił swą stopę na peronie Hauptbahnhof wolnej stolicy bawarskiej. Od tej pory znika z pola widzenia. Wszelkie moje wysiłki, skierowane na to, by dowiedzieć się czegoś o jego monachijskich występach gościnnych, pozostawały długo daremne.

Następną wieścią o Stachu była niestety ta, od której zaczęliśmy: marzec, Wenecja, nie wyjaśnione zniknięcie, krok w poranne okno...

Nasze istnienie oparte jest na prawie naczyń połączonych. Każde, nawet najcichsze poruszenie z pewnością znajdzie oddźwięk.

Kilka tygodni temu mój przyjaciel, stosunkowo znany artysta Bohdan Br., powrócił z prawie półrocznego pobytu na stażu w Wenecji, gdzie uczono go miłości do starych przedmiotów i do młodego wina. Pewnego razu do jego mieszkania zapukał nieznajomy, mówiący łamanym ukraińskim. Miał on przy sobie paczkę pełną różności, którą wedle jego słów (a raczej gestów) należało przekazać „Ukraina”. Nic więcej nieproszony gość nie mógł wyjaśnić z powodu absolutnie niedostatecznego zasobu słownictwa. Jednakże nawet on kilka razy wyraźnie wypowiedział moje nazwisko.

1 Przepiękne okolice.

2 Niezbyt sensowne, ale rytmiczne i rymowane zestawienie niemieckich słów i wyrażeń, zapożyczone przez wydawcę z kartki pocztowej napisanej przez Perfeckiego w drodze z Berlina do Monachium.

W ten sposób po powrocie Bohdana Br. z Wenecji paczka od niemoty trafiła do mnie.

To, co znajduje się w dalszych częściach tej książki, pochodzi ze wspomnianej paczki i dotyczy weneckiej przygody Stacha Perfeckiego. Zebrałem tu wszystko, i to w takiej kolejności, w jakiej — według mnie — przebiegały wydarzenia.

Ale cóż to za materiały? Jakie jest ich pochodzenie? Podzieliłbym je na kilka rodzajów.

Po pierwsze, to kopie (jeśli nie oryginały) tych dokumentów, które znalazły się w posiadaniu policji po zniknięciu Perfeckiego i dokładnym przejrzeniu wszystkiego, co pozostawił po sobie w pokoju hotelowym. Jak już powiedziano, to notatniki, kasety magnetofonowe z tekstami nagranych przez Perfeckiego, wydruk pewnych komputerowych zapisów, które najwidoczniej znajdowały się na dyskietkach Stacha. Wszystko to pisane jest przez samego Stacha i muszę powiedzieć, że nawet najbardziej wnikliwa analiza tekstologiczna potwierdziłaby moje przekonanie co do tego, że nie jest to podróbka, że t e słowa, t e wyrażenia, t e n sposób widzenia są jego, Stacha Perfeckiego. Ale materiały owe nie stanowią większości, jest ich może nawet mniej niż jedna trzecia.

Po drugie, to teksty, które były i są ogólnie dostępne i zostały zupełnie oficjalnie opublikowane, ale każdy z nich ma bezpośredni związek z historią, która nas interesuje. Są to zaproszenia, programy, reportaże, wywiad w gazecie, udzielony przez Perfeckiego w Wenecji i wydrukowany 10 marca, jeszcze przed jego zniknięciem.

Po trzecie, to szereg nadzwyczaj dziwnych dokumentów, które miejscami szalenie przypominają depesze służbowe; w ich górnym rogu umieszczony jest zagadkowy szyfr, pisany częściowo po włosku, częściowo po niemiecku, częściowo po angielsku, jak się zdaje przez różne osoby, ale najczęściej przez pewną osobę płci żeńskiej.

Po czwarte, to opowieści kilku innych ludzi o epizodach, przeżytych przez nich w towarzystwie Stacha Perfeckiego. Również te teksty zostały przetłumaczone.

I w końcu po piąte: fragmenty (znowu w różnych językach) napisane nie wiadomo przez kogo. Zostały jakby zanotowane przez tego umownego „opowiadacza”, czy też „obserwatora” albo „narratora”, któ-

ry wie wszystko i o wszystkich, który jednocześnie jest wszędzie i nie ma go nigdzie, oprócz literatury. Kto jest autorem tych fragmentów?

Odrębny przypadek stanowi kasetka wideo zawierająca materiał nakręcony z ukrytej kamery.

Wysuwam dwa przypuszczenia na raz. Zresztą każdy z Was, mili czytelnicy, ma prawo do swojej własnej wersji. Albo do kilku własnych wersji. Nie spieszymy się z nimi.

Numeracja publikowanych dokumentów, umieszczona na początku każdego z nich, jest rzecz jasna mojego autorstwa, ponieważ kolejność publikacji dokumentów została zaproponowana przeze mnie. Ciekawe, na ile i n n a może być ta kolejność?

Oprócz numeracji nie uczyniłem żadnych zmian tekstowych (czy pozatekstowych). Zanim zakończę to, proszę mi wierzyć, naprawdę niełatwe dla mnie słowo wstępne, chciałbym podziękować pani Marianie Prokopowycz (tłumaczenia z włoskiego), Jurkowi Pr. (tłumaczenia z niemieckiego), Olegowi Mochnatemu (tłumaczenia z angielskiego) — ich praca była darmowa, ale nie daremna. Nie mniejszą wdzięczność chciałbym okazać tym, którzy w większej lub mniejszej mierze przyczynili się do ukazania się tej budzącej trwogę książki, zwłaszcza p. Olegowi Zajaczkowskiemu, a za jego pośrednictwem także panom Francescowi Apolloniemu i Rossano Rossiemu, każdy z nich bowiem, nawet o tym nie wiedząc, znakomicie wykonał misję mego tajnego agenta w Wenecji.

J. A.
grudzień 1994 r.

Ona nazywa się Ada Cytryna, a on — Janus Maria Riesenbock. Siedzę w ich alfa romeo, przypuścimy, że to alfa romeo. Pędzimy *autobahnem* z Monachium do Wenecji. Z Monachium. Do Wenecji.

Zdarzyło mi się to przedwczoraj, 3 marca, w środę popielcową, w dzień po zakończeniu karnawału. Udałem się na pieszą przechadzkę po Monachium w nadziei, że zobaczę pozostałości po święcie: nie uprzątnięte sterty śmieci, rozbite butelki, podeptane ogony i skrzydła, zdarte pstrokate maski. Niczego podobnego już nie znalazłem, gdyż wybrałem się do miasta dopiero po południu. Ulice i place zostały uprzątnięte zapewne jeszcze skoro świt.

Znalazłem chwilowy przytułek w kawiarni „Luitpold”, którą odszukałem z pomocą planu na Brennerstrasse (albo, jak tu mówią, *sztraze*) pod numerem 11, gdzie pozwoliłem sobie na dwa, jeden po drugim, podwójne remimarteny (pierwszy za Rilkego, drugi za Stefana George’a). Kiedy zrobiło mi się całkiem ciepło, wypełzłem z kawiarni i powoli ruszyłem w stronę Schwabingu, mijając Odeonsplatz i zalaną pierwszymi wieczornymi światłami Ludwigstrasse. Witryny obiecywały, co tylko dusza zapragnie, nawet nieśmiertelność. Nikt

nie posypywał głowy popiołem. Tysiące przechodniów sunęły obok mnie w tym miniaturowym megalopolis. Ale porządni ludzie tego dnia muszą skosztować rytualnej ryby. *Ash-Wednesday* (jak to nazywał Eliot), *Aschermittwoch*, popiół, smutek, melancholia i ryba.

Tak zaczyna się post...

A teraz dygresja liryczna. W pobliżu uniwersytetu, przed łukiem tryumfalnym, poczułem, że zbliża się wiosna. Było to wszystko na raz: ciepły wiatr, dziurawe płaty śniegu, rozpostarte poły płaszcza, płaczący się szalik, zapach nowej koszuli, pieczonych kasztanów, ostrych przypraw, zapach jeszcze czegoś tam, jakichś kobiet, mężczyzn, przepływających obok mnie, muzyka zza rogu, ściskanie w piersi — przystanąłem krócej niż na chwilę, gdzie tam, nawet się nie zatrzymywałem, po prostu zrozumiałem, ale jakie tam „zrozumiałem”, kiedy to zupełnie nie to słowo, i „poczułem”, to nie to, i nikt mi nie podpowie właściwego słowa — wyczułem, czy co, jakieś wielkie zmiany, bodaj jedną, coś takiego...

Ona nazywa się Ada, a on — doktor Riesenbock, prywatna praktyka urologiczna w Possenhofen. Wiozę mnie swoim samochodem do Wenecji. Doszedłem jako tako do siebie dopiero przed austriacką granicą. I wtedy nieomal namacalnie odczułem potrzebę mówienia, nagrania czegoś na ten dyktafon.

Tak więc przedwczoraj, w środę popielcową wieczorem, doszedłem w końcu na Schwabing, na zalaną jeszcze bardziej oślepiającymi światłami Leopoldstrasse. Szedłem na spotkanie przygody, po prostu rozpierało mnie od wewnątrz. I przygoda natychmiast mnie odnalazła: przysadzista Mulatka o czerwonych ustach, krótkie nogi i spódniczka, z szalonymi okrągłościami, obwieszona brzękoczkami, w obcisłej

bluzce z dekoltem z błyszczącym oblamowaniem, prostytutka z jakiejś innej, weselszej dzielnicy, bo Schwabing dziś już nie ten sam, co za czasów symbolizmu i cesarza Wilhelma. Stała tam w bramie pod latarnią, wypatrując w tłumie odpowiedniej twarzy. Moja widać okazała się odpowiednia, dostrzegłem błysk ożywienia, uśmiechnęła się, pojąłem w lot, poczułem przeraźliwy chłód w piersiach, pozostawało jeszcze koło dziesięciu kroków, w portfelu miałem niecałe sto marek, co bynajmniej nie gwarantowało powodzenia, pozostawało mi jeszcze pięć kroków, kiedy usłyszałem: „*Hallo, kommst du mit?*”¹, jeszcze dwa kroki milczałem, w końcu, zatrzymując się tuż przed nią, rzuciłem: „*Ja, ich komme mit, Liebling, wieviel?*”², nie odpowiedziała jednak „*wieviel*”, obróciła się na swych królewskich obcasach, wzięła mnie za rękę i poprowadziła do bramy. A jednak była stąd, ze Schwabingu, otworzyła bramę kluczem, który *for special effects* wydobyla ze swego oszałamiającego dekoltu, i w ten sposób znaleźliśmy się w środku, prowadziła mnie dalej po schodach w górę, od czasu do czasu oglądając się i uśmiechając pełnymi ustami, poczułem nagle, jak wzbiera i burzy się we mnie wstrzeźliwość ostatnich miesięcy, a nawet lat, te brzęczące bransoletki i ozdoby na niej stawały się nie do zniesienia, byłem gotów wziąć ją już tu, na schodach, przycisnąć do poręczy i zedrzeć z niej symboliczną, kusą, czerwoną jedwabną spódniczkę. Ale ona zachowywała bezpieczną odległość i prowadziła mnie nadal gdzieś w górę, na jakieś dziewiąte piętro, czy co, podśpiewując wciąż pod nosem w jakimś tropikalnym narzeczu, może po amharsku. W końcu znaleźliśmy się w mieszkaniu wypełnionym ludźmi i dymem z równikowych kadzidełek, oświetlonym zielo-

1 Cześć, pójdziesz ze mną?

2 Tak, pójdę z tobą, kochanie, ile?

nymi i czerwonymi lampami, w którym wszyscy bez wyjątku śpiewali.

Oho, nawet nie zauważyłem, jak przekroczyliśmy austriacką granicę. Zdążyłem przeczytać Kiefersfelden, czy coś w tym stylu, jakieś zapyziałe pola żuków³. Kamienne osłony po obydwu stronach szosy, w końcu góry, wjechaliśmy w góry, wszędzie od cholery śniegu, aż doktor Riesenbock — tak, o tobie mówię — musiał założyć okulary przeciwsłoneczne. Siedzi za kierownicą i nie rozumie ani słowa po ukraińsku. Co innego jego żona. Ona wszystko rozumie, jest z pochodzenia Ukrainką, siedzi obok niego na przednim siedzeniu, jak na żonę przystało, *Frau* Riesenbock, cała w czerni z dodatkiem wiśni, ale ona mnie nie słyszy...

Chyba nie od razu połapałem się, co to było za mieszkanie. Dech mi zaparło od słodkiego dymu, poczułem, że nogi mam jak z waty, zewsząd dolatywały śpiewy, ze wszystkich pokoi, wszyscy ci ludzie nadal odziani byli w karnawałowe szmaty, jakby wyszperali je na śmietnikach po wczorajszym święcie, moja brązowonoga kusicielka rozplynęła się wśród innych Mulatek, Arabek, Turczynek, Chinek, Hindusek, przystrajających mieszkanie żywymi zielonymi gałązkami, zwojami tkanin o gorących barwach i niezliczonymi obrazkami, lecz nijak nie nadążałem z oglądaniem ich; przechodząc z pokoju do pokoju, wciąż próbowałem złapać ją za tyłek, po co mnie tu przyprowadziłaś, szanuję zwyczaje wszystkich narodów, ich obrzędy itd., ale za daleko się posunęłaś, nocna ptaszyno, tak bym jej powiedział, a w każdym pokoju siedziało na dywanach, tapczanach i po prostu na podłodze pełno przebierańców, anachronicznych karnawałowych hulaków,

3 Perfecki myli Kiefersfelden i Käfersfelden.

a wszyscy oni bezustannie śpiewali, od kiedy się tu znalazłem, trwał nieprzerwanie śpiew w łamanym języku niemieckim, coś jakby psalmy albo hymny, gramatyka nieudolna, nawet jak na moje ucho, ale melodia była dość ładna, nie-samowicie fajna i wyszukana melodia, mieszanka celtyckiego i koptyjskiego z dodatkiem brazylijskiego, ormiańskiego, maghrebskiego i rumuńskiego. Dostawałem bzika od tej muzyki, próbowałem wtórować, ale od czasu do czasu ktoś ze śpiewających krytycznie zerkał na mnie, jakby chcąc powiedzieć: nie pchaj się, nie proszony, więc przestawałem...

Pierwsza rzecz, którą robię, gdy znajdę się w nieznanym pomieszczeniu, to szukanie instrumentu muzycznego. Lubię fortepian, gitarę, wiolonczelę, akordeon, marakasy, flet, lubię wiele instrumentów. Zacząłem więc ich szukać. Ale nigdzie nic takiego nie było — tylko głosy, kobiece i męskie, dziecięce i starcze, jakaś na wpół obłąkana modlitwa do obcego boga, coś tam o lasach i miodach, gajach, polach, sadach, górach, łąkach, trawach, bramach, a ja tymczasem trochę uważniej rozejrzałem się po tym przybytku; była to jedna z typowych kamienic czynszowych minionego stulecia, we Lwowie są tysiące takich, wzniesiono ją jeszcze przed nadejściem secesji, za czasów burzliwego eklektyzmu idei, architekt jakby zmagał się z materiałem, wymyślając sobie jak najwięcej problemów, napełniając przestrzeń wszelkimi zakątkami, niszami, oficynami, antresolami; ale prócz rozśpiewanego tłumu ludzi nikogo i niczego tam nie było, no, powiedzmy, kilka leżanek, bambetli, kanap, jakieś dywany — wszystko to wyglądało tak, jakby dopiero co zostało wniesione, obce i przypadkowe — ogólnie rzecz biorąc — gołe ściany i podłoga; w takich warunkach nie mieszka się i nawet nie modli, a tutaj najwyraźniej i mieszkało, i modlono się. Do tego jeszcze

te lampy, czerwone i zielone, coś pośredniego między dyskoteką i świątynią bizantyjską, no i zapachy, wszechobecna woń świec i kadzidełek, z którymi przepływały w tańcu obok mnie Peruwianki, Koreanki, Malgaski, Marokanki i Filipinki; również moja zguba o wydętych ustach płaszała między nimi, ale już bym jej nie rozpoznał na tym rześścim zroszonym runie; później przyszło mi do głowy, że to nie jedno mieszkanie, a kilka starych mieszkań, między którymi wyburzono ściany, całe piętro, siódme niebo irrealnego przedsecesyjnego budynku na Leopoldstrasse czy też może w jednym z bocznych zaułków — nie zauważyłem...

Oho, teraz uwaga! Szare niebo. Zleżały śnieg. Wieże. Wrony nad ratuszem. Dachówka. Żółte mury. Ciszka, dziesiąta, nie, jedenasta rano, piątek, chłodno, wysokie góry, wysokie Alpy, co jeszcze? Ciężkie pierzyny, wyziębione przez noc, komnaty w zamkach, kawa z mlekiem, grzane wino, uczniowie na przerwie, gdzieś daleko bije dzwon, kominy, dymy nad kominami, niewidzialne skrzydła — czyje? To Innsbruck, moi państwo! Po prawej, w dolinie. Chciałbym tu zatrzymać się na jakiś czas. Hej! *Achtung, Achtung, mein lieber Riesenbock, bitte, auf ein Moment stoppen!... Ich habe manche Problemen...*⁴.

No, dobra. Może mi udało się coś oddać. Czy pokazać, no nie. Zatrzymać ten stan, ten Innsbruck? Czasem robi mi się cholernie żal, że tak wiele gdzieś zagubiłem, kolekcjoner dziurawy, tak wiele zmarnowałem, zapomniałem, szczególnie tam, u siebie. Pozostają ze mną (we mnie?) tylko jakieś

⁴ Uwaga, uwaga, mój kochany Riesenbocku, proszę zatrzymać się na chwilę... Mam pewien problem... (nieco łamany niemiecki).

zasnute mgłą podwórza, korytarze, wilgotne mansardy, podeptane mleczce, nie zasypane rowy, wapnem pobielone pnie... Dopiero tu, w obcej stronie, zaistniałem całym sobą, wszystkim, czym jestem. Zapadłem się w dzikie otchłanie nastrojów, aż nie nadążałem za nimi i przestraszyłem się, że znów, tak jak w domu, wszystko roztrwonię. Zresztą można by to trochę lżej traktować. Wszystko, co strwonilem, można by uznać za zbędne. Wszystko, czego nie roztrwonilem (odrobinę) — uznać za niezbędną. Czyli nieuniknione. Odbierałem pewne sygnały, ostrzeżenia. Jeszcze dawniej, we Lwowie, a nawet jeszcze w Czortopolu. Przestraszyłem się, że przypadek posługuje się nami nieustannie i codziennie. Chciałbym jakoś mu się przeciwstawić.

W ten sposób pojawił się pomysł z dyktafonem. Mieć go zawsze przy sobie. Mówić, milczeć i znowu mówić. Upchnąć w nim dokładnie tyle, ile da się upchnąć w naszym języku. To jasne, że i on nie zbawi. Ale może być aluzją, coś podarować, nie uświadamiając tego. O, kurwa, takie mądre myśli, że aż się sobie nie podobam. No, dobrze.

Wracam do przedwczorajszej historii. Póki pamiętam. Szkoda, że Ada tego nie słyszy. Bo chciałbym się jej podobać. Ale ona nabrała całą torbę włoskich oper i od samego Monachium siedzi z walkmanem na uszach, od czasu do czasu wspomagając niewidoczne primadonny swoim lekko chrypliwym głosem. O, *don Fatale*⁵. Po włosku. Bo ona zna włoski. Mieszkała w Rzymie i Rawennie, w Pizie i Asyżu. Mniejsza o to.

Już dobrą godzinę szwendałem się po tym mieszkaniu, na każdym kroku płosząc różnych Malajów, Persów i Etiopów,

5 Zdaje się, że jest to aria księżniczki Evoli z opery Verdiego *Don Carlos*.

którzy wciąż jeszcze śpiewali, rozpoznawałem tylko pojedyncze łamane zdania, coś w tym rodzaju: „i pójdziemy w blaski bramy germanijskiej z młodym syną z wielkim rybą pływającą niczym król na krew nasze ziarno przesygnięte szlak by go trafił szlak by ją trafił daj nam sadu bramy germanijskiej gdzie chleba i piwa i jabłka złotego pełnia tryumfuj Ojcie tak ululamy się w kopalnia srebra podziemności jasnej naszej ciemności masła daj nam masła i piwa i ducha wielkiego ryby tryumfuj Ojcie kosztuj nas i kęsem kęsimym rozgryż szlak by go trafił szlak by ją trafił bo pójdziemy w jasność bramy germanijskiej z młodym syną z wielkim rybą pływającą jak król na krew nasze ziarno przesygnięte szlak by go trafił szlak by ją trafił daj nam sadu bramy germanijskiej gdzie chleba i piwa i jabłka złotego pełnia tryumfuj Ojcie” — tak wyśpiewywali w dalekim od doskonałości *Hochdeutsch* ci porzebrani za Morysków, Mnichów, Kawalerów i Żaków, Nosorożce i Astrologów, Minnesingerów i Nibelungów, Indonezyjczycy, Kurdowie i Pakistańczycy czy też Palestyńczycy, a do tego Albańczycy, Bośniacy, Maurowie, Khmerzy, byli wśród nich niewątpliwie także mieszkańcy Haiti, Thaiti, Krety, Cypru, Konga, Bangladeszu, Côte d’Ivoire, Burkina-Faso, i wszyscy oni całkiem nieźle nucili tę najtrudniejszą z melodii, wymawiając coś w rodzaju: „bujny sadzie bramy germanijskiej stań przed nami i bądź z nami, wpuść nóż nasz i nasyc nas młodym syną wielkim rybą, duchem czaru, czarem ducha, żelazem i puszką zajedź jej w uszko, zaliż rany moje i jego, i jej, i jeszcze jej, rośnij nam jak krzak we flaku czy flak u krzaku, tryumfuj, Ojcie kosztuj nas, i właśnie tak zazłocimy się w dziura słońca nieziemskości ciemnej naszej jasności mięsa daj nam mięcha i sznapsa i jaja wielkiego ryby tryumfuj Ojcie i kęsem kęsimym rozgryż szlak by go trafił szlak by ją trafił bujny sadzie bramy germanijskiej stań przed nami i bądź z nami, wpuść nóż nasz i nasyc nas — młodym syną wielkim

rybą, duchem czaru, czarem ducha, żelazem i puszką zajedź jej w uszko, zaliż rany moje i jego i jej, i jeszcze jej, rośnij nam jak krzak we flaku i flak u krzaku, tryumfuj nowy Izaaku” — do końca swoich dni gardziłbym sobą, gdybym próbował stamtąd uciec, chociaż przeczucie grożącego mi niebezpieczeństwa narastało we mnie tym bardziej, że ze mną — bądź co bądź gościem — nikt nie zamierzał nawet porozmawiać, czy też porozumieć się w jakiś inny sposób, mężczyźni nadal śpiewali, rozsiadłszy się na podłodze, dywanach i kanapach, klaszcząc do taktu w dłonie, a kobiety nadal śpiewały, wnosząc z bocznych korytarzy coraz to nowe gałązki paproci, orzechy kokosowe, kawałki tkanin, pobrzękujące ozdoby, obrazki, połamane płyty gramofonowe... Chyba się wściekliście — ci skałem się, lecz bez nienawiści czy też pogardy, bo wokół działo się coś naprawdę wielkiego, zjednoczony rytuał wyklętego ludu tej ziemi; musieli wymyślić sobie innego boga, morzono ich głodem, zabijano bombami i epidemiami, AIDS-em, chemikaliami, wypełniano nimi zatrute studnie i najtańsze burdele, wypróbowywano na nich broń i cierpliwość, podpalano im lasy, zatapiano pustynie, wysiedlano ich zewsząd, zaraz po narodzeniu. Czym odpowiadali? Jazzem? Marihuaną? Tysiącem rodzajów miłości?... Chodziłem między uchodźcami, podtruty dymem kadzidełek, zielonymi i czerwonymi błyskami, śpiewami, łatwo mnie otruć — wszystkim, co wymyślili ci nielegalni poszukiwacze niemieckiego boga, Władcy Bramy Germanijskiej, przez którą zdążyli wśliznąć się w ostatniej chwili — jedni z ładowni statków, inni z zawszonych wagonów, legalnie i podstępem, za pomocą łapówki, przekupstwa, morderstwa, błagania, zebrania, nadstawiania pochwy, dupy, grą na skórzanym flecie, przez Lwów, przez Polskę, przez gardło, przez płuca, przez osiemnaście granic i trzydzieści punktów kontroli celnej — jako emigranci, muzycanci, tania siła robocza, czarnoksiężnicy, seksautomaty, pogorzelnicy, dysy-

denci, bandyci, powstańcy, śmieciarze, woziwody i wozigów-
na, knajpiani sprzedawcy róż, sutenerzy, komuniści, maoiści,
studenci prawa i filozofii — mimo wszystko zdążyli, zdołali,
zdobyli, wydarli dla siebie tę ziemię, te Niemcy, ten dobrobyt,
te śpiwory w przejściach podziemnych, uczynili te miasta bar-
dziej kolorowymi, a ta dobra, pracowita, oddana Niemiecka
Kraina przygarnęła ich, nakarmiła, napoiła itd., ale oni jeszcze
czegoś od niej chcą, jeszcze o coś proszą swojego wspólnego,
acz wymyślonego boga — czego oni mogą jeszcze chcieć: la-
sów, strumieni, alpejskich szczytów, zamków, muzeów, prze-
dłużenia wizy, krwi, ciepła, czułości, pieniędzy, samochodów,
a może obywatelstwa im się zachciewa?...

Chodziłem między nimi odurzony, jak gdybym to ja był
wszystkiemu winien, jakbym ja był przyczyną tego debil-
nego świata... Trochę odpocznę.

Kontrola paszportowa na przełęczy Brenner trwała nie
dłużej niż trzy minuty. Nawet mój sowiecki paszport nie wy-
wołał w tym włoskim chłopcu jakichś większych emocji.

Potem pomknęliśmy szaleńczo w dół — Janus Maria roz-
pędził swojego porsche'a, czy co on tam ma, do niemal dwu-
stu na godzinę, wdarliśmy się do kraju, gdzie śnieg zniknął,
gdzie trawy były zielone, znaszli ten kraj, *wo die Zitronen
blühen* (a tyś, Cytryno, w jakim kwitła kraju? — co za idio-
tyczne nazwisko, zakochałem się po uszy już w samym nazwi-
sku, pani Riesenbock⁶), słońce świeciło nam w oczy, urwiska
przelatywały po obu stronach autostrady, a mimo to wszę-
dzie widoczne były ślady ludzkiej obecności: most nad poto-
kiem, kapliczka, krowy na łące, Matka Boska, zburzona wieża,

⁶ Niemieckie nazwisko Riesenbock można przetłumaczyć jako
„Capisko”.

odrapany mur, kilka owiec, szkoła za zakrętem, Matka Boska, strach na wróble w ogrodzie, zbójcecki zamek, myśliwska restauracja, stacja benzynowa, Matka Boska, kapliczka, pasieka, zajazd rybacki, młyn wodny, cementarz, Matka Boska, dziewczynka z koszykiem, zbójcecki zamek, hotel z geranium (hortsensje? gardenie?), wytwórnia serów, rozbity opel kadet bez pasażerów, kobieta w czerni, Matka Boska...

Riesenbock zaczął się denerwować: zbyt często po drodze wyrastali się nigdzie nie spieszący się pracownicy włoskich służb drogowych, trzeba było zwalniać do czterdziestki-pięćdziesiątki, szukać objazdów, co chwilę hamować. Włosi w kombinezonach robotników drogowych ruszali się jak muchy w smole.

A Riesenbock — tak, to o tobie, o tobie — wygląda na nerwusa — ma duże i kościste ręce, cały jest zresztą duży i kościsty, ma brodę, zakola na czole, w oczach nieco sprośności. Wygląda, jakby był w połowie drogi: już zmęczony życiem, ale wciąż jeszcze ma na nie chrapkę. Lubię takich facetów.

Między Bressanone a Bolzano zatrzymaliśmy się na chwilę. Dalej prowadziła Ada. Nie oglądaj się. Teraz, kiedy musisz zdjąć walkmana, będę kontynuował swoją historyjkę tylko dla ciebie. Dalej było tak.

W końcu wszyscy otwarcie zwrócili na mnie uwagę. Obok mnie pojawiły się cztery dziewczyny — Tajka, Samoanka, Trynidadka i Lesbijka — poruszając się w rytm ogólnego śpiewu, i same nie przestając śpiewać, dość delikatnie, ale zdecydowanie zaczęły zdejmować ze mnie płaszcz. Postanowiłem nie stawiać oporu i przeżyć wszystko aż do końca. Być może odpokutować coś. Czy po prostu czegoś doznać. Tym bardziej, że zbliżał się koniec tego przedstawienia: zza „germanijskiej bramy”, wychwalanej przez całe zgromadzenie, przebłyskiwa-

ły już pewne jego oznaki, kręciło się w głowie od odurzającego dymu, pieśń stawała się coraz głośniejsza i wyższa, powtórzeń coraz częstsze, zaprowadzono mnie, już bez płaszcza i — proszę zwrócić uwagę — bez pancerza, do największego z pomieszczeń, do którego stopniowo spelzali wszyscy, robiło się ich coraz więcej, wydawało się, że nie mieli żadnych szans zmieścić się tu, ale jakoś się mieścili w tych swoich czy nie swoich strojach karnawałowych. Środek pokoju pozostawał pusty.

Tak, też sądzę, że to jakaś nowa sekta, niewątpliwie.

Wtedy oto, co się dzieje. Kilka typów z jelenimi i byczymi rogami na głowach, tańcząc, wynosi na środek pokoju święty szmaciany dywanik (u nas takie służą za wycieraczki), a przed nim wraz z finalnymi ekstazami śpiewu („złotej germanijskiej bramy daj nam przepłynąć wielkim rybą”) ku powszechnemu zachwytowi stawiają popiersie: pozłacana brązowa figura nieco zwiększonych rozmiarów (w stosunku do naturalnych, rzecz jasna), rozumiem, że to ich bóstwo, bożek, bożyszcz — lepiej powiedzieć, jakiś pitekantropus czy Budda, albo niemiecki filozof materialista, tenże Strażnik Bramy Germanijskiej, albo Agir, Hrungnir i Fafnir, stróż zaczarowanego ogrodu.

Wszyscy obecni prócz mnie uroczyście uklękli przed objawioną boską postacią. Kiedy i ja chciałem uklęknąć, dziewczęta, wszystkie cztery moje strażniczki, po prostu nie pozwoliły mi na to, łapiąc mnie ze wszystkich stron za wszystko, co się tylko dało. W trakcie ostatnich taktów wielkiego psalmu przed naszymi oczyma pojawił się, jak rozumiem, Najwyższy Kapłan czy też ktoś w tym rodzaju, ogromne chłopisko nieznaney rasy, pewnie jakiś mieszaniec (Papuas z Laplandką?), z workiem na głowie, gdzie były tylko wycięcia na oczy, usta i nos. Potrząsając całym ciałem, upadł twarzą na ziemię przed bóstwem i rozpląszczył się przed nim na dywaniku. I tak kilkugodzinny hymn w końcu zamarł. Od razu jednak narodziło się ogólne,

podobne do brzęczenia milionów much murmurando. Buczeli, rzecz jasna, znowu wszyscy, prócz mnie, bo i tego mi zabroniono, choć bardzo pragnąłem pobuczeć razem ze wszystkimi...

Gdy minęliśmy Trento, za kierownicą usiadł znowu doktor urologii. Adę, jak i poprzednio, pochłoneły włoskie opery. Rossini, Verdi, Leoncavallo, Donizetti, Pinzetti. Jak również Mozart, Mozart, Mozart, który w rzeczywistości musiał być Włochem, no, chociaż w połowie. Niemki, szczególnie te z południa, uwielbiają Włochów. Dostają orgazmu na sam dźwięk włoskich imion, szczególnie tych podwójnych lub potrójnych. Narodziny z dziewicy. Tak został poczęty Mozart, prawdziwy pan mego serca.

Pewnie nie wytrzymam do Wenecji. Wszystkiego jest tu za dużo — tych gór, zielonej trawy, nie widzianej od września, tych arii, tego kościstego Janusa, który od czasu do czasu przeklina po niemiecku, tego krajobrazu z ruinami wież, tej szybkości, tej Ady, na w pół odwróconej, oto jej ucho, uszko, na wskroś prześwietlone, nabrzmiewa od soku muzyki, od cieplej spermy muzyki, włoskich głosów, oto linia szyi przechodzi w ramię, oto włosy, farbowane zdaje się, jasnokasztanowe, a dalej ręce, dłonie, dwa ptaki, oparte o przednią półkę samochodu, chwilami podrywają się w takt muzyki nie słyszanej przez nikogo więcej na świecie.

Trochę przegiąłem. Lepiej tak: muzyki, jaką usłyszał cały świat.

A teraz jeszcze raz: uwaga! Wiersze, od których muszę się uwolnić. To improwizacja. Mogą tu i ówdzie być potknięcia. A więc. Za cóż to ja Italii ukochałem ducha? Trzynastozgłoskowiec, super! Za cóż to ja Italii ukochałem ducha? Za to, że w dupę karaweli dmucha. Zupełna bzdura, w dodatku nie trzynastozgłoskowiec. No dobra, dalej. Za cóż to ja

Italii ukochałem ducha? Za to, że w dupę karaweli dmucha. Że w jej przystani milknie zawierucha. Uczuciem swoim zawsze ciebie ścigam: Kocham, gdy kocham, kocham cię, gdy rzygam! Gdy składam piosnkę o tym słodkim dniu, Jako słowiczek, kiedy kłaska w gaju, We włoskiej ziemi czuję się jak w raj, Gdzie śliczne zdziury szepcą: „*I love you!*”. Podniebne góry wokół mnie i Tyrol. Parol na Tyrol: taka moja rola! Ja by tebją, krasafitsa, wytyrol!... Za króla macie nadętego trolla. Dlaczegoś tak ucieszny, o Tyrolu? Dlaczegoś taki grzeszny, królu-trollu? Dlaczego w krąg te skały, dęby, laury? Gdybyż to liznąć szyjkę mojej Laury... Przepraszam, chyba trochę za głośno.

Są mężem i żoną. Ona koło trzydziestki. To nie moja sprawa.

No dobrze. Nasz ferrari, czy coś takiego, połyka miłą za miłą, wyskoczyliśmy już z Alto Adige, żaden zbójnik nie napadł na nas, żaden z moich baronów nie skosztował naszej krwi, a pejzaże stają się coraz bardziej nie do zniesienia, to Południe, Południe, Południe, to cedry i sosny, i laury, i pinie wzdłuż autostrady, to zapach kawy dolatujący zewsząd, to aloes, mirt i air, to zwykła wyliczanka, ale można ją ułożyć na kartce w dwóch kolumnach, każda z nich będzie oznaczała coś niezapomnianego, ale jednocześnie będzie także punktem orientacyjnym po obydwu stronach szosy; radość sprawia mi już samo nazywanie, dlatego chcę po prostu nazywać, po prostu wyliczać, to zwykła wyliczanka, od której skręca mnie w środku, a ja nie śmiem naruszyć jej wspaniałej wewnętrznej doskonałości:

rabata	
balkon	kościół
plac	
fontanna	kiosk
schody w krzakach	
latarnia	
brama	
słup	
witraż	
McDonald's	witryna
rabata	warzywa
chodnik	chodnik
osioł	
gołąb	
św. Tomasz	jaskółcze gniazda
św. Piotr	św. Łukasz
dziewczyna w oknie	
św. Roch	św. Franciszek

Duch Święty

zrzucam z siebie wszystko, prócz koszuli, niby święty, dajcie mi w końcu łyk alkoholu, a jeszcze lepiej — dwa łyki, żebym nie umarł przedwcześnie z przegrzania.

I co tam przed nami? Werona?!

Trzeba jakoś dokończyć przedwczorajszą historię, nie?

Tak więc w momencie najwyższego brzęczenia, by tak rzec, pojawili się wspomniani już przeze mnie rogate, zrozumiałem, że to kapłani albo coś w tym rodzaju. Najważniejszy podniósł głowę ze świętego dywanika i aż się zatrząsł, kiedy zobaczył, co niosą: było to akwarium, wielkie niczym balia, bez roślinności, bez muszli, bez kamyczków na piasku, tylko z wodą i ogromną żywą rybą, to był może i karp,

albo sum, a może leszcz, czy biały amur, czy też, powiedzmy, szczupak, i oto, przy akompaniamencie ochów całej zgromadzonej tłuszczy, wałą tym akwarium o podłogę (tu reżyser kazał zwolnić tempo), akwarium bardzo powoli spada, w końcu rozbija się, rozchlapując na wszystkie strony zielone strumienie (we mnie wszystko wysycha), to straszne, bo strumienie lecą na ciemne języki kapłanów, we mnie jakby coś się urwało, patrzę, jak rozpaczliwie trzepocze się ryba na dywaniku pośród szklanych odłamków akwarium, widzę, jak Naczelnny wydobywa zza pasa ostry niczym brzytwa tasak, i już wiem, co nastąpi dalej, nogi się pode mną uginają, są już nie z wosku, a z waty, nie z waty, a z powietrza, pierwsze uderzenie tasaka — i rybę rozplątano, ale jeszcze się trzepocze (wałę się z nóg), drugie uderzenie — wszyscy wykrzykują: „Ach!” — odcięto jej skrzela, ale wciąż jeszcze się trzepocze (już nie oddycham, powietrze uchodzi ze mnie jak z przebitej piłki), trzecie uderzenie — wszyscy wykrzykują: „Uch!” — prosto w rybie serce, jeszcze chwilę potrzepocze i ucichnie, a ja: koniec ciemność dno zero kryska ani du-du.

Doszedłem do siebie dopiero dzisiaj, przed granicą austriacką. Policja znalazła — nie mnie, a moje ciało — w nocy ze środy na czwartek, zdaje się, że o trzeciej, pod mostem Kennedy’ego w pobliżu Englischen Garten, leżałem głową na zachód, jak przystało na każdego porządnego zmarłego. Doprowadzono mnie do jakiej takiej przytomności, ale właściwie nic i nikomu nie potrafiłem wyjaśnić. Bolało wszystko, co mam, mdlilo mnie w środku, chciało mi się rzygać, w głowie dzwoniło mi, ale nie udawało mi się zasnąć, ktoś chciał mnie uprzedzić, dać mi znak. Policja przetrzymała mnie do dziesiątej rano, póki nie pojawiła się ta para cudotwórców — on i ona, Ada i Riesenbock — nie znałem ich i ni-

gdy nie widziałem, ale wyjaśnili policjantom, że to właśnie ja jestem tym słynnym Erz-Herz-Percem, że — jak się okazuje — wszyscy czekają na mnie w Wenecji, po prostu zwariują beze mnie w tej Wenecji, nie wytrzymają beze mnie, wszyscy całkiem oszaleli, cała Wenecja skanduje: „Per-fe-cki! Per-fec-ki!” — tak chcą mnie dotknąć w tej Wenecji; Ada i Riesenbock wtykali im jakieś wyperfumowane szeleszczące papiery na błękitnych i różowych blankietach ze skrzydlatym lwem, okręconym jak Laokoon wężami; poręczyli za mnie, odwieźli do siebie do Possenhofen, zapakowali do swojej willi, doktor nafaszerował mnie nasennym świństwem — dzięki czemu przekimałem resztę dnia i całą noc do rana, tymczasem oni, Ada i Riesenbock, załatwiali moje sprawy, jeździli do włoskiego konsulatu po wizę dla mnie, dobrali mi nowe okulary, kupowali jakieś drobiazgi na drogę i dzwonili do kogoś aż do późnej nocy, coś tam wyjaśniali, przekonywali, póki spałem (nie spałem) na ich szerokim małżeńskim łożu, usianym okruchami, rozżarzonymi gwoźdźmi i skorupkami orzechów.

Nie wiem, po co to wszystko. Musiałem znaleźć się w Wenecji i dziś tam będę za dwie czy trzy godziny, a może i szybciej. Trudno mi wymyślić jakieś wytłumaczenie. Łatwiej po prostu obserwować i szeptem wyliczać: kierownica, droga, trawa, szyja, ramię, pół obrót, pół wygięcie, na pół sen, na pół pociąg, na pół namiętność.

Między Weroną i Padwą pojawiły się pierwsze winnice.

Wenecja, 1.03.1993 r.

Wielce Respektowny Panie Perfekci!

Nasz wspólny znajomy i dobry przyjaciel, doktor psychiatrii Frank Popel (Lozanna, Szwajcaria), polecił Pana jako potencjalną jednostkę z Ukrainii do udziału w internacjonalnym seminarium osobistości i ludzi kultury, organizowanym przez naszą Fundację „La Morte di Venezia” wspólnie z pewnymi intelektualnymi, komercyjnymi i sakralnymi gronami. Tematem seminarium jest: Postkarnawalony bezsens świata: co na widmokregu?

Jeśli jest Pan gotowy zaświadczyć swoje zainteresowanie udziałem w wyżej wymienionem seminarium, prosimy o laskowe przybycie do Wenecji najpóźniej 5 marca b.r. i odczyt na jeden poniżej podanych tematów (pojemność Pańskiego odczytu nie musi przekraczać 7–8 stron maszynopisu komputerального). Może być to temat śmierci w ukraińskiej kulturze. Albo też temat miłości, erotyczności i tanatyczności, ale w dotyczności do problematyki Europy Orientalnej, czy też w ogóle o bezsensie świata. Może to być Pański wgląd w feminizm i maskulinizm lub moskalinizm. Albo

w postkomunizm. Może być to także analiza procesów, które ostatnio zaiskały w Pańskim kraju, jak np. kasyno czy nocne kluby. Jak też poszukiwanie istoty ukraińskiej mentalności na tle innych, znanych w świecie. Może to być także pewien magiczny czy też demiurgiczny albo nawet chirurgiczny akt, który światczy o obecnym bezsensie świata. Może to być także wszystko, co Pan zaproponować raczy, panie Perfekci! Jeśli np. zechce Pan powiedzieć o ukraińskiej broni jądralnej, to będzie wspianale. Albo jeśli może zechce Pan coś oznajmić o Dostojewskim, Gorkim, Bułhakowie, Sacharowie czy innych waszych pisarzach ukraińskich — to będzie OK. Podobnie jak Pańskie rozmaślania o kierunkach i szkołach w ukraińskiej ładnej sztuce albo w polityce, jak np. nacjonalizm. Poza tym bylibyśmy nawet zainteresowani usłyszeniem od Pana odczytu o tegorocznej epidemii cholery na Ukrainii.

Stałą Pańską towarzyszką i pomocnicą będzie laskowa pani Ada Cytryna, kolaborantka naszej fundacji, przez którą przekazujemy Panu te oto zaproszenie fizycznie. Organizatorzy biorą na siebie wszelkie wydatki, gwarantują Panu hotel, pościel, dietę, degustacje i sianację. Więcej nawet — gwarantujemy wynagrodzenie za Pański referat w sumie 1 miliona włoskich lir.

Panie Perfekci, z niecierpieniem czekamy na Pana. Jak powiadają w Pańskiej ojczyźnie — Vitajajcie!

Pańscy bezdennie oddani
dr Leonardo di Chaluppavesolla
prezes Fundacji „La Morte di Venezia”
Amerigo Dappertutto
egzekucyjny sekretarz fundacji

POSTKARNAWAŁOWY BEZSENS ŚWIATA:
CO NA HORYZONCIE?

Aneks dla zaproszonych gości

Żyjemy dziś pod znakiem smutnego słowa „po”. Wierni swej naturze i technologii, nie chcemy uświadomić sobie, że jest to prawdopodobny koniec, ale tak wynika ze wszelkich możliwych znaków i aluzji. Krok po kroku stajemy się coraz bardziej zaprzysiężeni w wielki bezsens powtórzeń i autopowtórzeń. I nawet niewiarygodne przeobrażenia, które ostatnimi czasami zmieniły oblicze rzeczywistości, nie przyniosły oczekiwanego przełomu. Najbardziej oryginalna z idei, wygenerowanych przez bezdusznego ducha naszych czasów (proszę wybaczyć niewesołą grę słów), to idea totalnej nieoryginalności wszystkiego, zmartwiała i majestatyczna. Cytaty, kolaże i dekonstrukcja zamieniły nam coś dawniejszego, bardziej pierwotnego, prawdziwego. Czy na zawsze zamieniły?

Czy zmierzamy do duchowej śmierci? Czy mamy nadzieję na rozwój? Czy oczekuje się od nas czegoś zupełnie zwyczajnego, jak na przykład powrotu do Boga? Czy jeszcze do jakiegoś Innego? Nasz okręt musi mieć pewny punkt orientacyjny. Skąd mamy go wziąć? Czy warto dożyć do początku następnego tysiąclecia?

My w Wenecji jesteśmy skłonni sądzić, że nastąpił upadek Karnawału. Widzimy to. Prawie nikt inny tego nie dostrzeżga — karnawał przecież jest, odbywa się co roku, po kilka razy, z różnych powodów, z ogniami i maskami, z winem i tańcami. Karnawał jest, powie wam każdy spośród tych, którzy jeszcze (albo już) nie dostrzegają, a znamy takich tysiące. Karnawał robi się coraz więcej, jest wszędzie i nieustannie, powiedzą wam jeszcze inni za podszeptem złego.

Ale czy naprawdę tak jest? Czy tylko ilością jadła i picia daje się On zmierzyć? Czy nieprawdopodobnymi tłumami turystów, Japończyków, usług hotelowych, rozrywek, obrotem pieniężnym i wydatkami na pirotechnikę? A jeśli jest to jedynie zwykła mechanika, maszyneria, zimna industria, wyłącznie konsumpcja, permanentne pasożytnictwo? A jeżeli to pułapka?

Wydaje się, że wraz z Karnawałem tracimy także samych siebie. Czy jesteśmy jeszcze zdolni do miłości, śmiechu, płaczu? Czy jesteśmy dostatecznie żywi, by żyć? Oto problem, nad którym warto!

Zapraszamy Państwa do Wenecji, miasta na wodzie, miasta-okrętu, miasta-widma, w pierwszym tygodniu po zakończeniu tradycyjnego Wielkiego Świąta. Wtedy właśnie, gdy ucichną ostatnie, do bólu pijane hulanki, przebrzmia orkiestry i chóry, wlecą kolorowe serpentyny z balkonów i bram kościelnych, zginą legiony światowych włóczęgów i przyjezdnych urzędasów (dziś jakoś dziwnie już nie różnią się oni między sobą — oto znak epoki!), wtedy, w spokoju i skupieniu, w krótkotrwałej przerwie wielkopostnej zadumy i skupienia, zastanowimy się wspólnie, zanurzeni w benedyktyńskiej ciszy sławnego San Giorgio Maggiore, nad nami, nad minionym Karnawałem, nad szansami i możliwościami, nad oporem stawianym bezsensowi i nad bezsenssem oporu.

Nasze zgromadzenie nie uratuje zapewne świata, nie uratuje też Karnawału, nie uratuje ono nawet samej Wenecji, i nawet nas samych nie uratuje. Ale zgromadzimy się — właśnie teraz i właśnie tu, w miejscu wypełnionym echem i cytatami, w centrum tego Wielkiego Cytatu, wcielenia naszego ostatecznego „po”.

Łączymy pozdrowienia od św. Marka i jego skrzydlatego lwa —

Leonardo di Casallegra

ORIENTACYJNY PROGRAM SEMINARIUM

(ze spisem uczestników)

Seminarium *Postkarnawałowy bezsens świata: co na horyzoncie?* odbędzie się w dniach 6–10 marca b.r. w Wenecji na wyspie San Giorgio Maggiore w klasztorze San Giorgio. Program seminarium przewiduje jedynie oficjalne imprezy, tj. referaty i dyskusje, pozostawiając uczestnikom nieograniczone możliwości zapoznawania się z miastem, jego mieszkańcami i mieszkankami, kolorytem, zapachami i posmakami. Początek obrad zaplanowano codziennie na godzinę 10. Prosimy uczestników o niespóźnianie się i planowanie swojego czasu zgodnie z podanym niżej rozkładem.

6 marca, sobota:

Uroczyste otwarcie seminarium. Pojawienie się uczestników. Przybycie gondoli. Surrealizm stosunków międzyludzkich. Wspólny toast. Hostessy zapraszają do tańca.

Referat wprowadzający: *Świat po wszystkim i świat przede wszystkim z punktu widzenia starego jak świat Wenecjania* — Leonardo di Casallegra, doktor tanatologii, uczony karnawalista, honorowy szef katedry transfuzji i dyfuzji krwi Weneckiego Tajnego Uniwersytetu im. Cagliostroa.

Dyskusja z Referentem.

Kawa i ciastka. Kontynuacja dyskusji. Zakończenie dyskusji.

Potrawy dnia: tortellini, duszony tuńczyk, sos pomidorowo-pomarańczowy „Piazzetta”.

Napój dnia: likier czekoladowy „Mozart”.

7 marca, niedziela:

Okazja do wspólnej kąpieli z hostessami. Wymiana poglądów. Lekkie przekąski z filmem wideo.

Referat: *Chimera Choreografii jako Tańczące Widmo w cieniu Drzewa Życia* — Gaston Déjàvu, Francja, teoretyk baletu, niezależny badacz zjawisk alergicznych (poprawiono) alegorycznych.

Referat: *Postmodernizm w polityce. Sarajewo jako cytata* — Al-Boraq Dhabraili, Szwecja, emigrant i dysydent, stypendysta, publicysta, zdobywca honorowej nagrody „Za uczciwość wobec siebie”.

Dyskusja z prelegentami.

Cola i krakersy. Zapamiętanie w dyskusji.

Potrawy dnia: filet z anchois, mule i homar (mufla Omar).

Napój dnia: wódka „Absolut”.

8 marca, poniedziałek:

Międzynarodowy Dzień

Okazja do wyleczenia zębów na koszt fundacji. Konsultacje z hostessami. Masowanie uszkodzonych organów. Profilaktyka. Eklektyka.

Referat: *Słuchać reggae, konać pod niebem, wdychać zapach trawy* — John Paul Oshchyrko, Jamajka, guru undergroundu, trzykrotnie iluminowany, wolny botanik i meloman.

Referat: *Seks bez kijów albo Czerwony Kapturek na dobrej drodze* — Lisa Sheila Shalizer, USA, profesor Yoknapatawha University, szef inicjatywy „Obudzone gospodynie domowe”, non-fiction star, non-stop-television-original-soup-opera-producer (*Niełatwa droga Debory Icecream*, dotychczas wyemitowano 665 odcinków!).

Dyskusja z prelegentami albo bez.
Lody, ostrygi. Apogeum dyskusji. Krewetki.
Potrawy dnia: big mac, hot dog, pop corn, salted nuts, red hot chilli peppers.
Napój dnia: „Johnny Walker” (possible „Bizon”!)

9 marca, wtorek:

Badminton z hostessami. Wspólne palenie i kadzenie. Wymiana myśli. Przejście do krytyki czystego rozumu.

Referat: Cucu Maupule, Besarabia, Siedmiogród, herezjarcha i brzuchomówca, połykacz ognia, honorowy członek akademii Bu-Ba-Bu, kawaler orderu Latającej Głowy, mistrz Galicji (poprawiono) Galaktyki z czarnej magii w kategorii „czarna msza”, osobisty uzdrowiciel Michaela Jacksona i kanc-lerza federalnego Kapusty, książę.

Tematu referatu nie da się sformułować.

Referat: Stanislaw Perfemski, Rosja (przekreślono w ostatniej chwili), Ukraja, autor. Temat referatu do uzgodnienia.

DYSKUSJI NIE BĘDZIE.

Jajka po chińsku. Cytryna. Dyskusji nie będzie. Wiórki kokosowe.

Huczna biesiada z okazji zakończenia referatów w Casa Farfarello (w załączniku mapa).

Potrawy dnia: barszcz ukraiński, mamałyga, oliwki, Zukat-ten, cykuta.

Napój dnia: czujka „Gorbatschow”.

10 marca, środa:

Zakończenie seminarium. Okazja do pożegnania z hostes-sami.

Napiwki.

Podsumowanie. Opracowanie i uchwalenie wspólnego memorandum *Karnawał musi trwać, w przeciwnym razie nastąpi jego koniec!*

Pożegnalny obiad-maestoso w klasztorze San Giorgio.

Potrawy dnia: wielka pizza pepperoni, mniejsza pizza lazzaroni, omletto veneziano, spaghetti napolitano, cotletto bolognese, ryba-miecz-w-cieście, brokuły pod beszamelem, kalmar „ośmiornica”, gęś po rzymsku, korsykańskie sardynki po sycylijsku, tort „Tintoretto”.

Napoje dnia: grappa „Candolino”, wina tokańskie, romańskie, kampiańskie, apulijskie, liguryjskie, czerwone, białe, czarne, półśłodkie, deserowe.

Nadejście nocy. Ciemność.

11 marca, czwartek:

Wyjazd uczestników z Wenecji.

Honorowymi gośćmi karnawału (przekreślono) seminarium będą m.in.:

François Mitterand, Jacopo da Todi, Al Gore, Kobo Abe, Lucciano Benetton, Izabella Scorupco, Giorgio Armani, Jodi Foster, Michael Schuhmacher, Freddie Mercury-junior, Yves Saint Laurent, Sophia Loren, Sophie Marceau, Marcel Marceau, Ewa Kumlin, Michelle Anderson, król Oelekto II, Benazir Bhutto, Voldemort Żyrinowski, Joe Cocker, Wim Wenders, Franco Baresi, Franc Costello, Elvis Presley, Elvis Costello, Juan Antonio Samaranch, Salman Rushdie, Anatol Kaszpi-

rowski, Ciccioletta, Wolf Messing, bracia Kliczko, siostry Williams oraz dziesiątki wybitnych współczesnych i ówczesnych postaci.

SPODZIEWAMY SIĘ PRZYBYCIA... FRANKA SINATRY!

Organizatorzy raz jeszcze uprzejmie proszą Państwa o ścisłe trzymanie się wszystkich punktów orientacyjnego programu. O ewentualnych zmianach zostaną Państwo powiadomieni.

Życzymy pracy owocnej i uciechy mocnej w czarownym mieście pałaców, gondoli, Tycjana i Vivaldiego —

Szczerze oddany Amerigo Dappertutto
sekretarz wykonawczy

srbms-pq

Do wiadomości Monsiniora przekazuję:

1. Dotychczasowy pobyt Respondenta w Monachium nie wyróżniał się niczym nadzwyczajnym.
2. Udało nam się z Doktorem odszukać go dopiero we czwartek, 4 marca, Anno 1993, koło dziesiątej rano, na komendzie policji nr 305, gdzie Respondent znalazł się w nocy z 3 na 4 marca śmiertelnie pijany i nieprzytomny.
3. Cały dalszy dzień, 4 marca, a także w nocy z 4 na 5 marca, Respondent przespał kamiennym snem w willi „Meluzyna” na przedmieściu Possenhofen, gdzie Doktor położył go do łóżka, stymulując śpiączkę ryzykowną dawką ziołowych oraz innych halucynogennych środków (*morphini hydrochloridum, scopolamini hydrobromidum, aconitum, solanum etc., ibid.*).
4. 5 marca, około 9 rano, wraz z Respondentem wyruszyliśmy do Wenecji uniwersalnym automobilem czwartego pokolenia serii „Mantichora”.
5. Faktycznie do samej granicy austriackiej Respondent nie okazywał żadnego zainteresowania tym, co wokół niego się działo.
6. Dochodząc do przytomności już na terytorium austriackim, Respondent nieco się ożywił, określając siebie jako

- „historycznego poddanego tego państwa”, i w związku z tym zażądał „paru łyków alkoholu”. Otrzymał je ode mnie (biały rum Baccardi — kieliszek, potem drugi).
7. W okolicach Innsbrucka Respondent wyraźnie się ożywił, poprosił, by zatrzymać auto, a nawet, po zjechaniu z autostrady, zawrócić do miasta, gdzie rzekomo miał znajomego aptekarza, którego musi odwiedzić. Dotychczas nie udało się ustalić tożsamości wspomnianego aptekarza, jak też tego, czy dana osoba w ogóle istnieje.
 8. Na austriacko-włoskiej granicy (przełęcz Brenner) Respondent okazał krótkotrwałe zaniepokojenie, właściwe dla wszystkich jego rodaków, przekraczających granicę: czy paszport ma w porządku i czy wpuszczą go do Włoch. Jednak ironiczne nastawienie straży granicznej rozwiało jego obawy.
 9. Na terytorium Alto Adige Respondent jeszcze bardziej się ożywił i powtórzył natrętne żądanie „dwu, trzech łyków”, które w końcu otrzymał (brandy Chantre, piersiówka).
 10. Prawie całą drogę do Bressanone rozweselony Respondent opowiadał o znajomym baronie, który ma własny zamek gdzieś w pobliżu, w południowym Tyrolu.
 11. Szczególne cechy charakterystyczne barona (do wyjaśnienia przez czwartą kancelarię wydziału informacji): stosunkowo młody, wojowniczy — do niedawna prowadził długotrwałe działania wojenne przeciwko sąsiadującemu z nim biskupowi; dobrze strzela z kuszy; żonaty, jego małżonka jest młodą atrakcyjną Portugalką; trzyma ją pod kluczem w wieży swego zamku; obecnie baron znajduje się w stanie letargu na skutek ukąszenia przez nieznaną muchę zeszłego lata.
 12. Podczas krótkiego postoju między Bressanone a Bolzano Respondent interesował się, czy wiemy z Doktorem, gdzie tu w pobliżu jest wieś o nazwie Tenno. Doktor rzeczywiście

znalazł wymienioną wieś, rozłożywszy w tym celu szczegółową mapę drogową. Respondent oświadczył, że „trzeba to oblać”, i po nieprzekonującej perswazji dostał swoje (kieliszek martella).

- b.n. Ponieważ Doktorowi znudziło się wykonywanie jego bezpośrednich obowiązków, za kierownicą usiadłam ja. Musiałam wówczas wysłuchać niezupełnie składnej opowieści Respondenta bez końca i początku o jego pijatyce z jakimś azylantami w Monachium na Schwabingu (należy rozumieć, że właśnie po tej pijatyce Respondent znalazł się na policji).
14. Kiedy minęliśmy Trento, za kierownicą znowu znalazł się Doktor (poczucie obowiązku jeszcze raz zwyciężyło). Respondent robił się coraz bardziej aktywny. Od pewnego momentu Respondent zaczął śpiewać. Wykonał około ośmiu czy dziewięciu ukraińskich pieśni, przeważnie ludowych. W pamięci utkwiła mi pieśń z często powtarzaniem refrenem „du-du”, „du-du”. Wydział twórczości ludowej i etnografii — do wyjaśnienia.
 15. Przed Weroną Respondent zaczął cytować Szekspira, niezupełnie dokładnie, po angielsku, a także po ukraińsku, polsku i rosyjsku. Prosił, by porównać jakość przekładu. Doktor (z tego powodu?) o mało nie zderzył się czołowo z oplem kadetem.
 16. Między Weroną a Padwą Respondent po raz pierwszy zauważył winnice, choć w rzeczywistości pojawiły się wcześniej. Respondent szalenie się zaktywizował i co chwilę prosił, by zatrzymać auto, zaczerpnąć powietrza, śpiewać wraz z nim i dać mu „czegoś odlotowego” (whisky Jim Beam, ćwiartka prosto z butelki).
 17. W pobliżu skrzyżowania przed Mestre–Marghera (droga E 70) Respondent prosił, by zabrać jakąś szaloną młodą Włoszkę, która próbowała zatrzymywać samochody. Res-

- pondent oświadczył przy tym, że dawno nie widział tak silnych kobiecych nóg, w czarnym obcisłym odzieniu.
18. Dopiero za Mestre udało mi się w końcu przekonać Respondenta, że po wspomnianej kobiecie (dziewczynę?) nie warto już wracać. Osiągnięto to za cenę wiania w Respondenta kolejnej dawki, której żądał z potrójną natarczywością (znana Monsiniorowi nalewka „spadająca gwiazda”, w trzech czwartych (!) zmieszana z wodą mineralną Lucyfer).
 19. Po spożyciu wspomnianego trunku Respondenta jakby zatkło aż do samej Wenecji. Nawet znany most — Ponte della Liberta przy wjeździe na wyspy — nie wywarł na nim wrażenia.
 20. Około godziny 17 dojechaliśmy do Wysp i zaparkowaliśmy w okolicach Tronchetto. Drogą od parkingu do przystanku tramwaju wodnego nr 1 (dalej — *vaporetto*) Respondent jako tako doszedł do siebie.
 21. Na przystanku (ostatni, Tronchetto) stał spory tłumek mieszkańców Wenecji oraz turystów. Respondent znowu ożył przy wsiadaniu do *vaporetto*, kiedy w ścisiku usłyszał tuż koło siebie, jak ktoś kogoś nazwał „putana”. Respondent natychmiast oświadczył, że Włosi są bardzo podobni do Ukraińców.
 22. Kiedy płynęliśmy z Tronchetto do Piazzale Roma, Respondent stwierdził, że Wenecja jest zupełnie nieciekawym miastem.
 23. Na Piazzale Roma Respondent ustąpił miejsca jakiejś pani w poncho i pończochach, a mnie i Doktorowi oświadczył, że wenejanki patrzą prosto w oczy, po czym do samej Ferrovia starał się pochwycić spojrzenia obecnych na pokładzie kobiet i wciąż się rozglądał.
 24. Na Ferrovia Respondent okazał szczere zdziwienie, że Wenecja ma stację kolejową. Respondent oświadczył, że „to nieco zmienia sytuację”.
 25. Przepluwając pod mostem Scalzi, Respondent podkreślił, że w jego szkole uczył się chłopiec o nazwisku Skalski.

26. Kiedy zwróciłam uwagę Respondenta na pierwszą sławną budowlę — kościół San Geremia po lewej — usłyszałam w odpowiedzi wierszowaną improwizację, w której „Geremia” rymowało się z „Bohemia”, a „lobotomia” z „sodomia”.
27. Na Riva di Biasio wsiadło jeszcze więcej pasażerów, tak że zrobiło się zupełnie ciasno, wskutek czego Respondent zaczął mrugać do rudej i piegowatej, wyglądem przypominającej kurę, z plecakiem i w butach górskich, chyba Holenderki, przysadzistej i tak małej, że jej dziób opierał się o brzuch Respondenta. W związku z tym Respondentowi było nie do podziwiania pałacu Corner Cantarini, na który usilnie pragnęłam zwrócić jego uwagę.
28. Na Santa Marcuola mimo wszystko uznałam za stosowne pociągnąć Respondenta za rękaw i pokazać mu Museo di Storia Naturale, a w odpowiedzi usłyszałam, że tego mu właśnie potrzeba, i po to jakoby tu przyjechał. Niewątpliwie Respondent nie mówił prawdy.
29. Za Santa Marcuola zrobiło się trochę więcej miejsca w *vaporetto*, jednak wspomniana ruda holenderska kwoczką nie odrywała się od ciała Respondenta, jakby ją ktoś przylepił. Wyprzedzając bieg wydarzeń, powiadamiam, że pozostała przy nim aż do samego Ca’d’Oro.
30. Kiedy po naszej lewej stronie przepływał w całej swojej krasie Palazzo Vendramin-Calergi, w którego oknach zapalały się pierwsze wieczorne światła, opowiedziałam Respondentowi o tym, że do końca marca mieści się tam kasyno, jedno z najbardziej hazardowych na całym świecie. Respondent w odpowiedzi zainteresował się, czy nie pojawia się nad jego zielonymi stołami duch kompozytora Wagnera, czym przejawiał pewne obeznanie.
31. Do Santa Stae minęliśmy jeszcze kilka mniej znanych pałaców, które pojawiały się po obu stronach Canal Grande. Coraz więcej światel elektrycznych zapalało się wokół nas,

- szczególnie uwydatniając rysy twarzy Respondenta, delikatne wargi, lewą brew.
32. Po naszej prawej stronie były pałace: Battagia-Belloni, Tron, Priuli. Po lewej: Erizzo i Barbarigo, a potem Gussoni-Grimani.
 33. Pokazując Respondentowi oświetlony Ca'Pesaro, nie zapomniałam oznajmić, że znajdują się tam aż dwie galerie, ale — jak mi się wydało — tym razem Respondent zupełnie nie zwrócił na to uwagi. Co prawda, już po chwili, kiedy przed nami pojawił się barokowy Corner della Regina, Respondent rzucił mimochodem, że było by nieźle gdzieś w jego murach pozostawić duszę. Ze słów Respondenta wyciągam wniosek: Respondent został już przez kogoś poinformowany, że dziś w Corner della Regina znajduje się lombard.
 34. Na Ca'd'Oro wreszcie wysiadła ruda małpa. Do erekcji, jak śmiałem przypuszczać, mimo wszystko nie doszło, a podejrzanie ożywiony Respondent postawił szereg pytań, nie na każde jednak mogłam od razu udzielić odpowiedzi. Respondenta interesowało: jaka jest przeciętna głębokość Canal Grande? Jaka jest w najgłębszym miejscu? Z ilu wysp składa się cała Wenecja? Czy istnieją jakieś normy długości, których gondola nie powinna przekraczać? Jeśli to prawda, że Wenecja stopniowo zanurza się w morskiej głębinie, to z jaką szybkością to się dzieje? Na rok? Na godzinę? Na sekundę? Czy czyni się jakieś próby, by nie dopuścić do zatopienia Wenecji? Jeśli się czyni, to jakie? Czy w kanałach są ryby? Na jakiej zasadzie działa wenecka kanalizacja? Czy obecność odchodów w miejscowych wodach jest badana za pomocą specjalnych przyrządów? Czy nie jest badana? I dlaczego dopiero teraz zrozumiał, że moje oczy są zielone?
 35. Odpowiadałam na to, że Wenecję zmuszeni byli założyć uciekinierzy, uchodzący przed Hunami i Langobardami; że bizantyńskie wpływy od wczesnego średniowiecza były tu

silne; że całe złoto świata płynęło tędy w ciągu wielu stuleci; że Wenecji bali się wszyscy bez wyjątku w Starym Świecie, łącznie z Wikingami i Seldżukami; że dopiero Napoleon zdołał pozbawić Wenecję cnoty; że rozświetlony pałac z tyłu za nami to właśnie Ca'd'Oro, gdzie w podwórku, wyłożonym cegłą, z rudymi murami, na tle których jasno widnieją białe marmurowe schody, latem 86 roku widziałam żywego jednoroźca, a był to jednorożec tęsknogłowy, czyli *unicornis absurdus* — przez nikogo prawie nie wzmiankowany i nie opisywany, na pół widmowy podgatunek — i on dotknął mego łona; że dopiero teraz zauważyłam, jakie długie i piękne palce ma on, Respondent.

36. Póki trwały pytania i odpowiedzi, minęliśmy Ca'da Mosto, o którym chciałam powiedzieć, że kiedyś znajdował się tam wspaniały hotel „Leon Bianco”, że w jego pokojach do dziś można trafić na rzeczy, zapomniane przez roztargnionych gości przed kilkoma stuleciami, jak na przykład wachlarze i szczoteczki do zębów, szpilki służące do zakłuwania rywali, wstążki i podwiązki, kokardy i strusie pióra, a niezatarte plamy na prześcieradłach świadczą o pewnych intymnych stronach w życiu wielu koronowanych osób, jak na przykład carewicza Pawła, który zatrzymał się tu z nieznaną towarzyszką podróży, o czym nawet w tych murach nakręcono niezłą komedię erotyczną. Respondent odpowiedział na to, że to była jego, carewicza, ślubna żona, księżniczka, zdaje się, Pomeranii i Szlezwik-Holsztyna, albo coś w tym rodzaju.
37. Nie wspominam tu już o pałacach Fontana-Rezzonico, Sagredo, Michel dalle Colonne, podobnie jak o Morosini-Brandolin.
38. Nie mogę jednak nie wspomnieć o pałacu dei Camerlenghi.
39. O Doktorze też nie mogę nie wspomnieć: w trakcie całej podróży był milczący i niewyspany, za co mu jestem ogromnie wdzięczna.

40. Na moście Rialto zaczynała się promenada w świetle pierwszych latarni. Respondent oznajmił, że podobne zgromadzenie ludzi widziano tu jedynie pięćset pięćdziesiąt lat temu. Proszę trzecią kancelarię badawczo-śledczą, by wyjaśnić, o czym była mowa.
41. Za Rialto ilość pasażerów znowu zbliżyła się do katastrofalnej, nie mieliśmy więc najmniejszej możliwości wymiany zdań nie tylko do San Silvestro, ale i do San Angelo.
42. Od San Angelo nieco popuściło, ponieważ z dziesięciu pasażerów wysiadło zdaje się do teatru. Zapragnęła opowiedzieć Respondentowi wzruszającą historię pałacu Grimani, który swą masywnością zasłonił i przyćmił. Według mnie Respondent coś źle zrozumiał, bo milczał do San Toma, a następnie postawił pytanie, nad którym zastanawiałam się aż do Ca'Rezzonico, a mianowicie: czy moja miłość do Wenecji nie jest nanizana na jakiś erotyczny trzon i — jako ciąg dalszy — czy nie próbowałam się leczyć z tej miłości za pomocą pewnych ćwiczeń cielesnych.
43. Nie udało mi się przy tym powiedzieć ani słowa o Mocenigo, Ca'Foscari, jak i o Moro-Lin czy Giustinian. Dopiero koło Ca'Rezzonico zdołałam oznajmić, że został nam tylko jeden przystanek, po czym z na pół oświetlonych okien pałacu bryznęła jakaś skrajnie nerwowa muzyka na orkiestrę kameralną.
44. Gdy więc wychodziliśmy koło Ponte Accademia, muzyka wciąż jeszcze dolatywała do nas.
45. Zwieńczone rzeźbami kopuły Santa Maria della Salute oświetlone były od dołu. Wchodząc na Most Akademii, Respondent wypowiedział zagadkowy związek wyrazowy: „ja cię kręcę”. Proszę o rozszyfrowanie.
46. Na Moście Akademii Respondent znieacka zapytał, czy prawdą jest, że Włoszki nie przestają oddawać się miłości nawet w porze kwitnienia geranium. To zależy od Wło-

chów, odpowiedziałam, i dodałam, że źle zaadresowałam pytanie.

47. Wśród takich rozmów i myśli podeszliśmy w końcu do znanego Monsiniorowi miejsca. Doktor szedł nieco z przodu, niczym wielki kościsty sługa z pochodnią w ręce i sztyletem u boku.
48. W bramie pod zieloną latarnią już na nas czekał przechodzony hotelowy *giovinetto*, poorany alkoholowymi zmarszczkami czart w trójkątnym kapeluszu z piórem, który ściągnął bezceremonialnie, kiedy pojawiliśmy się, jakby nas witał, choć tak naprawdę oczekiwał na datek. Doktor absolutnie zdecydowanym krokiem ominął go, natomiast Respondent wesoło sypnął w bezdenną przepaść czarnego kapeluszowego trójkąta całą garść różnych monet w rodzaju austriackich groszy, słowackich halerzy czy rumuńskich bani.
49. Usłyszawszy ode mnie, że ten skromny, ale sławny zajazd funkcjonuje od czasów *gotico fiorito*¹, Respondent zapytał, czy tutejsze spluwaczki, muszle klozetowe, bidety, kontakty oraz telefony również odpowiadają temu stylowi.
50. W recepcji powitał nas olśniewającym uśmiechem prawie dwumetrowy Murzyn w odzieniu króla Kacpra, bardziej jednak przypominający kogoś z asów NBA. Po otrzymaniu odpowiednich kluczy Doktor ruszył obejrzeć nasz apartament.
51. Tymczasem towarzyszyłam Respondentowi do jego pokoju piętro wyżej. Oznajmiłam mu, że pod tym numerem swego czasu zatrzymywali się Immanuel Kant, Edgar Allan Poe i Pierre Menard².

¹ Gotyk płomienisty, rozkwit gotyku w sztuce weneckiej (XIII–XIV w.).

² Ani Immanuel Kant, ani Edgar Allan Poe, ani tym bardziej Pierre Menard nigdy nie byli w Wenecji.

52. Respondent w roztargnieniu odparł, że w imię przyszłości ten spis musi być kontynuowany. Miał na myśli siebie.
53. Nie zdejmując płaszcza, Respondent zaczął chodzić po pokojach, wszystkiemu przyglądając się i dotykając, zapalając kandelabry, żyrandole, kinkiety, lampy i lampki nocne — wszystko, co tylko można było zaświecić. Pokój przeobraził się w zalaną światłami salę.
54. W następnej chwili zrozumiałam, w jakim celu Respondent to zrobił. W jednym z zakamarków natrafił na niewielki szpinet o miłym dźwięku.
55. Pozostając nadal w płaszczu, Respondent podniósł nieco pociemniałą klapę szpinetu i bez zwracania najmniejszej uwagi na sytuację wokół siebie, jak i na mnie osobiście, wykonał sonatę D-dur Scarlattiego nr 15 (wg Kirkpatricka). Następnie Respondent zagrał coś z angielskich wirginalistów, ale poszło mu gorzej.
56. Po zakończeniu utworu zapanowała cisza. Chrząknęłam.
57. Respondent odwrócił się na swoim zydłu (afrykańska kość słoniowa, późny renesans) twarzą do mnie.
58. Powoli podeszłam do Respondenta, po drodze gasząc przy okazji światła. Satyr i driada z gobelinu za plecami Respondenta zanurzyły się w półmroku. Satyr mrugnął do mnie. Zadrżałam.
59. Podeszłam blisko do Respondenta. Zanurzyłam dłonie w jego włosach. Włosy Respondenta są jedwabiste w dotyku.
60. Zdjęłam z Respondenta okulary i położyłam je na szpinecie. Bez okularów Respondent ma zupełnie inne oczy. Patrzyły na mnie z dołu i prawie nie widziały.
61. Mój płaszcz spadł z ramion na podłogę. Zdjęłam szalik i zarzucając go Respondentowi na szyję, przyciągnęłam jego piękną głowę do siebie.
62. Zamarliśmy. Trwało to dość długo.

63. Aż póki nie poczułam, że Respondent objął mnie trochę poniżej pośladków swoimi długimi palcami.
64. Wtedy Respondent westchnął całym ciałem, i w końcu wstał z zydła, nie wypuszczając mnie z rąk — przeciwnie, podnosząc nad sobą i mocno do siebie przytulając.
65. Zamknęłam oczy. Respondent niósł mnie przed sobą na oślep. Mógł się potknąć w każdej chwili.
66. Ale poczułam, jak kładzie mnie na wznak na jakiejś gładkiej powierzchni (stół, heban, xiv w.).
67. Pomogłam Respondentowi uwolnić mnie ze spódnicy, rajstop i majtek. Trwało to prawie stulecie. Respondent szeleścił nade mną swoim płaszczem niby smok skrzydłami.
68. Z pewnego braku wprawy Respondenta przy rozbieraniu itp. wysnułam wniosek, że Respondent dawno już (nigdy?) nie był z kobietą.
69. Odbijaliśmy się w wielkim zwierciadle (wyspa Murano, początek xvii w.), w którym otworzywszy oczy, zobaczyłam siebie z odchyloną do tyłu głową i rozchylonymi na spotkanie Respondenta nogami.
70. Widziałam także w lustrze podniesiony kołnierz płaszcza Respondenta, pokryte kropelkami potu jego czoło, delikatne wargi, lewą brew, nieco uniesioną nad okiem, samo oko.
71. Widziałam także za plecami Respondenta drzwi do jego pokoju. W drzwiach tych w każdej chwili mógł pojawić się Doktor, rzecz jasna, bez uprzedniego pukania czy chrząknięcia.
72. Ale było mi to obojętne.
73. Bo ujrzałam także jednorożca, i dotknął mego łona, i wniknął we mnie, a trwało to dziewięć i pół stulecia — nie mniej.
74. Przez cały ten czas nie wymówiliśmy ani słowa
-
-
-

-
99. Po ciepłym prysznicu zeszłam na kolację do *trattorii* na Campiello Loredan. Doktor i Respondent już tam siedzieli.
 100. Kontynuuję obserwowanie Respondenta. O wszystkich dalszych wydarzeniach będę informować Monsiniora w umówiony sposób.

Kłaniam się nisko Monsiniorowi —
Cerina

Zbudziłem się od otaczającego ranku z takim żalem i wewnętrznym smutkiem, że nawet już po otwarzeniu oczu długo leżałem w bezruchu, niezdolny otrząsnąć się i zrzucić z siebie to poranne nieproszone odrętwienie. Co mi się śniło? Nie wiedziałem, co mi się śniło.

Zresztą znam te smutne przebudzenia. Tak bywa, kiedy śni mi się Ona. Jakies odpryski tych dwu, trzech lat, pozbawione właściwego im czasu i przestrzeni, czasem to tylko dźwięki, najczęściej jednak idiotyczna gonitwa i ciągłe nienadążanie, jakies przeskakiwanie z autobusów do trolejbusów, wpadanie do bram, poszukiwanie bezpiecznego podwórza, schronienia pod drzewem czy po prostu w ciemności. Jakies pełne potępienia spojrzenia przechodniów, że niby co oni tu robią we dwoje. Psy, urywające się z łańcuchów na nasz widok, obcych i dwunogich stworzeń, w kontrolowanej przez nich strefie, wzywianie milicji przez jakiegoś niewidzialnego obserwatora, który przyklejony do okna, zapamiętuje każdy krok podejrzanej pary na dole. Ukrywanie się przed patrolami — za pnem drzewa, za rogiem przybudówki, za rozwieszonymi prześcieradłami, za pojemnikami na śmiecie. I tym podobne motywy, które nie mogą się nie śnić, bo to były chwile mojej największej i najczulszej miłości do Niej, właśnie wtedy zaczęło się: biegaliśmy po lekarzach i uzdro-

wicielach, wystawaliśmy w nieskończonych kolejkach przed gabinetami, do tego chcieli nas wyrzucić z akademika, musieliśmy więc już o siódmej rano wychodzić, a wracać nie wcześniej niż o dwunastej w nocy, zawisaliśmy więc w mieście, nigdzie nie zdążyliśmy, czasem po pięć, sześć godzin nie mieliśmy się gdzie podziać, a powrót do domu był zakazany. Wciąż jej było niedobrze, traciła przytomność w zatłoczonych (a także w pustych) autobusach, czasem ustępowano Jej miejsca koło okna, ale to nie pomagało, trzymałem Ją za rękę, choć powolna szarość już nasuwała się na Jej twarz, wyskakiwaliśmy na przystanku, biegliśmy do pierwszej lepszej bramy, w końcu wybuchała dawno wstrzymywanymi wymiotami, biedna, bezdomna i chora, a ja krążyłem wokół niej niczym kruk, niczym stróż, niczym niewolnik, niczym właściciel.

Bywa, że śni się też coś innego. Zaproszono mnie do jakiejś sali. Wiem, że zaraz Ona ma tam przyjść. Ma to być pierwsze nasze spotkanie po długiej rozłące. Siadam w fotelu i czekam — zjawi się za chwilę. Jacyś bardzo wpływowi wspólnicy dają nam tę niemożliwą możliwość. W mej pamięci pulsują słowa przygotowane na Jej powitanie. Słyszę kroki na schodach albo skrzypienie drzwi wejściowych. Ale to nie Ona. Nikt nie przychodzi do pokoju, w którym czekam. I tak do samego przebudzenia — przez cztery, pięć godzin czekam, szanse topnieją, wsłuchuję się w każde chlipnięcie ciszy wokół, ale Ona nie przychodzi.

Są także sny, wypełnione ludzkimi fizjonomiami, całe tłumy przyjaciół, kumpli, znajomych i koleżanek (przy czym wielu ma powierzchowność nie taką, jak w rzeczywistości), jakieś pijatyki, tańce, dym papierosowy, szum, maski, śmiech, ciasnota, staram się odszukać ją w tym mrowiu, łapią mnie za rękę, nalewają mi, przedzieram się przez ten spotniały gąszcz, kuszą mnie rozmowami, śpiewami, udaję (we śnie, tak), że Ona interesuje mnie najmniej, że wcale Jej nie szukam, ale

równocześnie w panice obliczam, ile jeszcze czasu mi zostało (do przebudzenia), by pokonać te nieskończone, przepelnione pomieszczenia i mimo wszystko Ją odnaleźć. Pewnego razu przyśniło mi się, że Ją znalazłem, ale cały czas odwracała się do mnie tyłem, a przed samym przebudzeniem pomyślałem, że nie zawołam jej, to ryzyko, przecież istota, którą widzę jedynie z tyłu, może okazać się nie Nią, a co wtedy?

Dzisiaj jednak śniła mi się nie Ona. I ten żal, ten smutek, ta rozterka niczym nie dadzą się wyjaśnić.

Znalazłem się w Wenecji. Zbudziłem się w zabytkowym łóżku, na kolorowych prześcieradłach, pachnących pigwą i suszonym morelowym kwieciem. Nade mną wysoki i czysty sufit z ornamentem, niczego mi nie przypominającym. Wokół mnie cała kolekcja pięknych przedmiotów ze srebra, orzecha, hebanu, drzewa sandałowego, kości słoniowej, brązu, terakoty, koronki, aksamitu. Przede mną całych pięć dni i nocy w tej rzeczywistości, bardziej przypominającej halucynację.

Wczoraj zgrzeszyłem z prawie nieznaną kobietą. Jest zamężna. Potem w trójkę jedliśmy kolację w *trattorii*, trwało to do nocy, wypiliśmy dużo chianti, ale wino zachowywało się powściągliwie, niczym woda. Rozstaliśmy się przed drzwiami ich pokoju. Potem zostałem sam.

Czy to dostateczna przyczyna dla porannego smutku? Jeśli tak, to wpadłem. Przepadłem.

Ale mimo wszystko jest ratunek: trzeba tylko wstać z łóżka i żyć dalej. *Completto* porannych ablucji, wanna z różowego marmuru (abisyński? mauretański?), ręczniki, z trwałym zapachem lilii i pomarańczy, obecność w tym jasnej muzyki Benedetta Marcella, półgodzinne dobieranie koszuli i krawata, przebudzenie Wielkiego Kanału pod oknami, przejścia od mol do dur i odwrotnie, wpatrywanie się w odbicie w lustrze, rezygnacja z krawata, zapach jedzenia, dobiegający nie wiadomo skąd, myśl o śniadaniu o dziewiątej.

Tak więc nasycę się tym miastem. Spróbuję przeżyć w nim coś ostrego i szalonego. Znajdę w nim najbardziej tajemne miejsce, gdzie nie dostaną mnie ani karabinierzy, ani policja, ani sam diabeł.

Ale dziś jeszcze za wcześnie. Dziś o dziesiątej początek znajomości i prób spodobania się wszystkim, *per favore*, *Perfezki*¹, niewątpliwie trzeba wziąć gondolę, inaczej po kiego czorta było tu przyjeżdżać?...

Smuzka słońca na meblach, na kandelabrach, na srebrnych naczyniach, *mio caro signore, tutto e per Lei*², zaczynamy tradycyjne weneckie przedstawienie pod tytułem *Radość istnienia, albo Dolce vita*. Do Pańskich usług: plusk wody, wiersz Rilkego, poświęcony Richardowi Beer-Hofmannowi, pierzasta trawa w podwórcach, naparstek smolistej piekielnej kawy, uczeni erudyci, przelotne kobiety, zaglądające w oczy, dziecięć tysięcy kościołów, pałaców, winiarni, muzeów, burdeli, czterysta mostów, a z każdego proponują wam splunąć, szkoły nieznanym rzemiosł, tenory ulicznych romansistów, i rzecz jasna, najbardziej tryumfalne z weneckich widowisko — wszechobecne trzepotanie nigdy nie schnącej bielizny!

Pozostaje mi być uważnym. To znaczy raz jeszcze obejrzeć się w lustrze. Nie zapomnieć podnieść z podłogi szalika Ady, przypomnieć sobie początek XXI pieśni *Piekieła* Dantego. Zatrzaskać za sobą drzwi. I pogwizdując, ruszyć na spotkanie pokusom.

1 Proszę, Perfecki.

2 Drogi panie, to dla Pana.

Pocznę swoją relację o pierwszym dniu seminarium weneckiego *Poświęteczny bezcen świata: co dalej?* z okna prześlicznej biblioteki klasztornej na wyspie San Giorgio Maggiore. Właśnie tu, w tych murach, przesyconych odwieczną wilgocią manuskryptów i inkunabułów, będą wygłaszane w przeciągu najbliższych czterech dni myśli dla kultury i cywilizacji całej ludzkości najbardziej niezbędne i potrzebne. Cieszymy się tym bardziej, że reprezentant naszej gorąco umiłowanej ojczyzny — naszej kochanej Ukrainy — również obecny jest tutaj.

O dziesiątej rano, wpatrując się z okna w przedziwnie jasną perspektywę Canale di San Marco i Piazzetty z jej dwiema syryjskimi kolumnami, dostrzegam niewielką motorówkę, zgrabnie wykręcającą zza Fondamenta della Salute i komory celnej. Po chwili motorówka już tnie gładką powierzchnię Bacino di San Marco. Zbliży się stopniowo, staje się coraz większa, aż wreszcie udaje mi się odróżnić obok byłego wśród bywalców, pewną ręką dzierżącego ster wilka morskigo, także pasażerów w liczbie trzech. Na przednim planie siedzi milczący i jakby zastygły w bezruchu dobrodziej w jasnokawowym myśliwskim żakiecie, a im bliżej od niego do Waszego korespondenta, tym lepiej widać jego brodę i... pewne oznaki rzednienia włosów na głowie, które przez

delikatność zazwyczaj nazywamy „wysokim czołem”, a o samych takich panach, posiadających wymienione wyżej wysokie czoło, z sympatią mówimy „łysawy”. Pozwolę sobie od razu przypuścić, że to właśnie jest pan Perfecki, reprezentujący Ukrainę, którego przybycia wszyscy tu z taką niecierpliwością wyczekujemy.

Za nim w pozycji stojącej, niczym monument czasów klasycyzmu, bardzo atrakcyjna para w różnobarwnych płaszczach, tak szerokich, że jak sztandary łopocą na wietrze, w ślad za ruchem motorówki. Odnotowuję czerwony i czarny kolor odzienia nieznamomej pani, co niewątpliwie sprawi naszym wiernym czytelnikom prawdziwą przyjemność. Co do relatywnie wysokiej postaci młodzieńca w przyciemnionych okularach, to odnoszę wrażenie, że musi być naprawdę bliską osobą wyżej wzmiankowanej pani, w przeciwnym razie bowiem sposób, w jaki podtrzymuje ją za łokieć można byłoby zaklasyfikować jako zdecydowanie niegrzeczny.

Całe trio wygląda jak najlepiej, mogłoby nawet posłużyć za wzorzec dla folderu biura turystycznego zachwalającego podróżę po falach Adriatyku.

Przybiwszy do nabrzeża wysepki, na wprost głównego wejścia kościoła San Giorgio Maggiore — tak, by wyjść od razu na mozaikowy plac, dokładnie pośrodku między posągami św. Jerzego i św. Stefana, umieszczonymi w niszach fasady — przybysze odprawili sternika motorówki i ruszyli w prawo, w kierunku zabudowań klasztornych. Już po chwili witano ich w wielkiej hali refektarza, zwanej Cenacolo, gdzie śliczne hostessy w strojach weneckich z XVI wieku, pewnymi szczegółami zdradzające swe, że się tak wyrażę, kurtyzaństwo, podchodziły po kolei do każdego i prowadziły dalej. Wśród hostess wyróżniało się kilka blondynek w zdrowym ciele, a to mimo woli przypomina nam o słowiańskim (praukraińskim) pochodzeniu weneckiej ludności.

Od tego momentu dołączam do nowo przybyłego niewielkiego towarzystwa i ostaję z nim do samego końca obrad.

Tu zdarza się pierwsza dla mnie, niespodzianka. Bardzo efektowna pani, opisana powyżej przeze mnie w kolorach czarnym i czerwonym, przedstawia obecnym pana Stanisława Perfeckiego, którym okazał się... ten wysoki okularnik w niezbyt poważnym wieku! Brodaty intelektualista w kawowej marynarce okazuje się z kolei mężem wymienionej pani, tłumaczki i współpracownicy seminarium, Ady Cytryny. Na dodatek mężem — jeśli dobrze dosłyszałem — niemym. I tak wasz korespondent machnął się na samym początku imprezy!

Jako pierwszy pojawił się przed panem Perfeckim sam gospodarz, niziutki, podniecony Włoch w bliżej nieokreślonym wieku, z wąsem, być może przyklejonym, oraz wiecznym papierosem w kąciku ust, pan Dappertutto, sekretarz fundacji, ruchliwy wiercipięta, czy — że tak powiem — żywe srebro.

— Jak się panu jechało, panie Persydzki, jak się spało, jak się panu podoba Wenecja, a jak moje dziewczęta, mam nadzieję, że jest pan w dobrym humorze, Ado, wyglądasz fantasmagorycznie, zaraz zaczynamy! — wypowiedział się pan Dappertutto w typowy dlań sposób i odleciał dalej, otoczony szczebiotliwym tuzinem hożych hostess.

Może pan Perfecki i chciałby coś odpowiedzieć na tę bez nadmiernej przesady serię z karabinu maszynowego, jednak, biedaczysko, nie miał już do kogo!...

Ale nasza kwitnąca pani Cytryna podprowadziła go do nowej gromadki gości, w której przebywali tymczasowo: sucha i koścista członkini w jakimś na pół męskim wielce eleganckim kostiumie i pod krawatem, kolorowy młodzik w czapeczce, z tysiącem warkoczyków, w podartych kilka razy spodniach i z pasiastą torbą na ramieniu, a oprócz tych pierwszych dwojga — jeszcze jeden gość, z podkreślonym szminką wielkim czerwonym pyskiem, uosobienie Grzeczności,

zapatrzony w Życzliwą Jasność i Cnoty Skromnego Dostatku. Jak dowiemy się po chwili z pomocą pachnącej pani Cytryny, będą to kolejni referenci seminarium, pani Shalizer z USA, John Paul Oshchyrko (ktoś w rodzinie musiał chyba być Ukraińcem!) z Jamajki i światowej sławy Francuz Dèjàvu.

Dalsza rozmowa toczyła się przeważnie po angielsku, przy czym pan Perfecki, wysłannik Ukrainy, popisał się bardzo dobrą, wręcz znakomitą znajomością tego niełatwego języka.

— *Hi, man!* — przywitał go pasiasty Metys. — *My name is John Paul. And yours?*

— *Stakh* — odpowiedział pan Perfecki całkiem poprawnie.

— *Great!* — ucieszył się pan kolorowy wszystkimi posiadanymi zębami.

— *Very nice!* — i tu nie spudłował pan Perfecki.

— *Oh, shit!* — zmrużyła oczy pani Shalizer. — Jak on dobrze mówi! Proszę powiedzieć, *Stakh*, co obecnie się dzieje *in your country?*

— *It's all right, m'am* — uspokoił ją pan Perfecki. *We are the champions. Dead can dance. First we take Manhattan, then we take Berlin, m'am.*

Tu całe towarzystwo głośno się roześmiało z dowcipu, oprócz pani Shalizer, której, jeśli się nie mylę, niezbyt przypadło do gustu, że pan Perfecki zwracał się do niej per *m'am*.

Pan Dèjàvu, nagle włączając się w rozmowę, opowiedział coś swoimi czerwonymi ustami o Wolnym Społeczeństwie, do którego przejście jest ucieleśnieniem czystej Trudności, zwłaszcza w tych krajach, gdzie do tej pory panuje Niewolność i Ucisk, ta haniebna para sardonicznych Kochanków na ciele Dojrzałej Ludzkości. Przeprowadzane w tych nie wolnych krajach reformy, zdaniem pana Dèjàvu, nie mogą w żaden sposób znaleźć się na prawdziwej Drodze do Rynku, ponieważ Niedźwiedź Totalitaryzmu, wypuściwszy swoje ofiary na rzekomą wolność Nowego Porządku, w rzeczywis-

tości poluje niczym Jastrząb na najmniejsze Ziarno Błędu, by przy najbliższym pretekście zawrócić koło historii. Zresztą gdyby teraz właśnie przyjechał nasz sławny kolega Mauropule, miałby co powiedzieć na ten tak drastyczny temat, zakończył swój krótki, ale nadzwyczaj treściwy wykład Dèjàvu.

Wszyscy rozmówcy ze smutkiem przytaknęli: istotnie, szkoda, że dotychczas nie przyjechał Mauropule.

— A czy wie pan, przyjacielu, jak nasz John Paul nazywa się po wenecku? — przerwał Dèjàvue krótką i nieuzasadnioną pauzę.

— *How?* — któryś raz z kolei nie dał się zaskoczyć Perfecki.

— Zanipolo! — wrzasnął Dèjàvu i z całej siły klepnął po ramieniu Perfeckiego.

Całe kółko znowu się roześmiało, teraz już łącznie z panią Shalizer, która minutę potem, odciągając naszego pana Stanisława na bok patrząc mu prosto w okulary, zasyczała tak:

— *Dear friend*, czy chciałbyś, żebyśmy nagrali jedną dwugodzinną rozmowę? Długą i namiętą. Nie wiem, czy wiesz o mnie. Robię *non-fiction*. Robię *bestsellers*. Chcę pisać o wazych reformach. Chcę zaprosić ciebie do hotelu. Chcę rozmowy. Chcę nagrać. Chcę ciebie.

Po tej przemowie, powierzając naszemu uległemu kranjowi swój wenecki adres na bilecie, błysnęła sztucznymi zębami i dodała:

— Mam bardzo dobre taśmy. Mam napoje z lodem. Mam prywatne wydawnictwo. Mam walizkę kondomów. Proszę przetłumaczyć — błysnęła okiem w kierunku Ady.

Wtedy, ani trochę nie zmieszany, nasz Perfecki ścisnął jej wielką męską dłoń i z całej siły klepnął ją po ramieniu, od czego Amerykance aż dech zaparło, a jamajski czarnuch musiał szybko skręcić dla niej papierosa, wydobywając swoje utensy-
lia do palenia z pasiastej torby.

— Stara kurwa — rzekła na to rezolutna pani Ada, biorąc

pod rękę Perfeckiego i uśmiechając się do wszystkich na pożegnanie, szczególnie do pani Shalizer.

Teraz dopiero zwróćmy uwagę na od dawna przez nas nie widzianego pana doktora Riesenbocka. O, ten, jak wszystkie niemoty, potrafi sobie doskonale w życiu poradzić i nie da sobie w kaszę dmuchać. Oto gdy Ada prowadzi Perfeckiego po hallu, zapoznając z towarzystwem, nasz brodac porusza się wzdłuż bardzo interesującego stołu z napojami i zimnymi przekąskami, metodycznie pokrzepiając się pod pełnym dostojeństwa obrazem *Zaślubiny Dziewicy*, pięknie malowanym pędzłami Kuby Tintoretta, sławnego w xv wieku artysty-malarza.

Spojrzeliliśmy nań oraz na obraz — i starczy, a teraz chodźmy, podążajmy w ślad za prawdziwymi bohaterami naszej historii.

Tu i tam przechadzają się dookoła osobistości światowej sławy, wśród których trudno nie rozpoznać kilku (na raz!) ministrów, striptizerki, hipnotyzerki, matadora, terrorysty, primadonny i kardynała. Wszyscy jakby zamarli w oczekiwaniu czegoś najważniejszego, czyli — jeśli się nie mylę — zadeklarowanego w programie wspólnego toastu. A tymczasem sekretarz Dappertutto, który jak meteor przelatuje od czasu do czasu tu i tam, z jakiegoś powodu nie rozpoczyna ceremonii. Cóż to za ryba każe tak długo czekać na siebie?

— Stara kurwa — powtarza Ada swoje uszczypliwe określenie. — Mało jej John Paula? Mało jej hostesek? Ty rzeczywiście chcesz do niej pójść, mój drogi?

— Kochać się z nią? Chyba że w pełnej narkozie! — uspokoił Perfecki swą koleżankę. — Myślę, że to przyjemność dla silniejszych ode mnie duchem.

— Ale ona mogłaby ci dobrze zapłacić. Za dwugodzinną rozmowę.

— Rzeczywiście? A, to zmienia postać rzeczy. Odwiedzę ją

jutro o północy, kiedy już położy się do swego wilgotnego od podniecenia łóżka. Kiedy już poodkleja sztuczne rzęsy. Odłoży do szklanki sztuczną szczękę. Zdejmie z głowy perukę. Zabiorę ze sobą całą kolekcję różnych mechanicznych podnieaczy. Wiesz, sprężynki, wibratory, kłapacze.

— Przestań, Casanovo — chłodnym tonem mówi Ada.

— Ale przyjdę nie sam — fantazjuje dalej Perfecki. — Ty będziesz ze mną. I we dwoje wpełzniemy do tego legowiska krokodyla...

— Stop, koniu — mówi do niego Ada, a może i nie do niego, ponieważ w hali pojawił się ogier o długich smukłych nogach, którego prowadzi za uzdę smagły *incognito*, witając się ze wszystkimi.

— Al-Boraq Dżabraili — przedstawił się ten ostatni, zatrzymując konia wprost przed Adą i Perfeckim.

Koń prawie stanął dęba i dopiero chwilę później rozpoznajemy w nim coś innego: okazuje się być rowerem, skądinąd bardzo dobrej marki.

— Przyjechałem na nim z samej Szwecji — wyjaśnił pan Al-Boraq. Na Morzu Bałtyckim musiałem zapakować go na statek. Cierpiał na chorobę morską i nie mógł jeść owsianki.

— Ale jak się pan dostał tu, na wyspę? — okazała grzeczne zainteresowanie pani Ada.

— O, tu poszło znacznie łatwiej! — pan Al-Boraq był rozczulony takim dowodem zainteresowania. — Rzecz w tym, że my obaj wspaniale pływamy.

Wszystko jednak wskazuje, że nasza Ada ze Stasiem nie całkiem uwierzyli w to, gdyż zarówno rozmówca, jak i jego dwukołowy przyjaciel zupełnie nie wyglądali na to, by byli świeżo po kąpielii w weneckich wodach. Stasio, co prawda, pogładził ręką mądry pysk konia i z najwyższym możliwym szacunkiem sformułował poniższe pytanie:

— Jak się nazywa pański wspaniały rumak, *sir*?

— Rozumie się samo przez się, że Rosynant — coraz szerzej uśmiechał się Dżabraili. — *À propos*, szanowni państwo, czy coś wam wiadomo o panu Mauropule? Przyjechał już czy nie?

— Mam wrażenie, że nie — dała do zrozumienia Ada.

— O, kiedy przyjedzie pan Mauropule, wtedy wszystko się zacznie — zagadkowo oznajmił Al-Boraq Dżabraili i przyjaźnie dzwoniąc na pożegnanie rowerowym dzwonkiem, oddalił się w swoich sprawach.

Ada z Perfeckim jeszcze dłuższy czas wsłuchiwali się w wyraźny stukot podków, pobrmiewający za ich plecami.

Nagle znowu wyrósł przed nimi jak chochlik pan sekretarz Dappertutto z nieodłącznym papierosem i — nie zwalnając biegu — zdążył zadać Stasiowi pytanie (mrugając do Ady):

— Panie Parfiański, czy może pan już podać temat pana odczytu?

Odpowiedzi jednak nie usłyszał, spowity chmurką urokliwych hostess. Żadnej odpowiedzi zresztą nie było.

Tymczasem pan Riesenbock, doskonale umiejący się znaleźć w sytuacji, konsumował sobie kawę z ciasteczkami, aż mu się okruszki na podłogę sypały.

Jacyż znakomici goście snują się dookoła, o, jak wielkie sławy przechadzają się tuż obok nas! Poznają i George Sand, i Barbarę Streisand, i dwie czy trzy Amandy, i jeszcze kogoś w tureckich szarawarach, nie pomijam innych znakomości, a i nasz obecny ukraiński monarcha nie jest wśród nich niezauważalny. Udaje mi się przy tej okazji zadać kilka pytań Jego Królewskiej Mości. Ot takie *blitz-interview*.

— Z jakimi uczuciami przybył Pan do Wenecji, Wasza Miłość?

— Zaproszenie tu, na ten feeryczny zjazd uczonych i oso-

bistości, to dowód coraz szerszego, coraz większego uznania dla mojego państwa i mojego narodu.

— A w jaki sposób Wasza Miłość w ogóle przybył do Wenecji?

— Specjalnym samolotem wojskowym hiszpańskich sił zbrojnych przewieziono mnie do portu lotniczego Marco Polo, a stamtąd wziąłem taksówkę.

— I ostatnie pytanie, Wasza Miłość, w jakim hotelu Pan mieszka?

— Zatrzymałem się nie w hotelu, a u znajomego króla Sardynii, który ma solidną kwaterę na Lido.

— Dziękuję serdecznie, Wasza Królewska Mość.

— Nie ma za co. Proszę to przekazać moim poddanym na Ukrainie.

Przemieszczam się dalej żwawo, po reportersku, doganiając panią Adę z Perfeckim, którzy zręcznie pokonując Cenacolo, poznają coraz to nowych przyjaciół. A cóż to za stary siwy człowiek, pochylony i przygarbiony, siedzi na ławie pod ścianą, a dwie zgrabne hostessy, osiemnastki, masują mu wprawnymi ruchami kolana? Wygląda na nie mniej niż sto lat i tak łagodnie się do wszystkich uśmiecha, aż mu ślinka pojawia się na wargach. A to, moi kochani, żebyście wiedzieli, sam messor, sam profesor di Casallegra, prezes wymienionej wyżej fundacji.

— Bardzo marznę w nogi — rzekł staruszek do Ady i Perfeckiego zamiast powitania.

— To nic — uspokaja go Ada i całuje w wysuszoną rękę, a może nawet w pierścień.

— Pan, panie Perfecki, z której strony przyjechał do Wenecji? — bez zbędnych wstępów interesuje się patriarcha.

— Od strony Mestre, patronie — pospieszyła z odpowiedzią Ada.

— Jakimś autem nieznannej marki, dziadku — uzupełnia

nasz bezpośredni pan Perfecki, ale w przekładzie pani Cytryna z jakiegoś powodu pomija ostatnie słowo.

— O, to jeszcze pan nie widział Wenecji! — ucieszył się jak dziecko, aż przewracał oczyma, chociaż możliwe, że powód był inny, bo nieuważne smarkule-hostessy właśnie masowały go w niestosownym miejscu. — Do Wenecji należy przybywać od strony morza.

I po tych słowach na długo zamilkł.

— Możemy iść? — pyta Stach Adę.

— Nie. On chce porozmawiać z tobą.

— To niech mówi!

— Tak właśnie mówi. Strasznie wolno. Zdanie za zdaniem. Myśli podczas mówienia.

— Przypomina mi świętej pamięci Eszkila Sontaga, wykładowcę hebrajskiego z czortopolskiego gimnazjum — panicz Stach wzrusza ramionami.

— Uważaj — strofuje go Ada, dostrzegłszy, jak staremu lekko zaczynają drżeć usta na znak tego, że coś niebawem z nich wyjdzie. Tak też się stało.

— Wenecja, Wenecja... — powiedział profesor.

Ledwie Ada przetłumaczyła tę jego wypowiedź, a już wleciała z niego dalsza.

— Pan jest jeszcze bardzo młody, panie Perfecki.

„A ty już jesteś całkiem stary” — chciał na to, śmiej się, odpowiedzieć nasz rodak, jednak Ada i tak by tego nie przetłumaczyła.

— Wenecja umiera, panie Perfecki. Odczuwam to wszystkimi swoimi starymi gnatami. Ginie. Lucia, masuj wyżej! Concito, nie zapominaj się!

Robiąc dalej swe mistrzowskie pauzy, pan Casallegra powiedział dalej, co następuje — na oznaczenie pauzy korzystam z symbolu (...) i podaję w przekładzie pani Cytryny:

— Po raz pierwszy Wenecję zraniono pięćset lat temu, gdy

ten idiota Kolumb odkrył swoją iluzoryczną Amerykę (...).

— Wielka potęga morska w jednej chwili przestała być potęgą (...).

— Na mapie światowych podróży i wypraw nastąpiły zmiany (...).

Całe złoto Starego Świata, zgromadzone przez Wenecję, nic nie znaczyło wobec złota Nowego Świata.

— (...).

— Dotrzeć do brzegów Ameryki, do tych złotych imperiów Zachodu, pokonać Atlantyk — tego nie potrafiliśmy (...).

— W dodatku coraz trudniej przychodziły nam podboje na wodach Śródziemnomorza (...).

— Turcy, Hiszpanie, Genua. Rozpowszechnienie się piractwa (...).

— Było nas za mało, żeby dać sobie radę (...).

— Znaczne pogorszenie się klimatu: burze, mgły, sirocco, rozbite statki (...).

— Zatopienie całych wysp, kościołów, budynków, podziemnych galerii i winiarni (...).

— Zatopienie magazynów, piwnic, lochów ze skarbami i przemyconym dobrem (...).

— Choroba, która toczy kamień. Pleśń jako agresja. Zanieczyszczenie nieba, plamy na wodach, sierpniowy smród zaułków i muzeów. Łuszczenie się ścian, rozpad krajobrazów (...).

— Ada, przetłumacz mu dokładnie. Chcę, żeby wiedział (...).

— Zawsze jednak potrafiliśmy nie martwić się istniejącym stanem rzeczy. (...).

— Przeciwno różnym zniewoleniom — psychicznym, fizycznym, moralnym, czyli cudzoziemskim, przeciwko uwarunkowaniom i zdobywcom, przeciwko chorobom wenerycznym i wściekłości, przeciw Wschodowi i przeciw Zachodowi,

przeciw wszystkiemu na świecie mieliśmy święto (...).

— Stanowiliśmy wspaniałe zboczenie, podziwiano nas, przyjeżdżano do nas uczyć się miłości, malarstwa, żeglugi, handlu niewolnikami, muzyki, chiromancji, winiarstwa i kaparstwa architektury, sodomii, sztuki kulinarnej, inkwizycji, układania horoskopów i komponowania koncertów skrzypcowych, wszelkich innych rzemiosł, jak jubilerskie, szpiegowskie, szklarskie, ale nade wszystko, wciąż od nowa — miłości, oralnej i analnej, każdej, zawsze jednak czystej, namiętnej i wzniosłej (...).

— Dzięki temu przeżyliśmy. Pamiętam, jak Byron podczas bytności na *Festa del Redentore* powiedział mniej więcej tak: „Leonardo, to czyni was niepokonanymi!” (...).

— Byron? — zapytał Stach.

— Byron — potaknął głową uparty staruch. — Pana to dziwi? Tak, znałem go. A wcześniej — papieża Aleksandra III i Fryderyka Barbarossę. I św. Marka Ewangelistę. Mam prawo mówić, żem stary jak świat, młodzieńcze. (...)

Po tych słowach wielce szanowny starzec zaśmiał się ochryple i mówił dalej, z coraz większym trudem łapiąc oddech, a pauzy stawały się coraz krótsze, tak że biedna Aduisia nie zawsze nadążała z przekładem, a hosteski z masażem.

— Prawdziwa śmierć Wenecji nastanie nie z powodu zatopienia przez morze czy pochłonięcia przez piaski, nie od potopu czy gromu z nieba (...). Wszystko to jest tylko zewnętrzne, czyli pozorne, czyli nieistotne (...). Istnieją całe organizacje powołane do tego, by ratować Wenecję (...). Opracowały one masę projektów, jeden wymyślniejszy od drugiego (...). Tak oto — dla ratowania tego kamienia, tego złota, marmuru, tych stiuków i mozaik, tego gołębiego łąjna, niektórzy proponują nawet przenieść całą tę Wenecję w jakieś bezpieczniejsze i suchsze miejsce. Zabytki, które znikną w tych brudnych wodach, droższe od (...). Inni mądrale chcieliby wyrzu-

cić stąd wszystko, co żyje, z gównianymi gołębiami włącznie, i wszystko tu na wieki zakonserwować (...). Twierdzą, że już za jakieś dwadzieścia lat nikt tu nie będzie mieszkał. Taki rodzaj, wie pan, strefy zagrożenia (...). Żeby tylko widziadła ludzkie snuły się wzdłuż kanałów na widmach gondoli (...). Mam zupełnie inne poglądy (...). Lucia, kochanie, delikatnie (...). Concito, coraz lepiej ci wychodzi, moje dziecko (...).

— W rzeczywistości jednak ratują zupełnie nie to (...). Bo przede wszystkim musieliby ratować samych siebie (...). Nadchodzi epidemia, gorsza od tej z 1630 roku, kiedy to kanałami płynęły jedynie spuchnięte trupy, a ja patrzyłem na to wszystko z loggii pałacu Dario, gdzie właśnie ucztował przy dzikiej muzyce król Dżuma ze swoją rodziną (...). Nadchodzi epidemia dehumanizacji. Wenecja okazuje się zaledwie nieudaną próbą. Beznadziejną próbą osiągnięcia wiecznego rozkwitu ludzkości. (...). Jej rozpadu w żaden sposób już nie można powstrzymać, bo jest to rozpad tego, co ludzkie w samych ludziach (...). Najprościej byłoby to tak wyrazić: byt pozbywa się swego odwiecznego dramatyizmu (...). Ludzie są całkiem zadowoleni ze sposobu, w jaki żyją. Wydaje się im, że żyją. Podoba im się to, co piją i jedzą, w co się ubierają, przyzwyczaili się do swobodnego wyboru partnera seksualnego czy kanału telewizyjnego, przyzwyczaili się do wygod, przyjemności, komfortu, porannej gazety i nocnego porno (...). Żywa krew coraz wolniej płynie w tych niewątpliwie sennych żyłach. Coraz bardziej blaknie i coraz częściej traci czerwoną barwę. Białaczka — tak, zdaje się, nazywa ta choroba (...).

— Przetłumacz mu, że myślę mniej więcej tak samo — zwrócił się nasz Perfecki do Adelki. — Ale cholera jasna, mam wrażenie, że starego capa zaraz szlag trafi od takiego nadmiaru aktywnego rozcierania...

— Nie denerwuj się, kochasiu — Ada nawet okiem nie

mruwnęła. — Co do pana Casallegra — ten rozpałił się nie na żarty i mówił z rosnącą namiętnością i coraz bardziej kwieściście:

— Widziałem dziesięć tysięcy karnawałów!... Byłem na każdym z nich!... Widziałem te oczy!... Te maski!... Te dekolty w sukniach! Te szpady! Te nogi, te ramiona, te pochwy! Te tańce! Doprowadzałem do schadzek kochanków i kochanek, miesiłem ich ciała niczym ciasto!... Doprowadzałem do spotkania rywali! Stawiałem między nimi za sędziogo śmierć! Węszyłem niczym głodny pies, rozlane wszędzie uczucia!... Tak właśnie, uczucia! Uczucia. Wiecie, co to jest? Wy, dzisiaj? O-o-o-o! (...) Uczucia...

Po raz ostatni wypowiedziawszy swoje ulubione słówko, nobliwy profesor jeszcze na chwilę zastygł w bezruchu, przewracając białkami oczu (ciekawe od czego?). Przeniósł się w jakieś zaświaty. Tam szybował pod chmurami niczym feniks. Tylko po kącikach jego ust można było rozpoznać ślad obecności ducha w tym ciele.

Ale po chwili opanował się i — zwracając się do naszych kochanych Stacha i Adzi — cicho zakończył: — Kochani, powiem o tym jeszcze dzisiaj. Po czym klepnął obydwie asystentki po zgrabnie zadartych w górę dupciach i wyjaśnił, że na razie są już wolne. Lucynka i Kończitka wytrysnęły na środek holu, jak ptaszęta z gniazdeczka.

— Moje prawnuczki — oświadczył Casallera. — Wyrwały dosłownie na moich kolanach. Teraz czasem rozgrzewają starego.

Pan Stasio odprowadził obie niedowierzającym (jeśli nie pożądlwym) spojrzeniem.

— Cieszę się, panie Perfekcjusz, że pan, osobistość takiej rangi, nie odmówił nam swej obecności — zmienił nieco wieszczę intonacje Casallegra. — Niestety, nie znam waszego pięknego języka, ale zaproszenie dla pana tłumaczyłem sam,

posługując się czterdziestoma czterema słownikami. Czy zrobiłem wiele błędów?

— Tylko drobne. Nawet nie w każdym słowie — starał się być uczciwy Perfecki.

— Nie było ani jednego błędu — przetłumaczyła Ada.

— Ogromnie cieszę się, cieszę, panie Perfekcjusz! Ale kochana Ado, uprzedź drogiego naszego pana gościa, żeby był szczególnie ostrożny z tobą, kiciuniu. Jesteś kobietą fatalną — po tych słowach znowu roześmiał się serdecznie.

— Mówi, że twoje wystąpienie jest zaplanowane na wtorek — przetłumaczyła pani Cytryna.

— A mnie się wydało, jakby powiedział, że mogę się w tobie zakochać — odparł Perfecki.

I miał rację, jak wiemy ja i państwo.

Ada właśnie zamierzała powiedzieć coś uszczypliwego, jednak zewsząd rozległ się dźwięk surm, więc wszyscy ucichli.

— A co, Mauropule się nie zjawił? — przypomniał sobie w całkowitej ciszy wokół siebie. — Szkoda, że musimy zacząć bez niego... No, ale idźcie sobie dalej, dzieci, nie sterczcie tu przed starym jak słupy...

I jakimś takim ruchem czy to odprawił, czy może nawet pobłogosławił naszą parę gołąbków.

Tu zagrzmiął na całą salę Cenacolo skrzeczący głos sekretarza — pan Dappertutto wzywał wszystkich do toastu, niosąc w wyciągniętej przed siebie prawicy napełniony czymś czerwonym kielich z — rzecz jasna — weneckiego szkła. Umilkli goście i hostessy, panie i panowie, a nawet Mike Bongiorno umilkł. Kto z kieliszkiem, a kto bez, ci, którzy bez, rzucili się również do bufetu, ale za późno, i tak nasi Ada ze Staszkiem, jak to u nas się mawia, na durniów wyszli. Za to Riesenbock z dwoma kielichami, a jeszcze na dodatek ten rozumiejący się na rzeczy milczek miał pełne usta gorgonzoli.

Niebywale dziwny był to toast! Coś mętnego i niezro-

zumiałego, a potem już zwykle stękanie i chrumkanie, pół szept i pół kwik, ogółem nic innego jak gęganie i gulgotanie, które przechodziło w chlipanie i chrząkanie, a także w szwargot, szelest i szemranie. A słowa były niby słowami, a niby nie, były samym mamrotaniem i mamlaniem, dukaniem, bąkaniem, bełkotaniem, burmotaniem, ale nie bębnieniem. A trwało to tak długo, z tak dalekim samozaparciem wszedł w rolę sprawny pan Dappertutto, że aż któraś z obecnych pań w piętnastej minucie nawet zemdlała i potężnie grzmotnęła ciałem o podłogę, zdaje się, Jacqueline Onassis. A gdy wszystko to trwało, każdy na swój sposób to przeżył. Komuś łydki się trzęsły, komuś — piersi, ktoś inny dostał krwotoku z nosa, ktoś miał atak alergii, jeszcze ktoś inny wpadł w letarg, inny w trans, ktoś po prostu zdębiał, a komuś zaczęły żółto pobłyskiwać oczy...

A nasz pan Stasio, chluba i duma Ukrainy, cichcem podkraść się do muzykantów (całą kapelę sprowadzono jeszcze z rana, obiecano przecież tańce!) i niczym stary konspirator zakosił pierwszemu trębaczowi jego złotą trąbkę. A gdy tylko Dappertutto swoje docharczał, dohuczał i doszczekał (bo przecież wszystko ma swój kres i kiedyś musi nadejść koniec, koniec zaś wieńczy dzieło), to zatrąbił po jerychońsku nasz Perfecki, niczym na najprawdziwszej naszej ukraińskiej trembicie, i jakby czarnego anioła pod sklepienia wypuścił...

Dopiero wówczas wszystko się zaczęło, pomimo że oczekiwany z utęsknieniem Mauropule nie przybył na czas, a bez niego nic nie powinno było się zacząć.

Bo tak już jest w tym życiu, że biegnie ono swoim torem, a jeśli jest przy tym państwa aż siedmioro, to na kogoś jednego państwo nie będą czekać.

A ja, drodzy moi czytelnicy, na tym pouczającym momencie (zanim jeszcze hostessy poprowadziły obecnych panów, jak też mnie, do tańca) zakończyłbym me niezmiernie szcze-

głowe sprawozdanie. Musiałem naszych szanownych bohaterów pozostawić nieco z boku, ponieważ na długim stole królowały kanapeczki, koreczki, roladki i... oczywiście, *frutti di mare!*

Wpadłem, wpadłem, wpadłem — ostatecznie i całkowicie wpadłem, wpackowałem się, wplątałem, wsiąknęłam, wkopałem się i wpieprzyłem. Przyszedł na mnie koniec, kryska, kres, *finale apoteoso*, godzina X.

Całe popołudnie i wieczór byliśmy tylko z Adą po zakończeniu tych bzdurnych dyskusji na wyspie, gdzie całe to szermowane towarzystwo usadowiono w przestronnym *motoscafo* i zawieszono gdzieś w głąb Wenecji. Tam każdy mógł robić, co mu się żywnie podoba. Riesenbock, na przykład, zapragnął zdobyć jakieś nowe i rzadkie rybki do swej kolekcji. Riesenbock po całym świecie kupuje akwaria, słoiki, rybki, wodorosty i muszle. Odsyła je do domu specjalną pocztą — z Kairu i Buenos Aires, Singapuru i Sztambułu, najczęściej jednak z Wenecji. Ma kontakty na wszystkich kontynentach z podobnymi do siebie ichtiofilami. Przypomina to tajną siatkę, z której nie możesz wyjść żywy.

Kiedy więc zostaliśmy we dwoje, Ada poprowadziła mnie przez miasto, po którym czart jeden wie, jak chodzić. Do tego wszystkiego jeszcze ochłodziło się, poobiednie słońce uciekło gdzieś w neapolitańskim kierunku, niebo szczerlnie zaciągnęło się szarością. Tak wpadłem. Tak, wpadłem.

Co zdarzyło się tego dnia? Płatanina uliczek, błędzenie, ślepe zaułki, pustki pod murami, najcichsza marcowa zieleń

w ukrytych ciasnych podwórzach, zapach kanałów, dezorientacja, nieumiejętność znalezienia najprostszej drogi, znalezienia najbardziej skomplikowanej drogi, jakiegokolwiek drogi, powrotu do punktu wyjścia (ten sam żebrak po raz drugi pojawił się przed nami, drugi raz kracząc swoje „*carita*”), oznacza to, że kręcimy się wokół czegoś, czego być może nawet nie przeczuwamy, jakieś mistyczne epicentrum było gdzieś nieopodal, za tymi firankami, za tą bramą, wystarczy tylko przejść przez ten mostek i trzy razy, albo trzy razy po trzy, tajnym szyfrem zakolatać do drzwi. W istocie chcieliśmy wyjść na plac św. Marka, a co może być prostszego?

Była też niejedna kawa, którą próbowaliśmy się ogrzać, nie zapominając również o koniaku, nieskończenie wielka liczba kawiarni szła w ślad za nami, powtarzając nasze błędy, schodzenie na manowce, wracając na swe miejsca, a potem ruszając wraz z nami. Ada zaczynała już kipieć, czterocyfrowe numery na murach jeszcze bardziej złościły, a drogowskazy na San Marco, zdaje się, powymyślały jakieś karnawałowe palanty — wszystkie były tak niepewne i wzajemnie sprzeczne, że jedynie oddalały nas od celu. Ada klęła w kilku językach na raz, zapomniała z hotelu mapy, gdyby nie to, nie męczylibyśmy się teraz z tymi niewyspanymi alkoholikami i starymi dziwkami, od których niczego się nie dowiesz, nie wiadomo nawet, czy to fatalna dykcja, dialektyzmy, czy jeszcze coś innego, a może i wszystko na raz jest tego przyczyną. Na zakończenie tyrady niezmiennie pojawiała się magiczne słowo-pytanie *capito?*, a my, znowu nic nie kumając, załamani, kiwaliśmy głowami i odpowiadaliśmy *grazie*.

Wtedy robiliśmy następną przerwę na kawę, właściciel stawiał na stole zapaloną świeczkę, bo w pomieszczeniu już naprawdę było ciemno, i tu nachodziło mnie: ta kobieta, ta świeczka, ta kawa, ta fajka, ta wieczna zmiana, ta granica, to tylko *hic et nunc*, w taki sposób dotykałem chyba po raz

pierwszy największego z misteriów Zachodu (gdzieś za Neapolem zachodziło słońce) — nie dane nam zrozumieć całej głębi tego nieszczęścia, tych depresji słodkiego trwania, jednak i samo trwanie wystarczało — świat cię dopuszcza, roztacza swe uroki — latarnie, kwiaty, zapachy, świece, ciała przechodniów, a potem, potem zaczyna wszystko to odbierać, stopniowo i ze znajomością sztuki pozbawiać ciało, zapachów, kwiatów, latarni, by pewnego dnia zgasić resztkę przyćmionego światła w twych neapolitańskich oczach. Zżera nas wściekła i tajona zawiść, jak niechciane dzieci zazdrościmy — tym ludziom Zachodu, tym mieszkańcom nieziemskich przedwieczornych ogrodów, ich jadła, ich zarobków, rozrywek, aut, gotowiśmy dzień i noc zbierać dla nich pomarańcze albo myć ich spluwaczki, żeby tylko tam wejść, przestąpić próg, zostać dopuszczonym, zbliżyć się, a to biedactwo, wracając z biura, pod neonem przycupnęło, wzięło sobie hamburgerek i popijając colą, omal nie zapłakało: po cóż ten świat?

Była Ada. Była Ada tego dnia. Właściwie, to, co w niej widziałem, ale nie do końca. Półprofil, półobrót, półwygięcie. Od czasu do czasu ogarniało mnie szaleńcze pragnienie, by ustami łakomymi przypaść do jej ucha. Nie opierałaby się. Ale ani razu nie zrobiłem tego.

Wiele zdążyliśmy tego popołudnia: płynęliśmy statkiem, niezauważalnie przecinając granice *sestieri*, byliśmy wszędzie, gdzie zdołaliśmy, wszystkie poprzednie epoki były w zasięgu wzroku, a bizantyńska gładko przechodziła w romańską, można było rozmawiać o Veronesem, o jego błaznach i psach, o mnóstwie innych rzeczy — dywanach, maskach, nożach rzeźników i średniowiecznych kondomach, o kulturze, o Canaletcie i Canaregiu, o Caravaggiu. Można było po prostu głośno wymawiać te nazwiska, te pojęcia, te nazwy — i rzeczywiście osiągnąć w ten sposób nirwanę, czy bodaj iluminację, jak to robią hindusi dzięki permanetnemu *Om*, w taki

sposób, uwaga: o Canovie i Casanovie, i San Cosmo, San Felice, la Fenice, Carpaccio i cattenaccio, Negroponte, Pozzetto, Pozzolongo, Falier i Venier, Castelfranco Bergamasco Scarpagnino Ghirlandaio Malamocco, mantecatto, i stacatto i barocco, Pergolesi Pelegrini Pordenone i Pontormo Vivarini i Vivaldi, Barbarigo Brandolin mandolina mandarin i Manolesso, i Manin, i Marangona, risotto con peoci, Sernagiotto i Perducci, jak też: Santa Maria dei Miracoli Santa Maria della Pieta Santa Maria della Salute i Santa Maria dei Carmini Santa Maria del Giglio i Santa Maria Gloriosa dei Frari Santa Maria Zobenigo i Santa Maria Formosa Santa Maria Assunta i Santa Maria e San Donato i Santa Maria Mater Domini: i Maddalena i Madonetta i Malapaga i Malipiero i Calle Aqua Minerale i Sansovino i Santo Vino i Santa Grappa i Santi Torrellini i Santa Pasta i Piazza di Santa Pizza i basta!

Od dziś to moja codzienna wenecka modlitwa. Chcę się modlić, bo chcę, żeby mi się powiodło. Bo wpadłem, całkiem i beznadziejnie, w tym mieście moich halucynacji muszę uwikłać się w coś nieodwracalnego z własną duszą włącznie, dlatego wołam, dlatego proszę, potrzebuję Twojego wsparcia, o Pani, Twojej obrony, patronko i patronesso, Serenissima!...

Wyjście z labiryntu Ada kupiła za kilkaset lirów: w kiosku dostała wreszcie mapę, nie taką, co prawda, jakiej zapomniała w hotelu, nie, ta wyglądała na znacznie starszą, wydrukowaną około 1550 roku, kiedy geografowie wierzyli w Koziorybę, Rybokura, Dragona i Ośmiookiego Smoka Mórz, bo wszystkie te istoty widniały na właśnie zakupionej mapie — na wodach, bezpośrednio przyległych do laguny, przy czym przedstawiono je z zachowaniem najbardziej precyzyjnych fizjograficznych szczegółów i w ruchu; była też tam Nereida, wynurzająca się z wód Canal Grande nieopodal dzisiejszej poczty i targu warzywnego. Mapę tę chciałoby się oglądać bez końca, znajdowały się na niej nie tylko kanały,

uliczki, place i nabrzeża. Gdziekolwiek zdarzały się również odwzorowane atria, poszczególne budynki, loggie, drzewa, krzewy, ale przede wszystkim podobizny konkretnych przechodniów, czy takich, co płynęli na gondolach, spośród których szczególnie przykuwali wzrok muzykanci, kierujący właśnie łódź na prawo z Rio di San Barnaba, a potem wyprzedzali innych płynących, wydając okrzyki głębokim dudniącym basem. Muzykanci płynęli z obojami, fletami, bębnami. Różni się wśród nich zdarzali — młokosi i stare wygi, o fizjach pooranych bliznami i osmalonych wiatrem, przypominający raczej bandytów, a nie muzyków, jacyś piraci z Dalmacji czy co, z kolczykiem w uchu i pijanym lubieżnym wzrokiem. Pomyślałem, że kiedyś pewnikiem trafię do piekła, do muzyków, i tam otaczać mnie będą właśnie takie typy, jak ci, przedstawieni na starej mapie Wenecji, wtedy wypijemy sobie do woli jakichś nieziemskich napoi, a potem urządzimy taki *jam*, że wszyscy święci!

Rzeczywiście wydostaliśmy się z labiryntu dzięki tej mapie. Okazało się to całkiem proste: o kilkadziesiąt metrów od nas, dotychczas nie zauważona, błyszczała pierwszymi wieczornymi światłami ludna i pełna pokus Mercerie. A stamtąd łatwo już trafić na San Marco — wystarczy tylko nigdzie nie zbaczać. Ale Ada, nie dowierzając ani sobie, ani mapie, ani tym bardziej mojej intuicji, wciąż wybiegała naprzód, wypytywała napotkanych przechodniów, i znowu biegła, znowu wypytywała, próbowałem powstrzymywać ją, łapiąc za łokieć, za szyję, za talię, ale ona wciąż pędziła niczym mantikora naprzód, wciąż się wyslizgiwała, jakby była pokryta rybią łuską, pozostawało mi tylko powtarzanie: wpadłem, wpadłem, wpadłem, spaliłem się, przepadłem wraz ze swoim sercem i penisem, wpięprzyłłem się.

Czy można stwierdzić, że o godzinie osiemnastej 6 marca Stanisław Perfecki ostatecznie upewnił się co do swego uczucia do Ady Cytryny?

Można. Mniej więcej o osiemnastej Perfecki uświadomił sobie, że bez tej kobiety jego życie stanie się nie do zniesienia. W przeddzień, kiedy były jeszcze szanse wycofania się, uległ pokusie. Ten uczynek mógł niczego nie oznaczać, gdyby nie rzadka zdolność Perfeckiego zakochiwania się w kobiecym oddaniu. Jak wszyscy narcyzi, zawsze i we wszystkim widział jedynie własne odbicie, dlatego kobiety przedzierały się do jego wewnętrznego królestwa jedynie w tym wypadku, kiedy jako pierwsze okazywały pociąg do niego. Ada zrobiła to bardziej niż przekonująco: oddała się we wszystkich znaczeniach tego cudownego czasownika. Nie mówiąc tu o cielesnej stronie wspomnianego aktu, należy podkreślić, że dla Perfeckiego stał się on wybuchem ogromnych emocji i doprowadził do prawdziwego wstrząsu duchowego.

Jednakże coraz silniejsze uczucie Perfeckiego od razu nabrało tonacji minorowej. Czuł coraz wyraźniej, że niebawem, za parę dni, musi nastąpić rozłąka, najpewniej — rozłąka na zawsze. Tymczasem, wychodząc z Mercerie na plac św. Marka, pod wieżą zegarową (Torro del Orologio), na lewo od Prokuracji (Procuratie Vecchie), Stanisław Perfecki znienacka

z całą jasnością pojął, że za nic nie chciałby nigdy rozstać się z tą kobietą, że przez resztę życia chciałby mieć ją obok siebie, a umrzeć pragnąłby tego samego dnia, co ona.

Co najbardziej podobało się Perfeckiemu w Adzie?

Jak już wspomniano, oddanie w miłości, a ściślej — w kochaniu się. Temperament. Na pewno także głos. Podobało mu się całe jej ciało, dostatecznie silne, a zarazem delikatne, bez zapuszczonych terenów i zakątków. Bardzo spodobał mu się jej tyłeczek, w żadnym razie nie za duży, ale tak doskonale wbudowany w resztę jej ciała, że mógłby stać się dla Perfeckiego źródłem niewyczerpanych fantazji i radości. Ogółem całą tę część Ady, zaczynającą się poniżej pasa, Perfecki znał najlepiej i nawet pobłogosławił z wdzięcznością, gdy tylko ją zobaczył, nie, nawet nie zobaczył — dotknął jej. Jeśli zaś chodzi, na przykład, o piersi, to o nich Perfecki wiedział mniej, choć mógłby powiedzieć, że posłusznie układa ją się niczym czasze w jego wielkich dłoniach — możliwe, myślał sobie, że Ada pielęgnowała je ze szczególną troską.

Były też oczy o zielonym kolorze rzeki. Pewne symptomy wrażliwości ust i uszu. A także — zwłaszcza to należy wziąć pod uwagę — półobrót głowy i półwygięcie szyi, przechodzącej w ramię. Dlatego Perfecki lubił pozostawać o pół kroku w tyle za Adą i rozmawiać z nią przez ramię.

Czy Perfecki starał się jakoś zbliżyć do Ady, kiedy pozostali we dwoje?

Starał się, i to nie raz. Momentami szaleńczo pragnął jej dotknąć. Albo nawet pocałować — na moście, pod ścianą domu, w kawiarni, przed bramą, pod pomnikiem Goldoniego, pod schnącą na wietrze bielizną — w ucho, w policzek,

w usta, w szyję, w ramię. Jednakże ani razu tego nie uczynił: Ada była inna, nie taka, jakby to nie ona dopiero wczoraj położyła jego wielką, ślepawą głowę na łące żywota swego.

Na co zwrócili uwagę, wchodząc pod sklepienia Bazyliki św. Marka?

Na bramę spiżową z lwimi głowami; na potrójny rzeźbiorny łuk, zamykający portal i dźwigający na sobie ziemię, morze i alegoryczne przedstawienia zwierząt, którymi są byki i gryfony; na mozaikę z Sądem Ostatecznym; na Chrystusa Błogosławiącego w otoczeniu proroków; na tryumfalną kwadrygę, także spiżową i pokrytą śniedzią; sam Perfecki zwrócił uwagę na dwóch rybaków w łodzi i na rzucanie się kamiennych ryb w głębinach pod nimi, na pojawienie się anioła przed św. Markiem Ewangelistą w jego śnie, na opaloną ciepłą smugę na szyi Ady, która odsłoniła się po opuszczeniu kołnierza płaszcza, na cały ten bezmiar, nadmiar, niezmierność.

Co wiadomo było o wspomnianym śnie św. Marka?

Św. Marek, głosząc naukę Chrystusową, powracał niegdys z Akwilei do Rzymu, by stamtąd ruszyć ku ziemiom znacznie bardziej południowym — do Etiopii i Egiptu. Ale tu — jakby umyślnie rozpętała się straszna burza — potoki wody lały się z niebios, a wiatry, które zewsząd się zerwały, zakręciły wiry na wodach, przewracając łodzie rybaków i strażników. By jakoś przetrwać złą godzinę, św. Marek przybił do brzegów Rialto i tam zasnął, znużony ciężką walką z żywiołami. We śnie ujrzał anioła, który przemówił do niego w imieniu Bożym: „Tu odnajdziesz spokój, Marku, ewangelisto mój!”. Prócz tego, rozplywając się już w mglistej substancji półprzebudzenia Marka, posłaniec Boży zdążył jeszcze przepowiedzieć powstanie

sławnego i wspaniałego miasta na okolicznych wyspach. Jak przekonujemy się na tym przykładzie, w sny należy wierzyć, a zwłaszcza w te, w których przemawiają do nas anioły.

Co wywarło największe wrażenie na Perfekim wewnątrz samej bazyliki?

Typowo bizantyńska struktura, na planie krzyża greckiego, nie wywarła na nim wrażenia. Podobnie jak stare złoto czy marmurowe ściany lub alabaster kolumn. Oglądanie niektórych mozaik potrwało dłużej: jak — powiedzmy — Drzewo Matki Boskiej z całą, isticie hebrajską genealogią. Czy *Zesłanie Ducha Świętego*, na które należało długo patrzeć, z głową odchyloną do tyłu, by rozróżnić pod kręgiem złożonym z dwunastu apostołów wszystkie zaginione starotestamentowe plemiona wraz z Azjatami, Heretykami i Arimaspami. Czy z kolei *Wniebowstąpienie*, przepelnione aniołami, apostołami, wszystkimi szesnastoma cnotami, czterema ewangelistami oraz wodami rzek biblijnych. A Perfekci ubóstwiał patrzeć na wodę, chciałby w niej zamieszkać. Uwielbiał też stare medaliony z jeleniami, psami, orłami i gołębiami, z krzewami i drogimi kamieniami, przepadał za wszelkimi wizerunkami, lubił też różowy marmur z Werony, trofea z wypraw krzyżowych, szczególnie czary i szkatułki, szkatułki i czary. Kochał Adę.

Ada natomiast najdłużej zabawiła w baptysterium, gdzie jakiś czas medytowała przed Salome w wiśniowym płaszczu (o emocjonalnym stosunku Ady do czarnego i wiśniowego koloru już mówiliśmy, warto tu tylko dodać, że Ada, oczywiście, codziennie zjawiała się w innym ubraniu, ale wspomniane dwie barwy były najczęstszymi z połączeń kolorystycznych). Głowa Jana Chrzciciela nie wywarła na Adzie tak silnego wrażenia, jak właśnie wiśniowy płaszcz młodej rozpustnicy.

Wróćmy jednak do Perfeckiego, który przechodząc z atrium do prezbiterium, z transeptu do transeptu, z jednej nawy do drugiej, z Tesora do Capelli del Sacramento i nieuchronnie zbliżając się do Złotego Ołtarza, myślał w tym czasie o najróżniejszych warstwach tego gigantycznego tortu, których nie da się do końca zgłębić, o kobiecie ze skrzypcami, skrzydlatym koniu, o lwie rozdzierającym wilka, o złocie sławy i sławie złota, o całkowitym braku poczucia, że jesteś w Domu Bożym — te kłębiące się japońskie, amerykańskie, australijskie, rosyjskie tłumy, ten przesytnie niezbyt uzasadniony estetycznie, wszystko to najprędzej może przypominać Dworzec Wszech Czasów. Perfecki myślał o tym bez pretensji, żalu czy jakiejś egzaltacji, cały skąpany w wędrujących odblaskach ornamentów, świateł i szczerozłotych kosztowności, poruszał się niespiesznie wewnątrz tego tysiącletniego zbiornika wodnego; tak samo bez żalu myślał o Adzie, która od czasu do czasu pojawiała się obok niego, a potem pozostawiała go samego — po co? Czasem jednak opowiadała mu coś — o Wenecji, o bazylice, o sobie?

Co opowiedziała Ada Perfeckiemu o sobie?

Ada opowiedziała, że urodziła się w Ameryce, że wczesnie straciła matkę, a ojciec oddał ją na wychowanie za ocean, do klasztoru klarysek w Alpach w Lombardii, niedaleko Como. Że w klasztorze przebywała do siedemnastego roku życia i tam ukończyła szkołę podstawową, gdzie nauczyła się języków romańskich, haftowania złotem i specjalnych tajemnych modlitw, dzięki którym szybciej rosła włosy i przestają boleć zęby. Od siedemnastego roku życia Ada studiowała za pieniądze ojca — trochę we Francji, trochę we Włoszech, potem w Bawarii. Pierwszym jej mężem był Francuz, a właściwie Żyd z Marsylii, potomek plemienia

sefardyjskiego, rówieśnik i student, giętki jak trzcina i bardzo chudy; chodzili na te same wykłady i kolokwia, zajmowali się tak niezwykłymi dyscyplinami, jak socjopatologia porównawcza, hermeneutyka semiologii czy historia teorii lingwoterapii. W wieku dwudziestu lat Ada uciekła od niego do Rzymu, gdzie wkrótce poślubił ją siedemdziesięciopięcioletni profesor mnemotechniki, znakomitość ze stowarzyszenia bluźnierców „Ku Najwyższej Jasności”, wspaniały kochanek i fantasta, właściciel kilku ogromnych majątków w Kalabrii. Ówczesna Ada okazała się podatną gliną, z której on ulepił ją dzisiejszą — i duszę, i ciało, i umysł. Nauczył ją, jak być silną, kochać się w stu osiemnastu pozycjach i pozbywać się wrogów z pomocą pewnych śmiertelnych kwiatów (umiejętność, z której Ada ani razu nie skorzystała). Gdy pewnego ranka zmarł, Ada, pobladła z rozpacz, tłukła głową o ściany i lustra, a po pogrzebie słudzy zmuszeni byli na dwa tygodnie zapakować ją w kaftan bezpieczeństwa: bali się, że targnie się na swoje życie — i niekoniecznie jakimś ostrym narzędziem, wystarczyło, by po prostu nawąchała się kwiatów, o których wiedziała od świętej pamięci profesora. Ale z czasem rany zagoiły się i Ada znów zaczęła wędrować. W Monachium, gdzie wykładała średniowieczną łacinę i porównawczą chro-noskopię dla szczególnie uzdolnionych adeptów, spotkała obecnego męża — Janusa Marię, który swego czasu był jednym z ulubionych uczniów jej zmarłego męża. Wspólna przeszłość, w pełni skoncentrowana wokół wyjątkowej postaci przedwcześnie zmarłego profesora, połączyła ich oboje. Jednakże okres wzajemnego zrozumienia i współżycia w cieniu wielkości profesora trwał niezbyt długo. Zgubna namiętność Riesenbocka do akwariów i niezwykłych ryb spowodowała prawie całkowite zaniedbanie wszystkich innych dziedzin życia rodzinnego. Ponadto Ada nabierała coraz głębszego przekonania, że jej trzeciemu mężowi bar-

dziej odpowiadałby chłopak o odpowiednich skłonnościach niż ona. Życząc miłemu Riesenbockowi szczęścia, Ada nawet sama starała się znaleźć dlań młodego przyjaciela gdzieś w Belgii czy Danii. Jednakże na początek trzeba było się rozwieść, a ponieważ byli związani ślubem kościelnym, od razu po zakończeniu seminarium planowali jechać do Rzymu, by tam dopełnić formalności w kancelarii Ojca Świętego.

Prócz tego Ada opowiedziała, że od dzieciństwa uczono ją ukraińskich tańców ludowych, dlatego jej nogi są tak silne i sprężyste. Może słuchać różnej muzyki, ale zawsze tej ulubionej: dwu, trzech oper włoskich, łącznie z *Don Giovannim*, pieśni neapolitańskich, Nat King Cole'a, Marii Callas i Bruna Maderny. Francuski zna lepiej niż hiszpański, ale najlepiej — włoski. Bardzo przywykła do Europy, choć na pewno wróci kiedyś do jakiejś Kalifornii czy Wirginii, gdzie zacznie życie od początku, otworzy agencję astrologiczną albo szkołę ukraińskiego tańca i będzie gwizdać na wszystko.

Co jeszcze opowiedziała Ada Perfeckiemu?

Historię o tym, jak ziścił się sen św. Marka. Minęło ponad siedem wieków od czasu, kiedy poniósł męczeńską śmierć na północy Afryki, w Aleksandrii Egipskiej, gdzie założył przedtem Kościół Chrystusowy. Ciało świętego, nie ulegając rozkładowi, spoczywało w półmroku tamtejszej świątyni, w ubogim i chłodnym sarkofagu. Jednakże zajęcie miasta przez Saracenów wzburzyło dusze chrześcijańskie: nad Aleksandrią zawisło ponure przeczucie wielkiego bluźnierstwa. Dlatego dwaj żarliwi weneccjanie, obywatel Rusticcio z wyspy Torcello i obywatel Bono z Malamoca, puścili się za morze, by spełnić wolę Bożą i uratować doczesne szczątki świętego. Podróż ich układała się jak najgorzej — wydawało się, że wszystkie piekielne moce rzucono do boju, by tylko prze-

szkodzić tej świętej misji. Trzy razy podczas żeglugi znaleźli się w środku nawałnicy, z której żaden inny żeglarz nie wyszedłby cało. Trzy razy napadali na nich krwiożerczy piraci algierscy, lecz za każdym razem śmiałkom udawało się zbiec. Trzy razy pojawiał się na ich drodze władca morskich otchłani, Lewiatan, trzy razy rozwierał swą śmierdzącą czelusć, by ich połknąć wraz ze statkiem oraz dwumiesięcznym zapasem słoniny, jednak zawsze ratowało ich męstwo i szczerza modlitwa. Kiedy Rusticcio i Bono dotarli do Aleksandrii, przebrali się w łachmany, na głowy narzucili worki z otworami tylko na oczy i powiesili na szyjach dzwoneczki. Udawali w ten sposób trędowatych, co pozwoliło im bez przeszkód dotrzeć do świątyni, w której spoczywało ciało św. Marka. Albowiem wszyscy bez wyjątku Saraceni wierzyli w to, że trędowaci są wybrańcami Bożymi, i dla tej przyczyny nie śmieli im przeszkodzić. A kiedy już przenieśli relikwie na swój statek, Rusticcio i Bono znowu wciągnęli żagle, i wówczas zjawił się nad nimi skrzydlaty lew. I tak towarzyszył im cały czas w drodze powrotnej, chroniąc ich przed rozbójnikami, burzami i wstrętnymi rybopłazami. Po dwudziestu pięciu dniach podróży przybyli do rodzinnej Wenecji, gdzie hucznie powitał ich cały rząd z dożą Giustinianem Partecipaziem, wszyscy patrycjusze i wszyscy obywatele. Tak ciało św. Marka Ewangelisty, ucznia św. Piotra Apostoła, odnalazło w końcu swój wieczny odpoczynek, jak to przepowiedział Bóg przez swego nocnego posłańca siedem i pół wieku wcześniej.

Jakie były dalsze losy obywateli Rusticcia i Bona?

O tym niezbyt wiele wiadomo. Rusticcia wybrano do Consiglio dei Diezi, czyli Rady Dziesięciu, jednak ani razu nie wybrano go do Capi del Consiglio dei Diezi, czyli tajne-

go triumwiratu. Dożył głębokiej starości, miał czternaścioro dzieci i pięćdziesięcioro sześcioro wnucząt, ale znał imiona tylko pierwszych pięciorga.

Bono brał udział w wyprawach na Wschód, do ziem Goga i Magoga, podczas jednej z nich trafił do niewoli Koprogagów, zaraził się tam trądem i niebawem zmarł, rozpadłszy się na kawałki.

W Wenecji pamięć o nich przetrwała do dziś.

O prawdziwości wszystkiego, co opowiedziano, można przekonać się przed fasadą bazyliki, gdzie nad czterema wejściami do świątyni historia ta jest rozłożona i złożona znowu w kamyczkach mozaik, cegiełek, kwadracików, atomów — ważne tylko, by ze znanstwem dopasować jedno do drugich oraz do Prawdziwej Rzeczywistości.

Czego nie opowiedziała Ada Perfeckiemu o sobie?

Że jej rodzinne korzenie również są w Czortopolu. Że pierwsza wzmianka o Cytrynach w tamtejszej księdze magistrackiej pochodzi z XVI wieku i dotyczy na pół obłąkanego alchemika oraz planetnika Georgija Cetryny (właśnie tak, przez „e”, pisano wówczas to nazwisko), wyznania greckiego, następnie ariańskiego, wychowanek Bolonii i Padwy, w pięćdziesiątym pierwszym roku życia bestialsko zamęczony przez trzech opryszków, którzy żądali od niego wody królewskiej i zanurzyli go w kadzi z roztworem kwasu siarkowego przy wyjściu z jego własnej jaskini-laboratorium.

Ojciec Ady — Hermogen Cytryna — uciekł z domu we wczesnym dzieciństwie, krótko przed wybuchem II wojny światowej. Stało się tak wskutek tego, że pewnego razu do Czortopola zjechał światowej sławy cyrk „Wagabundo”. Chłopiec był na tyle oczarowany wszystkim, co zobaczył na przedstawieniu, że poszedł w ślad za sztukmistrzami, doglądając

zwierząt i latając przetarte trykoty gimnastyczne. Co prawda po kilku latach ciągłej poniewierki po teatrze działań wojennych młody Cytryna zaczął przejawiać nadzwyczajne zdolności magnetyzerskie, i w końcu dyrektor cyrku, telepata Ananda powierzył mu jeden numer, dając mu złowieszczy pseudonim artystyczny Azrael de Frankenstein.

Po zakończeniu wojny trupa cyrkowa, pragnąc uniknąć oskarżeń o kolaborację i sądu zwycięzców, zmuszona była wyjechać do Ameryki, gdzie od lat pięćdziesiątych zaczęła wschodzić gwiazda wielkiego Azraela. Po tragicznej śmierci dyrektora Anandy (został posiekany na kawałki przez pijanego połykacza szabli), Hermogen Cytryna objął kierownictwo całego cyrku. Pewnego dnia ze stacji nowojorskiego metra zabrał bezdomną ukraińską dziewczynę, która pod akompaniament katarynki żałośnie zawodziła *Pieśń o ruszyczku*, właśnie wchodzącą wówczas w modę. Była to Salomea Przedziwna. Wkrótce dziewczyna nauczyła się latać pod sklepieniem cyrku (posłuszne mechanizmy wynosiły ją w górę na linach, podczas gdy orkiestra z zapamiętaniem grała *The Carnival of Venice* Herberta L. Clarka) i tańcząc na trapezie, śpiewała popularne piosenki z repertuaru World's Greatest Jazz Band. Cieszyło się to niemałym powodzeniem, a ryzykowny numer z niezupełnie poprawną amerykańską wymową Solomei, choć budził mieszane uczucia, dawał nader komiczny efekt. Na początku lat sześćdziesiątych Salomea urodziła Azraelowi córkę Adę. Jeszcze rok czy dwa potem występowała na arenie, ale epoka jej muzyki już mijała, trzeba było opanować nowe rytmy i melodie, Amerykę wstrząsnęły Velvet Underground i grupy z Zachodniego Wybrzeża. Porażka za porażką zmusiły Azraela do rezygnacji z solowych występów Salomei, ona zaś bez cyrku wyraźnie gasła, coraz częściej sięgała po alkohol i z przyzwyczajenia straszyla córkę wszelakimi historyjkami o olbrzymach, którzy pożerali własne

głowy. Ada stała się dzieckiem nadwrażliwym, a do tego wyraźnie bała się matki, dla której była uosobieniem końca jej powietrzno-gimnastycznej kariery. Azrael wiele razy wysłał żonę na leczenie do najlepszych ukraińskich specjalistów (wyznając złotą zasadę „swój do swego po swoje”), ale żaden z nich nie zmienił sytuacji na lepsze, ograniczając się do zaleceń „bardziej aktywnego uczestniczenia w życiu społeczności względnie w Związku Ukrainek”. Kiedy Ada skończyła czternaście lat, stało się to, co było nieuniknione: rankiem Salomea Przedziwna ukradkiem dostała się do cyrku, nucąc *The Carnival of Venice*, wspięła się po linach pod same sklepienie i rozpościerając ramiona dla ostatniego lotu, z gracją runęła w dół.

Ratując dziecko przed duchową i psychiczną katastrofą, ojciec postanowił wysłać Adę jak najdalej od Ameryki. Tu pomocny okazał się klasztor klarysek w północnych Włoszech, gdzie przełożoną była dawna pasja Frankensteina, była akrobatka Le z poprzedniego składu trupy cyrku „Wagabundo”.

Tak Ada Cytryna po raz pierwszy i na długo znalazła się w Europie.

Czy Ada powiedziała wszystko o swych związkach z mężczyznami?

Oczywiście, że nie wszystko i nie zawsze prawdę. W szczególności nieprawdą było, że uciekła od swego pierwszego męża, studenta. Pewnego dnia ten po prostu zwariował i zaczął nazywać siebie Vol de Fleche. Chorobliwa wyobraźnia rozwinęła się tak szybko, że już po ośmiu dobach biedaczysko mógł tylko świstać jak prawdziwa strzała, będąc przedmiotem jako takim, i stanem przedmiotu, i jego istotą, i nawet jego potencją. Natychmiast oddano go do półtajnej kliniki badań nad anomaliami, gdzie zamknięty w hermetycznym boksie, świszcze do tej pory.

Drugi mąż Ady, rzymski profesor i mnemometra, wykształcił u niej nawyk kochania się zniecka i w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Szczególnie sprzyjały temu zakamarki jego kalabryjskich pałaców, jakby umyślnie zaprojektowane dla podobnego rodzaju rozrywek, przyprawionych miodem, płatkami kwiatów i cytrynowym sokiem. Zachowując przy swoich siedemdziesięciu pięciu latach prężność twardą i bez zarzutu, często wyruszał w podróże po wszelkich kongresach i konferencjach na różnych lądach i kontynentach. Od chwili ślubu Ada była jego stałą towarzyszką, a nawet pomocnicą. Podczas tych imprez profesor zapoznał ją z wieloma swoimi przyjaciółmi, takimi samymi jak on starymi dziwakami i fantastami, niezrównanymi mistagogami i strategami, wiecznymi demagogami, wśród których pojawił się także wenecki baron, Leonardo di Casallegra, ze swą dziwną fundacją.

Nic nie powiedziała Ada również o pewnych okolicznościach nieoczekiwanej śmierci drugiego męża, skupiając się na swych przeżyciach. Zwęglone ciało starego, skręcone w konwulsjach, znaleziono rankiem w jego gabinecie na nienaruszonym dywanie, wprost przed otwartym na oścież oknem. Za przyczynę śmierci uznano uderzenie pioruna — rzeczywiście, poprzedniej nocy przeszła tamtędy burza z piorunami, a stary często w ostatnich latach ryzykownie eksperymentował z żywiołami.

Jeśli zaś chodzi o jej trzeciego męża, Riesenbocka, Ada nie ukryła prawie niczego, prócz jednej z ulubionych rozrywek jej męża, która mogłaby zainteresować Perfeckiego. Odbywało się to w piątkowe wieczory, niby zwyczajne *party*, a polegało na tym, że Janus Maria spraszał całą willę różnych dziwadeł, którym demonstrował widowisko wciąż jedno i to samo: wielkie akwarium z wodą napełniano mnóstwem rybek najróżniejszych gatunków, a następnie wrzucano do nie-

go kilka większych ryb drapieżnych, a kiedy te pożerały całą tę drobnicę w akwarium, pojawiało się kilka jeszcze większych drapieżników, które połykały poprzednie, a trwało to tak długo, aż wynoszono z wanny króla drapieżników, jednego jedyne go potężnego Ryba, który połknął ostatnią parę wielkich drapieżników. Potem Ryba niezwłocznie łowiono i zabijano w kuchni. Wówczas kucharka dla całej kompanii przygotowywała kolację z Ryba wraz z pochłoniętymi stadami i stadkami małych, mniejszych i jeszcze mniejszych rybek.

Czy dotychczasowa liczba kochanków Ady ograniczała się do liczby jej mężów?

Oczywiście, że nie. Bez wątpienia było ich więcej, około tuzina. O wszystkich nie będziemy wiedzieć — każda kobieta ma bowiem prawo do zachowania takich rzeczy w tajemnicy.

Pierwszych trzech pojawiło się na motocyklach zza wzgórz, w Ameryce, w połowie lat siedemdziesiątych, w pobliżu czereśniowego sadu, w którym trzynastoletnia Ada z przyjaciółką Susan zrywała tego czerwono-czereśniowego popołudnia soczyste i słodkie owoce. Byli na motocyklach, szczeniaki, o dwa, trzy lata starsi od Ady, gołowąsi i ostrzy niczym noże, w czarnych skórach i bojowych hełmach ze smoczymi okularami, gwałtownie zahamowali koło dziewcząt z lepki mi od czereśni wargami i niecierpliwie przywitani się; stało się więc tak, że dwóch z nich zabrało dziewczęta na swoje motocykle, a ten trzeci samotnie pędził przodem, niby wskazując drogę do rajskiego ogrodu, mieli ze sobą magnetofon, który od razu zawył *Riders on the Storm* głosem Jima Morrisona, a wtedy rzeczywiście uderzyła gwałtowna i ciepła czerwcow a burza, zdarzają się takie w niedzielne popołudnie; Ada troszkę się bała, ale deszcz smagał tak zapamiętałe, że pozostawało jej

tylko jeszcze mocniej wcisnąć się w twarde skórzane plecy upadłego anioła przed sobą, w dodatku obrzydło jej dogłądanie matki, więc zgadzała się na wszystko, a kiedy *Riders on the Storm* się skończyło, skończyła się w tym momencie i ulewa, znowu zapachniało słońcem, zboczyli do lasu (Jim Morrison zaczynał *Waiting for the Sun*), harleye były wspaniałe, mknęły nad bezdrożem, poddane już jakimś nowym wymiarom; była tam cała wyspa suchego mchu, tam nareszcie się zatrzymali, i położyli się, a każdy z nich kochał się z każdą, a Jim Morrison odśpiewał im *The End*, a prócz czereśniowych plam pojawiła się kilka nowych, i tak to się stało.

W trakcie pobytu w klasztorze Ada rozwinęła w sobie rzadką umiejętność marzeń erotycznych. Zdarzało się to podczas niekończących się mszy lub codziennych lekcji. Potrafiła w taki sposób przełączyć świadomość i duszę, cała siebie, że o krok od ambony, przed samiutkimi obliczami świętych i proroków, owiana słodkim zapachem kadzidła i obsypana światłem witraży, czuła, jak całują ją czarnoocy chłopcy, szepcząc coś w niezrozumiałych językach, dotykając i pieszcząc wszędzie, aż pewnego dnia, wlepiwszy wilgotny wzrok w obnażonego św. Sebastiana, poczuła, że za chwilę dozna rzeczy do tej pory nie znanej, święty miał sprężysty i muskularny brzuch, wąskie uda i na pół rozchylone usta, cały był usiany strzałami pogan, ale trzymał się twardo i mężnie, niczym drzewo, godzin był stać się jej kochankiem i stał się nim, aż z jękiem opadła na granitową posadzkę, a kilka koleżanek wyprowadziło ją na dwór, całkiem uszczęśliwioną.

Kogo jeszcze wymienić w tej liczbie? Być może Bertranda, ciemnoskórego przyjaciela z uniwersytetu z okresu pierwszego małżeństwa Ady, który kochał się z nią między bibliotecznymi regałami, rozłożywszy pod nią dziesięciotomowe wydanie Woltera w miękkiej oprawie? Czy Dina, oboistę

o wydatnych wargach, muzyka z dworskiej kapeli jej drugiego męża, który mógł podniecić i doprowadzić do szaleństwa samym tylko górnym „c”? Czy bezimiennego oficera floty, z którym całą noc jechała w jednym przedziale z Rzymu do Genewy i który okazał się jakby odlany z gorącego marmuru? Czy jednorożca, który pojawił się znikąd, jakby z jej srebrnego lusterka w podwórzu Ca’d’Oro?

W końcu zupełnie osobno należy liczyć noc miłości, spędzoną w łóżku przeoryszy, znanej niegdyś jako akrobatka Le.

Ale wszystkiego wiedzieć nie możemy.

Co pozostało Perfeckiemu i Adzie po zwiedzeniu bazyliki?

Wyjście na plac. Słuchanie żywej Wenecji. Patrzenie na wody laguny. Rozpoznawanie na niebie pewnych konstelacji; jeśliby na niebie się nie pojawiły — rozpoznawania ich w oświetleniu miasta, w elektrycznych wyładowaniach. Po-dążanie w stronę hotelu bez pośpiechu, kawiarnia za kawiarnią. Opowiadanie o sobie. Odczuwanie tego wieczoru i jak bardzo są sobie potrzebni.

A jak było naprawdę?

Ada znowu szła trochę z przodu, z podniesionym kołnierzem płaszcza. Usprawiedliwiając się migreną, chciała jak najszybciej znaleźć się w hotelu, zażyć pigułki i schować się pod kołdrą. Mówiła przy tym, że Stach nie musi jej towarzyszyć, że całe miasto jest do jego usług, zostawi mu mapę, a nawet, jeśli zachodzi taka potrzeba, pieniądze.

Co na to Stach?

Szedł dalej za nią. Przeważnie milczał. Kiedy trafiał w smugę światła — pod latarnią albo w pobliżu szyby wystawowej — widać było, jak pragnie wziąć ją choćby za rękę. Ale nie uczynił tego ani razu.

Dlaczego?

Nie wiadomo.

Rano nad miastem zawisł gęsty dźwięk dzwonów sześćdziesięciu trzech kościołów starej Wenecji: niedziela. Nasze *motoscafo* płynęło powoli, jakby po omacku — nieprzejrzysta mgła zasnuła brzegi, jedynie gdzieś tam pozostawiając prześwit dla kopuły, loggii, wieży. Wydawało się, że Ktoś do tej pory sypał nieskończone zapasy mąki i wapna, choć czwartek na to przeznaczony — rytualny *Giovedì Grasso* — minął już półtora tygodnia temu. Przyjechałem za późno.

Wenecja zanurzała się w nicość. Kiedy przybiliśmy do brzegu San Giorgio Maggiore, zobaczyliśmy tylko kawałki i fragmenty — podstawa budowli jakby nie istniała, pożarta przez mgłę. Jedynie anioł na samym czubku dzwonnicy kontynuował swe wieczne obroty, niedosiężny strażnik Wysp.

A jeśli taka mgła będzie też we wtorek?

A jeśli takiej mgły nie będzie we wtorek?

Co wtedy?

Zeszliśmy na brzeg i wzięwszy się za ręce, żeby się nie zgubić, ruszyliśmy do zabudowań klasztornych. Ktoś wyraził żal, że nie było kąpeli z hostessami. Ktoś inny zaprotestował: właśnie była, i to całkiem udana. Ktoś jeszcze — że zgubił swego konia. Chciałem zobaczyć Adę, ale było to niemożliwe, choć musiała iść gdzieś tuż obok. Dappertutto witał nas przed bramą z otwartymi ramionami, hostessami i papiero-

sem. Zdążył okazać swe zainteresowanie i przyjazne uczucia każdemu. Nazwał mnie Perfumski i zapytał, czy nie widziałem może siniora Mauropula, który jak dotąd się nie pojawił, pewnie wciągnęła go na dzień czy nawet dwa nabrzmiała od skandali atmosfera zimowego kasyna Vendramin-Calergi. Sinior Mauropule gustuje w hazardzie, a w ruletce zawsze ma niesamowite szczęście.

Wszyscy byli podobni do siebie. Majestatycznie przepływał Casallegra, podtrzymywany z obu stron przez prawnuczki, kiwając pochyloną głową, zdaje się, spał jeszcze. Shalizer zwiślała na ramieniu niższego od niej Johna Paula, przestaowała swoje szcudła w nie wyprasowanych spodniach, jakby nadal nie widziała drogi i bała się potknąć o czaszkę z węzami. John Paul, dźwigając na sobie co najmniej połowę pani Shalizer, przebywał zarazem gdzie indziej, a stare malowidła ścienne wydawały mu się zapewne jakimiś złotymi lasami na brzegach Jamajki. Razem trzymali się podenerwowani dwaj dzisiejsi mówcy: Gaston Déjàvu, kwintesencja Gotowości i Dyscypliny, w obcisłym szarym trykocie baletmistrza, w narzutce z czarnego jedwabiu, i Al-Boraq Dżabraili, ubrany w coś w rodzaju munduru, w przestrzelonym berecie.

Zaszeleścił cień Eleonory Duse.

Wszyscy byli na miejscu.

Nie widziałem Ady.

Usiedliśmy za jednym jedynym, lecz ogromnym owalnym stołem, nad którym pochylę się jeszcze i opiszę go, bo zdaje mi się, że coś w nim jest.

Przewodniczył Casallegra z właściwą mu manierą — dziesięciominutowe pauzy między zdaniem, mimo to ogłosił rozpoczęcie drugiego dnia, a podsumowując pierwszy, stwierdził, że zakończył się on całkowitym sukcesem, zwłaszcza jego przemówienie. Oklaski gości trwały chwilę. Następnie z głębokim żalem oznajmiono, że gorąco przez wszystkich

oczekiwany Cucu Mauropule dotychczas nie przybył. Poprosiwszy o głos, pani Shalizer powiadomiła zebranych, że wczoraj po południu chyba widziała go opartego o ścianę Pałacu Dozów. Był niesamowicie pijany i nie mógł ruszyć się z miejsca. Przypominał biblijnego Noego. Wypowiedzi pani Shalizer grzecznie wysłuchano.

Wówczas prawo do głosu otrzymał wreszcie Gaston Déjàvu, przedstawił temat, lekko przytupując na podium; nałożyłem słuchawki i zanurzyłem się w swoich myślach.

Ado, mówiłem do siebie, błagałem i skomlałem jak zbity pies. Ado, Ado, Ado. Gdzieś ty, Ado.

Gdzie ta Ada.

O Ado. Oazo.

O ty Ado. Kto ty Ado.

To ja Ado a ty kto ty.

A ja Ado: ayya Ado.

Adieu Ado: chcę do Hadu.

Ahoj Ado. Hallo Ado.

Nie wypada. Oda Ada. Oddam. Adam.

Addio Ado. Judo Ado. Do you Ado?

Szkoda Ado ty tu kto ty.

Az (ja) Ada — to Azjada.

Rada Ada jadu zada.

Czy szarada czy szkarada.

Gdzie ta Ada padam zdrada.

Bładym bom Adym.

Radym bom Adym.

Byłbym Odyn alem Adym.

Byłbym młodym alem Adym.

Z Adym rodem.

Był do radym alem Adym.

Ani dydym.

*Jedno Adym. Jam dno Hadum.
Nie ma Ady nie ma rady.
Si do Ado sol do Ado re do Ado Eldorado.
Moja Ado moja wado!
Moja wodo!*

— Mottem dla moich usilnych poszukiwań — tymczasem rozpływał się *monsieur Déjàvu* — były dla mnie dwa cytaty na raz, a każdy z nich należy do osoby bez wątpienia Światowego Znaczenia. Nie wiem, czy przypadkowo, czy też nie, ale obydwie wywodzą się z tego samego narodu, i nie ja jestem winien, że naród ten wiele złego uczynił Innym; co prawda, wiele dobrego także. Obydwa cytaty odnoszą się do przedmiotu moich wieloletnich Badań — Alegorii. Pierwszy z nich pochodzi z Goethego, który w swych *Refleksjach i maksymach* pod numerem 742 i 743 stwierdza, co następuje: „Alegoria przeobraża zjawisko w pojęcie i pojęcie w obraz, ale w taki sposób, że pojęcie zawsze jest określane i zostaje całkowicie wyczerpane przez ten obraz, wyodrębnione przezeń i w nim przejawione. Symbol przeobraża zjawisko w ideę, a ideę w obraz, ale w taki sposób, że idea, ujęta w obrazie, na zawsze pozostaje bezgranicznie niedosięgniętą i nieuchwytną, a nawet będąc wyrażaną we wszystkich językach, mimo to pozostaje niewyraźna”. Następny Cytat jest ostrzejszy i bardziej bezpośredni w Swej, pozwolę sobie tu ocenić, Zawziętej Antyalegoryczności. Pochodzi on ze sławnego i niestety Często Cytowanego Kazania Lutera *De captivitate babilonica ecclesiae praeludium*¹ i brzmi mniej więcej tak: „Wszystkie te alegoryczne studia są niczym rozrywki małych ludzi, pogrążonych w nieróbstwie i czczym gadaniu. Czyżbyście sądzili, że i ja nie potrafiłbym bawić się w alegorie dotyczące jakiego-

² O niewoli babilońskiej kościoła.

kolwiek stworzenia Bożego? I czyż znajdzie się gdziekolwiek choćby jeden tępak, który nie potrafiłby sypać alegoriami na wszystkie strony, jak sroka swym skrzeczeniem?”

Goethe w Formie definicji, a więc delikatnie, zarzuca Alegorii pewne ograniczenie, i że tak powiem, scholastyczną jałowość. Luter — w Formie polemicznej, to jest obraźliwej, zarzuca Alegorii całkowitą jej Pustkę i Próżność. Dziś ośmielę się bronić Czcii Alegorii, choć nie mnie Historia kazała być w tej Wielkiej Bitwie Najbliższym Żołnierzem.

Nie dalej jak wczoraj, błędząc po Muzealnej Wenecji, nie raz i nie dwa zatrzymywałem się przed wyraźnymi Świadczeniami na Cześć Alegorii. Mam tu na myśli Nieśmiertelność, która spłynęła na mnie z płócien i fresków, rzeźb i posągów: *Sprawiedliwość wręcza szpadę i wagę doży G. Priuli Tintoretta seniora oraz Neptun składający dary Wenecji Tintoretta juniora, Doża A. Grimani na kolanach przed symbolem Wiary Tycjana oraz Alegoria Wiary czy Wenecja na tronie w otoczeniu Sprawiedliwości i Pokoju Veronesego, wreszcie Doża P. Cigogna przed Chrystusem w otoczeniu Wiary, Pokoju i Sprawiedliwości Palmy Młodszeo. Mógłbym wymienić wiele jeszcze przykładów. Bo właśnie tu, w tym Mieście-Pałacu, alegoria osiągnęła Najwyższą Doskonałość. I gdzież, jeśli nie w Wenecji, śmiałybym, zwykły tancerz, Dziecko Balletu, stanąć w Jej Obronie przed zakusami wschodniego sąsiada?...*

Ostatnią figurę retoryczną powitano śmiechem i oklaskami. Déjàvu uklonił się na wszystkie strony i przeszedł do Głównej Części, tu jednak w słuchawkach zaczęło strasznie trzaskać i na szczęście przestałem go rozumieć.

Za oknami rzedniała mgła. Z jej kawałków powoli wyruszały się, nabierając coraz bardziej widzialnego, rzeczywistego kształtu, dzwonnica San Marco, skrzydlaty lew, arkady Pałacu Dożów. Mnóstwo ludzi wyległo na Piazzettę, kupowa-

ło kwiaty, pocztówki, wino, patrzyło w naszym kierunku, flirtowało, kusilo i było kuszone.

Ale mogłem się tego jedynie domyślać. Jak i tego, że wśród nich niewątpliwie przepycha się gdzieś i ona, turystka w czarnych okularach, w swetrze po kolana, z rozmówkami, planami, dyktafonem, zgrabnymi nogami, gazetami pod pachą, Ewa z Polski. Bo kiedyś umawialiśmy się, że będziemy razem w Wenecji. Już drugi dzień szuka mnie po wszystkich hotelach i noclegowniach. Wczoraj kilka razy widziałem ją przez mgnienie oka. Ale nie zawołałem. Z wiadomych względów. Taki już jestem.

Casallegra drzemał, jego wielka siwa głowa spoczywała w dłoniach. Korzystając z tego, Lucia i Concitta jawnie flirtowały z jakimś piękniśm z naprzeciwka, bardzo podobnym do Freddy'ego Krügera. Al-Boraq, z beretem wsuniętym pod epolet, zamazyście pisał coś na firmowym papierze fundacji, od czasu do czasu gniewnie potrząsając głową i pomrukując. John Paul ręką przysłonił oczy, wyduł wargi i słuchał Boba Marleya. Lisa Sheila nadzwyczaj gorąco (ale szeptem) o czymś przekonywała swego sąsiada po lewej, włoskiego ministra opieki społecznej, tak mocno przywarłszy do jego ucha, że był zmuszony we wszystkim z nią się zgadzać i energicznie potakiwać głową. Greta Garbo popijała małymi łykami oranżadę, a Caruso rysował w notesie jakąś grubą kobietę. Dappertutto to zniknął, to się pojawiał, gdzieś telefonował z sąsiedniego pomieszczenia, witał w drzwiach tych, którzy się spóźnili, wracał a to z filiżanką kawy, a to ze szklanką wody, a to z kanapką, a to z batonikiem Snickers, a to z cukierkiem karmelowym, a to z wafelkiem, a to z rurką z kremem, a to z marcepanem, i zawsze z papierosem. Kto zatem słuchał biednego Déjàvu? Kto?

— Piękno, Subtelność i Biel — ciągnął tymczasem Déjàvu, kiedy znowu założyłem słuchawki — będąc Istotą, stano-

wią Jedność: wszystko, co Piękne, albo Subtelne, albo białe, musi być ze sobą wzajemnie związane, bowiem ma Jedną i Tę Samą Podstawę dla swego Istnienia, Jedno i To Samo Znaczenie dla, powiedzmy, Boga. Te Właściwości są Tym, Co Rzeczy te stanowią, Sam Rdzeń ich Istnienia. Takim może widzieć je również nasze Myślenie — za każdym razem, kiedy zwraca się Ono do Mądrości Dzikusa, Dziecka, Poety, Mistyka, dla Których Przyrodzone Własności Rzeczy oparte są właśnie na Tych Ogólnych Właściwościach. Ale takie wzajemne Powiązanie jedynie wówczas nabiera Realnego Znaczenia i Pełni Mistycznego Sensu, gdy w Ogniwie Łączącym, to jest w Danych Właściwościach, kryje się Istota Obydwu Terminów symbolicznego Zestawienia; innymi słowy, kiedy Czerwień i Biel uważane są nie tylko za Oznakę fizycznego Odróżnienia w oparciu o zasadę kwantytatywną, ale rozpatrywane są również jako Realia, jako Fakty Rzeczywistości. Przez Obecność jednakowych cech: Piękna, Subtelności, Czystości, Krwawa Czerwień róż jest tą samą, co u Męczenników czy Dziewic. Jak następuje to Upodobnienie? Posthistoryczny Rozum od razu dostrzega Tu Symboliczny sens: Dziewice i Męczennicy Lśnią Pięknem W otoczeniu Swych prześladowców. Czerwone i Białe Róże kwitną w Otoczeniu Ostów. Symboliczna Przenośnia na Podstawie wspólnoty odmiennych cech ma SeNS jEDynie Wtedy, Gdy te CecHy są dLa DanychH RzeCzy czymś istoT-Nym, Gdy WłaściwoŚci, które nImI włAdAją zarówno jako symbol, jak i to, co jEst SYMBOLIZOWANE, rozPATRywane sĄ W CHARAKTERZE ICH RZECZYWISTEJ ISTOTY...

Zrobiło się za dużo wielkich liter. Ponadto zrozumiałem, że przekład puszczono od tyłu, być może specjalnie, a może przez niedopatrzenie Dappertutta. Déjàvu mówił pomału, intonacją akcentując najważniejsze miejsca oraz płynnie gestykulując. Jego czarną pelerynką poruszał każdy przemyślany w swej Doskonałości ruch.

Zeszłej nocy przyszedł W. Nie oczekiwałem, że stanie się to od razu. W. potwierdził: jutro się zaczyna. Zbiorą się w Wenecji tylko na trzy dni. Ministrowie jak to ministrowie — z całej Europy. Wszystko trzymane jest w tajemnicy, ale prasa coś zwęszyła. I nasi, oczywiście. W. powiedział, że są wszędzie. Poniedziałek i wtorek. W poniedziałek zaproszą nas na wieczorne przedstawienie do teatru. Tam mam się przekonać, czy N. przyjechał. Jego miejsce jest w jednej z łóż na pierwszym piętrze. Moje miejsce jest na jednym z wyższych pięter. Muszę wypożyczyć lornetkę. Przypomniałem o wadzie wzroku. W. odpowiedział, że go to nie obchodzi. To mój problem, rzekł. We wtorek popłyną kilkoma łodziami na Lido. Zrozumiałem: celownik, z dużej odległości itp. W. był bardzo niespokojny. Oglądał się na drzwi, trzy razy pytał, czy pokój nie jest na podsłuchu. Chciałbym, żeby był. Poczęstowałem go wódką. Zakąską była wielka pomarańcza z grubą skórą. W. powiedział mi, że w teatrze, tak przy okazji, muszę uważać. Będą tam twoi kontrpartnerzy, jeden czy dwóch, nie więcej, ale będą na pewno. Odkorkowałem następną butelkę w nadziei, że wyciągnę z W. nieco więcej. W. nie chciał już pić. Powiedział, że czas na niego. Było koło trzeciej. W. nałożył maskę *Cynocéphala* (zwanego u nas psiogłowem). Rzucił przez okno łazienki na dwór sznurową drabinę. Zszedł po niej na ziemię. Rozpłynął się we mgle.

Z mgły wyłaniały się coraz większe kawałki weneckich nabrzeży. Na oczyszczonych przez słońce powietrznych przestrzeniach coraz jaśniej widniała południowa fasada Pałacu Dożów, front Biblioteki Marciana i Zecca, trzy maszty ze sztandarami, nawet wieża z zegarem oraz balustrada Loggetty, nawet Most Westchnień — trochę w głębi, na pra-

wo od Pałacu. Jednak w tym pięknym krajobrazie nie było miejsca dla Ady. W ogóle nigdzie nie było dla niej miejsca. Nie widziałem jej na niebie, na placu, w wodach również jej nie widziałem. Nie kupowała mimozy, nie obserwowała gołębi, nie płynęła na motorówce, w gondoli, nie jadła pizzy, nie pozowała ulicznym portrecistom, nie flirtowała z karabinierami, nie wchodziła do kościoła, nie wychodziła stamtąd, nie czesała się u fryzjera. Nawet na placu nie: stała. I tym gryzłem się najbardziej.

A jednak Przepląwanie jednej Rzeczy w Drugą — mówić Déjàvu, znowu wprowadzając jakiś porządek wśród zbuntowanych wielkich liter — rozpatrujemy jedynie w świetle naiwnej zasady Bezpośredniego Rozmnożenia lub Odgałęzienia i tylko za Pośrednictwem indukcji logicznej stosujemy również wobec Rzeczy należących do Porządku Sakralnego. Chętnie odbieramy je jako genealogiczne Rozczłonkowanie lub Odgałęzienie Drzewa — Tego Samego, w którego Szelst Liści wsłuchujemy się już od kilkudziesięciu tysięcy lat. Harmonijny Związek niezmiennie łączy wszystkie Terytoria Myśli. To, co dzieje się w Starym Testamencie, znamionuje i poprzedza To, co dzieje się w Nowym; ich obrazami wypełniona jest również Historia Świata. Każdy Akt i każdy najdrobniejszy uczynek może i musi mieć swe Wyższe Wy tłumaczenie, występując jako Symbol, Znak, Alegoria. Kiedy kapłan, przyjmując Komunię, staje się w przerośni Grobem Pańskim, bowiem Hostia jest Chrystusem, to i Ja, pijąc na śniadanie Mleko z Płatkami, również w przerośni staję się Czymś lub Kimś, na przykład, Zeusem, jeśli to mleko jest Kozie. Albowiem zawsze można odnaleźć bodaj jedną własność dla Porównania: Wszystko jest Wszystkim, a nawet Niczym. Często wspominam pewną zabawę z Dzieciństwa,

kiedy z kolegami wymyślaliśmy najbardziej nieoczekiwane Alegoryczne Pary, doprowadzając do Całkowitego Wyczerpania, na pierwszy rzut oka, ich Bezsensownością. Tak więc lubiliśmy mówić, że Wilk to Otwartość, Zając — Dobroć, Sowa — Kłamliwość, Lis — Wytrwałość, Żółw — Czułość, Niedźwiedź — Radość, a Sokół to Miłosierdzie. Teraz chciałbym zapytać, moi najdrożsi, czyż w Tych Zestawieniach jest mniej Sensu aniżeli w tradycyjnych: Wilk to Chyżość, Zając — Zezowatość, Sowa — Czujność, Lis — Szelmstwo, Żółw — Obronność, Niedźwiedź — Zachłanność, a Sokół — Podniebność? Przecież nie. Różnica polega jedynie na tym, że do tych ostatnich przywykliśmy, a do pierwszych jeszcze nie zdążyliśmy. Jednak nie znaczy to, że te Ostatnie mają sens, a Pierwsze są go pozbawione. Właśnie dlatego mają Sens, że są bezsensowne, jak mógłby zażartować Tertulian, ten Mistrz Paradoksu!

Słuchacze powoli się ożywiali. Z bocznego wejścia wprowadzono kwartet muzyczny, przebrany za Cztery Pory Roku, Cztery Strony Świata, Czterech Tetrarchów i Cztery Morza Włoch (Jońskie, Liguryjskie, Tyrreńskie i Adriatyckie) jednocześnie. Stawało się jasne, że za chwilę zacznie się balet, to znaczy krótki numer taneczny z Alegorycznymi Figurami, obiecany przez Déjàvu na zakończenie wystąpienia. Dapper-tutto niecierpliwie puszczał dym, spoglądając na zegarek, by dać znak do rozpoczęcia.

— Symboliczne Zestawienie pozostaje bardzo niedoskonałym Środkiem dla ujawnienia Stałych Związków Wzajemnych! — Referent zaczął się spieszyć z podsumowaniem suszenia swej mózgownicy. — Przecież rozumiemy to, oglądając Taniec w Cieniu: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno” — pisał na ten temat apostoł Paweł do Koryntian. Pojmując, że wzrok natrafił na zagadkę, mimo to traktujemy Ją na różne sposoby, starając się wypatrzeć w Lustrze odbicie,

tłumacząc jedne Widzenia za pomocą Innych i umieszczając Lustra naprzeciwko siebie. Cały Świat jawi nam się w Personifikowanych Obrazach: to Czas Rozkwitu i Przekwitania. Myślenie stało się zbyt zależne od ucieleśnienia w Obrazach; wizualna strona, tak ważna w epoce późnego Średniowiecza, stała się dziś Wszechmocna (kino, telewizja, wideo). Wszystko widzialne i niewidzialne (to jest pomyślane) przekształcono w Plastyczne i Mimetyczne. Posthistoryczna recepcja Dziejów osiągnęła już stan pełnego Spokoju — jest niczym Sala, wypełniona Księżycową Poświatą, Wewnątrz Której Myśl zdołała wreszcie zapaść w sen.

Burzliwe oklaski nie zdążyły jeszcze ucichnąć, nie zdążył Dappertutto pokrążyć wokół gości z opróżnionymi, czystymi popielniczkami, nie zdążyłem pomyśleć, że gdzieś i kiedyś słyszałem już albo czytałem coś niezwykle podobnego, a już Déjàvu klasnął w dłonie i wraz z pierwszymi taktami muzyki pojawiło się Siedem Hostess, ubranych w taki sposób, że z przodu każda z nich wyglądała jak jeden z Grzechów Głównych, a z tyłu jak Przeciwna mu Cnota, będąc zarazem jednym z Siedmiu Dni Tygodnia oraz jedną z Siedmiu Prowincji Północnych Włoch. Z kolei sam referent założył maskę (która mogła być ucieleśnieniem i Śmierci, i Czasu, i Nocy, i AIDS) i lekkim tanecznym krokiem ruszył w kierunku hostess.

W odpowiedzi na to cała czwórka muzykantów wybuchnęła dźwiękami, jakby ruszyła z miejsca do marszu. I zabrzmiała jakaś pawana — i nie pawana, galiarda — i nie galiarda, i nie sarabanda, i nie allemanda, a najprędzej — ciacona. A Déjàvu wznosił się nad półki i regały, zdmuchując połami płaszcza gęste chmury słodkiego kurzu z grzbietów foliałów. Wówczas każda z Siedmiu Hostess wybrała sobie zgodnie ze swym gustem partnera i podeszła, by zaprosić go do tańca. Jakby umyślnie przypadła mi panna Wtorek, do tego prowincja Pie-

mont. Jednak najbardziej przykre było to, że od przodu przedstawiała ona najcięższy z grzechów, czyli Pychę.

— Dlaczego, dlaczego do mnie podeszłaś? — wypytywałem ją w tańcu, próbując zakręcić nią i odwrócić znacznie bardziej cnotliwą tylną częścią, czyli Pokorą. Ale dziewczyna sprytnie wyplątywała się z mych ciasnych objęć i znowu jawiła mi się jako Pycha z wysoko zadartym nosem i równie wydatnym biustem.

— To nie ja, to ty — odpowiedziała mi kilka razy, gdy powtarzałem pytanie.

Wokół krążyły inne pary, i Zachłanność stawiała się Szczodrością, a Łagodność — Gniewem i odwrotnie, więc kiedy wszystko wokół płaśało w najwyższym porywie tematu muzycznego, który, *à propos*, stawał się coraz dzikszy, coraz mniej przypominał starą dobrą *chaconne*, i w końcu pojąłem całą nieprzejrzaną głębię koncepcji autorskiej *monsieur Déjàvu*: w tym krążeniu, migotaniu i drganiu, w tym rozdarciu i chwiejności już nic nie można było wyjaśnić, określić czy oddzielić — zazdrości od czystości, zachłanności od życzliwości, umiarkowania od lenistwa, chciwości od pilności. Za to w centrum wszystkiego pozostawał on, Gaston Déjàvu, ten sam, czyli Śmierć, czyli Czas, czyli Przestrzeń...

Przy ostatnich akordach Pycha przyłgnęła ustami do mojej szyi i tak na niej zawisała. Żeby ją nieco poskromić, zmuszony byłem dać jej klapsa w tyłeczek Pokory. Dopiero po tym odlepiła się. Zresztą przyczyny tego mogły być też inne, powiedzmy — przenikliwy głos Dappertutta, ogłaszający małą przerwę. Zdyszani goście rozpełzli się w poszukiwaniu ciasteczek i napoi. Déjàvu z gracją przyjmował gratulacje i udzielał jednocześnie kilku wywiadów. Muzykanci schowali do futerałów lutnie i wiole, potem zaś skuleni i skrzywieni, niby więźniowie na kaźń, wyszli pojedynczo: Wiosna, Lato, Jesień, Zima.

Przysiadłem koło okna w nadziei, że coś wypatrzę: jakąś mewę na grzebieniu fal, jakąś rybę, chmurę, jakiś kawałek wiosła. Czy — na przykład — Adę. Ale nade mną natychmiast pojawiła się Łajza Shalizer i oświadczyła, że „wspaniale tańczy”.

— *When?* — zapytała.

— *What?* — udałem naiwniaka.

— *Shit!* — zaśmiała się, trzepnęła mnie z całej siły po ramieniu i odeszła.

— *Bye* — posłałem jej uśmiech i nawet pomachałem.

Idź w cholere, duszko moja zamorska.

Wszystko wytrzymam. Wszystko wytrzymam. Powtórzyłem to łącznie sto piętnaście razy: wytrzymam. Przy sto szesnastym głos zabrał Al-Boraq Dżabraili.

Niezbyt go słuchałem, choć i beret, przestrelony w miejscu kokardy, i panterka, i stara radziecka maska przeciwgazowa u boku robiły wrażenie. Al-Boraq mówił coś o „postmodernizmie w polityce”, podkreślając na początku, że przybył tu bezpośrednio z „terytorium działań wojennych”, tylko nie usłyszałem czyich i przeciwko komu, po co i na co. Do tego wczoraj twierdził, jakoby przyjechał wierzchem na rowerze aż ze Szwecji.

Tekst Al-Boraqa był mieszanką natrętnych aluzji, obcojęzycznych cytatów, wyrażeń w cudzysłowach, wewnątrz których pojawiały się kolejne cudzysłowy, a było ich więcej niż innych znaków razem wziętych, poza nawias ujmował najmniej istotne, a najbardziej istotne skromnie ukrywał w nawiasie, jakby to był taki trochę zbędny dodatek; do tego słowną grę zaczął już od pierwszego zdania, kiedy przypomniał, jak „w Sarajewie w czternastym roku zastrzelono zza Węgra arcywęgelskiego austroksięcia”. Tę raczej płaską figurę powitano oklaskami — tak wyrobiona publiczność jazzowa reaguje w trakcie utworu na jakiś szczególnie skomplikowany akord septymowy. Chwilę później uskrzydłony Al-

-Boraq zgrabnie zrymował Bałkany i wulkany, stolicę Albanii zjadliwie nazwał „do niedawna miastem tyranii”, porównał Jugosławię do podzielonej na kawałki pizzy (zapewne pamiętając, że po słoweńsku „pizza” z jednym „z” znaczy coś innego, wilgotnego i tajemnego), Austro-Węgry nazwał „tekstem, którego nikt nigdy nie doczytał wskutek jego eklektyzmu”, jednocześnie przemieszczając niczym figury na szachownicy antycznych i biblijnych bohaterów, ostro potępił „osłów z Oslo”, niby niechcący pomylił Wenecję z wendettą, Amerykę Łacińską porównał do restauracji dla kanibali, gdzie jako danie szefa kuchni serwuje się „mięso armatnie”, demokratyczną Rosję nazwał smażonym lodem, a o Europie wyraził się, że ma „kompleks Ezopa”, z kolei rok światowego upadku Karnawału określił za pomocą specjalnego wzoru:

$$\frac{X \cdot Y^Z}{\eta}$$

w którym X było czasem nie ukończonej budowy wieży Babel, Y — szybkością rozprzestrzeniania się Tysiącletniego Królestwa, Z — liczbą Zwierzęcia (która jest stała), a η — liczbą porządkową cywilizacji.

Zakończył pełnym oburzenia oświadczeniem o wprowadzeniu jego „*alter ego* i najbliższego towarzysza”, z którym objechał dziewięćdziesiąt trzy kraje świata i siedem razy przekraczał równik w „najbardziej gorących punktach”. Tego rodzaju zaginięcie można uważać za „albo prowokację polityczną, albo przestępstwo kryminalne, mające na celu brutalną napaść na mniejszości narodowe (Al-Boraq Dżabraili) albo biologiczne (jego koń)”. Mówca zachował prawo „ewentualności zwrócenia się do „międzynarodowych” „instytucji” „sądowych”. Dodał, że mimo wszystko „liczy” na „zdrowy” rozsądek i „ludzkie” uczucia nieznanymi („?”) złoczyńców i jest daleki „od” tego, „by” oskarżać o wydarzenie, które

„zdarzyło się”, cały bratni „naród wenecki”. Lisa Sheila Shalizer pierwsza podpisała się pod dokumentem, który odczytał, podkreślił Al-Boraq i dał do zrozumienia, że wszyscy powinni się przyłączyć.

Policja miejska już została powiadomiona o tym przykrym zdarzeniu, zapewnił w odpowiedzi sekretarz Dappertutto. Fotografie konia przekazano wszystkim dzielnicowym. Pojawiły się co prawda pewne trudności, związane z tym, że dwukołowy przyjaciel naszego przyjaciela mógł zostać porwany przez islamskich terrorystów (czytaj — czerwone brygady) jako zakładnik. Jednak tak czy inaczej najsprawniejsi śledczy i wywiadowcy już się zabrali do rzeczy. Pozostaje nam tylko nie upadać na duchu i mimo wszystko kontynuować seminarium, zachowując męstwo i nadzieję na to, że już jutro sławny Rosynant powita nas w tych murach swym radosnym rzeniem.

— Do jutra wszyscy są wolni — zaskrzypiał ze swego miejsca przewodniczący Casallegra, nie otwierając i teraz oczu.

ΣΩΔΞ-Ϸ

Monsiniorowi posłusznie depeszuję:

W niedzielę, 7 marca, przejąłem zadanie pilnowania Respondenta (ze względu na rzekomą chorobę Ceriny). Z powodu swych (Monsinior raczy mi wybaczyć ostre sformułowanie) rzekomych babskich dolegliwości Cerina kategorycznie odmówiła opuszczenia hotelu (ale nie pozwoliła się zbadać, stąd wynikają moje wątpliwości co do prawdziwości choroby). Towarzyszyłem zatem Respondentowi i przez długie godziny byłem w pobliżu (czego Respondent oczywiście nie podejrzewał). Korzystając z uwarunkowań klimatycznych (Wenecję rankiem spowiła gęsta mgła), siedziałem mu na ogonie i eskortowałem tak długo, jak mogłem (do późnego popołudnia, inaczej — prawie do wieczora). Nie należy to wyłącznie do moich obowiązków (o czym ktoś może Monsiniora nieprawdziwie informować). Jednakże przywykłem już na służbie u Monsiniora wykonywać nie tylko własne obowiązki (proszę tego nie brać za narzekanie).

Rankiem Respondent wyglądał bardzo źle (ogólne zmęczenie, znużenie na twarzy, z towarzyszącą mu opuchlizną oczu i powiek). Sprawiał wrażenie, jakby kiepsko albo mało spał (albo też spał i kiepsko, i mało). Zachowanie Respondenta podczas seminaryjnych referatów można scharakteryzować jako raczej niejasne (częste wyglądanie przez okno, chroniczny brak uwagi,

nieobecne spojrzenie). Jednocześnie Respondentowi wyraźnie kogoś brakowało (domyślam się kogo, ale przemilczę). W miarę jak mgła rzedniała (potem pogoda była słoneczna), Respondent nabierał pewnych typowych dla siebie cech (błądzący uśmiezek, przecieranie okularów i in.). Podczas zaproponowanego uczestnikom seminarium tańca (relatywizm grzechów i cnót) Respondent został zaproszony przez Pychę-Pokorę (Txss). Respondent zachowywał się lubieżnie jak cap (przepraszam Monsiniora). Jego nieszczęsna partnerka ledwo wyrwała się z tych pajęczych objęć (jeszcze raz przepraszam) dopiero za cenę straconej cnoty. Po zakończeniu tańca Respondent przyczepił się do innej osoby o żeńskich cechach płciowych (również uczestniczka seminarium, prawdziwe nazwisko Zuckerkandel). Pozwalając sobie na nieprzyzwoite słowa i gesty, Respondent namawiał Zuckerkandel do spółkowania (czas i miejsce spotkania w następnej korespondencji).

Na tym seminaryjne odczyty zakończono (jakieś nieporozumienie z Centaurem, podejrzewam brak koordynacji działań sekcji nieszczęśliwych wypadków oraz wydziału kradzieży).

Dalsze śledzenie Respondenta było niezwykle utrudnione ze względu na całkowite ustąpienie mgły i niemożność podążania za nim w bliskiej odległości (proszę Monsiniora o wzięcie pod uwagę choćby przy podziale wynagrodzenia). Przeprowadził się wraz ze wszystkimi przez kanał San Marco, wysiadł jednak na Riva degli Schiavoni (zew krwi?) i ruszył na wschód do przystanku San Zaccaria. Tam przez jakiś czas studiował wyciągniętą z kieszeni mapę (oglądając się przy tym na kobiety w pobliżu). Wreszcie Respondent machnął ręką (na co?) i ruszył pieszo w kierunku północnym (szedłem za nim w odległości dziesięciu metrów). Śledzenie Respondenta było niełatwym zadaniem, ponieważ Respondent chodzi nie tak, jak inni respondenci (proszę zważyć na moje doświadczenie). Respondent ma zwyczaj nagłego zatrzymywania się, obracania się, wyciągania mapy, zawracania, ponownego

wpatrywania się w mapę, tracenia orientacji, zwracania uwagi na jakieś śmieszne głupstwa (papierowe kwiaty, śmietniki, schnąca bielizna damska — sekcja anomalii powinna zbadać podejrzenie fetysyzmu). Respondent z trudem dotarł do Capo San Zaccaria, wszedł do kościoła pod tymże wezwaniem, gdzie przebywał trzydzieści jeden minut w nieznanym celu (czekałem na placu). Wychodząc z kościoła, bluźnierca (Respondent) uczynił na sobie znak krzyża (tfu!) i pokłonił się (ciekawe komu?).

Od San Zaccaria do Fondamenta del Osmarin Respondent dalej zmierzał na północ, ale nie do prawosławnej cerkwi San Giorgio dei Greci (jak można było wnioskować z jego — che, che — modlitewnego nastroju) i nie kwestury policji (jak można byłoby się spodziewać w jego położeniu). Respondent, obrał dla przemieszczania się Ruga Giuffa, skąd wyciągnąłem wniosek co do następnego celu jego wędrówki — kościół Santa Maria Formosa (i nie pomyliłem się). Co prawda, Respondent, jakiś czas wahając się, przechadzał pod muzeum Querini Stampalia, raz po raz zerkając na zegarek i coś obliczając (domyślałem się, co). Jednakże zwiedzanie muzeum nie mogło wchodzić w grę (zatem Respondent ruszył dalej). W kościele Santa Maria Formosa Respondent przebywał nawet dłużej niż w poprzednim (blisko czterdzieści minut). Zdążyłem w tym czasie wypić małą buteleczkę bardolino i zjeść zuccę baruccę (niewiarygodne świństwo!). Przypuszczam, że Cerina wcale nie zachorowała, tylko po prostu chce na mnie zwalić cały zakres obowiązków (o czym myślałem jeszcze na placu Santa Maria Formosa, jedząc tę obrzydliwą pieczoną dynię, przepraszam Monsiniora).

Od wspomnianego placu Respondent (wyszedł w końcu z kościoła) obrał trochę bardziej wschodni kierunek (wzdłuż Calle Lunga) i przechodząc most nad Rio San Giovanni Laterano, skierował swe bezcenne stopy do kościoła San Zanipolo (co w rzeczywistości oznacza nie jednego, ale dwóch świętych na raz). W pobliżu kościoła jego uwagę na długo (trzy minuty) przykuł

pomnik kondotiera Bartolomea Colleonego na koniu (spodobał mu się koński zadek, nie inaczej, przepraszam). Tu do Respondenta podlażyły dwie młode Japonki z prośbą o sfotografowanie ich na tle pomnika (Respondentowi uprzejmy uśmiech rozlał się na twarzy). Obydwie gejsze aż parsknęły śmiechem na jakieś jego żarty (domyślać się można, że raczej słone i obłeśne). W końcu przekonał je, by sfotografowały się nie przed, a za pomnikiem, na tle wspomnianego końskiego zadka z ogonem (co potwierdza moją wersję — sprawdzić podejrzenie zoofilii). Zadowolony kokieteryjne Japonki, Respondent pożegnał je z uśmiechem i znowu poważniejąc, wszedł (co do tego Monsinior nie mógł mieć wątpliwości) do kościoła San Zanipolo (pozostawałem na placu). Kiedy Respondent kolejny raz „modlił się” (hm, hm), obserwowałem, jak do brzegu przybiła karetka pogotowia, którą właśnie transportowano chorego (ostrzy atak kamicy nerkowej, choć operacja, moim zdaniem, nie była konieczna), następnie przenoszono go do pomieszczeń szpitalnych (dawna Scuola di San Marco). Cerina coraz bardziej przyzwyczajając się do tego, że Monsinior ją faworyzuje, myślałem (przepraszam Monsiniora).

Po z górą półgodzinie Respondent wyszedł z kościoła i (wzdłuż budynku szpitala) podążył prosto na północ (po Fondamenta dei Mendicanti). Spotkał dwie ładne i wysokie Szwedki, które zatrzymały go, o coś pytając (z właściwym Szwedom rozkojarzeniem biorąc Respondenta za weneccjanina). Równie pięć i pół minuty Respondent oszukiwał je, udając, że mówi po włosku (w odpowiedzi Szwedki głośno i prowokująco śmiały się). Wówczas Respondent przeszedł w końcu na angielski i litościwie (ale czy prawdziwie?) wyjaśnił jasnowłosym bestiom, dokąd mają iść dalej. Respondent machnął ręką w kierunku Rialto, z czego Monsinior może wnioskować o dalszym celu wyprawy nieznanych Szwedek (powstrzymam się od tego, bo nie należy to do moich i tak nadmiernych obowiązków). Niektórzy pozwalają sobie całymi dniami wylegiwać się w hotelowym łóżku (słucha-

jąc włoskich oper), a ja muszę harować za dwóch tylko dlatego, że Monsinior pokłada we mnie tak wielkie nadzieje (i nie bez przyczyny).

Idąc po Fondamenta dei Mendicanti, Respondent coraz częściej spozierał na zegarek (wersja: Respondent umówił się z kimś na spotkanie). Jednakże doszedłszy do kościoła San Lazzaro dei Mendicanti, Respondent nie mógł powstrzymać pokusy i (jak już Monsinior zrozumiał), zaszedł do środka. Przeczekałem ten kwadrans w przylegającym do kościoła ogrodzie, gdzie obserwowałem grę w piłkę na młodej trawie kilku ruchliwych podlotków (szczególnie zapamiętałem najstarszego z nich, o długich nogach i umięśnionym torsie). Chciałem już podejść bliżej i poznać się z chłopcami, ale w tej chwili Respondent wyszedł z kościoła (znowu — brrr — żegnając się) i ponownie ruszył na północ (rzecz jasna, do Fondamenta Nuove). Mały chyba coś wyczuł z mojej strony (odbijając piłkę, wciąż się jakby popisывał swą sprawnością, a w pewnym momencie nawet spojrzął mi w oczy i aż się przy tym zarumienił). Z przykrością musiałem ruszyć w ślad za Respondentem. Chłopiec patrzył za mną (usłyszałem, że nazywa się Cherubino), tak, patrzył w ślad za mną, przysyłając oczy silną, a zarazem delikatną dłoń. Zresztą, może to tylko wiosenny zapach ziemi tak mnie rozkleił (Monsinior bez wątplenia wie, jak od takich zapachów kręci się w głowie).

Przeczuwałem, że po wejściu na Fondamenta Nuove Respondent obierze kierunek północno-zachodni (a nie południowo-wschodni — do Arsenалу). Tak też się stało (intuicja plus zdolności analityczne). W związku z potwierdzeniem się moich zdolności proszę Monsiniora o wzięcie pod uwagę następującej wersji (i w miarę możliwości o jej pogłębienie). Rozumiejąc znakomicie katastroficzną sytuację finansową Respondenta (kontrola ósmej kancelarii finansowej pozwoliła na pewne ustalenia sum, od których włosy, choć nie należy to do mojej prerogatywy, stają dęba). Przemarsz Respondenta po kościołach moż-

na zatem rozpatrywać jako próbę wejścia w posiadanie czegoś szczególnie drogiego z majątku kościoła (malarstwo Palmy Starszego albo Młodszego, Bellini, Tiepolo; elementy wyposażenia wnętrza; czary, kielichy, monstrancje, szkatułki itp.). Gdyby Respondentowi się to udało (a niewykluczone, że tak) wykraść jakąś pięciusetletnią relikwię (w rodzaju urny, w której przechowywano skórę bohatera Bragadina, zdartą z rozkazu sułtana Mustafy), wówczas łatwo pozbyłby się (mam na myśli Respondenta) swych potwornych problemów finansowych. Nie pretenduję do nieomyślności swego przypuszczenia, ale niczym innym nie potrafię wyjaśnić tej uporczywej „pielgrzymki” (che, che) Respondenta.

Na Fundamenta Nuove musiałem nieco zwiększyć odległość (proszę tylko, by Monsignor nie pomyślał, że przerwałem obserwację, by móc natychmiast wrócić do tego zwinnego chłopaczka z piłką). Stała się rzecz następująca: do przystani na Fundamenta Nuove podpłynął statek linii numer pięć (od strony Cannaregio). Początkowo przyspieszyłem, zrozumiałem, że Respondent zamierza wsiąść do niego (kupno biletu na przystani). Jednakże niemal od razu zmieniłem zdanie (by zachować w tajemnicy swą misję). Na pokładzie pozostało tak mało pasażerów (żołnierz z dziewczyną, ksiądz z czerwonym orlim nosem, kobieta w żałobie z pękiem zasuszonych kwiatów), że niemożliwością byłoby pozostać niezauważonym przez Respondenta (choć jest ślepowy, przepraszam). Z dwojga złego — zostać zauważonym, zdemaskowanym i położyć sprawę lub stracić Respondenta z oczu (tymczasowo) — wybrałem mniejsze, stąd powstrzymałem się przed dalszym towarzyszeniem Respondentowi (ruszyłem więc z powrotem do tego fantastycznego ogrodu z dziećmi i trawą).

Vaporetto z Respondentem na pokładzie odpłynęło w kierunku swej dalszej trasy (wyspy San Michele i Murano). Przypuszczam, że z wyspy Murano Respondent mógł puścić się w jeszcze dalszą podróż (do wysp Burano i Torcello). Cel podróży Respon-

denta pozostawał dla mnie niejasny (choć nie można odrzucić wersji zamiaru kradzieży w kościele — czego jak czego, ale kościołów tu do diabła i trochę). Za niepowodzenie proszę winić Cerinę (jeśli się nie mylę, Monsinior właśnie jej powierzył większą część zadania). Cerina ostatnio intensywnie wykorzystuje kołobicię wdzięk, wskutek czego wiele się jej wybacza (przepraszam za bezpośredniość). Gdyby Monsinior był surowszy z takimi (nie chciałbym używać mocniejszego słowa) lekkomyślnymi osobkami, wówczas najbardziej rzetelne i oddane Monsiniorowi jednostki (mam tu na myśli nawet niekoniecznie siebie) nie musiałyby wykonywać podwójnej (a nie raz i potrójnej) pracy. Wydaje się, że zachowanie Ceriny warto rozpatrzyć również w trzecim podkomitecie do zadań specjalnych (na razie w celu profilaktycznym).

Na zakończenie chciałbym podzielić się z Monsiniorem swą ogromną radością: udało mi się jednak nabyć kilka bardzo rzadkich rybek (co czyni mnie prawie szczęśliwym). Są to: pielęgnica pawiooka (*astronotus ocellatus*), brązowe tło z czarnymi plamami, skóra gruba i miękka, jakby aksamit, na płetwie ogonowej — wyraźne czarne oczko w czerwonym obramowaniu; prócz tego również sumik anielski (*synodontis angelicus*) — czarujący tłusty samiec, białe groszki na aksamitno-czarnym tle; w końcu także pirania czerwona (*serrasalmus nattereri*), z jaskrawą czerwienią płetwy odbytowej! Udało mi się znaleźć parkę z każdego gatunku (choć sumiki jakoby nie rozmnażają się w akwariach).

Gotów do śmierci (che, che) służyć Monsiniorowi —

Doktor

P.S. Tylko Monsinior może należycie ocenić moje wysiłki i sprawiedliwie za nie nagrodzić (mam na myśli niekoniecznie awans).

Ja, Antonio Delcampo, lat sześćdziesiąt dziewięć, wikariusz kościoła San Michele, zamieszkały w *sestiere* Cannaregio, odczuwam głęboką potrzebę i uważam za swój obowiązek opowiedzieć o spotkaniu, które odbyło się wieczorem w pierwszą niedzielę po środzie popielcowej, tzn. 7 marca b.r. Skłania mnie do tego przede wszystkim fakt, że nie tak dawno, choć z dużym opóźnieniem, dowiedziałem się o pewnym tajemniczym zaginięciu, w którym wielu skłonnych jest dopatrywać się samobójstwa. Być może, moja opowieść rzuci więcej światła na tę nie wyjaśnioną historię i ujawni niektóre do tej pory nie uwzględnione okoliczności.

Jak wiadomo, wyspa San Michele, na której dane mi jest odprawiać msze św. w kościele pod tym samym wezwaniem, należy do najsmutniejszych wysp nie tylko naszego wesołego miasta, ale i odnoszę wrażenie, całego Bożego świata. Na niej to wszak założono cmentarz miejski, przez co wyspę słusznie nazywa się miastem umarłych. Żywi przybywają tu jedynie po to, ażeby pokłonić się zmarłym, pobyć blisko nich w ciszy, smutku i wiecznej zieleni cyprysów, pomodlić się za dusze zmarłych i choć trochę skoncentrować się na tym, co niewidzialne. Ja sam, w ciągu dwudziestu ośmiu lat niemal każdego dnia przebywając na wyspie i z Bożą pomocą odprawiając wszelkie konieczne rytuały tak w samym kościele, jak

i w kaplicy Emiliani, albo też w miejscu pochówku zmarłych, przywykłem do tutejszego spokoju, cyprysów i ptactwa.

Tego dnia przybyłem na wyspę popołudniem, albowiem czekały mnie jedynie nieszpory. W kościele znajdowało się zaledwie kilka osób — miało się już ku niedzielnemu wieczorowi; na dworze zaczynało zmierzchać i odwiedzający groby za dnia zdążyli już w większości odpłynąć do miasta.

Po zakończeniu nabożeństwa powinienem był jeszcze godzinę lub dwie pozostać w kościele. Oprócz mnie nie było nikogo więcej, jeśli nie liczyć staruszka Angelica — stróża i kościelnego. Jak przystało na ten dzień (przypomnę, że działo się to wszystko w pierwszą niedzielę po wielkopostnej środzie, zwanej popielcową), zagłębiłem się w rozważanie 14 rozdziału Ewangelii według św. Mateusza, wersy od 22 do 34. Wyjątkowego znaczenia nabrały dla mnie słowa: „A gdy rozpuścił lud, wstąpił na górę, aby samemu się modlić. A gdy nastał wieczór, był tam sam”. Tymczasem do kościoła wszedł cudzoziemiec nie pierwszej już młodości — typ męczyzny przykuwającego wzrok nie tylko na odludziu. Po raz pierwszy zauważyłem przybysza dwie godziny wcześniej, wszak do San Michele przyплыliśmy tą samą łodzią. Po zejściu na brzeg ruszył w głąb cmentarza, choć niewątpliwie nikt z jego bliskich w tej ziemi pochowany być nie mógł. Miałem go za zwykłego turystę, który odłączył się — umyślnie czy przypadkiem — od grupy i na własną rękę szuka wrażeń.

Cichym, prawie zduszonym głosem młodzian przywitał się ze mną (upewniłem się, że jest obcokrajowcem) i zaczął oglądać kościół. Muszę powiedzieć, że świątynia San Michele, w której z ochotą służę Bogu, rzeczywiście zasługuje na to, by zwiedzać ją jak najuważniej; zbudowana została w czasach renesansu podług projektu Mauro Codussiego, którego mam za najoryginalniejszego z ówczesnych architektów Wenecji. Jednakże w ciągu długoletniej pracy duszpasterskiej nauczy-

łem się uważności i rozumienia nie tylko ludzkich słów, ale i ruchów, gestów, sposobu oddychania i patrzenia. Doświadczenie podpowiadało mi, że nie piękno architektury, ani nie wyposażenie wnętrza interesowały w tej chwili samotnego cudzoziemca. Niepokój i zmieszanie w nim wyczytałem, a także wahanie i wątplenie. Kajam się, był nawet moment, kiedy mimowolnie posądziłem go o złe zamiary, o to, że na przykład planuje kradzież. Chwalić Boga, moje podejrzenie okazało się bezpodstawne. Niekiedy łowiłem jego szybkie spojrzenia. Wiedziałem, że coś musi się wydarzyć, nie spieszyłem się jednak i nie wtrącałem, dając możliwość jego zbłąkanej duszy dojrzeć o własnych siłach.

Wyrósł przede mną znienacka i zapytał, czy mógłbym z nim porozmawiać w języku angielskim. Łamaną angielszczyzną odpowiedziałem, że niestety słów znam nie więcej niż pięćdziesiąt, dlatego nie żywię przekonania, by taka rozmowa była choć trochę owocna. Jednakże gdyby on władał również niemieckim, to nasza rozmowa mogłaby mimo wszystko odbyć się na całkiem przyzwoitym poziomie — w młodości, kiedy jeszcze nie byłem duchownym, ładnych parę lat spędziłem we Frankfurcie, gdzie grałem i śpiewałem w restauracji „Mamma Rosa”. Cudzoziemiec ucieszył się i z miejsca przechodząc na niemiecki, przedstawił się jako Stanisław. „Chciałbym się wypowiedzieć, ojciec Antonio — zaczął, ledwie zdążyłem odpowiedzieć. — Chodzę od kościoła do kościoła i nigdzie nie mogę znaleźć duchownego, który by mnie zrozumiał. Aż w końcu spotkałem ojca!”. Zająwszy miejsce w konfesjonale, pobłogosławiłem go i już sposobielem się, by pomóc mu kilkoma pytaniami, gdy usłyszałem: „Przepraszam, ojciec, czy mógłby ojciec złamać tajemnicę mojej spowiedzi?”. Niezupełnie rozumiałem, sądząc, że długie lata nieużywania języka niemieckiego mimo wszystko zrobiły swoje. Potwierdziłem więc, że zachowanie tajemnicy spowiedzi jest

konieczne. „Ale ja sam chciałbym, żeby ją ojciec złamał!” — sprecyzował Stanisław. „Pierwszy raz słyszę coś podobnego, mój synu” — odpowiedziałem surowo, by uprzytomnić mu całe szaleństwo i niedopuszczalność takiego życzenia. „Proszę mi wierzyć, ojczu Antonio, to niezwykle istotne. Pozwalam Ojcu po pewnym czasie, jeśli Ojciec uzna to za stosowne, opowiedzieć każdemu, co teraz powiem”. „Ty pozwalasz? — pokiwałem głową. — Jak śmiesz pozwalać czy nie pozwalać na coś, do czego nie masz prawa? Czyż nie wiesz, że w obliczu jednej z tajemnic Bożych, my, Jego posłuszni synowie, nie mamy prawa naruszać jej upartą samowolą?”. Milczał chwilę, potem zaś znów zbił mnie z pantafyku: „Wobec tego, ojczu Antonio, uznajmy, że w sensie kanonicznym nie jest to spowiedź. Proszę tylko o rozmowę”. „A więc — znów zabrakło mi taktu — będzie to jedynie rozmowa dwóch zwykłych ludzi. I nic więcej. I nie będziesz godzien Bożej łaski i nie otrzymasz odpuszczenia grzechów”. „Ale dla mnie ważne jest, żeby ktoś mnie wysłuchał” — obstawał przy swoim Stanisław. „Do tego wcale niekoniecznie potrzebny jest kościół. — zaprzeczyłem. — Wygadasz się przed pierwszym lepszym pijackiem w oberży i będziesz miał to, czego pragniesz”. Poczulem, że zraniłem go tymi słowami — zamilkł, urażony moją pryncypialnością, więc po kilkuminutowej duchowej walce, ustąpiłem i zaproponowałem mu, by mimo wszystko zaczął mówić. Albowiem siła naśladowania Boga polega nie tylko na wierności literze. Św. Tomasz z Akwinu wskazywał na znaczenie wyjątków dla praktyki duchowej. A nawet jeśli nie, to przyjmijmy, że i bez Akwinaty uczyniłem to, idąc za głosem serca — czyż nie jest to wystarczający argument?

„Jestem wielkim grzesznikiem, ojczu Antonio — zaczął Stanisław. — Ze wszystkich Bożych przykazań nie złamałem chyba tylko jednego. Nie pamiętam, które to z kolei, ale brzmi «nie zabijaj»”. „To piąte przykazanie, mój synu” —

przypomniałem mu, bo i w rzeczy samej mógłby być moim synem. „Dziękuję, ojcze, też tak mi się wydawało — kontynuował. — Ale nawet i to przykazanie mam zamiar złamać w najbliższym czasie!”

Zmusiło mnie to do otrząśnięcia się i uważnego wsłuchania się — słuchem wewnętrznym. „Przyjechałem tu z dalekiego kraju. Mógł nawet ojciec o nim nie słyszeć. Wystarczy powiedzieć, że urodziłem się w małym miasteczku pośród gór, całkiem blisko środka Europy” — mówił Stanisław. W tym miejscu odniosłem wrażenie, że jest niespełna rozum. „O czym mówisz? — spytałem zdziwiony. — Czyż to aż tak daleko? Czy środek Europy nie znajduje się gdzieś w Szwajcarii?”. „Nie, ojcze, w innych, zupełnie innych górach, daleko stąd!” — upierał się. „Może na Uralu?” — przypomniałem sobie coś z lekcji geografii. „Nie, nie na Uralu, a w Karpatach, ojcze — poprawił mnie. — Czasem nazywa się je u was Kaukazem”. „Czekaj, czekaj — zaświtało mi coś w pamięci — słyszałem o takich górach! To tam, gdzie śnieg zalega nie tylko na szczytach, ale i w dolinach?”. „Tak, ojcze — odpowiedział — czasem spada go tam tyle, że jesteśmy zmuszeni przedzierać się przez śnieg po szyję, rozkopując go przed sobą takimi specjalnymi, lekkimi łopatami. W dodatku bywają u nas tak mroźne zimy, że wszyscy miesiącami siedzą w domach i nigdzie nawet nosa nie wystawiają, bo zaraz może się odmrozić i odpaść”.

Nadzwyczaj mnie to zaintrygowało, więc postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej o tym niezwykłym kraju. „Jak zatem wyglądają mieszkańcy twojej ojczyzny?” — zapytałem. „Są podobni do mnie, ojcze — padła odpowiedź. — Albo i niepodobni. Bywają różni. Mimo to na ogół bardziej jesteśmy podobni niż niepodobni. Co prawda, ja mam trochę zdrowsze zęby niż wielu z nich. Za to o wiele gorszy wzrok”. „A czy wierzą u was w Pana Naszego Jezusa Chrystusa? — przybliżyłem

się do głównej kwestii. — Czy może cześć oddają jakimś kamiennym bałwanom? Jak na przykład wasz lud świętuje Wigilię Bożego Narodzenia?”. „To dla nas jedno z największych świąt — zapewnił mnie Stanisław. — Cały dzień pościmy i modlimy się, a gdy tylko zaświeci pierwsza gwiazda, siadamy do mistycznej wieczerzy. Podajemy wyłącznie postne potrawy, ma ich być jednak dwanaście, zgodnie z liczbą apostołów świętych, bo każda potrawa symbolizuje jednego z nich, i dlatego przy stole nie wolno posługiwać się jej nazwą, a imieniem apostoła. Powiedzmy, nie można poprosić «podaj mi smażoną kapustę», tylko «podaj mi Jakuba Apostoła», i nie można mówić «podaj mi mielony mak», tylko «podaj mi Mateuszacelnika». „Co za zabobony!” — nie wytrzymałem, być może obrażając niechcący jego uczucia patriotyczne. „Poza tym — ciągnął dalej — w Boże Narodzenie nie można podawać ręki przez próg, rozsypywać soli i tłuc luster. I jeszcze nie wolno mówić «zupa», a tylko «barszcz», bo przez cały rok będzie w domu niedostatek. Również mężczyzna nie śmie tego wieczora dotknąć swej kobiety palcem wskazującym lewej ręki, za to powinien jeść wyłącznie z jej talerzy, kończąc, co ona zostawi. Tego wieczoru trzeba śpiewać kolędy, nazywane u nas «gaikami», bo według naszej wiary, Maryja Panna porodziła Dzieciątka Boże nie w stajence, a w świętym gaju niedaleko Betlejem. Jeśli chodzi o Przemienienie Pańskie, to jest to równie wspaniałe święto. Tego dnia bywają największe mrozy, tak że lodem skute są nie tylko rzeki i jeziora, ale i obydwie morza — Czarne i Azowskie. W lodowej bryle wykuwa się ogromny krzyż (tak zwane „krzyżmo”) i polewając go czerwonym greckim winem, ustawia się prosto pod słońce, od czego krzyż płonie rubinowym ogniem. Wino musi być greckie, bo należymy do obrządku greckiego, jak ojcu wiadomo”. „Już wiem! — rozjaśniło mi się w głowie. — Przypomniałem sobie, kiedy i od kogo słyszałem coś podobnego. Mój wujek, mój

rodzony stryj, starszy brat mojego taty, Michele del Campo, jeden z najlepszych włoskich lotników, trafił kiedyś na wasze ziemie, i tam oddał życie podczas pierwszej wojny. Coś podobnego opisywał w listach! Czy znane ci to imię, cudzoziemcze — Michele Scipio del Campo?”. „Wszyscy w moim kraju oddają mu cześć” — schylił głowę Stanisław.

Wtedy to zdecydowałem, że będę mu bardziej przychylny i mimo wszystko porozmawiam o tym, co go boli. „Szukasz pojednania z Bogiem i ukojenia dla duszy, mój synu — przypominałem mu. — Czy możesz powiedzieć coś więcej o swych zgryzotach i wyrzutach sumienia?”. „Chętnie, ojcze Antonio — jak zawsze okrężną drogą rozpoczął Stanisław. — Mówienie o sobie to dla mnie jedna z największych uciech. Tak to lubię, że nawet najtrudniejsza spowiedź nie przynosi mi cierpienia, a właśnie zadowolenie”. „O spowiedzi zapomnij — ostrzegłem go. — Po prostu rozmawiamy”. „Wobec tego, prosiłbym najpierw o to, by ojciec pozwolił mi trochę pograć na organach” — poprosił Stanisław. „Grasz na organach?” — nie kryłem zdziwienia. „W moim kraju każdy potrafi grać na organach — wyjaśnił Stanisław. — Jeden lepiej, drugi gorzej. Ja — średnio”. Ta wiadomość wielce mnie zaintrygowała, wyszedłem z konfesjonału i zaprowadziłem go na górę, gdzie pokazałem mu nasz niewielki, za to niezwykle precyzyjny, posłuszny jedynie prawdziwym mistrzom instrument. Potem znowu zszedłem na dół, a Stanisław wprawiał się nie dłużej niż pięć minut i nagle, bez szczególnego wysiłku, błędnie, odtworzył znaną kanconę nr 3 G-dur Frescobaldiego, po czym z jeszcze większą pewnością — i powiedziałbym nawet: z finezją — tegoż Frescobaldiego tokatę *Per l'Elevazione*. „Wprawiasz mnie w coraz większe zdumienie, cudzoziemcze — wyznałem, kiedy zszedł na dół, rozcierając długie, muzykalne palce. — Jeśli w twoim kraju to się nazywa średnio, to co oznacza dobrze?”. „Pobierałem lekcje muzyki u pewnej

starej organistki w moim rodzinnym miasteczku. Była Żydówką i zmarła w sto ósmym roku życia. A może i nie zmarła” — odpowiedział Stanisław, lecz to niczego nie wyjaśniło.

I wtedy przyszedł mi do głowy całkiem niezły pomysł. „Słuchaj, czy nie byłoby dobrze wyjść na świeże powietrze? — zaproponowałem. — Wieczór dziś ciepły i cichy, cyprysy ładnie pachną, po tamtej stronie, w Wenecji, już zabłyśły światła. Mam tu obok taki punkt obserwacyjny, z którego widać pół miasta!”. „A zmarli?” — zapytał mój gość. „Doprawdy, nadzwyczaj jesteście zabobonni w tym waszym dziwnym kraju! — uspokoiłem go. — A cóż zmarli? Nie będziemy przecież zakłócać ich spokoju!”.

Wtedy zawezwałem Angelica, by przygotował wszystko, co potrzebne, i wkrótce potem zasiedliśmy pod cyprysami, nieopodal cmentarnego muru, z kilkoma butelkami młodego valpolicella, kawałkiem sera i innymi smacznymi przekąskami, przed nami rozstaczały się ciche wody laguny, ciepły zmierzch i blask światel miasta, a za murem — rozmywające się w mroku grobowce.

„Posłuchaj — zwróciłem się do niego z całą powagą, na jaką było mnie stać, po tym jak każdy po swojemu pomodliliśmy się — Mimo iż Beda Czcigodny (a może i ktoś inny) twierdzi, że niedobrze jest wzywać imienia Pana naszego w trakcie picia, ja osobiście nie wierzę, byśmy Go w ten sposób bardzo obrażali. To znaczy, ten pierwszy kielich chciałbym wznieść za liczbę jeden, za Jednię, za Boga Ojca Jedynego, stwórcy Nieba i Ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych, a tym samym za pierwsze przykazanie Boskie. Całe to piękno — powiodłem ręką wokół — i ta cisza do Niego należą, i my też Jego jesteśmy, i nie zapominajmy o tym nigdy, i bądźmy wdzięczni!”.

Wino było szlachetne, a ser i warzywa tylko podkreślały jego smak, więc bezzwłocznie ponownie napełniłem kielichy,

by należycie uszanować liczbę dwa, czyli wypić za dwie postaci Pana Naszego Jezusa Chrystusa, za dwa światy — widzialny i niewidzialny, za dwa przykazania miłości, za dwa sakramenty umarłych, za drugie przyjście, za Powtórzone Prawo, za Kaina i Abła, za chleb i wino, za dwie ryby (niestety, więcej ich na naszym stole i tak nie było).

„Widzę, że nie jesteś pustym człowiekiem — przemówił do Stanisława, odrywając kawałek ryby, której ten jednak nie tknął. — W jaki sposób znalazłeś się tutaj, cudzoziemcze? Co cię tu przywiodło?”. „Ogromna samotność, ojcie Antonio — odpowiedział — nie mam ani domu, ani bliskich, ani rodziny. Jedno mi tylko pozostaje — błąkać się po świecie i z Panem Bogiem w obcych kościołach i katedrach rozmawiać”. Taka odpowiedź bardzo mi się spodobała, pytałem więc dalej: „Czemuż zatem, będąc osobą świecką, nie masz żony?”. „Kiedyś miałem, ojcie Antonio. I bardzo ją kochałem” — po tych słowach wyciągnął spod koszuli medalion i otworzywszy go, pokazał miniaturowy owalny portrecik zupełnie młodej kobiety, niemal dziecka jeszcze, reszty nie dojrzałem, bo mocno już się ściemniło. „Piękna?” — zapytał cudzoziemiec. „Jak anioł” — nie skłamałem.

„Teraz wiem, ojcie Antonio, za co wypijemy — powiedział po chwili milczenia Stanisław. — Za liczbę trzy, czyli za Trójcę Przenajświętszą!”. „Zgadza się — przytaknałem — ale nie tylko. Albowiem liczba trzy to święta i doskonała liczba. To pierwsza liczba, która ma pełną strukturę: początek, środek i koniec. To symboliczna i wieloznaczna liczba. Dlatego wypijemy nie tylko za trzy Osoby Boskie, o czym słusznie wspomniałeś, ale i za Trzech Mędrców ze Wschodu, którzy przybyli złożyć pokłon małemu Jezusowi. Również za trzy dni i trzy noce spędzone przez Jonasza w brzuchu wieloryba, a dalej — za dzień trzeci jako taki, bo jest to dzień Zmartwychwstania. Możemy jeszcze wspomnieć Sema, Chama i Ja-

feta albo — powiedzmy — Daniela, Dawida i Salomona”. Po tych słowach wypiliśmy i zawołałem na starego Angelica, by przyniósł z zakrystii jakiś lichtarz i kilka instrumentów muzycznych. Tymczasem pytałem cudzoziemca: „Czy w twoim kraju wszystkie dziewczęta są tak piękne?”. „Z mojego kraju wszystkie dziewczyny wyjeżdżają — odpowiedział — wkrótce nie zostanie ani jedna. Żadna. To tak, ojciec Antonio, jak ze spódnicami mini. Najpierw zakładają je ładne dziewczęta z ładnymi nogami. Trochę później — nieładne dziewczyny z ładnymi nogami. Jeszcze później — ładne dziewczyny z nieładnymi nogami. A w końcu — nieładne dziewczyny z nieładnymi nogami. A wtedy już wszystkie inne”. Pochwaliłem go za dowcipny sylogizm, choć może i nie był to sylogizm, a wtedy wzięwszy z rąk Angelica mandolinę, wykonałem na cześć gościa piękny madrygalik *Si, si, ch'io v'amo*, skomponowany przez świętej pamięci Claudia Monteverdiego na początku XVII stulecia. Kiedy po wysłuchaniu mój młody towarzysz zaczął głośno klaskać, upomniałem go, by mimo wszystko zachowywał się ciszej: jesteśmy przecież na cmentarzu — i ten natychmiast spowaźniał.

Tak powstała pauza odpowiednia do kolejnego napełnienia kielichów — przed nami jawiła się liczba cztery. „Za cztery ewangelie” — zaczął Stanisław. „Ale nie tylko — dopełniłem. — Bo są jeszcze cztery cnoty główne — roztropność, sprawiedliwość, męstwo i wstrzeźliwość. Oprócz tego są jeszcze cztery rzeczy ostateczne, które też musimy uczcić: śmierć, sąd Boży, niebo albo piekło. Ponadto są cztery grzechy wołające o pomstę do nieba, wśród których jest nie tylko świadome zabójstwo, sodomia, krzywdzenie bezbronnych, ale i — nie wiem dlaczego — wstrzymanie zapłaty. By jednak nie kończyć tak groźnym akcentem, wypijmy również za cztery sześcioskrzydłe istoty, które wszędzie towarzyszą świętym ewangelistom: za Anioła, Byka, Orła i — naturalnie — za Lwa!”

Po tym toaście przez twarz Stanisława przebiegł wyraźny cień bólu i troski. Nauczony śledzić cień cienia, zrozumiałem, że przyczyną było przypomnienie grzechów wołających o pomoc do nieba. Zdecydowałem, że powoli wydobędę z niego wszystko, jednak bez nacisku i ponagleń — ważne, by on sam się otworzył.

W czasie, kiedy Angelico odnosił opróżnione butelki i przynosił nowe — tylko już nie z valpolicellem, a z soave — mój gość Stanisław sięgnął po niewielki, zgrabny bandoleon, przez chwilę grał jakieś swoje melodie, wkrótce jednak uderzył w tonację konieczną do wykonania (bez uchwytnych nieścisłości) *La venenosa* i od razu po niej — *La lusignola* niezapomnianego Tarquinia Meruliego. Bardzo pochwaliłem sposób wykonania — nieco zbyt twardy, jak na włoską muzykę, ale przez to oryginalny. „Czy macie również pieśni miłosne?” — zainteresowałem się. „Nasze pieśni miłosne porzucają nas wraz z naszymi dziewczętami. Pragną żyć w innych krajach” — padła odpowiedź. „Twoja żona wyjechała do innego kraju?” — „Tak, lecz nie do Ameryki” — padła odpowiedź. „Niechże jej się tam wiedzie” — westchnąłem, odnawiając zawartość naszych kielichów młodym soave. „Nie wiem, za co jeszcze moglibyśmy wypić poza Pięcioksięciem” — wyznał niepewnie Stanisław. „Jakże? — próbowałem go rozruszać. — A pięć sakramentów żywych? A pięć bochenków chleba? A pięć stworzonych przez Boga otworów ludzkiej twarzy? A pięciu Ojców Kościoła, których (sam nie wiem za co) lubię najbardziej: Klemens Aleksandryjski — raz, Hipolit z Rzymu — dwa, Ambroży, biskup Mediolanu — trzy, Zenon z Werony — cztery i św. Augustyn — pięć, choć ten piąty nie uznawał muzykowania?...”

To wyliczenie zrobiło na nim wrażenie, więc wychyliliśmy kielichy do dna. Tu, nie odchodząc daleko od liczby pięć, niby od niechcienia zapytałem: „Nawiasem mówiąc, zaczęłaś dziś,

o ile sobie przypominam, od chęci złamania piątego przykazania?”. „Muszę to zrobić, ojczcie Antonio” — powiedział w taki sposób, jakby usta miał całkowicie wypełnione kluskami. „Ale świadom jesteś niechybnej kary — nawet jeśli uda ci się stokroć oszukać nasze doczesne prawo? Czy świadom jesteś tego, że uzyskanie przebaczenia i odkupienia za tak ciężki grzech nie jest proste? Że to jedna z najkrótszych dróg do zaprzepaszczenia duszy, a tym samym i do piekła? Że odbierając komuś życie, człowiek świadomie powtarza zbrodnię Kaina? Być może warto zmienić zamiar? Czyżby aż tak mało było w tobie siły, byś nie zdołał pokonać węża, wroga rodzaju ludzkiego?”. „Jeśli jednak tego nie zrobię, to mnie zabiją” — usłyszałem w odpowiedzi.

Musiałem to trochę przemyśleć, nalałem więc do kielichów po raz szósty. Wokół nas zapadła wielka ciemność. Jedynie przyniesiony przez Angelica lichtarz oświetlał nasz drewniany stolik i martwą naturę na nim — butelki, chleb, ser, rybę, trochę cebuli i winogron. Nad Wenecją wschodził błądy półksiężyc. Skądś, spod mogił, zza naszych pleców, już zaczynały podnosić się błękitnawe lepkie kłęby. Znowu nadciągała nocna mgła. Zrobiło się chłodniej, więc szczelniej okryliśmy się naszymi płaszczami. Następnie uczciliśmy liczbę sześć, pijąc za sześć prawd wiary, za sześć dni tworzenia przez Boga świata, za Abla, Izaaka, Józefa, Mojżesza, baranka paschalnego i miedzianego węża. „Za sześć razy sto jedenaście” — mrugnął do mnie z ciemności Stanisław. Złapałem ręką jego gęstą, jedwabistą czuprynę i wytargałem go boleśnie. „Natrę ci uszu, jeśli tak będziesz żartował” — uprzedziłem go i zaśmialiśmy się jednocześnie, a następnie obaj oprzytomnieliśmy.

„W ciągu kilku ostatnich lat przywykłem do cmentarzy, ojczcie Antonio — po kilku minutach przerwy ponownie przemówił Stanisław. — Był taki czas, że pracowałem jako grabarz.

Na cmentarzach znam się jak na mała czym. Również tu dziś po południu krążyłem dobre dwie godziny. Odnoszę wrażenie, że zmarli się nam przysłuchują. „Obdarowany taką wrażliwością duszy, muzykalnością, wewnętrznym pragnieniem dobra, doprawdy sądzisz, że jesteś w stanie zabić?” — podszedłem go z innej strony. „Tego nie wiem, ojcie. Może ojciec ma o mnie zbyt wysokie mniemanie. Dziękuję ojcu za to” — i wzięwszy ode mnie mandolinę, Stanisław z niezwykłą wprawą zagrał *Próbe struny* niepoważnego Gian Ambrozia Dalza — utwór niezbyt wyszukany, ale niezwykle rzadko występujący we wszelkich antykwarycznych śpiewnikach, a potem wykonał w języku swojej ziemi pieśń, której sens następnie mi streścił. Chodziło o chłopca, który z wielkiej miłości otruł swoją dziewczynę (analogiczne zdarzenie miało miejsce dwa i pół roku temu w Bergamo), za co skazany został na siedem lat katorgi. Chłopiec miał na imię Grześ — na cześć wschodniego świętego Grzegorza Teologa, jak się domyślam. W ciągu siedmiu lat każdego roku Grześ poznawał kolejną tajemnicę. Przemieniony i wtajemniczony, po odbyciu kary powrócił do domu. A tam odnalazł swoją ukochaną żywą — okazało się, że przespała siedem lat nieprzerwanym snem, bardzo zbliżonym do śmierci. W ten sposób szczęśliwie się połączyli. Melodia brzmiała dość słodko, a język mógłby się nawet podobać, gdyby nie zbyt duża ilość szeleszczących głosek.

„W taki sposób zbliżyliśmy się, przyjacielu — powiedziałem, nie zapominając o kielichach — do osobliwej, nadzwyczaj symbolicznej liczby, która oznacza pełnię i jedność. Oddając jej należny szacunek, o czym przede wszystkim musimy pamiętać?” „O siedmiu niebiosach” — nie dał się zaskoczyć Stanisław. „Ale tak samo o siedmiu kręgach piekielnych i siedmiu kręgach czyścica — podniosłem w górę palec wskazujący. — Ale również o siedmiu sakramentach świętych, o siedmiu darach Ducha Świętego, siedmiu miłosiernych

uczynkach dla duszy i siedmiu miłosiernych uczynkach dla ciała; o siedmiu prośbach modlitwy Pańskiej i siedmiu przykazaniach kościelnych; o siedmiu Kościołach Azji, a więc i o siedmiu gwiazdach, i siedmiu złotych świecznikach; o pięciu chlebach i dwu rybach, i o siedmiu pełnych koszach” — zakończyłem. „Oraz o siedmiu śpiących z Efezu” — całkiem do rzeczy przypomniał mój gość. Rozradowany tak głębokim jego obeznaniem, klepnałem go po ramieniu, choć był prawie niewidoczny w tych ciemnościach. Wypiliśmy.

Wtedy, nastroiwszy przyniesioną przez Angelica gitarę, zdecydowałem się przypomnieć sobie coś z młodzieńczych czasów, kiedy sam nie byłem starszy od mego cudzoziemskiego przyjaciela. Wykonałem jedną po drugiej *Che pena e questal cor, Adiu, adiu* i *I'vo bene*. W odpowiedzi na to Stanisław, wyciągając gdzieś z krzaków lutnię, wspaniale odtworzył *Dove, Ahi! Filli*, cztery *ricercary*, jedną *villanellę* i jedno *sal-tarello*. „Łobuzie — rozczuliłem się — posiadając takie serce do muzyki, śmiesz jeszcze mówić, ba, choćby myśleć — o zabójstwie? A niechby ci uschła twoja genialna ręka!” „To niech ją ojciec odrąbie” — wyciągnął do mnie rękę. „Angelico!” — przemówiłem na pół cmentarza, za co się kajam. — „Przynieś siekiere albo piłę! Cokolwiek ostrego!”

Wyplływając po chwili z ciemności, staruch był mocno zdziwiony moją prośbą. Przyniósł mimo to ze swojej szopy nie tylko siekiere, dwie piły, nożyce ogrodowe i zardzewiały miecz doży Dandolo, ale i ogromny tasak do ryb. „Co to, oj-cze duchowny, przyszło ojcu do głowy?” — zapytał podejrzliwie. „Chcę tego jełopa pozbawić prawej ręki. By go nie wiodła na pokuszenie!” — wyjaśniłem. — „Ale najpierw posłuchaj, jak gra!” Wtedy Stanisław tak wspaniale przedstawił *O, come vaghi...* i *O, viva fiamma!*, że nawet głuchawy Angelico uronił kilka łez. Żeby nie chodził na próżno, rozlałem resztę soave do kielichów, i w ten sposób — już we trzech — zbliżyliśmy

się do liczby osiem. „Za osiem błogosławieństw!” — przypomniałem sobie w końcu, a potem, wyęzając się jeszcze bardziej, dodałem: „Liczba osiem, która mieści w sobie siłę Zmartwychwstania, jest protoobrazem przyszłego świata, jak mówi Orygenes. Liczba osiem to spełnienie naszej nadziei, co potwierdza św. Ambroży, którego czczę ze szczególną żarliwością”. „Za ośmiu nieśmiertelnych” — postanowił dorzucić coś od siebie Stanisław, ale odrzuciłem jego pomysł, bo o żadnych ośmiu nieśmiertelnych nigdy nie słyszałem.

Kiedy Angelico znikł w ciemnościach z pustymi butelkami, by odnowić ich zawartość — tylko już nie soave, a czymś mocniejszym — ciemnym weneckim tokajem — kiedy znów zostaliśmy we dwójkę, zapytałem swojego niewidzialnego rozmówcę: „Chcesz, to cię ukryję przed twoimi wrogami tak, że nikt nie będzie wiedział, gdzie się podziałeś”. „Tylko nie to — wdrygnął się Stanisław. — Moi wrogowie są na tyle potężni, że i ojca zniszczą!”. Usłyszawszy taką bzdurę, szczerze się roześmiałem. „Kicham na ich wszechmoc! — wybuchnąłem, skończywszy się śmiać. — Bóg uczy nas bycia mężnym i niezłomnym w obronie prawdy i sprawiedliwości. Skoro męczennicy Pańscy nie ulękli się łamania kołem i rozdzielania na kawałki, skoro prorok Daniel, ufny w Bogu, nie bał się wejść do jaskini z głodnymi lwami, to czym mnie przerażisz? Czegóż mam się bać?”. „Nie czego, a kogo — twardo odpowiedział mój gość. — Ich. Oni są wszędzie. Nawet tutaj” — zostało to powiedziane w taki sposób, że prawdę mówiąc, mimowolnie wdrygnąłem się. W porę więc zjawił się Angelico z napełnionymi butelkami. „Jeszcze ojciec nie odrąbał?” — zainteresował się, spoglądając w stronę Stanisława. „Nic nie rozumiesz, staruchu” — ze skruczą pokiwałem głową i Angelico, coś burcząc, odszedł w mgłę.

„Czy jednak nie możesz gdzieś w cholerę uciec z tego miasta? — ze złości zakląłem i by jakoś umniejszyć swoją winę,

przypomniałem o wielkości i sile liczby dziewięć. — Oto jeszcze jedna liczba Pana. Pamiętasz, drogi Stanisławie, jak uroczycie i godnie uszanowaliśmy dziś liczbę trzy? Tak więc wyobraź sobie, że liczbę dziewięć należy uczcić tak samo, ale potrójnie godnie! Przecież to triada triad, a niektórzy nawet mówią, że malując na ścianie trzy dziewiątki, powierzamy swój dom nieustającej opiece Boga”. „Za trzy dziewiątki!” — podchwycił moją myśl Stanisław i wznosił toast. „Za dziewięć darów Ducha Świętego — zacząłem wyliczać. — Za dziewięć chórów anielskich. Za podobieństwo wojska niebieskiego do wojska ziemskiego. Mam na myśli trzy trójki niezwykniętych, o których poeta napisał: «Anioły lecą trójkami jak zmartwychwstali piloci». Tak więc za króla Artura, Karola Wielkiego i Gotfryda z Bouillon — trzech największych rycerzy chrześcijaństwa! Za Jozuego, króla Dawida i Judę Machabeusza — najdzielniejszych wojowników judejskich! Za Hektora, Aleksandra Macedońskiego i Juliusza Cezara — najwspanialszych wodzów pogańskich!”. Przywołanie sławnych imion na tyle podniosło mnie na duchu, że już po tym, jak wypiliśmy, dodałem: „Żaden zasraniec nie śmie czyhać na twoje życie, drogi Stanisławie, w przeciwnym razie ze mną będzie miał do czynienia! A ze mną żartów nie ma!”. Przynależem mu pod same okulary, żeby był w stanie cokolwiek zobaczyć, niemalą pięść. „Co ty na to?” — zapytałem zwycięsko.

„Domyślam się, że już niejeden nos rozkwasila” — z przekonaniem rzekł Stanisław. „Otóż to!” — potwierdziłem jego słuszne przypuszczenia i obaj zanieśliśmy się śmiechem.

Wtedy, przypomniawszy sobie, po co tu siedzimy, Stanisław złapał za gitarę i bez zbytnej ekspresji, jak to się czasem zdarza obcokrajowcom, za to mężnie zaśpiewał *Ogni amante e guerrier*. „Coś mi się zdaje, przyjacielu, żeś zakochał się. Tak czy nie?” — zdecydowałem się na sprawdzenie. „To nieszczęśliwa miłość, ojciec Antonio — odparł. „Czyli?” — nie

zadowolilem się tym. „Moja ukochana jest zameżna. Zapragnałem żony bliźniego swego. Gotów jestem zrobić dla niej wszystko” — po tych słowach czknał. „I co dalej?” — nie dawałem mu spokoju. „Raz oddała mi swoje ciało. Myślę jednak, że duszy nie oddała”. „Więc nie dość dobrze poradziłeś sobie z jej ciałem — wyraziłem przypuszczenie — Opowiedz dokładniej, jak to było”. „Zrobiłem dla niej wszystko, co mogłem zrobić, i było jej nadzwyczaj dobrze. Stół, na którym leżała, kołysał pod nią jak łódź podczas sztormu”. „Nie wchodź w aż takie szczegóły, chłopcze — zwróciłem mu uwagę — nie chcę nic wiedzieć o waszym *modus coiti*. Powiedz mi lepiej, jak ona na ciebie patrzy: z oddaniem, życzliwością czy raczej z rezerwą?”. „Powiedziałbym, że z życzliwą rezerwą, ojcze” — odparł. „No to gratuluję! Kocha cię! — zapewniłem go. I nagle walnąłem prosto z mostu — Chcesz zabić jej męża?”. „Co ojciec mówi — rozwiązał moje podejrzenia — oni i tak się rozwodzą. Wkrótce jadą do Rzymu po zezwolenie na rozwód”. „Skoro tak, to tym bardziej nie upadaj na duchu! I zawsze pokładaj w Bogu nadzieję — przypomniałem mu — i w św. Walentym, który sprzyja igraszkom zakochanych!”. Po tych słowach uprzytomniłem sobie, że nastał czas na uczczenie liczby dziesięć, napelniliśmy więc kielichy po brzegi. „Za dziesięć przykazań Bożych — zacząłem, jednak długo nie mogłem sobie przypomnieć jakiejś innej znaczącej dziesiątki. Wreszcie wysiliłem się na jeszcze jedną: — Za dziesięć plag egipskich!”, a jeszcze po chwili dodałem: „I za dziesięć miast palestyńskich”.

Kiedy liczba dziesięć została należycie uczczona, a kielichy opróżnione, postanowiłem powrócić do muzyki i biorąc lutnię, zagrałem najpierw *Duolsi la vita*, a następnie — bez jakiegokolwiek przejścia — *Ecco la primavera*, jednakże lutnia jakoś ni czorta nie chciała mnie słuchać, zapewne dlatego, że robiło się coraz chłodniej i zgrabiały mi palce, a w dodatku pomyliłem słowa. „Powiedz mi, chłopcze, zapomniałem, jak

ci na imię — zwróciłem się po chwili do cudzoziemca. — Czy nie potrzebujesz jakiejś broni? Mogę ci na przykład podarować ten miecz. Albo pistolet. Mam dobry pistolet! Możemy z niego trochę postrzelać choćby w to drzewo. Bierz, ja sobie kupię nowy”. Jednakże Stanisław bardzo grzecznie podziękował i przyjęcia broni zdecydowanie odmówił. „To co mogę dla ciebie uczynić?” — nalegałem. „Odpuścić mi grzechy, ojcze” — powiedział. „No to ci odpuszczam!” — machnąłem ręką, a on z wdzięcznością pocałował każdy staw mojego palca. Usta miał ciepłe i nabrzmiałe od wina. Objąłem go i znów wypiliśmy, tylko z jedenastką poszło bardzo ciężko; zdobyłem się jedynie na to, by wygłosić toast za jedenaste zdanie *credo* (choć tak naprawdę jest ono zasadnicze, bo brzmi „I oczekuję wskrzeszenia umarłych”). „I oczekuję wskrzeszenia umarłych” — rzekł Stanisław i zadrżał z zimna. Pomyślałem, że po tych słowach zmarli naprawdę się podniosą, ale na cmentarzu wszystko zostało po staremu, może tylko sowa zahukała i zgęstniała mgła. Wenecji już nie było widać i zdawało się, że zostaliśmy tylko my dwaj ostatni, oczekujący na ostatnie wezwanie. Stanisław też pewnie poczuł coś podobnego, bo nagle zaciągnął niezbyt mocnym, ale cudownie miłym dla ucha, nieco chrapliwym barytonem sławne *Ave Maria* Bartolomea Tromboncina. Czyż mogłem się powstrzymać i nie dołączyć do niego swoim niepełnym tenorem, za który już w seminarium nazywali mnie nie Delcampo, a Belcanto. Przecież nasze głosy były jedyną rzeczą, jaka łączyła nas tu, na tym opustoszałym i żalonym świecie. A sławienie Świętej Madonny śpiewem nigdy nie jest grzechem. W ten sposób poczuliśmy się jak pośród wód Oceanu w małej łódce, nad którą Ona czuwa i o której opiekę nieustająco błaga Syna swego.

Namacalem twarz Stanisława i pocałowałem go w łzę, nie potrafiąc powstrzymać narastającego ściskania w gardle i piersiach. „Nie grzesznika całuję, a wspaniałego muzy-

ka” — powiedziałem po włosku, ale on i tak zrozumiał. Właliśmy resztę wina do kielichów. Zbliżała się północ i trzeba było dojść wreszcie do liczby dwanaście. „Za dwunastu Apostołów” — zrozumiał mnie Stanisław. „I za dwunastu synów Jakuba, a więc i za dwanaście pokoleń Izraela — kontynuowałem. — Za dwanaście bram i dwanaście pereł, i dwanaście fundamentów i dwanaście imion, które są na tych fundamentach wypisane. Za sześć świętych kobiet i sześciu świętych mężczyzn, co w sumie również daje dwanaście. Za baranka św. Agnieszki. Za więźę św. Ireny. Za serce św. Teresy. Za włosy św. Marii Magdaleny. Za nagość św. Marii Egipcjanki. Za ramiona św. Katarzyny, za jej brzuch, za całe jej ciało. Za strzałę św. Egidiusza. Za taniec św. Wita. Za kajdany św. Piotra. Za kwiatki św. Franciszka. Za pokusy św. Antoniego, jego patrona i orędownika. Za psy św. Jerzego!”

Dopiliśmy ostatnie krople i potykając się oraz podtrzymując nawzajem, ruszyliśmy wzdłuż brzegu wyspy z powrotem do kościoła. We mgle całkowicie znikła jej fasada z białego marmuru, podzielona na trzy części pilastrami, z rzeźbą Madonny z Dzieciątkiem nad wejściem. Stanisław niósł w ręce lichtarz i wciąż powtarzał: „Nic nie widać we mgle”. Szliśmy całkiem na oślep, więc nic dziwnego, że przed samym kościołem wpadliśmy na starego Angelica, który stanął na naszej drodze jak słupek soli. „Co? Czyż jesteś stróżem mym? — zapytałem go z wyrzutem, potrząsając w powietrzu gitarą. — Co stoisz jak pień drzewa roku kościelnego?”. Ale stary grzyb zaczął mnie przekonywać, bym kładł się w jego szopie. Mgła faktycznie była jak mleko, wątliwe, czy znalazłaby się łódź, która dowiozłaby nas do Wenecji.

Wszystko, co zdarzyło się potem (jeśli się zdarzyło), jest dla mnie tajemnicą, bo niemal niczego nie pamiętam — dało się we znaki całodniowe zmęczenie i zła widoczność. Wiem, że stary diabeł jednak położył mnie spać u siebie. Dokąd tej

nocy poszedł Stanisław, nie jest mi wiadome. Mam nadzieję, że mimo wszystko znalazł jakiegoś przypadkowego przewoźnika i dostał się do hotelu, znajdującego się, jak mówił, gdzieś nad Wielkim Kanałem, niedaleko Mostu Akademii.

Przypominam sobie tylko, jak wołałem w mgłę za odgłosem jego niepewnych kroków: „Pamiętaj o duszy!”. I jak doleciała do mnie jego odpowiedź: „Spokój grabarza!”. Nakreśliłem w powietrzu, w stronę, skąd go było słyhać, znak krzyża.

Moją rozmówczynię, ooo, moją rozmówczynię zna cała Ameryka! Zna jej upodobanie do półmęskich fryzur i fasonów. Jej dwanaście superszybkich aut. Jej kanał telewizyjny, sieć restauracji i marketów „nonstop”. Jej książki, z których każda działa jak dynamit, wywołując reakcję łańcuchową skandali, procesów sądowych, samobójstw i dymisji. Jej sześciocyfrowe konta i lewackie poglądy. Wśród jej najbliższych przyjaciół są anarchiści, senatorzy i gwiazdy futbolu. Uznaje wyłącznie absynt i lucky strike bez filtra. Nazywają ją „gniewna Lisa”. Jest znana jako „nieznośna Sheila”. Czule mówi się o niej „nasza gniewna, nieznośna Lisa Sheila”. Tyle tytułem wstępu. Moja rozmówczyni — Lisa Sheila Shalizer! Nadajemy nasz program *live*¹ z Międzynarodowego Centrum Kultury i Cywilizacji na San Giorgio Maggiore. Mija już trzeci dzień od rozpoczęcia superseminarium dla intelektualistów i osobistości, poświęconego problemom Wenecji. Pani Shalizer, moje pierwsze pytanie: jakie jest pani zdanie na temat tego superzgromadzenia?

— Oh, *fucking shit!* [Śmiech chrapliwy]. Moje zdanie! Moje zdanie nie chce mi przejść przez usta! To bardzo ostre i nieprzyjemne zdanie. Zapytaj o coś, co łatwiej przelknąć, *baby!*

¹ Ten i kolejne nieprzekładalne amerykańskie pozostawimy bez tłumaczenia.

— Jak się pani podoba Wenecja, pani Shalizer?

— Mów mi „Lisa”! Nie znoszę tych *shitty* burżuazyjnych form! [*Śmiech niszczycielski*]. Wenecja? Wenecja jest *stinking!* Wszędzie pełno *junk*, bezdomne psy, dużo biedaków. Wenecja to ogromna *asshole*. Zbrodnia przeciw ludzkości!

— A jednak. Co zrobiło na tobie największe wrażenie?

— Największe wrażenie? [*Śmiech przechodzący w charkot*]. Zapytaj lepiej tak: co cię najbardziej zdziwiło? Wiesz co? Pytam was, ja, otwarta Sheila, pytam was tu, w tym mieście: jak możecie się całe swoje życie *to screw* w tych wiecznie wilgotnych łózkach? Dlaczego tutejsze kobiety się nie wyzwolą? Dlaczego siedzą na tych mokradłach jak w *cunt*?...

— Rzeczywiście, jest się nad czym zastanowić, Liso...

— Tu się nie ma nad czym zastanawiać, *dolly!* I tak wszystko jest jasne! To miasto ginie. Na wyższych piętrach pałaców wszystkie okiennice są pozabijane. Na wieki! Tu już nikt nie przyjedzie!

— O ile mi wiadomo, właśnie to jest centralne zagadnienie dzisiejszego seminarium. Wkrótce, za godzinę, dwie, usłyszymy twoje wystąpienie. O czym będziesz mówić?

— O, zapamiętacie to! Będzie o końcu. O końcu fallocentryzmu, moja *pussy*. Mamy szczęście żyć na unikalnym przełomie epok. Kobieta staje się samowystarczalna. Fallus przestaje władać światem.

— Czy ten koniec zwiastuje jakiś początek? Początek waginocentryzmu, na przykład?

— Zwiastuje tyle, że *dick* upada, poniżony, że schodzi na dalszy plan. Od czasu do czasu zresztą możemy go po prostu kupić czy wynająć, i tyle. Uwolniłyśmy się spod jego jarzma!... Dopiero teraz możemy dokonywać prawdziwych wyborów. Idziesz sobie zwyczajnie do *sex-shop* i zamawiasz tę rzecz, ładnie zapakowaną, a nawiasem mówiąc, o ile sprawniejszą od nikczemnego żywego *cock!*... Winszuję ci z tej okazji — jak

wolna kobieta wolnej kobiecie. Gratuluję wszystkim naszym słuchaczkom...

— Dziękuję, Liso. Nie przypuszczam jednak, by dla wielu z nas była to dobra nowina...

— Tego możesz być pewna! Jeszcze wam nie obrzydło wieczne przyzwalanie na gwałt? I to komu? Tym brzuchatym *mumbles*, którzy tak naprawdę nie mają nawet ochoty się spuścić, bo zależy im wyłącznie na dużym makaronie z piwem!... [*Śmiech satyryczny*].

— Jednakże, Sheilo, krążą o tobie plotki, jakoby i ty wciąż tkwisz pod pewnym, jak to nazywasz, jarzmem. Pewien ilustrowany tygodnik zamieścił ostatnio dość śmiały reportaż o porządkach, jakie panują na jednej z twoich posiadłości w San Felipe, Kalifornia. Opisano niesamowite *wild parties*, jakie masz w zwyczaju urządzać w towarzystwie swoich szoferów, masztalerzy, poetów, masażystów, ochroniarzy i ogrodników...

— To nieprawda! To *bullshit*. Jestem wolna. Wolno mi korzystać z nich, jak mi się podoba. Obchodzi mnie tylko to, jak wielkie mają *foreskins*. W każdej chwili mogę ich przepędzić, zapłacić im, wymienić każdego z nich. Nawet na robota. Albo na nosorożca! [*Śmiech sardoniczny*].

— Czy w związku z tym można powiedzieć, że nienawidzisz mężczyzn?

— Nienawidzę? Mam wśród nich najlepszych przyjaciół! Zdarzają się jednostki godne szacunku. Niektórzy nawet uczestniczą w tym *fucking* seminarium. Na przykład ten fantastyczny Cygan Mauropule. Szkoda, że do tej pory się nie pojawił. O, to fenomenalny *cuntchaser*! Albo mój kolorowy brat i przyjaciel John Paul. On również będzie dziś mówił o wyzwoleniu. Wolność i równość — to dwie rzeczy, na których punkcie jesteśmy skrzywieni i z powodu których mężczyźni się w tym *slimy* mieście.

— No tak, ale z kolei John Paul to podobno dla ciebie ktoś więcej niż przyjaciel i brat...

— Wiem, wiem, *catty!* Wiem skąd te plotki! Stąd, że przyjeżdża się u was myśleć, że wszyscy bez wyjątku czarni chłopcy mają interes do kolan! Muszę przyznać, że sporo w tym prawdy!... [*Radosny śmiech nimfy*].

— Skoro już zeszliśmy na sprawy intymne, skomentuj, proszę, jeszcze jedną pogłoskę, od rana krążącą w kuluarach. Chodzi o twoje skomplikowane relacje z tym młodym Rosjaninem Perfeckim.

— Podoba mi się kąt nachylenia jego dużej głowy. Lewa brew. Unosi się nieco nad okiem i jest nastroszona. Jest dość plastyczny, to znaczy nieźle posługuje się swoim ciałem. Popatrz: oto zastygł, jak *film star*, tam, naprzeciw, pod ścianą. To naprawdę godna uwagi poza. Wygląda jak archanio! Trzyma kieliszek z jakimś *crap* swoimi cienkimi i delikatnymi palcami. Najwspanialsze ma te palce. Ileż on nimi potrafi! Poza tym interesują się krajem, z którego pochodzi. To kraj moich rodziców. Uciekli stamtąd kiedyś dawno temu. Byli prześladowani przez tamtejszy reżim tylko za to, że nosili nazwisko Zuckerkandel...

— To okropne! Te reżimy!... Wróćmy jednak do Perfeckiego. Dziś od rana głośno o tym, że minionej nocy widziano go w twoim hotelu...

— Nieprawda! Minionej nocy był pijany w trzy dupy! Nie chcę nic więcej na ten temat mówić. W dodatku dziś, jak widzę, znowu mu towarzyszy ta głupia mała, córka cyrkowego oszusta. Patrz, jak lgnie do jego ramienia, fładra...

— O ile rozumiem — mówię to dla naszych słuchaczy — chodzi o koordynatorkę seminarium, panią Adę Cytrynę...

— Tak, właśnie o tę *whore*... Ciągle o niej bełkocze. Myśli tylko o niej.

— Może wiąże się to z jakimiś zagadkowymi okolicznościami?

— Żadnych zagadkowych okoliczności! Wiąże się to wyłącznie z jej *cunt*. Tak samo, jak i z jej *ass*. Całkiem stracił głowę, ten kretyn.

— Naszych słuchaczy zainteresowałoby również bardzo...

— Siedział w fotelu, trzy godziny siedział w fotelu, a głowa ciągle mu opadała. Zamówiłam mu bardzo mocną kawę, a on ją tylko porozlewał. Chyba nawet mnie nie widział. Że siedziałam przed nim. Że przyszedł do mnie. Tam, gdzie mieszkam...

— Dziękuję za wywiad, Sheilo, pozwól...

— Ledwie ruszał językiem, tym całkowicie znieczulonym przez wino *goddamned* językiem, ale wszystko, co mówił, było bez wyjątku o niej, o tej *slut*. Tysiąc razy wymówił jej imię! Powiedziałam sobie: „OK, Sheilo, bądź cierpliwa”, przyniosłam mu jeszcze jedną poduszkę i szlafrok...

— Droga Liso, zdaje się, że nasz czas na antenie...

— Nic nie słyszał, opisywał tylko jej ciało, mówił, że jej *ass* to tunel z oślepiającym światłem na końcu! I komu to mówił? Mnie! Że jej *cunt* to amerykański sen! Że jej *boobs* są jak młode arbuzy. Gotowa byłam paść przed nim na kolana, byleby przestał mleć tym zdrętwiąłym ozorem, tym swoim cienkim, delikatnym językiem... Chciałam się nawet za nią przebrać, żeby pomyślał, że jestem nią, ale zabrakło mi tych *shitty* wiśniowych kolorów...

— Tak więc, na koniec naszej rozmowy...

— Chciałam przenieść go z fotela na łóżko. Wierzyłam, że będę go w stanie podnieść i przenieść kawałek na rękach. Ale był taki bezwładny! Wtedy ściągnęłam go prosto na podłogę, biłam po twarzy i zdjęłam mu okulary, wymacałam pod koszulą jakiś medalion, chciałam zerwać w cholerę ten medalion, żeby wreszcie oprzytomniał...

— Tak więc, drodzy słuchacze, dziękujemy naszej znakomitej rozmówczynie za...

— To go odmieniło! Zerwał się na równe nogi i wyrwał mi z rąk okulary i rozdarł ten ten szlafrok i wybiegł najpierw do loggii potem do łazienki potem do jeszcze jednego pokoju gdzie spał John Paul i gdzie pachniało trawą myślał że znajdzie wyjście ale jedynym wyjściem był skok przez okno i już stał na parapecie kiedy ściągałam go za poły płaszcza za spodnie za wszystko co miał wtedy nagle zarechotał i wpadł z powrotem do pokoju upadł na wznak bo pociągnęłam go i to wystarczyło żebym znalazła się na nim dosiadłam go ścisnęłam jego boki kolanami i już nie miał wyjścia John Paul coś mówił przez sen zawładnęłam nim nim nim i już dobierałam się do jego ubrania zdarłabym z niego to ubranie zdarłabym z niego skórę gdy nagle zobaczyłam że śpi że zasnął dopiero co zasnął że śpi jak zabity że żadnych szans i tylko splunęłam i tak go tam zostawiłam na tej podłodze i poszłam zadzwonić do tego małego Giulia z parteru...

— Przypominam, mówiła Lisa Sheila Shalizer, nasz gość z Ameryki. Życzymy jej wszystkiego najlepszego z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet, życzymy wielkiego sukcesu dziś na seminarium. Przed chwilą sekretarz Amerigo Dappertutto ogłosił początek trzeciego dnia. Najświeższe wiadomości z seminarium: trwają poszukiwania konia, na którym przybył do naszego miasta jeden z uczestników, Al-Boraq Dżabraili. Jedna z wersji mówi, jakoby jego konia dosiadł inny uczestnik, Cucu Mauropule, bo po pierwsze, jest Cyganem, a po drugie, dotychczas nie pojawił się na seminarium. Inna wersja mówi, że pan Mauropule nie ma absolutnie nic wspólnego z tą już dość głośną „sprawą roweru”. A wieczorem wszystkich gości i uczestników czeka jedna z głównych atrakcji: wizyta w teatrze La Fenice, gdzie odbędzie się premiera opery *Harfeusz w Wenecji*. Jeśli chodzi o nas, to na tym kończę relację i oddaję głos do studia. Zostańcie na naszych falach! *Ciao!*

John Paul Oshchyrko i dready na głowie. John Paul i słuchawki na uszach. John Paul i bawełniana torba na ramię. John Paul i za duże workowate ubranie. John Paul Wspaniały kiwał swoją piękną czarną głową w rytm muzyki płynącej z jego wnętrza. I do wszystkich doleciały słowa, które mógł powiedzieć tylko John Paul. A były to słowa¹:

Słuchać reggae, konać pod niebem, wdychać zapach trawy. Słuchać nieba, konać pod reggae, wdychać liście trawy. Wdychać reggae, słuchać w niebie, konać pod zapach trawy. Słuchać trawy, wdychać reggae, konać w zapachu nieba. Konać z niebem, słuchać i wdychać: zapach, trawę, reggae. Słuchać i wdychać, konać i słuchać: zapach reggae, trawy niebo.

Wpadać w reggae, konać pod niebem, wdychać zapach trawy. Wpadać w piekło, sypiać pod niebem, wdychać zapach trawy. Wpadać w piekło, sypiać bez ciebie, wdychać zapach trawy. Padać z piekłem, sypiać z tobą, dotknąć zapach trawy. Wpadać w ciebie, sypiać nad piekłem, dotknąć śliny trawy. Wpadać w ślinę, marzyć o tobie, dotknąć piekła żywych.

¹ Czytelnicy nie mający skłonności do lingwistyczno-kabalistycznych prób ten rozdział mogą bezboleśnie pominąć.

Wpadać w morze, marzyć o tobie, dotknąć piekła żywych.
Wpadać w morze, śnić o zieleni, dotknąć piekła żywych.
Wpadać w morze, śnić o zieleni, dotknąć rany żywych.
Wpadać w morze, śnić o zieleni, dotknąć rany ryby. Marzyć
o morzu, wpadać w zielen, dotknąć rany ryby. Marzyć
o morzu, lizać zielen, dotknąć rany ryby. Dotknąć morza,
lizać zielen, wierzyć w rany ryby.

Kończyć w rany, lizać morze, uwierzyć w zielen ryby.

Polubić rany, pokochać morze, posiać zielen dla ryb.

Polubić górę rany, pokochać dolinę morza, posiać ryby
zielenią.

Polubić górę kobiety, górę morza, górę zieleni ryb.

Kochać się z doliną kobiety, z doliną morza, z doliną góry
zieleni ryb.

Posiać się w dolinie zieleni kobiety, w dolinie zieleni
morza, w mroku doliny góry zieleni ryb.

Rozścielić się jak trawa w dolinie kobiecej zieleni,
w suchej dolinie zieleni morza, w świetle mroku doliny
góry zieleni ryb.

Rozścielić się jak trawa i łaska w dolinie zieleni kobiety,
w suchej i czarnej dolinie zieleni morza, w słońcu i świetle
mroku doliny góry zieleni ryb. Rozścielić się jak trawa i łaska
i cisza w dolinie zieleni kobiety, w suchej i czarnej i ciasnej
dolinie zieleni morza, w słońcu księżycu i świetle mroku
doliny góry zieleni ryb. Rozścielić się jak trawa i łaska i cisza
i gwałt w dolinie zieleni kobiety, w suchej i czarnej i ciasnej
i krwawej dolinie zieleni morza, w słońcu księżycu i gwiazdach
i w świetle mroku doliny góry zieleni ryb. Rozścielić się jak
trawa i łaska i cisza i gwałt i strach w dolinie zieleni kobiety,
w suchej i czarnej i ciasnej i krwawej i radosnej dolinie
zieleni morza, w słońcu księżycu i gwiazdach i w mleku
światła mroku doliny góry zieleni ryb. Rozścielić się jak trawa
i łaska i cisza i gwałt i strach i mięso w dolinie zieleni kobiety,

w suchej i czarnej i ciasnej i krwawej i radosnej i bolesnej
dolinie zieleni morza, w słońcu księżycu i gwiazdach
i w mleku i spermie światła mroku doliny góry zieleni ryb.
Rozścielić się jak trawa i łaska i cisza i gwałt i strach i mięso
i wieczny duch w dolinie zieleni kobiety, w suchej i czarnej
i ciasnej i krwawej i radosnej i bolesnej i jak szkielety kruchej
dolinie zieleni morza, w słońcu księżycu i gwiazdach
i w mleku i spermie i jak nektar złotym moczu światła mroku
doliny góry zieleni ryb. Rozścielić się w proch jak trawa i łaska
i cisza i gwałt i strach i mięso i wieczny duch i koniec języka
w dolinie kobiecej zieleni, w suchej jak kielich i czarnej jak
otchłań i krwawej jak odzież i radosnej jak kamień i bolesnej
jak odbyt i jak szkielety lasu kruchej i jak miejsce powicia
zwierza wilgotnej dolinie zieleni morza, w słońcu księżycu
i gwiazdach i w mleku i spermie i jak nektar złotym moczu
i jak niebo czuwania Boga pustej rzece światła mroku doliny
góry zieleni ryb.

Rozsypać się w przestrzeni:

jak trumna i maska i ptak i grom i miód i fallus i sen łona
i strach ryby w zielonej pieczarze świata,
w pustej jak czerep i ciepłej jak wrota i zimnej jak hasło
i nienasyconej jak plaga i nieubłaganej jak śmierć i tępej
jak muszla potopu i tajemniczej jak lato wewnątrz zwierza
zielonej pamięci morza,
w gniewie i miłosierdziu i nadziejach i korzeniach i ślinie
i błękitnej jak hosanna tętna i jak korona łakomstwa Ojca
w zapieczętowanym języku przyboju pustyni wód ognia
zielonej kobiecej rany.

Rozsypać się w przestrzeni:

jak trumna bez wieka i maska cerkwi i ptak twierdzy i strzał
gromu i skradziony miód i fallus niesławny i sen łona
kochanek i śmiertelny strach pijanej ryby
w zielonej jak woń łąki pieczarze świata,

w pustej jak oblaży czerep i ciepłej jak wrota między nogami
i zimnej dla mordercy jak hasło i nienasyconej światłem jak
odwaga i nieubłaganej swą niepewnością jak śmierć i tępej jak
pierwsza i ostatnia muszla potopu i tajemniczej jak lato krwi
wewnątrz zwierza

zielonej jak anioł wieszczą pamięci morza,
w gniewie bez kraju i w miłosierdziu bez początku i w żywnych
nadziejach i wczesnych korzeniach i ślinie wszech orgazmów
i błękitnym jak hosanna świtu tętnie zmierzchania i jak korona
bezsennego łakomstwa Ojca w na wieki zapieczętowanym
jasnym języku nocnego przyboju smutnej pustyni bezdennych
wód bezmiaru ognia

zielonej kobiecej rany.

Rozsypać się w przestrzeni:

jak trumna bez wieka (a nie łoże bez ćwieka), nie jak kwiat
pochwy (a maska cerkwi) i jak ptak twierdzy (a nie twierdza
kurwy) i strzał gromu (a nie błysk kminu) i jak skradziony miód
(a nie zgubiony sad) i nie jak logos poprawny (a fallus niesławny)
i sen łona kochanek (a nie śpiewna łuna branek) i śmiertelny
strach pijanej ryby (a nie piekielny zew przebitej szyby)

w zielonej jak woń łąki (a nie jak toń łągu) pieczarze świata,
w pustej jak oblaży czerep i ciepłej jak wrota między nogami
(a nie jak opadły cmentarz i ciemnej jak włócznia między
ustami) i zimnej dla mordercy jak hasło (a nie dla proroka jak
słowo) i nienasyconej nie rozpaczą jak plaga (a światłem jak
odwaga) i nieubłaganej swą niepewnością jak śmierć (a nie
swą obecnością jak straż) i nie skąpej jak pierwsza i ostatnia
kropla potu (a tępej jak pierwsza i ostatnia muszla potopu)
i tajemniczej jak lato krwi (a nie sito drzwi) wewnątrz zwierza
(a nie węża)

zielonej jak anioł wieszczą (a nie jak demon deszczu)
pamięci morza, w gniewie bez kraju (a nie bez żalu)
i miłosierdziu bez początku (a nie bez rozsądku)

i nie w czystych oliwach (a żyznych nadziejach) i wczesnych korzeniach (a nie wątłych marzeniach) i nie w szosie wszech narodów (a w ślinie wszech orgazmów) i błękitnej jak hosanna świtu (a nie jak kaplica nocy) w tętnie zmierzchania (a nie tajemnicy zasypiania) i w zapieczętowanym na wieki nie jak komora bezgranicznego cudzołóstwa Odyńca (a jak korona bezsennego łakomstwa Ojca) jasnym języku (a nie w zgasłym brzasku) nocnego przyboju smutnej pustyni (a nie powolnego palenia statków) bezdennych wód bezmiaru ognia (a nie kroci piasku bezliku gwiazd)

zielonej kobiecej rany.

Rozsypać się w przestrzeni:

i jak trumna bez wieka i jak łożo bez człeka ale i jak trup bez ćwieka

i jak kwiat pochwy i maska cerkwi ale i jak słowo żertwy

i jak ptak twierdzy i twierdza kurwy ale i mać nędzy

i jak strzał gromu i błysk kminu ale i proch głogu

i jak skradziony miód i zgubiony sad ale i sprzedany zad

i jak logos poprawny i fallus niesławny ale i feniks zabawny

i jak śpiewna łuna branek i sen łona kochanek ale i cenne łajno mamek

i jak śmiertelny strach pijanej ryby i piekielny zew przebitej szyby ale i wymierny smak przegniłej śliwy

w zielonej jak łąki woń i jak ługu toń ale i broń łegu pieczarze świata

w pustej jak oblaży czerep i jak opadły cementarz ale i jak obżarty cesarz

i cieplej jak wrota między udami i ciemnej jak włócznia

między ustami ale i cichej jak wargi między piersiami

i zimnej dla mordercy jak hasło i dla proroka jak słowo ale i dla włóczni jak miasto

i nienasyconej rozpaczą jak plaga i światłem jak odwaga ale i szałem jak naga

i nieubłaganej swą niepewnością jak śmierć i swą
obecnością jak straż ale i swą cierpliwością jak żerdź
i skąpej jak pierwsza i ostatnia kropla potu i tępej jak
pierwsza i ostatnia muszla potopu i głośniejszej jak pierwszy
i ostatni loskot grzmotu
i tajemniczej jak lato krwi i jak sito drzwi ale i jak żyto brwi
wewnątrz zwierza i wewnątrz węża ale i wewnątrz krzyża
w zielonej jak anioł wieszczca i jak demon deszczu ale
i szczęście leszcza
pamięci morza
w gniewie bez kraju i bez żalu ale i bez szalu
w miłosierdziu bez początku i bez rozsądku ale w żołądku
i w czystych oliwach i żyznych nadziejach ale i w żywych
mrowieniach
i wczesnych korzeniach i wątłych marzeniach ale
i w zmarłych modlitwach
i w szosie wszech narodów i w ślinie wszech orgazmów ale
i w szansie wszech porodów
i błękitnej jak świt kaplicy i jak hosanna nocy ale i jak kaplica
hosanny
w tętnie zmierniania i tajemnicy zasypiania ale i w pianie
zlepiania
i zapieczętowanym na wieki nie jak komora
bezgranicznego cudzołóstwa Odyńca i jak korona
bezsenego łakomstwa Ojca ale i jak kolumna
bezbieżnego wiarołomstwa Ognia
w jasnym języku i zgasłym brzasku ale i tęsknym trzasku
nocnego przyboju smutnej pustyni i wolnego palenia
statków ale i poziomego rozmieszczenia mostów
w porannym zdobywaniu litoralu
bezdenych wód bezmiaru ognia i kroczi piasku bezliku
gwiazd ale i rozrzuconych widzialno-niewidzialnych pereł
zielonej kobiecej rany.

Rozsypać się w przestrzeni:

i jak wieko bez trumny i ćwiek bez łoża i człek bez trupa
i jak pochwa kwiatu i cerkiew maski ale i zertwa słowa
i jak twierdza ptaka i kurwa twierdzy ale i nędza maci
i jak proch gromu i strzał kminu ale i błysk głogu
i jak sprzedany miód i skradziony sad ale i zgubiony zad
i jak logos zabawny i fallus poprawny ale i feniks niesławny
i jak cenna łuna kochanek i sen łajna branek ale i śpiewne
łono mamek

i jak wymierny strach przegniłej ryby i piekielny smak
przebitej śliwy ale i śmiertelny zew pijanej szyby
w zielonej jak toń łąki i jak łęg ługu ale i broń woni pieczarze
świata,

w pustej jak obzarty czerep i jak oblaży cmentarz ale i jak
opadły cesarz

i ciepłej jak wargi między ustami i ciemnej jak wrota między
piersiami ale i cichej jak włócznia między udami

i zimnej dla mordercy jak miasto i dla proroka jak hasło ale
i dla włóczęgi jak słowo

i nienasyconej rozpaczą jak naga i światłem jak plaga ale
i szalem jak odwaga

i nieubłaganej swą obecnością jak żerdź i swą cierpliwością
jak śmierć ale i swą niepewnością jak straż

i skąpej jak pierwsza i ostatnia muszla potopu i głośniej
jak pierwsza i ostatnia kropla grzmotu i tępej jak pierwszy
i ostatni łoskot potu

i tajemniczej jak lato brwi i jak żyto drzewi ale i jak sito krwi
wewnątrz zwierza i wewnątrz węża i wewnątrz krzyża

w zielonej jak demon leszcza i jak anioł deszczu ale i jak
szczęście wieszczą pamięci morza

w gniewie bez gniewu i bez kraju ale i bez żalu

w miłosierdziu bez miłosierdzia i bez początku ale i bez
rozsądku

i w żywnych oliwach i żywych nadziejach ale i w czystych
mrowieniach
i zmarłych korzeniach i wczesnych marzeniach ale
i w wątych modlitwach
i w szosie wszech porodów i w ślinie wszech narodów ale
i w szansie wszech orgazmów
i błękitnej jak hosanna kaplicy i jak kaplica świtu ale
i kaplica kaplicy
w tętnie zmierzchania i tajemnicy zlepiania ale i w pianie
zasypiania
i zapieczętowanym na wieki jak komora bezsennego
łakomstwa Ognia i jak korona bezbrzeżnego wiarołomstwa
Odyńca ale i jak kolumna bezgranicznego cudzołóstwa Ojca
w zgasłym języku i tęsknym brzasku ale i jasnym trzasku
poziomego przyboju mostów i nocnego rozmieszczenia
porannej pustyni ale i wolnego palenia litoralu w smutnym
zdobywaniu statków
kroci ognia wody piasku gwiazd pereł ale i widzialno-
-niewidzialnego rozrzucania bezliku bezdennych bezmia-
rów
zielonej kobiecej rany.
Rozsypać się w przestrzeni:
i jak wieko i człek ale i ćwiek
i jak pochwa i cerkiew ale i żertwa
i jak twierdza i kurwa ale i nędza
i jak grom i sad i kmin i miód i głóg i zad i logos i fallus
i feniks
i łuna i łono i łajno i wymierny zew i piekielny błysk
i śmiertelny smak
w zielonej jak woń i jak toń i jak broń pieczarze świata
w pustej i ciepłej i ciemnej i cichej i zimnej i nienasyconej
i nieubłaganej i skąpej i głośniejszej i tępej i tajemniczej
zieleni pamięci morza

bez gniewu bez miłosierdzia bez początku bez rozsądku
w nadziejach oliwach szansie szosie ślinie
jak komora kolumna korona
w łakomstwie cudzołóstwie wiarołomstwie
Ognia Ojca Odyńca
w języku brzasku trzasku
w przyboju rozmieszczeniu i zdobywaniu
a także w paleniu
bezdennych bezmiarów bezliku kroci
zielonej kobiecej rany.

Rozsypać się jak strach w zielonej pieczarze świata,
w pustej zieleni pamięci morza, w gniewie ognia zielonej
kobiecej rany.

Słuchać strachu w zielonej pieczarze świata, umierać
w pustej zielonej pamięci morza, wdychać zapach zielonej
kobiecej rany. Słuchać strachu w zielonej pieczarze piekła,
umierać w pamięci morza pod niebem, wdychać zapach
kobiecej rany trawy. Słuchać strachu w rybiej pieczarze reggae,
umierać w morzu trawy pod niebem, wdychać kobiecy zapach
morza. Słuchać strachu pieczary reggae, umierać trawą śmierci
pod niebem, wdychać kobiecy zapach ryb. Słuchać strachu
reggae, umierać niebem znad trawy, wdychać kobiecy zapach
śmierci. Słuchać strachu trawy, umierać pod niebem i z niebem,
wdychać zapach śmierci. Słuchać reggae, umierać pod niebem,
wdychać zapach trawy.

Obecna w bibliotece publiczność wciąż jeszcze dochodziła do siebie po psychodelicznym ataku Johna Paula, machając wachlarzami (panie) i drżącymi rękami odpalając od zapalniczek papierosy (również panowie), kiedy głosu udzielono Lizie Sheili Szalonej. Jej wystąpienie z kilku powodów powinno było zainteresować, a nawet przyciągnąć Stanisława Perfeckiego, ten jednak — od samego rana błądząc niczym strzęp nocnej mgły weneckiej, po jakimś czasie dopiero nabrawszy kolorów i ożywiwszy mimikę (nie bez wpływu na ten proces pozostała siedząca naprzeciw Ada, ubrana na czarno i wiśniowo), mocno przeklinając minioną noc, którą spędził na podłodze w cudzym pokoju, w cudzym hotelu — zupełnie nie uważał. Stopień jego rozkojarzenia pomoże ocenić przedstawiona niżej tabela porównawcza, odsyłająca nas jedynie do małej części pośród wielkiej *różnorodności* wydarzeń, synchronicznie zachodzących w świecie realnym.

Znalazłszy się na podium, Lisa Sheila obrzuciła audytorium zdecydowanym spojrzaniem i pomijając nawet odpowiednie do tej sytuacji *dear friends*, z miejsca chwy-

Znalazłszy się naprzeciw Ady, Perfecki poczuł się rozdwojony i rozdarty. Z jednej strony cieszyła go niewinna okazja bycia obok niej, patrzenia na nią to otwar-

ciła największego byka za...,
nie, nie za rogi:

— Zaproszono mnie tu, do Wenecji, bym wypowiedziała się w kwestii równie często i szeroko w nowoczesnych społeczeństwach — od Marksa i Freuda do Marcusego i Felliniego — omawianej, jak i w niektórych punktach do dziś niejasnej oraz — użyję słowa, którego nie toleruję — tajemniczej; mianowicie: w kwestii seksu i jego męskiego organu, w kwestii wyzwolenia kobiet spod jego — jak zaraz się przekonamy — niczym nie umotywowanego ucisku. Jestem świadoma, że wielu osobom może zdecydowanie nie spodobać się to, o czym będę dalej mówić. Przygotowana jestem na protesty, jednocześnie chciałam przypomnieć o świętym prawie każdego człowieka do wypowiedzania własnych poglądów, zwłaszcza tych bliższych prawdy. I jeśli tu, na peryferiach, ów ucisk nadal jest akceptowany bez najmniejszych zastrzeżeń, to dla nas,

cie, to skrycie, wdychania jej zapachu, czy też mieszaniny zapachów, wśród których dominujący mógł być i zapach trawy. Z drugiej strony nie był pewien, czy nie obraża jej swoim wyglądem: wymięty i zapuchnięty po nocnych przygodach.

I w chwili tak wielkiej niepewności otrzymał od Ady karteczkę, na której przeczytał¹:

„Stanislavie! Vybach, zhe nie moglam ci vchoraj posviecic chasu. Viesh, chasami zapadam v jakas nieprzezvyciezhona sennosc. Zasypiam i spie, spie, spie — i nic nie mozhe mnie zbudic”.

¹ Zgodnie z zasadami pisowni Ady, poszczególne litery pisze się tak: ą — a, ę — e, w — v, ch — kh, ż — zh, sz — sh, cz — ch.

Amerykanów, już od dwustu lat problem ten nie istnieje.

Przede wszystkim musimy odpowiedzieć sobie na takie stawiane przez współczesność pytanie: czy rzeczywiście obecność w dzisiejszym świecie męskiego organu, którego nie toleruję ani ja, ani moi zwolennicy, jest nieunikniona, decydująca i niezbędna dla reprodukcji, kontynuacji i odbudowy. Czy też może pogłoski o tym, że jest jedyny i niezastąpiony, są nieco przesadzone? Czy mamy podstawy, by już dziś skonstatować koniec pewnego stadium istnienia ludzkiego, które można by nazwać wielce obiecującym słowem „prahistoria”? Gdyby nieco zbeletryzować temat mojego niewielkiego wystąpienia, to mógłby on brzmieć: „Wzlot i upadek pana Ph.”, gdzie pod hasłem „pan Ph.” należy rozumieć dobrze znany większości z nas przedmiot, który w najwspanialszym momencie swoim wyglądem przypomina kostur, berło, pień, promień, wektor, grot,

„Dlaczego wcześniej nic nie mówiłaś? — odpisał Perfecki — Obudziłbym cię!”

„Było minelo” — widniało na nowym kawałku papieru. — „Znov jestem do tvykh uslug, moj genialny khuju! Gdzie vloczyles sie dzis v no-cy, Orfeushu?”

„Do rana błąkałem się po Wenecji i myślałem o tobie” — odpowiedział.

„Udam, zhe uvierzylam — napisała na to Ada — I co o mnie myslales?”

oszczep, nierozwinięty tulipan o poranku, rakiętę balistyczną, ale przede wszystkim — kij, czyli drąg, natomiast w gorszych momentach jest czymś absolutnie żalonym, podobnym do ptaka z podciętymi skrzydłami. Jego pełne imię brzmi Fallus; w niemal wszystkich minionych cywilizacjach należy on do panteonu największych bóstw. Podkreślam: w minionych cywilizacjach. Pragnę wam udowodnić, że nie ma dlań przyszłości. Ośmielam się o tym mówić nawet tu, w tym zaczarowanym i umierającym mieście, w którym postawiono takie pomniki na jego cześć, jak dzwonnica św. Marka czy niezliczone kolumny, w mieście, w którym jego kult jest obecny w sposób niewidzialny — w genach i mimowolnych spojrzeniach, w mieście, które swego czasu zrodziło jednego z najzaciętszych kapłanów i męczenników okrutnego kultu pana Ph. — mam tu na myśli w rzeczy samej wyśmienitego seksterrorystę Casallegrę,

„Myślałem, jak by cię rozbudzić”.

„I co?”

Perfekci narysował nierozwiniętego porannego tulipana.

„Oo!?”

„Tak! A potem myślałem o żywym i lgnącym oddaniu twego ciała”.

„Hmm!?”

„Bo cię kocham. Całym sobą. Wszystkim, czym jestem. Z czego się składam”.

„I przede wszystkim...”

„I nim, oczywiście, też”.

„A ty o kim tak?”

„O nas”.

ee, przepraszam, Casanovę, z którego burzliwym życiem wiąże się nieskończenie wiele bzdur, legend i tego, czego nie toleruję — przesądów.

Ośmielam się mówić na tak drażliwy temat z tej prostej przyczyny, że w chwili obecnej powszechnie pomyślała się moim nazwiskiem właśnie z powodu moich długoletnich badań nad fenomenem pana Ph. oraz wszechstronnej znajomości każdej jego formy. Wystarczy powiedzieć tylko tyle, że — jak większość z tu obecnych musi wiedzieć — w moim domu w Miami mieści się prawdopodobnie największa na świecie kolekcja męskich członków, tych fizycznych wcieleń pana Ph., z których każdy musiałam kupić za potworne pieniądze w muzeach anatomii na różnych kontynentach. Na przykład: nabyty miesiąc temu na aukcji w Sotheby, organ króla afrykańskiego Joshu (Mbobo) XII kosztował mnie... trzysta tysięcy dolarów! Jednakże w chwili, gdy chodzi o osiągnięcie prawdy,

Po przeczytaniu tego Ada długo nad czymś rozmyślała. Potem długo pisała. Potem skreśliła prawie wszystko, co napisała. Potem skreśliła również to, czego nie skreśliła wcześniej. Zmiała papier i zrobiła z niego kulkę. Schowała kulkę do swojej torebki. Na następnym papierku napisała coś zupełnie innego. Właśnie to:

„Cha, cha, cha”

Po przeczytaniu ostatniej karteczki Stachu również długo odpisywał. Często się zatrzymywał, przebiegał wzrokiem każde napisane zdanie. W końcu zmiął papier i zrobił z niego kulkę. Którą wystrzelił w stronę Ady.

o poznanie, o klucz do przyszłości, żadna cena nie jest zbyt wysoka i mnie nie powstrzyma! [*Oklaski nieco ironiczne*].

Zgodzą się chyba państwo z tym, że wśród stu jedenastu egzemplarzy mojej kolekcji mam w czym wybierać, co porównywać, i jestem w stanie wyciągać wnioski bez uprzedzeń. Badania obejmują wszystkie kategorie wiekowe i warstwy społeczne — w moim zbiorze można obejrzeć wspaniałe egzemplarze prezydentów i generałów, poetów, filozofów, aktorów, biskupów, bankierów, monarchów, włóczęgów, bandytów oraz, oczywiście, gwałcicieli, choć w gruncie rzeczy wszyscy oni są gwałcicielami. Przy czym — niezależnie od przynależności rasowej czy religijnej, obywatelstwa czy rozmiaru. W swoich badaniach trzymam się ścisłych faktów naukowych, pragnę całkowicie wykluczyć jakąkolwiek nadmierną swobodę czy postmodernistyczną dowolność w traktowaniu

Ada na powrót zrobiła z posłanej jej kulki kartkę i przeczytała na zmarszczonej powierzchni:

„Chcę być z tobą. Tak bardzo chcę być z tobą. I będę z tobą! Bo będę z tobą. Bo ty będziesz ze mną. Bo my będziemy ze sobą. Sam na sam ze sobą. Bo ty chcesz być ze mną. Bo nie być z tobą to dla mnie w ogóle nie być. Bo lepiej nie być niż nie być z tobą. Z tobą. Dla ciebie. Nad tobą. Pod tobą. W tobie”.

przedmiotu dociekań. Moje wnioski, muszę przyznać, absolutnie nie ucieszą pysznego i hardego bohatera tych badań: ulega on degradacji, a era jego ziemskiego panowania nieuchronnie zbliża się ku końcowi! [*Oklaski, gwizdy*].

Czego się zresztą można było spodziewać po karierze, zawsze i wszędzie opartej na przemocy? Ta pała, ten drąg, ten pał, przez najciemniejsze moce ewolucji powołany został do utwierdzania swojej przewagi wyłącznie przy pomocy napaści, inwazji i wtargnięcia.

Zajęciu obcego miasta przez wojska agresora nieodmiennie towarzyszyło dziekie rozbastwienie pana Ph.

Nigdy nie istniały dla niego metody inne niż siłowe. Już w dawnym Egipcie na papyrusach znajdujemy relację o składaniu krwi kobiecej najokrutniejszemu z bogów — pomiotowi krokodyla, Sobkowi. Pan Ph. występuje tu w roli jego najbliższego współnika, a nawet narzę-

Ada dołączyła się do oklasków, a potem odpisała Perfeckiemu tak:

„Uvazhaj, bracishku. Moge ci uvierzyc”.

„Wierz mi”.

„Never more”.

„Uwierz. Wierszom wierz. Wiatrowi wierszy wierz. Woj-
sku wierszy wierz. Wirowi
wierszy wierz — wyrwij we-
reszkę. W raj wierszy wierz”.

„A tys zwierz!”

dzia, bo jego ofiarą pada nie po prostu krew, a — pierwsza krew. Będzie nie od rzeczy przypomnieć w tym miejscu o specjalnych oddziałach fenickich wojowników, którzy swoje zbrązowiałe członki wykorzystywali do przebijania bram wrogich fortec; o sumeryjskich mnożycielach świętych liter, którzy wspomnianymi odrostkami pisali na glinianych tabliczkach (dlatego ówczesne litery noszą klinowy charakter); o starogreckich atletach, którzy korzystali z balistycznych możliwości swojego sprzętu w miotaniu na dużą odległość bojowych jąder. Kult pana Ph. w najwyższym stopniu przejawiał się w formie budowli w miejscach kultu, mających obrazować wertykalną oś bytu: świątyni, obelisków i uroczysk. Dzwonnica w kościele chrześcijańskim, muzułmański minaret — których w jednakowym stopniu nie toleruję — tak samo wciąż przypominają nam o prawdziwym przedmiocie kultu tych wyznań. Nie wspomnę już o kolumnach świątyni

„A ty! Moja tęsknoto! Moja ochoto! Moja rozkoszy! Żądzo! Chrapko! Niepewności w pewności! Trwogo! Niebogo, daj nogę”.

Po przeczytaniu najnowszej ody Ada wesoło przewróciła zielonymi oczami i zsuwając się głęboko z krzesła do przodu, odpowiedziała:

„Ktora khcesh — prava chy leva?”

„Obie” — napisał Stach i wsunął pod stół lewą rękę z dłuugimi palcami. Przez jakiś czas ręka przesuwiała się w próżni i oczekiwaniu. Trzeba było jej pomóc nachyleniem całego ciała. I dopiero wtedy napotkała tę nogę, tę stopę, ten miękki zamszowy bucik.

„Proshe, oto prava. A dwie to za duzho” — objaśniała notka od Ady.

Perfecki podziękował kiwnięciem głowy. Bucik, ciepły i powolny, zsunął się lekko

Zeusa, albo o rzymskim Kolo-seum, zresztą nawet tu, w waszym zawilgoconym miasteczku, podobnych monumentów znajdziemy aż nadto, o czym już wspominałam. Jedno z najstarszych miast Rosji nazywa się Kijów, co możemy przełożyć mniej więcej tak: „miasto pana Ph.,” strefa jego władzy, jego terytorium. Nawiasem biorąc, mieszkańcy Kijowa i jego okolic od zarania kulturywują charakterystyczny zwyczaj, w święto Zmartwychwstania uroczyście spożywając chrzan, który jest symbolem pana Ph., a to, że do chrzanu podaje się również jajka, wymownie potwierdza znaczenie rytuału. Obecny tu Perfecki mógłby potwierdzić prawdziwość tego przykładu, oczywiście, gdyby nie zajmował się w tej chwili nie wiadomo czym, nie pchał rąk pod stół, nie wyginał się, nie szeleścił cały czas świstkami albo jakimiś pończochami, gdyby go ta mała nie uwodziła, możecie mi wierzyć! [*Wszystkie spojrzenia zwrócone w stronę Ady i Stacha*].

i bezszelестnie. Dalej następowała gładkość pończochy, jednakowo ciepła, zaokrąglenie pięty i bajeczne zagłębianie pod kostką. Potem sama kostka — dwa kościane pagórki, cichy odpoczynek przed dalszą drogą. Jednakże znowu zabrakło ręki.

Ada zrozumiała i głębiej zsunęła się z krzesła. Pozwoliło to palcom Perfeckiego ruszyć do przodu po łydce, napiętej i jednocześnie delikatnej.

„Dobrze ci?” — pytał Stach.

„O, jak w przychodni!” — odpowiedziała.

„Chciałbym być lekarzem. Twoim osobistym lekarzem” — niczego więcej nie udało się dopisać, bo palce niemal rozciągniętego na stole Perfeckiego doszły właśnie do kolana, do tej pełnej słodyczy czaszy...

Nie wiadomo, dlaczego wszyscy patrzyli w ich stronę.

Jednocześnie w najdawniejszych kulturach odbywają się procesy odzwierciedlające niejednoznaczność karłowatego wlotu naszego bezczelnego bohatera. Niektóre narody już od zarania dziejów starają się upokorzyć rozpustnika i pokazać mu jego miejsce. Semici wykonali radykalny krok w stronę zdrowego rozsądku, decydując się na jego obrzezanie. Jeszcze inne ludy posuwały się dalej — od obrzezania do obcięcia, na przykład Akefallowie — u nich wspomniane obcięcie było koniecznym warunkiem ślubnej inicjacji. Wyłącznie młodzieniec na zawsze pozbawiony swojego członka mógł rozpocząć życie małżeńskie. Kwestię podtrzymywania rodu brali na siebie członkowie rady starszyny, którzy z racji pełnienia tak poważnej funkcji zmuszeni byli pozostać w stanie wolnym. To właśnie oni byli prawdziwymi ojcami narodu. Z pergaminów znalezionych w grobowcach starożytnej Sogdiany dowiadu-

„Och!” — zasygnalizowała Ada, której oczy stały się lekko zamglone.

„!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!” — odpowiedział Stach. Jego wykrzykniki przypominały berła, buławy, wektory. Jego palce parły dalej, tam, nad kolana, gdzie tuż tuż przeczuwało się brzeg spódnicy, a najdelikatniejsza siatka pończochy nabierała niezwykłej subtelności.

I to już był koniec. Dostępna dla ręki odległość urywała w tym miejscu. Stachowe palce jeszcze przez jakąś chwilę ciągnęły rozpaczliwie w przód, aż trzeszczały stawy. Ale od tego tylko mdlały ręce.

jemy się o innym, nie mniej zaskakującym ślubnym obyczaju. Pierwszą noc młoda para spędzała razem z biseksualnym kapłanem, rogatym Bykiem-Krową, który i deflowował młodą, i przyjmował w siebie młodego. [*Głos z sali: „Nieprawda!”*].

Jak widzimy, już w zamierzchłych czasach ludzie, zwłaszcza należący do rozwiniętych kultur, świetnie rozumieli, że seks może odbywać się bez władzy ogarniętego żądzą pana Ph., że w żadnym wypadku nie jest to sprawą wyłącznie pary podmiot-przedmiot, a co najmniej — całej społeczności. Kontrola kapłanów nad procesem poczęcia, charakterystyczna dla całej ludzkiej prehistorii, na niej na szczęście się nie kończy.

Czy też weźmy drugą stronę zjawiska — sztukę. Wspomnimy tu choćby kastrowanie młodych niewolników w Grecji, dzięki czemu mogli oni wykonywać kobiece role w spektaklach teatralnych. To była doprawdy błyskotli-

„????????????????” — zapytał Perfecki.

„...” — odpowiedziała.

I Stach zatopił się w wy-czekiwaniu, pamiętając, że ma strasznie mało czasu, że w ogóle czas jest przeciw nim, że wkrótce skończy się wystąpienie Wiedźmy Shalizer, że już za dwa dni się rozstana, że kiedyś będzie musiał zostawić Europę, że właściwie nie mają prawa tracić ani chwili i zamiast bezcelowego przesiadywania na tym tak zwanym seminarium powinni być gdzieś tylko w dwójkę — w gaju, raj, niebie, morzu, ogrodzie, łodzi, w jednym łóżku. Że prześladuje ich pech. I ten stół. I ten jej mąż. I ta publiczność. I całe to miasto.

wa myśl! Za pomocą niewielkiego zabiegu chirurgicznego udowodniono, że mężczyźni w niczym nie są lepsi od kobiet, że są mniej doskonali, że różnice biologiczne między kobietą a mężczyzną są całkowicie zmyślane i zupełnie nieistotne. Jeśli zatem można mówić o jakichś różnicach, to tylko w jednym sensie — każdy mężczyzna to zaledwie daleka od doskonałości kobieta, zaś cała jego domniemana odmienność polega wyłącznie na obecności jakiejś absolutnie niepotrzebnej (jak wyrostek robaczkowy) rzeczy. [*Gwizdy, zniecierpliwienie audytorium, niektórzy klaszczą na stojąco*]. Powtarzam: to tylko daleka od doskonałości kobieta!...

Właśnie stąd — z poczucia własnej niedoskonałości, z prymitywnej fizjologicznej dominacji — pochodzi męskie dążenie do panowania nad kobietą. Znajdując się na górze podczas stosunku płciowego, mężczyzna po raz kolejny udowadnia kobiecie swoją wyższość i otwarcie ją

Jednakże oczy Ady nie na darmo zaszyły mgłą. Wiedziała co robić, odważyła się. I czekając na odpowiednią chwilę, płynnie i bezszelestnie ześlizgnęła się pod stół. Tak płynnie i tak bezszelestnie, jak spłynęłaby, na przykład, jej chusta z jedwabiu. Z kocią zwinnością, tak gładko i niepostrzeżenie, z oddaniem, kolejny raz upewniając Stacha (któremu zamarło serce) o swej doskonałości. I tam, w tej ciemnicy, w ciasnocie obcych nóg — tupoczących, dzinsowych, skarpetkowych nóg, które się pościły, protestowały i oburzały — natychmiast znalazła jego, Perfeckiego, nie kończące się nogi, wysunięte jej na spotkanie, a ona owinęła je sobą jak mocnymi lianami, a wtedy znalazła tam, w oddali, to żywe i silne stworzenie, tę doczesną broń, młodego księcia, dumnego wojownika, samolubnego zawadiakę, prężne-

poniżej. Mężczyźni, przewidywając, że uznanie równości relacji i stanowisk zmusi ich do przyznania się do własnej niedoskonałości i ułomności, porwali się na radykalny przewrót historyczny, niemal wszędzie obalając naturalny matriarchat i za pomocą swej doczesnej broni narzucając anomalię patriarchy. Ograniczyli kobiety we wszystkim, ale — co najgorsze — w możliwości wyboru i w prawie do swobodnego przemieszczania się. Zepchnęli je do ciemnicy życia domowego, sobie z kolei pozostawiając uciechy, alkohol i morskie podróże...
[Krzyk z sali: „To wiedźma!”].

go jeźdźca, twardego stoika, nocnego gwałciiciela, słodkiego zabójcę, wolnego kozaka, dobrego olbrzyma. I tak, nieustannie przebijając się w kierunku jego wierzchołka, pamiętała: to wszystko, co może zrobić dla niego, i tylko tyle, co może zrobić dla siebie, ale w tej norze, w tej ciemności, nic więcej nie było im dane — tylko występna miłość i miłosny występnek, i otchłań raju, i rajska otchłań, i tupot nóg, i trzepot skrzydeł, i wzlot i wzlot i wzlot...

W tym miejscu zmuszeni jesteśmy pominąć część wystąpienia pani Shalizer, ponieważ błyskawice w Stachowej czaszce oświetliły drogę niemal do nirwany. Uratować go mogło jedynie pół szklanki whisky, czego nie odmówił mu wyczulony na takie przypadłości sercowe sekretarz fundacji. Dopiero wtedy błądząca dusza Perfeckiego pozwoliła sobie na powrót z wyżyn Szambały do wnętrza biblioteki klasztoru San Giorgio Maggiore, na wyspie o tej samej nazwie, na Morzu Adriatyckim, w mieście Wenecja, na południu Europy, i ponownie zajęła przeznaczony jej od trzydziestu z hakiem lat przytułek w jego, Perfeckiego, ciele.

— Spośród odwiecznie przewijających się wątków istnienia ludzkiego — tymczasem Szelma Shalizer, odparłszy pierwszy atak, rozwijała swoją wizję historii świata — ów jeden jedyny, najistotniejszy, zaprzęta moje myśli i zmusza do ciągłego niepokoju. To przypowieść o Czerwonym Kapturku, która pożarta przez wilka, w ciągu długich stuleci błąkała się w ciemnościach jego wnętrza, by mimo wszystko odzyskać wolność. Historia rodu ludzkiego to historia walki kobiet o wyzwolenie spod dyktatury pana Ph., wilka właśnie.

Nawet w średniowiecznym społeczeństwie, znajdującym się pod całkowitą kontrolą mężczyzn, naszym poprzednikom udało się zwalczać jego, pana Ph., bezgraniczną swawolę. Stosunki płciowe odbywające się wbrew woli kobiety, przemocą, karane były tak samo surowo jak zabójstwo — nie dotyczyło to jedynie pary małżeńskiej (w tym właśnie cała ułomność średniowiecznego

Niezadowolone zebrań stawało się coraz bardziej widoczne. Sytuacja nieubłagana zmierzała ku skandalowi, co zresztą dla prelektki było normalne, a nawet pożądane, chociaż na razie audytorium pozostawało w nastroju raczej wesołym.

Gaston Déjàvu, wcielenie Żartobliwości, przykładowo, w komiczny sposób odgrywał kolejno to Wilka to Czerwonego Kapturka, to Doskonałość lub Pożądanie, a to niespodzianie Sinobrodego szukającego kolejnej ofiary.

John Paul nadal przebywał w świetle półmroku doliny góry. Jego twarz uśmiechająca się mięsistymi wargami mogła dotyczyć czegoś innego i odległego.

Prawnuczki przestarzałego barona oblewały się niesamowitym rumieńcem po każdym słowie Sheili. Sam Casallegra nawet nie próbował powiedzieć choćby słowa, zastygłszy w swoim prezydenckim fotelu niczym słup prawdy i cnoty. Zresztą, zamknięte oczy mogły

prawa). Cały ówczesny świat obiegiła budząca grozę historia kawalera Samuela Niemiryicza, mieszkańca sarmackiej fortecy Leopolis, przodka po mieczu obecnego tu Perfeckiego², który to — nie Perfecki, tylko Niemirycz — na początku XVII wieku zgwałcił córkę tamtejszego kata o poetyckim imieniu Nieborak, za co został oddany w ręce sprawiedliwości — Inkwizycji, a następnie porąbany na sześćdziesiąt dziewięć kawałków przez ojca swojej ofiary. Członek wspomnianego niegodziwca — znów Niemirycza, nie zaś Perfeckiego — zakupiony podczas ogólnoswiatowej aukcji antyków cztery lata temu w Salonikach, w chwili obecnej znajduje się w moich zbiorach.

Początek końca pana Ph. to coraz wyraźniejsza jego niemoc. W nieprzerwanych

² *Madame* Shalizer dopuściła się potwornej, wprost haniebnej pomyłki, myśląc Perfeckiego z innym znakomitym współczesnym poetą — Jurkiem Niemiryczem.

świadczyc również o tym, że śpi.

W tym czasie Al-Boraq Dżabraili w ogóle znajdował się poza wyspą — w pomieszczeniu kwestury niedaleko Rio di San Lorenzo pisał kolejną naszpikowaną kulturowo-historycznymi reminiscencjami skargę z powodu zaginionego i dotąd nie odnalezionego Rosynanta.

Wszyscy pozostali goście, w ten czy inny sposób przejawiając zdecydowaną niechęć do wystąpienia sławnej Amerykanki (okrzyki typu „O la la!”, tupanie nogami, gwizdy), nie byli jednocześnie na tyle zniecierpliwieni, by rozpocząć protest i nie pozwolić Shalizer dojść do końca.

Jednakże gwałtownym zaostreniem tonu i przejściem do imiennego obrażania (a właśnie tak została przyjęta aluzja do siwogłowego prezesa Casallegrы, o którym prelegentka publicznie wyraziła się „niesympatycz-

bitwach minionych tysięcy — agresor i gwałcień — stracił połowę swojej niegdysiejszej potęgi. Coraz częściej skarży się niesympatyczny stary włóczęga na częściową lub całkowitą impotencję. A jest to fakt już potwierdzony przez światową medycynę!

Dziś możemy mówić o rzeczywistym sukcesie, jaki osiągnęły kobiety, zwłaszcza w moim kraju, w dziedzinie wyzwolenia się spod władzy tego podstarzałego lowelasa.

Mam tu na uwadze przed wszystkim prawne rozszerzenie pojęcia „gwałtu”, do którego dziś całkowicie słuszenie zaliczamy jakąkolwiek próbę zbliżenia mężczyzny do kobiety, jeśli ta próba nie odbywa się z inicjatywy kobiety (albo też i kobiety, i mężczyzny), a tylko mężczyzny. Nadgorliwi poplecznicy pana Ph., ci ostatni Mohikanie, zgodnie z pewnymi paragrafami naszego kodeksu karnego, mogą dziś zostać postawieni przed sądem i tak

ny stary włóczęga”) Lisa Sheila rozpętała burzę. Napięcie podsycalo również to, że od pewnego czasu dawali znać o sobie nieliczni, ale aktywni zwolennicy i zwolenniczki Amerykanki — jakies podejrzenie wygląające zarośnięte typy i wyblakłe umalowane paniusie, najwyraźniej najeję i przyprowadzeni przez samą Shalizer jako klakierzy. Na początku nieco onieśmieni światłym towarzystwem, już wkrótce w oczach stawali się coraz bardziej aroganccy.

Najpierw przejawiało się to w pojedynczych okrzykach typu: „*Brava!*”, „*Molto bene!*” i „*Ben gli sta!*”. Przeczuwając jednak, że w ten sposób absolutnie nie zarobią obiecanej sumki, członkowie tej dziwnej kompanii przegrupowali się i zajęli wszystkie przejścia w stronę podium.

jak w zamierzchłych czasach bandyta Niemirycz, porąbani na kawałki, nawet jeśli sama ofiara rzekomo namawiała ich do kontaktu płciowego, tak naprawdę wystawiając jedynie na próbę ich wstrzeźmięźliwość, której nie okazali. Kilka spektakularnych i zakończonych ogromnym sukcesem procesów sądowych powstrzymało naszych mężczyzn przed pokusą; coraz rzadziej ulegają oni podjudzaniu pana Ph. i szczytu fizjologicznych uciech szukają nie wewnątrz kobiecego ciała, a w kuflu piwa!...

Perspektywa niedopowiedzenia do końca była coraz wyraźniejsza, dlatego głos Shalizer stawał się coraz bardziej nerwowy.

— Powiem, mimo wszystko powiem! — pogroziła wiedźmowatym palcem wzburzonemu audytorium. — Zmuszę was do wysłuchania do końca tej gorzkiej prawdy! Zmuszę was do wysłuchania mnie! Panie sekretarzu, domagam się zaprowadzenia porządku... Milczeć,

Nikt nie zauważył, w którym dokładnie momencie i po jakich słowach prelegentki oraz z której i czyjej strony poleciała pierwsza książka — solidny tom *in quarto*. Był to jednak sygnał do rozwinięcia w czasie i przestrzeni całej batalii. Książek pod rękami było na szczęście tak

bastards! Oddzielone od mężczyzn członki... żyją własnym życiem... Połączeni, nie są nam potrzebni! Panie Dap-pertutto!... *Kiss my ass!*... Potrzebujemy tylko korzystać z nich, kiedy nam się zachce, jasne?... Dla ciebie to też jasne, ty?... *Fuck yourself!*... Ty-siącletni dramat Czerwonego Kapturka czeka na ostateczne rozwiązanie w nowym ty-siącleciu!... Zgwałcona przez Wilka, Czerwony Kapturek... Pluję na to!... Czerwony Kapturek wybiera sama! *Go to hell, you, shitass!*... Wchodzi na właściwą drogę! Staniecie się świadkami własnej zbędności... Przyszłość nie do was należy!... Świnie! Jeśli zapłodnienie, to tylko sztuczne!...

I żaden z was nie dorówna... Wyrabia się je — zamknij się, ty, *motherfucker* — wyrabia się je z silikonu!... Idź w cholerę! Wynocha stąd z tymi waszymi *pricks!* Panie sekretarzu, po raz ostatni proszę... Won ode mnie!... Przejście dla Czerwonego Kapturka!

dużo, że już po kilku minutach zaścieliły sobą wszystko wokół. Inne książki nadal fruwały w powietrzu jak bomby, wybuchając grzybami pięćsetletniego kurzu i rozpadając się na kartki, strony, słowa, litery.

Rozwścieczeni goście seminarium przeszli do gwałtownego ataku i używając również popielniczek, spluwaczek, figurek i świeczników z brązu, zaczęli żwawo spychać lumpowatych popieczników Lisy Sheili w stronę przeciwnych, szybko pustoszejących pótek.

Jak to dobrze, że właśnie w tym czasie, czasie rozbra-tu i nienawiści, Stanisław znalazł się obok Ady i biorąc ją za rękę, wypadł prosto na zewnątrz, za drzwi, byle dalej. I dopiero tam zostawimy ich, nie dostrzeżonych przez nikogo, i niech im szczęście sprzyja!

Nie było już najmniejszych szans na to, by kontynuować to przemówienie. *Performance* udał się znakomicie. Demonstracyjnie naciągając na głowę czerwony moherowy beret, Lisa Sheila Shalizer zeszła z podium i krocząc dumnie, opuściła salę.

W ślad za nią poleciał z przeprosinami, spowity chmurą dymu tytoniowego, Dappertutto. Jednakże emocje słuchaczy wciąż kipiały. Pojedyncze astrolabia, popielniczki i kałamarze wciąż latały nad stołem. Na szczęście ani Ady, ani Perfeckiego nie było w tym harmiderze, który zakończył, podnosząc się i wspierając o kolumny swoich prawnuczek, stary jak świat Leonardo di Casallegra.

— Domyślam się, że dyskusja nie będzie już potrzebna — wystękał i po tych słowach ponownie zamilkł na najbliższych parę godzin.

csxt-dl

Monsiniorowi szczerze melduję:

Dziś, 8 marca, w ciągu dnia udało mi się dokonać sprytniej i uwieńczonej sukcesem operacji. Podczas gdy Respondent przebywał na seminaryjnych odczytach, niezauważony przez nikogo (!), wemknąłem się do jego pokoju. Dostałem się tam przez okno w łazience. Korzystając z tego, że wspomniane okno, wychodzące na podwórze, było otwarte i (mało tego!) jakaś gapa zostawiła tam sznurkową drabinę, ja (stary alpinista) bez większych problemów, ale ryzykując zdrowie lub przynajmniej życie, wspiąłem się do apartamentu Respondenta. Rezultatem przeszukania rzeczy Respondenta było przechwycenie jego notatnika; na pierwszy rzut oka — zwyczajny notes formatu kieszonkowego, w ciemnobrunatnym półskórku, papier barwiony, w kolorze pergaminu, na okładce napis „Diary” (złote tłoczenie). Zapiski Respondenta wypełniają mniej więcej połowę notatnika. Skopiowałem je w całości, niczego nie pomijając, w takim samym porządku, w jakim były prowadzone przez Respondenta. Przesyłam je do rąk własnych Monsiniora. Nastrój Ceriny nadal mi się nie podoba. Czwarty podkomitet do zadań specjalnych mógłby bardziej aktywniej przejawić swoją działalność. Z życzeniami miłej lektury (to żart), zawsze gotowy —

Doktor

Czym wypełnię pierwszą stronę?

Swoimi imionami. I zacznę tak:

Nazywano go: Stach Perfecki i Karp Lubański i Sum Rachmański i Pierre Doliński i Ptak Niebieski. Ale zwano go również Szpas, Gas, Luz-blues, jak też Lach i Bach. Do tego był to Jonasz Ryb i Judasz Kur, i Szura Ptak, i Surre Jądr, i Sława Dni. A prócz tego także Ostrobiec i Chujan Perez, i Sergeant Pepper, i Pieprzytło, i Erz-Herz-Perc. Niektórzy znali go także jako Persydzkiego, Parfiańskiego, Persońskiego, Profańskiego i Perfavorskiego. Najbliżsi przyjaciele lubili go za to, że zwał się także Kamal Manchmal, Johann Kohan, Budda Judda, Juchan Ruchan i Pu Fu. Jednak wszyscy bez wyjątku wołali go Bimber Bibamus, Agnus Magnus, Avis Penis, Sztachus Bachus i Kaktus Erectus. Tak więc nikt nawet nie podejrzewał, że w rzeczywistości to Antinous i Zorro Wawel i Hambs/m/burg/h/er i Sus Orfejski i P.S.

A wszystkich imion jego było czterdzieści i żadne z nich nie było prawdziwym, bo prawdziwego nie znał nikt, nawet on sam.

Nachtigal von Ramensdorf: 618-22-21 (a kierunkowy do Berlina?)

Instytucja, jedna z takich, w których często bywaliśmy. Kłębiący się tłum w korytarzach pod pokojami, jakieś numerki, wściekła kolejka, kłótnia. Ona chyba nie może iść. Nie może stać. Podtrzymuję ją za łokieć. Nagle odwraca się ktoś z kolejki — potężny i niewyraźny — i pyta: „Jesteś pedałem?”. Brak tchu. Sen w Pradze, środek grudnia, więcej nie pamiętam.

NIEMKI. Przeważnie z wielkimi cyckami, ale faktycznie
pobawione tyłka. Takie to już prawo natury.
(Z notatek pewnego wędrowca)

O 16:00, jutro: spotkanie u Chińczyka (wysiąść na zoo).

Rytmomelodyka arytmetyka poetyka retoryka

Ogólnie: poczucie pełnego wyczerpania. Dewaluacja
słowa: pisać jak najmniej poetycko. To bzik starszego
pokolenia. Młodzi piszą inaczej (jeśli piszą).
Prawdopodobieństwo „nowego Rilkego”? Benn? Boję się, że
nie.

W najlepszym razie — Artmann. Zakończenie mowy.

Zoja: 19:30

Nie wierzyła, że była moją pierwszą. Że z nikim jej nie
zdradzałem, no, z nikim, naprawdę. Nie wierzyła, że pisałem
do Niej listy, ale ich nie wysyłałem. Nie wierzyła, że mogłem
tygodniami mieszkać na strychu, gdzie Sławek przynosił mi
kawę i gofry. Kawiarnia znajdowała się na parterze, stał
tam automat muzyczny. *Special for me* Sławek robił głośniej.
Nie wierzyła w żadną z moich nocnych przygód. Kiedy
pobili mnie w parku, z facjaty zmywała mi krwawe smarki
watą, namoczoną w ciepłej wodzie. I nie wierzyła. Nie
wierzyła, że pobili mnie całkiem przypadkowo — po prostu
nieprawidłowo odpowiedziałem na ich hasło: „Kotoryj czas?”.
Itd. Jeśli trzeba to wyjaśnić, proszę bardzo: kochała mnie.
Łatwiej było jej nie wierzyć. ZROBIĆ Z TEGO „PROLOG”

Greckie potrawy: prosić o gyros (może być z czerwonym
ostrym sosem, ale częściej tztziki). Suflaki.

arytmetyk — nimfetek — patetyk (?)

*Ranek Wenecji*¹

Przypisane Richardowi Beer-Hofmannowi

*Okien książęco wypieszczonych szyby
Raczą nas trudzić wiecznie sobie bliskim
Widokiem miasta, które wciąż jak gdyby
Ze związku wód przyptywu z nieba błyskiem*

*Poczyna się, a nigdy być nie może.
Naprzód opalem, który ku ozdobie
Był miastu w przeddzień, muszą ranka zorze
Błysnąć stolicy z kanałów zwierciadła
Sznu odbić dobywając, żeby sobie
Chciała przypomnieć, uległe opadła*

*Jak nimfa, Zeusa wypełniona grzechem.
Ucho jej brząknąć zausznicą skore;
Podnosi więc San Giorgio Maggiore
Gnuśnym witając piękną rzecz uśmiechem.*

UROBOROS — prastary symbol wieczności, Smok, który
pożera własny ogon.

BAFOMET — w najstarszych literaturach obraz idola czy
diabła w kobiecym ciele i brodatą głową.

MAFEDET — staroegipski lew o szyi wężą

LACERTINA — dwu- albo czteronoga podobna do węgorza
chimera w malarstwie średniowiecznym.

znaleźć ich wizerunki

¹ Wiersz Rilkego z tomu *Nowe poezje część druga* w przekładzie
S. Perfeckiego.

Topole — topolowa, topolna, topnieć

Lipy — lipowa, lipna

Początek sierpnia we Lwowie. Upał. Budynki i chodniki rozpalone. Mało wody. Rdza, zapach. Piliśmy dużo wina. Przenosiliśmy się z mansardy do mansardy. Budziły nas nie tramwaje, a gruchanie gołębi. Co nocy rozbierałem ją do snu. Wino było przeważnie czerwone. Wszyscy mówili, że algierskie. Pachniało ziemią, i to nam się właśnie w nim podobało: glina, chłód. Schody strasznie skrzypiały, kiedy nocą wracaliśmy do mansardy. Pewnego razu na schodach: emeryt w wojskowym zdobyczym trenczu narzuconym na podkoszulek. Kilka razy wystrzelił w naszą stronę, ale chybił: nie te lata. W pracowni u Maksa leżała księga, którą należy czytać tylko od prawej do lewej, przerzucając stronicę czubkiem święconego noża. Po przeczytaniu każdej strony należy wypowiedzieć na głos dziewięć modlitw. Kiedyś zastałem Ją nad tą księgą. Trzymała w ręce szklankę czerwonego wina i czytała księgę, nie zachowując środków ostrożności. Powiedziała, że to niezła powieść, trochę staroświecka i nudna, właśnie na tyle, na ile musi być nudna dobra literatura. Niemal siłą oderwałem ją od księgi i więcej nie przyprowadziłem do pracowni Maksa. Potem czas jakiś mieszkaliśmy na Pohulance. Tam znalazłem jezioro.

W sprawie Monachium: tel. 237715

„Firma” — 4600 USD

Janeczek — 310 USD

„Finanse i Dobrobyt” — 2500 USD

LTD-Bank — 7000 USD

Kula — 500 USD

Cujkowski — 2100 DM

J.-V. „Tent-M” — 780 USD
Jura — 450 DM
Pawliw — 1500 CHF
Adwokatura — 1500 USD
Krochoborow — 530 FRF (70 oddałem jeszcze w kwietniu!)
„Wampir-import” — 900 USD (bez podatku)
Ahmed (Abdurachman) 1200 £
„Sołowiej-trust” — 3335 USD
Spółka joint-venture „Bleff” — 1000 USD + 1000 DM
(zwrócić w jenach)
Razem: 27 730 USD !!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

od tych arytmetyk

Also, trzeba wymawiać Bosz, a nie Bosch. W Berlinie: po raz drugi. W Wiedniu widziałem *Niesienie krzyża*. Teraz Św. Jan na Patmos. Rudy chłopiec z piórem i księgą. Czytanie znaków apokalipsy. Matka Boska z Dzieciątkiem (lewy górny róg, na niebie, świetlna kapsuła — Bosch!). Drzewo z ptakami. Lipa? Każde drzewo to lipa. Naruszenie perspektywy jest tak jawne, że samo drzewo daje niesamowitą frajdę. Lewy dolny róg — znowu ptak (jakby sokół). Anioł na wzgórzu. Błękit i biel. Pośrednik. Zwiastun. Dużo wody i odległych łodzi. Chce się tam być. W mieście nad wodą. A ta potwora w okularach? Troll? Zakuty w pancerz? Ogon salamandry? Demon. Dowiedzieć się więcej o braciach i siostrach Wolnego Ducha. Zieleń, ochra. Płaszcz: biel, róż, czerwień. Trzymanie się tekstu. Przedmioty rozłożone na ziemi. Jeden przedmiot? Skupienie. Posyłają nam znaki. Nie jesteśmy gotowi.

lipne — chlipnę — ślepnę (!) — łyknę — zipnę

Okazuje się, że i w Monachium kogoś mają.

NIEUBŁAGANY SCENARIUSZ

Ilość przechodniów monachijczyków z włosami farbowanymi na zielono albo czerwono wzrastała z każdą godziną mojego pobytu. Wśród szmaragdowo-purpurowych ondyn nawet siedemdziesięciolatki nie stanowiły szczególnej rzadkości. Zimowe drzewa obsypane były światełkami. Wieczornymi pociągami podmiejskimi podróżowali Maurowie i Pajace a chóry anielic w stylu punk przelatywały z knajpy do knajpy w ślad za diabłami i rzymskimi legionistami. Poza tym ogólna atmosfera była dość spokojna a na pewno nie kryminogenna i właśnie dlatego jak sądzę niezupełnie świąteczna.

ZE ZNAKAMI PRZESTANKOWYMI LEPIEJ

Dopisać historię z Pavarottim w Operze Wiedeńskiej — dla „Idei”

Tekst ogłoszenia: „Wysoki ekstrawagancki obcokrajowiec poszukuje samotnej Bawarki z tradycyjną kuchnią dla wspólnego świętowania *Fasching*. Wiek: nie więcej niż czterdzieści. Mówię po włosku. Gdzie jesteś, moja ukochana?”

To będzie znak.

A jeśli któraś naprawdę się odezwie?

Proponowałem jej wyjazd ze Lwowa. Doskonale wiedziałem, że się nie zgodzi. Dla mnie właśnie. „Co tam będziesz robił wśród tych swoich Rumunów?”. W Czortopolu: nie spodobało się Jej. Ale doprowadziłem sprawę do końca. Wszystko pokazałem: pustkowie, rozkopane uliczki, w górach już jesień, kopalnia siarki, dziewięć miesięcy w roku pada

deszcz. Stare budynki rozsypują się same z siebie. Zbierając jagody koło torów, zobaczyła zmiję. Potem jeszcze trzy. Tak jest zawsze: wystarczy zobaczyć pierwszą. Grzałem dla Niej wino. To samo — „algierskie”. Ledwie wytrzymaliśmy ten tydzień. Niewiele brakowało do kłótni. Kiedy wróciliśmy do Lwowa, pożyczyłem od Franza klucze do jego mieszkania. Położyliśmy się na gołej podłodze. Potem nabraliśmy wannę wody. Ja bez okularów, ale i tak widziałem Ją całą palcami.

Topola — to pora (na co?)

Wielki spór z doktorem Steinem. Kogo zrodził Rilke? Dra Steina!

Życie jako instrukcja obsługi. Gdzieś to czytałem.

*San Marco*²

Wenecja

*W tym wnętrzu sklepienie niczym wytoczone (wydrążone),
łśni i obraca się złoceniami (smalta),
o zaokrąglonych brzegach, gładkie, bogactwem oliwione,
zachowano całą ciemność (przyćmiony blask) tego
państwa
nagromadzoną skrycie jako przeciwwaga
światła (blasku), które we wszelkich jego przedmiotach
tak ogromnieje, kształt odbierając zwykły
że (jako takie) nieomal nikły. —
I nagła wątpliwość się wzmaga: czy nie są znikome
twardy (uparty?) krużganek pokonujesz,
który niczym sztolnia w kopalni pod połyskiem*

2 Dosłowny przekład sonetu Rilkego (*Nowych poezji część druga*).

*sklepienia zawist; poznajesz święte (heile)
prześwit (Helle) perspektywy; ale jakoś
melancholijnie odmierzając jej znużoną chwilę (ulotność?)
pobliskim czwórki (kawdrygi?) trwaniem (niewzruszeniem).
!! sprawdzić czwórkę !!*

Pomysł: tłumaczenie całej *Księgi obrazów* oraz *Nowych wierszy*. Rilke bez szamanizmu („*biez durakow*”). Za co go lubię.

płaszcz (kurtka)
 parę nowych koszul
 buty
 chusteczki
 krawaty
 na pocztce: wystać Zoi śmieszłą przesyłkę

Przyjęcie w starym ratuszu. Nie zapomnieć zjeść kolacji.
Bezpośrednio — nocny klub „Casanova”. Am Platzl.????
Ale za to bardzo dobrze płacą.

Topielec topielica utopiony

Pewnego razu, zlizując z Jej ciała strużki soku
poziomkowego, znalazłem wargami coś jakby groszek
pod skórą, pod prawą piersią. Potem leżała na brzuchu,
a ja powoli, bardzo powoli obcałowywałem ją całą,
wycalowywałem z Niej — co? Aż w końcu Ona

lipiec nimfetek
rzeczna topiel, otchłan wody

Edgar Poe zrodził Baudelaire'a. Baudelaire zrodził
Mallarmégo. Mallarmé zrodził Rilkego i Valéry'ego. Rilke
zrodził hrabiego von Lanckorońskiego oraz całą armadę
poetów. Valéry po raz drugi zrodził samego siebie. Eliota

zrodzili wszyscy jego poprzednicy (widoczne), ale najbardziej — rówieśnicy (ukryte). Inna gałąź wyrasta z Rimbauda. Antonycz mawiał, że zrodził go Whitman. W łemkowskim miasteczku Dukla? Apollinaire'a zrodzili Bertran de Borne oraz Joachim du Bellay. Apollinaire to niewczesność. Rozwinąć.

fortepian!!

Pinzenauerstrasse, 15

KoniecznIE odpisać Ewie!!!

Sprawdzić, czy rzeczywiście *carnavale* to po włosku „żegnaj, mięso”.

* * *

*Zima w Bawarii jest podobna
do każdej innej na tym globie,
gdy człowiek błąka się z osobna,
panny jak rymu szuka sobie
lub rymu szuka ku ozdobie
echu nowiny, drżąc jak listek,
bo panny są tu w swej osobie (ozdobie)
bitne jak tłum antyfaszystek.*

*Zima w Bawarii jest powolna,
ciągnie się, dłuży jak epoki.
Jakaś melodia nieudolna*

*za serce rwie mnie, myli kroki
w parku, gdzie ciemne drzewne soki
nie wiedzą nic o życia trudzie.
W tej ciszy jak na dnie zatoki
śni mi się sen o rudej Trudzie.*

*Zima w Bawarii jest pokrętna.
Nie w sobie, ale we mnie rośnie:
istota buffo we mnie chętna
zimą się upodabniać sośnie.
Żyję wspomnieniem. A o wiosnie
wspominam, jakie to ma uda
ma Truda. I jak śnieg bezgłośnie
łkam z gór i z dachów. Ot, maruda.*

*Zima w Bawarii jest pobieżna,
nietrwała. A tu niebotyczna,
dusza niewinna, białośnieżna,
o piekle śni. Ta w duszy śliczna
dziurka — to zgoła semantyczna
wyrwa pomiędzy mną a światem,
gdy ukochana ma chtoniczna
nęci — rozkładem, ciałem, latem.*

*Zima w Bawarii jest potrzebna
wyłącznie mnie — i warta wiele:
wszak na południu — smuga srebrna
wysokich Alp! Przecinkiem dzielę
przezucia. Jestem, przyjaciele,
piaskiem w klepsydrze. Bez hałasu
zyskam, gdy troszkę się przemiełę,
nieważkie miejsce w dziurze czasu.*

CHYBA ZOSTAWIĆ BEZ TYTUŁU

Ostatni S-Bahn: 00:28 (z Marienplatz)

Po wszystkich poetykach (skreślone)

Po rytmomelodyce (skreślone)

Ale najwspanialsze dni nastąpiły dla nas, gdy Roman i Marta pozwolili nam nocować w muzeum. Przychodziliśmy wieczorem, kiedy muzeum już było zamknięte. Któreś z nich — stróżowali na zmianę — wpuszczało nas do środka. Jedliśmy kolację w muzealnych naczyniach i spaliśmy w muzealnych łóżkach. Dobrze, że to nie było muzeum starożytności. O siódmej (najpóźniej o wpół do ósmej) trzeba było się zmywać. Lektyka. Noga jej drgała tak mocno, że spadł sandał. Tak zastał nas Roman. Później ktoś na nas doniósł. Romana wyrzucili, a Marta nie chciała już ryzykować.

Maść z nystatyną!

Kim on jest, ten N.? (skreślono)

Płaszcz (kurtka)

SKARPETKI

Buty

2–3 nowe koszułe

ZA DUŻO WENECJI! „Żeby ludność nie czuła twardej ręki na karku... a wenecki karnawał był dla wszystkich stolic nieosiągalnym wzorem przeżywania życia w całej jego krasie i pełni”.

Rilke pisał wiersze o Wenecji w Paryżu. To dla mnie nowość. Na odległość. Która jednak nie istnieje.

Casallegra Dappertutto

Cudzoziemcy w Wenecji. Zawsze zdziwieni. Mozart spotykał się tu z miejscową masonerią. Byron kazał zamknąć się w więzieniu pod ołowianym dachem (prawo do twórczego eksperymentu). Händel, Gluck. Haydn. Peggy Guggenheim. Guinggnmm. Hemingway. Wagner: upadł na schodach pałacu Vendramin-Calergi. Ciało do stacji kolejowej wieziono gondolą. Są takie — pogrzebowe. Obejrzeć Boscha w Pałacu Dożów. Kolekcja sztuki współczesnej (Dali, Mondrian, Léger, Picasso, Chagall, Pollack). Chce zobaczyć??????

Od wszystkich arytmetyk, arytmii, poetyk
wychodzę w skwar, topnieję, ani zipnę.

Trafiłem wprost na lipiec. Czas nimfetek.

Wstępuję w wody rzeki, otchłanne i lipne.

Ostatecznie tak!!!

BY ODDAĆ CELNY STRZAŁ NALEŻY:

1. Wziąć głęboki wdech i wstrzymać oddech.
2. Przyłożyć kolbę do prawego ramienia. Lufa ma stanowić przedłużenie linii przedramienia.
3. Zmrużyć lewe oko.
4. Naprowadzić broń tak, by cel znalazł się w punkcie, w którym przecinają się linie pozioma i pionowa w celowniku.
5. Sprawdzić, czy wszystko gra.
6. Krótko, ale szczerze się pomodlić.
7. Wraz z wydechem płynnie nacisnąć na spust.
8. Ba-bach!

ORFEUSZ W WENECJI

Opera *buffa* w formie *pasticcio*
w trzech aktach i niezliczonych obrazach

Opracowanie oryginalnego pomysłu i libretto
Mathew Kulikoff

Osoby:

ORFEUSZ, poeta i śpiewak		<i>tenor</i> lub <i>baryton</i>
RINA, wenecka piękność		<i>sopran</i>
ASCLEPIO, jej ochroniarz i zły duch		<i>bas</i>
INKWIZYTOR		<i>baryton</i>
SPARAFUCILE, najemny zabójca		<i>tenor</i> lub <i>falset</i>
SMERALDINA } CLARICE } ROSALINDA }	kurtyzany	<i>sopran</i> i <i>mezzosopran</i>
CARAMBOLO } PANTALONE } GALILEO }	młodzi oficerowie, także zalotnicy	<i>tenory</i> i <i>barytony</i>
MĘŻCZYZNA`SMOK } KOBIEȚA`ECHIDNA }	agenci Inkwizycji	<i>kontrabas</i> <i>alt</i>
GŁOS EURYDYKI		<i>sopran</i>

Maski, tancerze, widma, kastraci, tajniacy, akrobaci, mniszki,
Maurowie; słowem — lud Wenecji

Akcja toczy się zawsze i wszędzie, tym razem jednakże —
w teatrze
LA FENICE

Podczas spektaklu brzmi muzyka kompozytorów włoskich i in.:
Claudio MONTEVERDI (*Persefona porwana*),
Antonio VIVALDI (*Czyny Heraklesa*), Domenico CIMAROSA
(*Potajemne małżeństwo*), Gioacchino ROSSINI (*Włoszka
w Algierze*), Gaetano DONIZETTI (*Henryk, hrabia burgundzki*),
Vincenzo BELLINI (*Norma*), Giuseppe VERDI (*Ernani, Rigoletto,
Traviata, Simon Boccanegra*), Gian Francesco MALIPIERO
(*L'Orpheide, Tre commedie gondoliane, Il misterio di Venezia*),
Georg Friedrich HÄNDEL (*Acis i Galatea, Rinaldo*),
Christoph Willibald GLUCK (*Demetrio, Orfeusz i Eurydyka*),
Wolfgang Amadeus MOZART (*Don Giovanni, Così fan tutte*),
Igor STRAWIŃSKI (*Orfeusz*),
i... kilka taktów z Richarda WAGNERA!

Reżyseria — Mathew KULIKOFF
(Los Angeles–Paryż–Melbourne)

Orkiestra, chór i balet weneckiego teatru operowego
LA FENICE

Orkiestra instrumentów mechanicznych i pneumatycznych
Grupa syntezatorowego wspomaganie głosów
Grupa laserowego wspomaganie
Grafika komputerowa i holografia
Dance-balet „Sex Appealer”
Grupa striptizerska „Bachanalie”
Tresowane zwierzęta i cyrkowi iluzjoniści
Gaśnice
i Grupa działalności wywrotowej (pirotechnika)
i wielu, wielu innych wykonawców — łącznie 2000

AKT PIERWSZY

Nieskończenie długo tragiczny śpiewak i poeta, Orfeusz, błąka się po ziemi. Niegdyś jego żona, Eurydyka, zmarła od ukąszenia węża. Być może stało się tak wyłącznie dlatego, że któryś z bogów szalenie zazdrościł Orfeuszowi talentu — jego nadprzyrodzonych zdolności. Orfeusz wspomina, jak to ongiś oczarował grą na złotej harfie samego Hadesa, dzięki czemu wybłagał uwolnienie Cienia Eurydyki z podziemnego państwa. Jednakże zła Persefona zakłóciła bieg wydarzeń i przeszkodziła w cudownym wskrzeszeniu żony Orfeusza. Smutny i niepokieszony, Orfeusz wędruje z kraju do kraju, z miasta do miasta, od hotelu do hotelu. Sława jego i jego muzyki nie mają sobie równych na tym świecie. Ale nie czyni to Orfeusza szczęśliwszym.

Tym razem Orfeusz trafia do Wenecji — bajkowego miasta nad wodami Adriatyku. Wiele już słyszał o tym przytułku artystów i samotników oraz o tym, jak Wenecja potrafi świętować. Również teraz, przed samym zakończeniem kilkumiesięcznego gorzko-wesołego karnawału, na głównym placu w mieście, nieopodal laguny i wspaniałej katedry, odbywają się nieprzerwane tańce i hulanki. Przebrani w barwne stroje i maski, weneccjanie oraz przyjezdni oddają się uciechom cielesnym. Gorące tańce mieszają się z pojedynkami na szpady, przy wybuchach petard, śpiewie i muzyce setek ulicznych kapel, płynącej z placu i kanałów, odbywa się volo del turco — na linie rozpiętej między iglicą kampanili i loggią Pałacu Dożów ześlizguje się nieustraszony młodzieniec-akrobata z bukietem mimoz w ręce.

I tylko Orfeusza, otulonego w czarny płaszcz i schowanego pod maską bólu, niezbyt cieszy to wszystko, co widzi na tym pięknym świecie. Czarniejszy od chmury wiszącej nad wyspą Giudecca, krąży w świątecznym tłumie niczym potępiony grzeszny duch.

Ale cóż to? Właśnie ogłoszono zawody śpiewaków i muzyków. Każdy może w nich wziąć udział, każdy, kto twierdzi, że głos ani słuch go nie zawiodą — na tyle, by się nie zhańbić. Bo wenecka publiczność jest nadzwyczaj wymagająca. Niejednego już chwali piętę przywołali do porządku owi wielbiciele, przywykli do wymyślnych koloratur.

Trzech przyjaciół — Carambolo, Pantalone i Galileo — jest pewnych, że nie ma dziś w mieście takiego, który dorównałby im w sztuce śpiewu. Niech no tylko któryś z nich pokaże, co potrafi. Z szyderyczym uśmieszkiem i drwinami słuchają występów innych uczestników: żaden z wykonywanych numerów (arii, duetów czy tercetów) nie wywołuje szczególnego zachwytu zgromadzonych; przegrywający zostają bezlitośnie wygwizdani. A nagroda w tym pojedynku jest nad wyraz drogocenna — to pocałunek samej Riny, najpiękniejszej weneckanki i (jak szemrzą niezyczliwe języki) utrzymanki wielkiego Inkwizytora.

A oto i ona — w różowej aksamitnej lektyce, podtrzymywanej przez czterech Maurów o atletycznej budowie, przysłuchuje się zawodom. Któremu szczęściarzowi podaruje dziś raj swoich ust na jedną jedyną, słodką i niezapomnianą chwilę? Wszyscy niecierpliwie czekają na wynik.

Lecz któż to skamieniały stoi w loggii pałacu — nieporuszony i szary, niczym skała? I nawet doża, rządzący miastem, z lękiem spogląda na niego, nie mając odwagi pierwszy zabrać głosu. Tak, to on — strach i drzenie wesołej republiki, Monsinior Inkwizytor, karzący miecz sprawiedliwości. Tuż obok, od czasu do czasu szepcząc coś do jego porośniętego ruda szczecina ucha, ulokował się Asclepio — powiadają, że jest ochroniarzem Riny, ale tak naprawdę jest jej dozorcą. Komentując niektóre występy podczas zawodów śpiewaczych, Asclepio dość rubasznie żartuje i śmieje się sarkastycznie.

I oto nadchodzi kolej trzech przyjaciół-oficerów. Rzeczywiście mają wspaniałe głosy. I każdy na swój sposób podbija publiczność, nie można zatem przesądzić, który z nich wygra. „Ca-ram-bo-lo!” — skandują jedni. „Pan-ta-lo-ne!” — odpowiadają inni. „Ga-li-le-o!” — nie poddają się trzeci. Tak więc kto zwycięży? Kogo pocałuje Rina?

W tym momencie do konkursu staje jakiś nieznany cu-dzoziemiec w czarnej żałobnej masce i czarnym płaszczu. Publiczność z niedowierzaniem i chłodem przyjmuje jego wyjście na scenę. Najzagorzalsi nawet nie zdążyli usłyszeć przybysza, a już go wygwizdują: jak śmie ten pewny siebie przybłąda konkurować z ich trzema ulubieńcami! Przecież nikt z obecnych nie wie, że to sam Orfeusz — żywa legenda muzyki i poezji.

Mimo to Orfeusz zaczyna swą słodko-tęskną arię, od której wszystko milknie i zamienia się w słuch. Cała Wenecja zamiera w niebywałej rozkoszy: kanały, wieże, pałace, ogrody, nawet fale wokół laguny pomagają śpiewakowi. Łzy zachwytu i wzruszenia napływają do oczu i lecą spod masek. I nagle jakiś nieziemski głos kobiecy dołącza do śpiewu Orfeusza — tak, to Eurydyka przypomina o sobie ukochanemu.

Nie ma wątpliwości — to był najwspanialszy występ! Wenecki lud, zamieniając gniew na łaskę, klaszcze i szaleje z wdzięczności. Trójka zawstydzonych oficerów z wściekłością opuszcza plac.

Piękna wenejanka wychyla się z gracją z lektyki i wpija ustami w usta zwycięzcy. Podejrzanie długo trwa ten pocałunek! Znow słyhać orkiestry, publiczność chórem zdążyła policzyć do dwudziestu pięciu, zanim skończyła się ta przerażająca chwila. Cóż, będzie musiał Inkwizytor surowo ukarać swą młodą kochankę za nieudolne panowanie nad sobą i hamowanie cielesnej namiętności!

AKT DRUGI

Odkąd ich usta złączyły się w gorącym pocałunku, ani Rina, ani Orfeusz nie mogą odzyskać spokoju. Po powrocie ze świętującego placu do hotelu Orfeusz nie potrafi znaleźć sobie miejsca. Przeciwnostawne siły rozrywają piersi śpiewaka: wierność pamięci żony i nowe, z niczym nieporównywalne oczarowanie młodą weneckanką. A ostrzegali go przyjaciele przed tym niebezpiecznym miastem! Ogarnięty burzą uczuć, Orfeusz nawet nie widzi, jak wokół niego przytupują, podśpiewując, Smok i Echidna — podstępni zwiadowcy i szpiegdy Inkwizytora.

W tym czasie Rina, świadoma tego, jak bardzo ryzykuje, decydując się na zdradę Inkwizytora, wzywa do swego po-koju ochroniarza, osiłka Asclepia. Poleca mu dowiedzieć się wszystkiego o tajemniczym cudzoziemcu: kim jest, skąd pochodzi i gdzie się zatrzymał. I jeśli tylko uda się go odnaleźć, Asclepio ma przekazać cudzoziemcowi jej, Riny, zaproszenie na kolację — jutro w nocy. Marzy o tym, by poznać go bliżej. Asclepio wychodzi wykonać jej polecenie.

I choć w tym momencie Orfeusz i Rina znajdują się pod różnymi dachami i w różnych zakątkach miasta, niemal widzą i słyszą się nawzajem. Ich głosy zlewają się w subtelny duet uczuć.

Tymczasem trzech przyjaciół-oficerów — Carambolo, Pantalone i Galileo — w nadziei choćby na małą rekompensatę goryczy porażki dołączyło do trzech znanych w mieście kurtyzan: Smeraldiny, Clarice i Rosalindy. Jednakże ani wy-rafinowane pieśzczoły dziewcząt, ani szlachetne wino, ani przytulny kąt i miłe rozmowy nie są w stanie poprawić na-astroju gości. Przebiegłe kurtyzany zaczynają delikatnie pod-pytywać ich o przyczynę tak potwornego przygnębienia. Też były na święcie i o wszystkim dobrze wiedzą, ale zale-

ży im na tym, by niefortunni śpiewacy sami wyznali, co ich gnębi. Kiedy wreszcie po długich namowach goście wspólnymi siłami opowiadają o fantastycznym zwycięstwie nieznanego przybłądy, Smeraldina, Clarice i Rosalinda śmieją się głośno i łechtają próżność swoich przyjaciół. „Wiemy kto to i wiemy, jak zranić go śmiertelnie” — mówią kurtyzany. Na te słowa gościom wyraźnie poprawia się humor. Czyżby zwykła zuchwałość ducha im powróciła? Czy zatem nie pora na miłosne harce? Przecież w szóstkę zawsze tworzyli znakomity seks-tet! I tak się dzieje — rozpoczyna się wielka wspólna kopulacja, aż wydaje się, że nie sześcioro, ale całych sześćset sześćdziesięcioro sześcioro kochanków i kochanek jednocześnie uprawia miłość na teatralnej scenie!...

Ale oto Asclepio, jak wierny pies, biegnie do swego pana — Inkwizytora. Wiele ma dla niego cennych wieści... Ten jednak sporo już wie — nie na darmo cienie Smoka i Echidnej, tak znacząco kładą się na trawie w potajemnym ogrodzie, w którym zwykle odbiera donosy i słucha wieści od swych szpiegów-zbirów. Nie wiedział tylko najważniejszego — okazuje się, że Rina zaprasza tego przybłądę o dźwięcznym głose do siebie na kolację! Cóż, tym prościej będzie rozwiązać problem. Rzecz jasna, wszechmogący Inkwizytor mógłby po prostu ogłosić Orfeusza sługą szatana i poddawszy go najróżniejszym torturom w straszliwych *carceri*, publicznie stracić. Mogłoby to jednak wzbudzić niezadowolenie w ludzie — zbyt dobrze pospółstwo pamięta jego śpiew. Na takie wypadki Inkwizytor ma inne, znacznie skuteczniejsze metody. Stąd też w ogrodzie pojawia się Sparafucile, najemny zabójca, który nosi na rękach tyle niewinnej krwi, że nigdy nie zdejmuje czerwonych, lepkich rękawic...

AKT TRZECI

Nie wiadomo przez kogo ani w jaki sposób uprzedzony o wi-
szącym nad jego głową śmiertelnym niebezpieczeństwie,
Orfeusz mimo wszystko nie rezygnuje z wizyty u Riny. Ta
kobieta staje się teraz dla niego kimś najważniejszym na
świecie. Na wszelki wypadek zakłada na piersi ochronny
pancerz, przypasowuje szpadę i okrywa się długim czar-
nym płaszczem. Teraz już gotów jest ruszyć na spotkanie
z pięknnością.

Tymczasem w pałacu Riny już rozpoczęło się huczne
przyjęcie. Dziś, jak to się często zdarza, pełno gości. Niemal
wszyscy są w maskach i strojach karnawałowych — z kom-
naty do komnaty ciągną sznury tancerzy, wszędzie śpiew
i muzyka, przepych wewnątrz dopełniony jest przepychem na
stołach z napojami i jadłem. Wyjątkową wesołością wyróż-
niają się trzy przyjaciółki-kurtyzany — Smeraldina, Clarice
i Rosalinda. Jedynie ich kawalerów jakoś nie widać. A prze-
cież Carambolo, Pantalone i Galileo też zostali zaproszeni na
nocną ucztę do niezrównanej Riny! Ale i samej gospodyni ni-
gdzie nie ma. Niektórzy goście podejrzewają, że żartownisia
znów wymyśliła jakiś tajemniczy figiel. Inni jednak już czują
w powietrzu coś niedobrego i wielce krwawego.

Równo o północy, tak jak prosiła piękność, Orfeusz za-
stukał do bram jej pałacu. Kute drzwi otwarły się samoczyn-
nie — i oto już śpiewak wchodzi do dolnego westybulu. Ale
co to? Uważaj, Orfeuszu! — schodami wprost na niego zbie-
ga rozwścieczony buhaj. Uderzenie rogów ześlizgnęło się po
pancerzu Orfeusza, inaczej niewątpliwie rozerwałoby jego
rozśpiewane piersi jak szydło papier gazetowy. Buhaj rozpę-
dza się przed nowym uderzeniem, ale tu śmiertelnie godzi
go szpada Orfeusza. Byk pada na posadzkę i ociekając czar-
ną krwią, rozrzuca na wszystkie strony zwierzęce akcesoria:

głowę z rogami i kółkiem w nosie, kopyta, ogon. Ależ to namyjny zabójca Sparafucile! Umierając, błaga, by mu Orfeusz wybaczył, bo to przez Inkwizytora i jego zauszników zgubił tylu niewinnych ludzi. Orfeusz mu wybacza i spokojny już Sparafucile oddaje ducha ze szczęśliwym uśmiechem i pianą na ustach.

Ale gdzie jest Rina? Orfeusz wspina się po schodach na górę. Tam trwa orgiastyczna zabawa. Każda z trzech kurtyzan — Smeraldina, Clarice i Rosalinda — po kolei podszywa się pod Rinę. Za każdym razem Orfeusz daje się zwieść, ale zdzierając z pięknej twarzyczki maskę i przypadając do miodowych ust, przekonuje się, że to nie ona, to nie jej usta...

Przeszukawszy cały pałac, nie znajduje Riny, za to w jednym z najdalszych pokoi trafia na jej sługę Asclepia. Ten gorzko płacze nad pustym kielichem. Przecież całe życie potajemnie kochał Rinę, i tylko dlatego pomagał Inkwizytorowi, by ustrzec ją przed zalotami innych. Ale ci trzej niegodziwcy — Carambola, Pantalone i Galileo — dziś zakpili z niego. Z nakazu Inkwizytora siłą zabrali Rinę z pałacu. Inkwizytor pozwolił im robić z nią wszystko, co zechcą. Asclepio tego nie przeżyje. Asclepio już wypił truciznę. Tylko o jedno błaga Orfeusza: by ten mu wybaczył; Orfeusz wybacza i pocieszony Asclepio oddaje ducha z błyskiem szczęścia w coraz bardziej szklanych oczach.

Orfeusz rusza za porywaczami. Ktoś widział, jak ich łódź ze związaną Riną wyruszyła w stronę Wielkiego Kanału. Dzięki sprzyjającemu wiatrowi Orfeusz szybko dopędza złoczyńców. Przeskakuje do ich łodzi. Wywiązuje się nierówna walka, z której wychodzi jako zwycięzca: Carambola topi w wodzie, Pantalonowi ścina głowę, a Galileo sam ze sobą kończy. Ale dlaczego nie widać Riny? Odcięta głowa Pantalona oznajmia, że piękność zdołała wyskoczyć z łodzi i poszła na dno. Wołała śmierć niż hańbę. Na potwierdzenie tych słów związane

ciało młodej kobiety wypływa na powierzchnię i wolno podąża w dół razem z nurtem.

Orfeusz zadrzał z rozpacz. Nie może tu dłużej pozostać. Chce uciec jak najdalej stąd. Porzuca miasto: zdecydowanie, natychmiast. Jego łódź bierze kurs na otwarte morze. Towarzyszy mu głos Eurydyki. Na skraju laguny stoi skamieniały niczym Komandor Inkwizytor.

PRZYPIS: MIĘDZY DRUGIM A TRZECIM AKTEM NIE PRZEWIDUJE SIĘ ANTRAKTU.

MATHEW KULIKOFF (ur. 1956) — jeden z najznakomitszych reżyserów operowych i reformatorów współczesności. *Credo* artystyczne tego mistrza scenicznych sensacji polega na przywróceniu teatrowi teatralności poprzez żywy i gorący żywioł wiecznie dziecięcego zdziwienia, a nawet wstrząsu. Widz Kulikoffa musi zostać odurzony i rozbity. „Jedynie wtedy z tych kawałków można go złożyć na nowo, tyle że już lepiej” — mówi o swoim celu reżyser. Dwanaście lat temu, wyprowadzając na paryską scenę żywego słonia (zamiast osła) w pierwszym akcie *Pajaców* Leoncavalla, artysta jakby zapowiadał: „To tylko debiut. Ciąg dalszy nastąpi”. Potem naprawdę nastąpiła cała seria oszałamiających sukcesów: *Don Giovanni* Mozarta, Nowy Jork 1983 (dwumetrowy posąg Komandora, sterowany elektronicznie, ulegał w finale samozniszczeniu wskutek miniwybuchu jądrowego), tegoż Mozarta *Czarodziejski flet*, Amsterdam 1986 (żmija, która na początku opery pędzi za księciem Tamino, miała sto czterdzieści osiem jardów długości, była wykonana z plastiku, plasteliny i rybiej łuski, na co zużyto tysiąc dwieście dziewiętnaście karpki lustrzeni; pluła ogniem i specjalnym śmierzącym gazem, wskutek czego po pierwszej scenie grę wstrzymano, a opróżnione wnętrze teatru trzeba było wietrzyć dwie godziny; dopiero wtedy można było grać dalej), albo niezapomniany *Nocny lot* Dallapiccoli, Moskwa–Casablanca 1987 (przedstawienie odbywało się w samolocie, który startując wieczorem z Moskwy, po ośmiogodzinnej walce z powietrznym żywiołem rano doleciał w pobliże brzegów Afryki

Północnej, dzięki czemu stu siedemnastu zaproszonych dysydentów rosyjskich znalazło się w końcu w wolnym świecie).

Propozycję wystawienia opery w naszym mieście na wodzie Mathew Kulikoff przyjął niemal bez wahania, odkładając na później inne pilne projekty (Rzym, Berlin, Tokio). Jesteśmy ogromnie wdzięczni Mistrzowi za ten miły gest i zgodę, by w pierwszej kolejności wcielić na scenie muzyczną ideę Wenecji — miasta, w którym już trzysta lat temu działało aż szesnaście (!) teatrów operowych.

FUNDACJA „LA MORTE DI VENEZIA”

Mathew KULIKOFF:

— Pomysł na wystawienie opery w tak legendarnym mieście straszliwie mi się spodobał. Przecież właśnie tu, w tym zasypanym kulturą i jej imitacjami wyspiarskim państwie, ucieleśnienie jednego z moich szalonych pomysłów jest jak najbardziej sensowne — opera nad operami, opera oper, gdzie sam żywioł operowości, jej wewnętrzna rzeczywistość, jej substancja, zostaje sparodiowana, nabiera zupełnie nowego znaczenia, a jeśli widzowie ją dobrze odbiorą — wzniesie się jeszcze wyżej. Tu przysłała mi z pomocą stara włoska tradycja XVII–XVIII wieku (skądinąd stuleci największego rozkwitu Wenecji). Mam na myśli tak zwane *pasticcio*, kiedy nowe opery powstawały na podstawie dekonstrukcji i swobodnego łączenia elementów oper już istniejących. Historyczno-kulturowa przestrzeń Wenecji, jej topika, jej *genius loci*, jak się zdaje, pomagały mi w pracy. Nie mniejsze znaczenie miał również duch włoskiej tradycji operowej. Wreszcie przestrzeń sceny i sali — magia tego fantastycznego pomieszczenia, teatru La Fenice, jego aura. Poza tym niezliczone inne przestrzenie — indywidualne twórcze przestrzenie każdego, kto mi uwierzył i pracował ze mną w jednym zespole. Dziękuję wszystkim bez wyjątku i zapraszam na premierę.

Spodziewam się, że będzie wam smakował mój *pasztecik!*

רָנָהּ-רַחֵם

Proszę o przekazanie do wiadomości Monsiniora:

Jak Monsiniorowi zapewne wiadomo, tego wieczoru miała miejsce jedna z najgłośniejszych sensacji muzycznych naszych czasów, o której wieść najpierw obiegła Wenecję, a wkrótce potem cały świat; zacznę jednak od tego, że przez cały dzień do-trzymywałam Respondentowi towarzystwa, trochę pływaliśmy gondolą po Dorsoduro, Respondent jadł lukrowane orzeszki i wyglądał na bardzo czymś zaniepokojonego; gondolierowi przypadły do gustu łemkowskie piosenki, które bez końca wyśpiewywał Respondent, zaś Doktor do samego wieczora pozostawał w hotelu (bardziej zajęty swoimi głupimi rybkami niż naszym wspólnym zadaniem) i dopiero na spektakl ruszyliśmy we trójkę, jednak w tłumie fanatyków opery, który podobnie jak my, płynął w kierunku teatru La Fenice zbyt wąskim na takie pielgrzymki Calle del Piovan, zostaliśmy odepchnięci od siebie i rozłączeni. Dopiero przed wejściem do teatru udało mi się ponownie dopaść Respondenta, wtuliłam twarz w jego ramię, a on zdążył mnie pocałować za uchem, ale zaraz potem zauważyliśmy oczekującego nas w progu Dappertutta: trzymał w rękach bilety dla wszystkich gości — uczestników seminarium, obok niego stało nie mniej niż pięć hostess, „Jesteś najpiękniejsza z wszystkich weneccjanek, Ado”, puszczał nosem dym ten mistrz tanich kom-

plementów, „Proszę uważać, Perforacki, to *femme fatale*”, mówił po angielsku, więc nie musiałam tłumaczyć, do spektaklu pozostało jeszcze całe pół godziny, Respondent odpowiedział: „Dla mnie to raczej *femme finale*”, Dappertutto udał, że rozumiał żart, bilety na przedstawienie kosztowały od dwustu tysięcy lirów w górę, ale za wszystko płaciła Fundacja; w końcu dobił do nas niedawno zgubiony Doktor, „Nie myślałem, że”, powiedział Doktor, w tym czasie Dappertutto zdążył przekazać kilka najświeższych wiadomości: po pierwsze, Mauropule dotychczas się nie pojawił, choć podobno jeszcze wczoraj widziano go w okolicach mostu Rialto, na targu rybnym, gdzie przymierzał się do kupna ogromnej drętwy elektrycznej, a po drugie, w dalszym ciągu nie udało się odnaleźć niklowanego konia Al-Boraq, udaliśmy, że jesteśmy niesamowicie poruszeni tymi nowinami, ja nawet klasnęłam w dłonie, wyrwaliśmy z owłosionych łap Dappertutta nasze trzy bilety i wepchaliśmy się do środka. Z zewnątrz niezbyt okazały, teatr La Fenice w środku wprost oszałamia — złocenia, stiuki, malowidła! — nie będę tego wszystkiego opisywać szczegółowo, gdyż Monsinior w swoim nieskończone długim życiu musiał zapewne przebywać i w tych skąpanych w przepychu wnętrzach; między pierwszym a trzecim dzwonkiem obeszlśmy niemal wszystkie jego zakamarki w poszukiwaniu naszych miejsc, Respondent nadal jadł orzeszki, rozglądał się na wszystkie strony, jakby chciał kogoś dojrzeć, ale większość widzów była w rozmaitych maskach i fantastycznych strojach, *venite pur avanti, vezzose mascherette*, jakiś Psigłów nadepnął mi kopytem na nogę, a potem nachylił się nad ramieniem Respondenta i coś mu szepnął do ucha, pewnie przeproszał, nasze miejsca znalazły się dopiero na czwartym balkonie, to bardzo wysoko, niemal pod sklepieniem, Respondent obracał w rękach lornetkę, jeśli udało mi się dobrze usłyszeć, ten Psigłów szepnął mi na ucho coś jakby: „On tu jest, uważaj na drugi balkon, oni też, bądź ostrożny”, znów zadzwonił dzwonek, „Bądź ostrożny, Orfeuszu”, zażartowa-

łam z Respondenta, kiedy wchodziliśmy po schodach, dlatego że w ogóle nie patrzył pod nogi i o mało się nie potknął, na jednym z pięter minęliśmy Casallegrę, który znowu jakby w półśnie, ledwie zipiąc, pokonywał schodek po schodku w towarzystwie obydwu swoich podgrzewających go wnuczek i nie odpowiadał na pełne szacunku ukłony znajomych, tylko ciągle kiwał głową, jak to bywa z takimi starymi piernikami, Szalajzerka zachowywała się jakby nigdy nic, z daleka machała do Respondenta ręką, pewnie zapraszając go do swojej osobnej łoży, na szczęście, Respondent nie zauważył tego rozpustnego gestu, wyraźnie zaniepokojony czymś innym, rozglądał się na wszystkie strony przez lornetkę; Dèjàvu, tym razem przebrany za Arlekina, ciągnął za sobą długi Tren Starożytności i Tradycji; obok mignął ktoś w przebraniu płatnego zabójcy, ale Respondent go nie zauważył; „W 1836 ten teatr spłonął”, powiedziałam, „Ale został odbudowany w swym pierwotnym kształcie z roku 1792”, odpowiedział Respondent, prześlizgując się spojrzeniem zza okularów po łożach na drugim balkonie, bo przecież nasze miejsca znajdowały się akurat pośrodku sali, to były bardzo dobre miejsca, Doktor niby przypadkiem usiadł między mną a Respondentem (a ja tak liczyłam na jeszcze jedno spotkanie z jego palcami wirtuoza, z tym czaraszem Monti!), na dole pod nami Al-Boraq Dżabraili mówił coś głośno o „zasadach gry pozbawionej zasad” miejscowej policji, damy machały wachlarzami, lewą część parteru pod nami w całości okupowało Towarzystwo Przyjaciół Teatru La Fenice, na czele z ich prezeską; ci na środku byli w bojowych nastrojach i już zaczęli zdecydowanie skandować na znak protestu; nad całą salą przeciągnięto złocistą linię — z jednej strony zaczepioną na naszym balkonie, jej dolny koniec ginął gdzieś aż za draperią w głębi sceny, wyczytałam w librecie, że na tej linii miałby się pewnie odbyć „turecki lot”, przez salę kilkakrotnie przebiegło nazwisko „Kulikoff”, ktoś cicho klasnął, ktoś niecierpliwie gwizdnął, dekoracja przedstawiała wszystko, co się dało: plac św. Marka, fale

laguny, Wielki Kanał, Złoty Pałac i wiele innych rzeczy; John Paul Oshchyrko usiadł na podłodze parteru w przejściu między rzędami, „Jest!”, powiedział Respondent, wodząc lornetką po łóżach drugiego balkonu, zabrzmiał trzeci dzwonek, gdzieś na prawo od nas kaszlnął Lloyd Webber, wtedy zaczęło gasnąć światło, dyrygentowi ręce patetycznie wzniosły się nad kanałem orkiestry, i tak rozpoczęła się uwertura, złożona z nieskończonej ilości innych uwertur, które nakładały się na siebie tak, że udało mi się rozpoznać co najmniej dziesięciu autorów, ale myślę, że w rzeczywistości było ich znacznie więcej.

Wraz z pierwszymi taktami Doktor zasnęła, zwieszając tysiączką głowę na piersi i oglądając we śnie swoje ukochane rybki, wokół nas kręcili się jacyś ludzie z obsługi z krótkofalówkami i w kamizelkach kuloodpornych, może czyjaś ochrona; rozpoznałam jeden z utworów Donizettiego, ale sprzedawczyni oranżady poprawiła mnie, szepcząc: „*Bello Bellini*”, wobec czego mógł to być fragment opery o Romeo i Julii, ale nie była wymieniona w programie, a ja znam tylko jej fragmenty; dyrygent już na samym początku wczuł się na tyle, że prawie wyskakiwał z kanału, ale orkiestra natychmiast po zakończeniu uwertury zmuszona była paść, ponieważ na scenie nastąpiły jeden po drugim trzy różnokolorowe wybuchy (reżyserski pomysł Kulikoffa), na szczęście nikt nie zginął, a nawet nie został ranny; to wreszcie umożliwiło rozpoczęcie akcji: scena była przepełniona ludźmi, mieszanina kostiumów odpychała swoją kiczowatością, antyczne postacie Vivaldiego, Monteverdiego i Strawińskiego — w jaskrawych tunikach — mieszały się ze średniowiecznymi płaszczami z *Rigoletta* i krynolinami z *Traviaty*, niektórzy aktorzy byli w dżinsach, pojedyncze bestie wierciły się w samej tylko bieliźnie, jeszcze inni — nawet bez niej; wszystko to kłębiło się, falowało i kipiało, zewsząd omiatane światłami i laserami, nad sceną zjawiały się świetlne kontury wież: Campanile i Orologio, syryjskich kolumn, skrzydlatego lwa i przewróconej galery, specjalne maszyny teat-

ralne poruszały ołowianymi falami, statki w zatoce trzeszczały i przechylały się, scena obracała się wraz z tancerzami, niepoieszony Orfeusz śpiewał swoją arię z opery Glucka, ale w niewiarygodnie szybkim tempie, trzeba było przecież zdążyć przed deszczem, czarna chmura, która zawisała nad wyspą Giudecca, faktycznie przetoczyła się nad widzami, lunął deszcz i grad (każda kulka gradu zrobiona była z górskiego kryształu przez mistrzów z Burano, każda miała inny rysunek, a wszystkich było czterysta czterdzieści tysięcy); ryczały dzikie zwierzęta w okolicach Zattere, jednak i one zamilkły, słysząc śpiew Orfeusza — odtwórca głównej roli był dość gruby i miał krótkie nogi, nawet szeroki czarny płaszcz nie mógł ukryć okrągłości jego brzuszyska; wykonywane na scenie partie wokalne w ogóle nie odpowiadały treści opery, niektórzy śpiewacy i śpiewaczki znieacka włączali się ze swoich miejsc na parterze i na balkonach; by jakoś utrzymać akcję w ryzach, reżyser wprowadził długie i nudne recytatywy, i tylko z nich (poza librettem) można było wywnioskować, co tak naprawdę dzieje się w tej poplątanej rzeczywistości. Trzeba oddać sprawiedliwość, fragmenty różnych oper zostały dopasowane do siebie bardzo udanie i niezauważalnie, ale nawet dla ucha nie obznajomionego z operową sztuką stało się jasne, jak grubymi nićmi było to szyte; podczas recytatywów publiczność rozpraszała się, żłopała pepsa i chrupała słone paluszki, byli i tacy, co grali w karty albo w domino — by nie dopuścić do zupełnego rozluźnienia na widowni, reżyser od czasu do czasu rzucał nową niespodziankę w postaci a to wybuchu na którymś z balkonów, a to żyrandolu, gwałtownie spadającego z pomalowanych w alegorie niebios na głowy siedzących na parterze i w ostatniej chwili zatrzymującego się w odległości jakiegoś metra nad przerażonymi melomanami; „Na tej scenie śpiewały Malibran i Patti”, mówiłam w takich chwilach do Respondenta. „I Tamagno”, uzupełniał Respondent, spychając śpiącą głowę Doktora ze swojego ramienia, w ogóle Respondent był nad podziw skupio-

ny i uważny, niemal nie odrywał oczu od lornetki, kolejne arie trzech oficerów-niegodziwców podczas konkursu śpiewaczego zrobiły na Respondencie wrażenie czegoś dobrze znanego, i faktycznie — pierwsza z nich stanowiła arię Polifema z drugiego aktu opery *Acis i Galatea*, następna była serenadą Don Giovanniego pod oknem Elviry, a ostatnia — przedśmiertną przemową Simona Boccanegry, z włączającym się falsetem hrabiego Henryka; w każdym razie było to mocniejsze niż zwyczajski występ tłuściocha Orfeusza; zaraz po tym salę przeszył osłepiający błękitny wybuch, wzmocniony wyciem nieznośnych — choć nie tych mitologicznych — syren, które towarzyszyły zbyt długiemu pocałunkowi Orfeusza z o dwie głowy wyższą od niego piękną Riną, która — trudno nie zauważyć — w rzeczywistości aż taką piękną nie była, a i głos mogłaby mieć lepszy. Ulubieńcem publiczności okazał się za to Inkwizytor — nie można zaprzeczyć jego mistrzostwu czy czegoś mu zarzucić, jego głos, udanie zniekształcony przez syntezator, przypominał przeraźliwe krakanie i część kobiet doprowadził do ekstazy — jakaś ciężarna zaczęła nawet rodzić, poród szczęśliwie został odebrany w foyer, choć większość obecnych pozostała w głębokim przeświadczeniu, że to kolejna sztuczka reżyserska, a nowo narodzone dziecko — czterokilogramowy chłopczyk — w rzeczywistości jest sztuczne; akt pierwszy skończył się robiącym wrażenie *murmurando* chóru i *crescendo* orkiestry, część publiczności już zamówiła przekąski w bufecie, kiedy wraz z ostatnimi taktami (Wagner) opadła kurtyna — ciemnozielony aksamit z ogromnymi plamami w kolorze krwi i wina.

Doktor spał w swoim fotelu, tymczasem wyszliśmy z Respondentem na korytarz i znalazłszy mniej więcej bezludny zakątek, zaczęliśmy się wściekle całować, jęczeliśmy i gryźli się, nasze języki szalały w jamie ustnej, Respondent przyparł mnie do ściany, był bez okularów i nie widział, jak wokół nas krążą rozmaite panie i panowie, spoglądając w naszą stronę to ze zgorzaniem, to

z prawdziwą zazdrością, jakiś typ przebrany za płatnego zabójcę gapił się bezczelnie z odległości dziesięciu kroków, to przyglądanie się z bliska wydało mi się co najmniej chamskie, zamknęłam więc oczy, by nie widzieć ani domorosłego Sparafucile, ani ohydnej Lisy Sheili z aparatem fotograficznym, ani biegającego tam i z powrotem w otoczeniu stada hostess Dappertutta; całowaliśmy się na wszystkie sposoby — całymi sobą, słowo honoru, to było o wiele lepsze od Orfeuszowego lizania się na scenie, nasze usta pachniały miętą, to było wspaniałe, jak sztuczne oddychanie, od którego dzwoni w uszach i wiruje w głowie, a nogi się uginają, przestaliśmy dopiero po trzecim dzwonku, ledwie zdążywszy dobiec do swoich miejsc przed samym podniesieniem kurtyny. Doktor nie spał, „W ogóle nie jestem fanem opery”, oświadczył, „ale ta rzecz naprawdę mi się podoba”, wkrótce znowu równomiernie i głęboko posapywał, mimo to prawie nikt nie zwrócił na niego uwagi, bo po scenie skakał balet „Sex Appealer”, a duet Orfeusza i Riny w rzeczywistości był duetem Ottavia i Anny, mocne wrażenie na widzach zrobiły podwieszane na łańcuchach nad sceną terraria, w których kłębiły się różne potworne stworzenia — krokodyle, ropuchy, węże, salamandry, iguany itp.; owe wielkie szklane naczynia niebezpiecznie kotływały się nad głowami śpiewaków, zapewne symbolizując zagrożenie, jakie szykowała im dalsza część fabuły, jedna z wiolonczelistek zemdląła, wyciągnęli ją gdzieś za kulisy razem ze spazmatycznie zaciśniętym między udami instrumentem; oprzytomniała dopiero po kolejnym wyładowaniu elektrycznym, kiedy gromy i błyskawice znowu wstrząsnęły większością publiczności, Respondent rzucił ze swojego kolana rękę śpiącego Doktora; „Tego już za wiele”, burknął Doktor przez sen, spektakl trwał, trzech przyjaciół-niegodziwców już umizgiwało się do znajomych kurtyzan — tak naprawdę to nie byli żadni tam Carambolo, Pantalone i Galileo, ani nie Smeraldina, Clarice i Rosalinda, a Alfonso, Guglielmo i Ferrando razem z Dorabellą, Fiordiligi i Despiną, i każdy, kto lubi *Così fan tut-*

te, bez trudu to rozpoznał; lewa część parteru, wykupiona przez Towarzystwo Przyjaciół Teatru La Fenice, bez przerwy protestowała, gwizdząc i skandując, a wiceprezes Sergio Cameroni rozłożył nawet nad sobą ogromny parasol z kolistym napisem „Precz z show-biznesem w Operze!”, parasol okazał się szczególnie przydatny w chwilach kolejnego wyładowania atmosferycznego; potem stało się coś okropnego — na scenę została wpuszczona masa (ponad sześćset) półnagich dziewcząt i chłopców, którzy przy akompaniamencie chóru druidów z *Normy* Belliniego rozpoczęli wielką miłosną grę, każdy z każdym i wszyscy ze wszystkimi, splatali się i rozplatali, krzyżowali i zakleszczali, pełzali i łazili, i lizali też, to było jakieś pożądlive mrowisko, ciało o wielu członkach, przesiąknięte wilgocią i czułością, chórzyści ledwie wytrzymywali, Towarzystwo Przyjaciół po raz pierwszy ucichło, pożądanie w końcu udzieliło się widowni, sala zabrzmiała westchnieniami, ochami i zmysłowym jękiem kobiet, na parterze coś się głucho kotłowało, z niektórych balkonów leciały części kobiecej garderoby, druidzi nabierali coraz większej siły magicznej, ja sama ledwie się powstrzymywałam, posapywanie Doktora coraz bardziej mnie podniecało, i wszystko to wspierało zamysł reżysera: lasery, komputery, błyski świateł zewsząd, trzy czarodziejские orkiestry, dwa tysiące prawdziwych wykonawców na scenie i poza nią, a oprócz tego trzy i pół tysiąca widzów — wszystko, wszystko to we wspólnym porywie zmierzało ku wielkiemu orgazmowi, ale

właśnie w tym momencie, chwilę przed jednoczesnym i niepowstrzymanym zakończeniem epizodu, z tyłu za nami trzasnęły drzwi, obejrzałam się i zobaczyłam postać kogoś, kto wszedł na nasz balkon, wydało mi się, że to widziany podczas antraktu płatny zabójca, nie miałam jednak pewności, bo powtarzam, widziałam tylko sylwetkę na tle przejścia, mimo to coś mi podszeptęło, zmusiło mnie do krzyknienia „Uważaj!”, a Stach [*przekreślone*] Respondent jakby w lot pojął: w plecy leciały mu nóż i kula wy-

strzelona z pistoletu, i kapsułka z cyjankiem potasu, i igła z kurą, i dwu drabów przebranych za płatnych zabójców podkładało się z tyłu, żeby go zadusić gołymi rękami albo jedwabnym sznurem, albo skórzaną szelką, albo podciąć gardło wyszczerbioną brzytwą, to była jego śmierć, nie wiem po co, komu to było potrzebne, odnaleźli go jednak w tym przepelnionym teatrze, wysłedzili, właśnie tu, gdzie niemal wszyscy chodzą w maskach i gdzie nieskończenie wiele razy umiera się na scenie — Respondent przerzucił swoje długie nogi przez balkon i na tysięczną część sekundy zawisnąwszy w wypełnionej migotaniem i oparami przestrzeni, chwycił oburącz za naciągniętą dla „tureckiego lotu” linę i wtedy, wysoko zadzierając głowę, by nie zgubić okularów, i od czasu do czasu przyhamowując nad oczarowaną w dole publicznością, zaczął zjeżdżać w kierunku sceny, reflektor natychmiast go złapał i już nie wypuścił, bohaterowie zbiorowego cudzołóstwa rozpełzali się na boki, kiedy Respondent zeskokczył na podium w głębi sceny, za draperią coś ciężko grzmotnęło o podłogę, publiczność ryknęła: „Bravo!”, a trzysta fanfar obwieściło kontynuację przedstawienia.

Słyszałam, jak tu, obok mnie, tamci zgrzytają zębami, jak się wyzywają i kłócą między sobą, zalatywało od nich czosnkiem, potem i mieszanką drogich dezodorantów, z fragmentów ich wypowiedzi domyśliłam się, że spróbują dostać się za kulisy, aby tam mimo wszystko wykończyć Respondenta, może i nie miałam prawa, ale w tej sytuacji postanowiłam uciec się do środków¹

¹ W tym miejscu fragment się urywa.

...właśnie dlatego zajmuję się teatrem. Gdyby nie to — zajmowałbym się handlem nieruchomościami lub hodował na farmie perliczki. Moim przeznaczeniem było jednak tworzenie sztuki. By w moich przedstawieniach móc zobaczyć *wszystko* czy usłyszeć *wszystko*, trzeba mieć sto par uszu. I wszystkich innych organów również trzeba by mieć po sto. Bo ja realizuję *tysiąc* równoległych przedstawień. Człowiek nie jest w stanie ogarnąć wszystkiego *jednocześnie*; chociażby z powodów fizjologicznych, może też z innych przyczyn. Tylko ja przy swoim reżyserskim stole, otoczony monitorami i lustrami, mogę odebrać — nie, też nie wszystko, sądzę jednak, że bodaj znaczną część — około dziesięciu procent tego, co sam wymyśliłem i wprowadziłem do akcji. Ciekawe, czy Bóg w takim samym stopniu jest w stanie kontrolować Wszechświat, który sam wprowadził do akcji? [*Śmieje się*].

Dlatego żadna relacja — *naocznych (?) świadków* — ze zdarzeń w teatrze La Fenice 8 marca b.r., na premierze mojego przedstawienia *Orfeusz w Wenecji*, w żaden sposób nie może być wyczerpująca, nawet moja własna, ta, która mimo wszystko jest *najpełniejsza*. Na tej kwestii muszę zatrzymać się dłużej, bo w obieg puszczono dziesiątki, jeśli nie setki, spekulacji na jej temat. Wiele hałasu *o nic* narobiono wokół dwu trupów znalezionych w finale tej historii. Dla mnie

oznaczało to szereg poważnych nieprzyjemności, którym na razie nie widać końca. Macie przed sobą zaszczutą ofiarę policyjnych protokołów i eksperymentów śledczych [*śmieje się znowu*]. Okazuje się, że śledczy też mają prawo do eksperymentów, nie tylko reżyserzy [*śmieje się już weselej*].

Pewna fundacja, o której nigdy wcześniej nic nie słyszałem, zwróciła się do mnie z propozycją wystawienia opery w Wenecji. Na początku marca miało się jakoby odbyć decydujące dla ludzkości seminarium, na które zaproszono same sławy. Zauważę przy okazji: te „sławy” okazały się wielce podejrzane, bo żadne z nazwisk uczestników nic mi nie mówi. Ale to drobiazg. W tym samym czasie i w *tych samych mieście* odbywała się jeszcze jedna ciekawa akcja — transkontynentalna konferencja organizacji mafijnych, ale jak to zwykle bywa, właśnie pod przykrywką konferencji na temat walki z organizacjami mafijnymi. Nie będę zresztą mówił zbędnych rzeczy — i tak mnie rozumiecie [*uśmiecha się*]. Zaproponowano mi zrobienie opery dla jednych i drugich — mam na myśli i konferencję, i seminarium. Długo się wymawiałem, związane wcześniej umowami w innych miastach, ale wysokość honorarium była *taka*... I to w sytuacji, kiedy mnie, jak wiadomo, trudno zaskoczyć *jakąkolwiek* sumą.

Naprawdę przywykłem do wysokich honorariów. Mógłbym je inwestować w biznes, handlować kokainą, na przykład, czy też zajmować się hodowlą pereł. Byłbym jednym z najbogatszych przedsiębiorców w swojej gałęzi i w wielu innych. Mógłbym też całkiem zwyczajnie upłynnić honoraria, mógłbym na przykład kupić diamenty dla Alex czy cały parking automobili... Ale jestem stworzeniem skrzywionym [*śmieje się*]. I wiecie, na co przeznaczam honoraria? Na *moje własne* spektakle! Za każdy nowy efekt specjalny, za każdą fantastyczną ideę, za każdy powód waszego — widzów — zdziwienia płacę *własnymi* pieniędzmi. Alex dobrze mówi,

że kiedyś pójdziemy z torbami. Ale mimo to rozumie mnie. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałem do niej: „Kobieto, jesteś o dwadzieścia dwa lata starsza ode mnie, ale bądź ze mną zawsze!”. Od tego momentu nigdy się nie rozstajemy [*zapala papierosa*].

Suma, jaką mi obiecano w Wenecji, dała możliwość stworzenia opery, jakiej *jeszcze nie było*. Postanowiłem więc stworzyć ją z oper, które *już były*. We wrześniu ubiegłego roku pierwszy raz znaleźliśmy się z Alex wewnątrz teatru La Fenice. Cały ten przepych, to złoto, te malowidła, te rzeźbione arkady, kapiące ozdobami łóże i balkony — wszystko to Alex uznała za zbyt natrętne i staromodne. Nie miałem prawa nie uszanować jej zdania. Praca w takim teatrze nie jest łatwa, już choćby z powodu zbyt ciężkiej, dusznej atmosfery. Razem z Alex nazywamy to „naftaliną”. Pozostało jedno wyjście — całkowita *wymiana wnętrza* teatru (środki wyasygnowane przez fundację pozwalały nawet na *to*). Zbyt dużo kurzu zbierało się w tych aksamitach w ciągu stuleci! [*Uśmiecha się krzywo*]. I zdecydowałbym się, nie bacząc nawet na protesty tego idiotycznego Towarzystwa Przyjaciół Teatru! Jest w Wenecji taka histeryczna zbieranina wszelkiej maści arystokratów, którzy całkiem już postradali zmysły. Ale to nieistotne.

Wyszliśmy z teatru i zaczęli krążyć po mieście. Dopiero *wtedy* zrozumiałem: wszystko musi zostać, tak *jak jest*. Tak, bo inaczej nie uda mi się przedstawić Wenecji! To pretensjonalne nagromadzenie przedmiotów i przepychu. Ta antykwaryczna pleśń i totalne bezguście. Naprawdę nie widziałem okropniejszego miasta, trzeba mnie jednak znać: zawsze i wszędzie szukam *okropieństwa*. Właśnie to mnie pociąga i nadaje bodaj odrobinę sensu moim bezsensownym pomysłom [*żartuje*]. Wszystko razem — smród wody, zapach kobiet, konające budynki, trawa w szparach między kamieniami, meliny, sentymentalne opowieści, w które wierzy się

tu bardziej niż w Biblię, na pół zetlałe książki, rozcieńczone wino, wilgotne sufity, atlasowe poduszki, butelki tysiąca rozmiarów, gołębie, turyści, prostytutki, widma — cała ta mieszanina legła swym potwornym ciężarem u podstaw mojej przyszłej opery, dusznej i wilgotnej. Udało mi się *przekonać* Alex. Właściwie niemal nie wtrąca się do mojej pracy. Premierę wyznaczono na *marzec*.

Wycisnąłem wszystko, co się dało. Moja opera stała się widowiskiem na tyle zabójczym, że nawet Savary z *Czarodziej-skim fletem* na festiwalu w Bergen nie może się równać, a tam przecież było na co popatrzeć! Grałem *va banque*. Gdybym w Wenecji poniósł fiasko [*śmieje się*], na zawsze porzuciłbym teatr i samego siebie, i przez resztę *już nie swoich* dni robiłbym coś zupełnie innego, na przykład sprzedawałbym stare wieżowce albo zbierał znaczki pocztowe.

Przesłuchałem blisko pięćset oper. Co dnia chodziłem z głową nabitą ariami i duetami, w nocy śniło mi się to wszystko, kompilowałem i miksowałem, ale już sam nie wiem co — czy urywki któryś raz wysłuchanych oper, czy kawałki tych samych snów, kolejny raz śnionych. Każdego rana Alex podawała mi do łóżka jedno jajko *na miękko* i ogromną szklankę soku pomarańczowego. Pilnowała, by w pałacu, który wynajmowaliśmy, *nie było przeciągów*. Żeby żadna z moich idei nie wyleciała przez lufcik! [*Macha rękami jak skrzydłami*]. Nabór wykonawców też nie odbywał się w *zwyczajny* sposób. Obejrzałem i — jak to się mówi — obmacałem kilkadziesiąt tysięcy sopranów, mezzosopranów, tancerek, tenorów, basów, kastratów, dyrygentów, pirotechników, informatyków, treserów, scenografów, chórzystów... później miałem ten straszliwy romans ze Smeraldiną, z którego Alex mnie po prostu wydarła. Zatrzymywałem tylko tych wykonawców, którzy potrafili zrozumieć, *czego* od nich oczekuję. Choć przez dłuższy czas sam sobie z tego nie zdawałem sprawy [*żartuje*]. Niekie-

dy po prostu wariowałem z rozpaczy. Dwa tysiące ludzi stało przede mną, czekając na polecenia, a ja pragnąłem tylko jednego — ukryć twarz w kraciatej spódnicy mojej Alex i wyplakać się [*kiwa smutnie głową*]. Na pewno w takich chwilach musiałem wyglądać na kompletnego idiotę. O, takiego! [*Krzywi twarz w grymasie*]. 21 listopada znalazłem się na *Festa della Madonna della Salute* i wydało mi się, że *coś* zobaczyłem. To oznaczało, że wszystko trzeba zacząć od początku. Żaden z moich dotychczasowych pomysłów nie nadawał się dla celów nowej koncepcji. Nasze pieniądze topniały w oczach. Niektórzy wykonawcy zdradzili mnie i odeszli do innych projektów. W dodatku z Australii przysłała wiadomość, że nasz dom spłonął od pioruna (podejrzewam długie ręce Towarzystwa Przyjaciół La Fenice!). A Smeraldina powiedziała, że jest w ciąży. Zanim przez Bangkok znalazłem swojego adwokata, a przez Montreal — swojego psychoanalityka, nadeszło Boże Narodzenie, i cały zespół zażądał urlopu świątecznego. Zdecydowałem zakończyć sprawę w całkiem tradycyjny sposób, jednak wrażliwa na wszystko, co dotyczy moich nastrojów i zamiarów, Alex zdążyła przeciąć nożycami sznur, na którym właśnie zacząłem dyndać, namacawszy czubkiem buta kuszącą nicość próżni. Działo się to w tymże samym teatrze La Fenice, na jednym z balkonów w czwartym rzędzie. Później właśnie *ten* epizod natchnął mnie pomysłem liny do „tureckiego lotu”, i z tegoż balkonu przeciągnąłem ją w głąb sceny. „Nie wolno Ci!”, mówiła mi Alex. Jak zawsze miała rację!

W styczniu na tydzień, dwa poleciałem do Australii, gdzie za ostatnie pieniądze kupiłem nowy dom. Alex była *niesamowicie* z niego zadowolona. W dodatku okazało się, że Smeraldina kłamała o swojej ciąży — nawet jeśli zaszła, to nie ze mną, a z którymś z kastratów. Ze mną zająć w ciążę mogła co najwyżej Clarice, ale ta milczała, choć Alex od dawna o *wszystkim* wiedziała — i przebaczyła mi.

Okoliczności zmieniały się na lepsze, karnawał nabierał rozmachu, rozumiałem już, *co* powinienem robić. Reżyser uwierzył w siebie. Dlatego kiedy nastał tłusty czwartek, 25 lutego, moja opera odbyła się *we mnie*. Na trzy dni przed premierą zacząłem realizować ją w teatrze. Czasu było nie za wiele [*śmieje się*]. Wykonawców trzymały tylko obiecane bajońskie sumy. Nie kleiło się z bengalskimi ogniami i dekoracjami. Brakowało dwóch, trzech kanałów na to, by jednocześnie mogła przepłynąć pożądana ilość starych statków. Potwór morski, wyłowiony na moje zamówienie w zatoce Taranto jeszcze dwa miesiące temu, uciekł podczas transportu z Chioggii i zaczął siać postrach w wodach laguny. Autentyczny głos Eurydyki, nagrany przeze mnie techniką cyfrową nieopodal Delf w Grecji, został przypadkiem skasowany przez jakiegoś bałwana z obsługi technicznej. W dodatku padłem ofiarą kilku nieletnich cyberpunków — w komputerach załagał się rozesłany przez nich wirus „Paganini”, który pożarł niemal wszystko. Z tych oraz wielu innych przyczyn mogłem zrealizować jedynie *połowę* zamysłu. Ale i tego wystarczyło, by po premierze, kiedy oszalała z zachwytu publiczność po raz siódmy żądała mojego wyjścia na scenę, a od jej zgodnego ryku drżał i chwiał się nie tylko stary teatr La Fenice, ale i całe *sestiere* San Marco, Alex, wycierając swoją chusteczką moje spocone czoło, powiedziała: „Jestem z ciebie dumna, Mat!”

A było z czego być dumnym! Fantazjowałem jak nigdy. Tyle ognia, światła i wody, moich ulubionych żywiołów, nie użyłem w żadnym z dotychczasowych przedstawień. Przewracałem łodzie i podpalałem pałace piorunem, wystrzeliwałem z arkebuzów i armat żywe kwiaty i martwe gołębie. Wybuchy następowały nie tylko na scenie, ale i na widowni, gdzie zresztą umieściłem kilkuset wykonawców. Każdy wybuch rozbryzgiwał na wszystkie strony strugi miodu i wina,

a na jego miejscu w powietrzu zawisały trójwymiarowe obrazy weneckich pejzaży, niebios, wizerunków. Połowę sceny zajmowało ulepione z ciasta i przepołowione tortellino. W środku zamiast farszu znajdowała się orkiestra złożona z trzydziestu siedmiu muzyków — grupa smyczków niemal w *pełnym składzie!* [Rehocze].

Muszę wyznać, że pośród obecnych trzech tysięcy widzów — najlepsze miejsca należały do uczestników obu podejrzanych spotkań — było wielu niezadowolonych. Istnieje taka grupa miłośników opery — różni tam wątpliwi arystokraci — których zawsze oburza to, co robię. Głosy wykonawców faktycznie były ledwie słyszalne, nie wszystkie *półnuty* udało się im wyśpiewać, a i orkiestra nie zawsze nadążała za zmianą dekoracji, w dodatku pokłóciwszy się jeszcze w lutym z głównym dyrygentem, gdyż zapach jego wody kolońskiej drażnił Alex, zmuszony byłem wyznaczyć na jego miejsce odpowiednio przygotowanego robota. W przeddzień premiery przywieziono go z Japonii. Jednakże przed samym początkiem przedstawienia nieszczęsny „Herbert” padł: z pewnością dała mu się we znaki wenecka wilgoć. I dlatego orkiestrą nikt nie dyrygował. Jedynie dla pozorów postawiłem przed nimi za pulpitem rezerwowego zonglera, którego poprosiłem o jak najenergiczniejsze wymachiwanie rękami, żeby ci, którzy będą na niego patrzeć, mieli wrażenie, że za chwilę wzbije się w powietrze. Melomanów to jednak złościło. Nawet napisane przeze mnie recytatywy, na które zużyłem tyle wprost nadzwyczajnej wyobraźni, nie ratowały sytuacji. W przerwie poczułem wyraźny zapach kłęski. Niektórzy z podstawionych na widowni aktorów, wpadając do mnie po pierwszym akcie, donosili: wśród publiczności szerzy się niezadowolenie, nasilające się w związku z tym, że nie wszyscy należycie przyjęli wybuchy, ulewę, zapadanie się foteli pod ziemię i przenikliwy marcowy wiatr z gór. Zebrałem na krótką naradę Wielkie-

go Inkwizytora, naczelnego hydraulika, trzeciego asystenta konstrukcji latających i dyżurnego majstra od kalafonii. Drugi akt udało się rozpocząć już trochę żwawiej, a nadmuchiwane krokodyle, pytony i smoki, zręcznie sterowane za pomocą fal radiowych, stały się niewątpliwą ozdobą pierwszej sceny. Zapachniało krwią [*śmieje się*]. Moją też.

Przedmiotem moich największej ambicji, radości i niepokoju była wielka scena erotyczna, w której brali udział niemal wszyscy wykonawcy. Pół życia marzyłem o jej wcieleniu na którejś ze światowych scen, a teraz obawiałem się, że może zniszczyć całą materię przedstawienia, zabłysnąwszy jako przedwczesna kulminacja. Jednakże Alex powiedziała: „Wóz albo przewóz, Mat!”. I miała rację.

Właśnie rozsznurowywałem gorset Rosalindzie, która nieoczekiwanie wpadła do mnie między swoimi wyjściami na scenę, kiedy zauważyłem na ósmym ekranie coś nieprzewidzianego. Nie znany mi młodzieniec zjeżdżał przez całą salę po linie z *aż nazbyt dobrze mi znanej* łoży na czwartym balkonie. To nie był podstawiony wykonawca. Pierwszy raz go widziałem. Natychmiast zapytałem o niego przez krótkofalówkę wszystkich swoich asystentów i pomocników, ale nikt go nie znał. Gdybyśmy się tak nie guzdrali, drugi operator światła zdążyłby go jeszcze skosić laserem. Myślę, że publiczność zrozumiałaby taką improwizację. Straciliśmy jednak kilka sekund na bezowocne wyjaśnianie. Nieznajomy nabierał coraz większej szybkości. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że sam spadnie, z takim świstem przelatując nad salą, zbliżając się do sceny. Doprawdy, nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać po tych Włochach. Wyrzuciłem rozsznurowaną Rosalindę i wściekając się, dałem rozkaz Orfeuszowi i Asclepiowi, by przejęli nieznajomego, kiedy ten zeskoczy z liny w głębi sceny, i natychmiast oddali go w ręce straży lub Inkwizycji. Ale leniwy Asclepio w tym momencie już nie zdążył

dobiec z garderoby, co było doskonale widoczne na piątym ekranie, z kolei kurdupel Orfeusz tak niezgrabnie rzucił się na spotkanie lecącemu sprawcy chaosu, że przebiegając między trzecim a czwartym ekranem, wpadł piersiami i brzuchem prosto w wysunięte do przodu nogi nieznanego. Ten właśnie zeskoczył z liny. Zderzenie nie wyszło na dobre Orfeuszowi... Tylko jęknął głucho i grzmotnął o podłogę. Stracił przytomność.

Nadciągała katastrofa. Fanfary już ją obwieszczały. Pomijając wszystko inne, właśnie straciłem odtwórcę głównej roli. Na szczęście tył sceny osłonięty był draperią. Publiczność wciąż jeszcze nie widziała, co się stało. Wahałem się tylko przez moment i zaraz dałem znak, by odciągnąć za kulisy pulchne ciało Orfeusza i spróbować postawić go na nogi. W tym czasie należało złapać reflektorem nieproszonego gościa i pokazać całej sali. Niech zostanie przyjęty jak element mego planu, jak mój zamiar...

Oprzytomniałem po dobrych pięciu, ośmiu minutach. Sztuka toczyła się bez najmniejszego zgrzytu. Orkiestra wreszcie złapała należyte tempo. Orfeusz wykonywał swoją kolejną arię. Ale to był *inny* Orfeusz, nowy. Ten, który zleciał na scenę spod samego sklepienia. Wszedł w rzeczywistość mojej sztuki, jak do siebie do domu. Z łatwością rozpoznawał wątki muzyczne i swobodnie w nie wchodził. Więcej nawet, orkiestra poszła za nim. Jego śpiew nareszcie zapanował nad tymi poróżnionymi i samolubnymi wirtuozami. Słuchali go i podążali jego śladem, jak najłagodniejsze zwierzęta. *Skąd on się wziął?*

Teraz skłonny byłem myśleć, że tego wieczora przyszedł specjalnie po to, by mnie ratować. Jego ciepły baryton, niezbyt mocny, za to bardzo wyraźny, jedyny w swoim rodzaju, jego mimika, plastyczne ruchy i gesty najprawdziwszego Orfeusza, jego umiejętność błyskawicznego orientowania się

w przebiegu zdarzeń na scenie, zdolność grania tak, jak wymagały tego mój zamysł i moje libretto — wszystko to stało się przyczyną jego niemal histerycznego sukcesu, który wstrząsnął ścianami La Fenice i całego *sestiere* San Marco tuż po końcowych akordach mojej opery [*krzyżuje ręce na piersiach*].

Był pierwszym, który tchnął *duzę* w tę martwą sztukę. Jestem niemal pewien, że to prawdziwy Orfeusz. Bo zbyt długo męczyłem się, by wydobyć go z niebytu. Już nie wierzyłem, że mi się to uda. Lecz oto z moich mąk narodził się w najtrudniejszej chwili właśnie *on*, mój zmaterializowany sen, moje weneckie szaleństwo. Teraz czasem myślę, że to jednak był *mój* zamysł, że od samego początku coś takiego planowałem. Może Alex mi podpowiedziała.

Siedem razy wychodziliśmy z nią wywoływani oklaskami publiczności. Zewsząd sypały się kwiaty. Nawet oni, ci nieznośni dziwacy z Towarzystwa Przyjaciół, oklaskiwali mnie. Wycierając moje spocone czoło, Alex mówiła: „Jestem z ciebie dumna, Mat!”. „W przeciwnym razie robiłbym coś innego — mówiłem. — Zbierałbym stare automobile. Sprzedawałbym drzewka ozdobne”. Chcieliśmy go odnaleźć i wyprowadzić na scenę. Siedział za kulisami na schodkach kartonowego pałacu i przecierał wilgotne szkielek swoich okularów. „To było fantastyczne, *sir!*” — podałem mu rękę. Założył okulary i pewnie rozpoznając mnie, nic nie odpowiedział. „Chcielibyśmy zaprosić pana na kolację” — powiedziała moja praktyczna Alex. „Niestety, czeka mnie *inna* kolacja” — odpowiedział. A my zrozumieliśmy wszystko. Na niego naprawdę czekali gdzieś indziej. Olimpijscy bogowie z bankietem, na przykład.

Ale jak rozumiem, są państwo zainteresowani zupełnie czym innym. Uważacie, że miałem coś wspólnego z tymi dwoma trupami, znalezionymi po premierze w westybulu teatru, jednym na lewo, a drugim na prawo od wejścia. Cóż, rzeczywiście mam z tym coś wspólnego [*śmieje się*]. Tak jak

każdy dobry artysta ma coś wspólnego z wymyślonymi przez siebie sytuacjami. Proszę sobie wyobrazić ten tłum, tę kilkutyśieczną publiczność, w maskach, obsypaną gipsem i bielełdłem, w strojach z różnych epok i krajów. Oni szaleją na punkcie mojego przedstawienia. To coś na granicy psychozy. To moje zwycięstwo nad Wenecją. A jeśli przy tym wszystkim komuś nie wytrzyma serce, i ów ktoś pada pod nogi innych, to proszę uznać, że po raz ostatni w życiu nie miał szczęścia. I niczego zagadkowego w tym nie widzę. Nawet jeśli trafiły się aż dwie takie niedołęgi. Nawet jeśli obie były w przebraniu *płatnych* zabójców. A może się mylę?...

(Przedruk z książki: *Mister Szok. Pięć monologów niesamowitego Mathew*).

Nie, nie poczułem, niczego nie poczułem — w tym miejscu należałoby użyć bardziej neutralnego słowa, nie ma takiego w naszym języku. Co było przede mną? Otchłań sali, wypełniona pirotechnicznymi rozbłyskami i aureolami reflektorów. Złota lina, która dawała szansę ucieczki.

Mogli ją przecieżyć przeciąć lub odwiązać. Właśnie wtedy, gdy wskoczyłem na balustradę balkonu i chwytając się za nią rękoma i nogami, ruszyłem naprzód, w dół. Mogli ją przebrać tymi swoimi tasakami, które nosili za pasem, niczym prawdziwi płatni zabójcy. Zwaliłbym się spod samego sufitu, spod stiuków, fresków i spod żyrandola, na głowy siedzących na dole poczwar. Na pewno narobiłbym szumu i łomotu. Zmiażdżyłbym z dziesięć ciał. Rozbryzgałbym się po sali. Ale oni nie dotknęli mojej zbawiennej liny.

Znalazłem się w ogrodzie. Leżałem w bujnej trawie, wypełnionej dźwięczeniem cykad. Poznawałem niektóre trawy po zapachu, innych wcale nie znałem. Rozejrzałem się wokół — ze wszystkich stron otaczało mnie kamienne ogrodzenie porośnięte bluszczem. Podniosłem się, ale natychmiast przypadłem znowu do ziemi: skrzypnęła brama i w ogrodzie pojawili się dwaj mężczyźni.

Poznałem obydwu: i pierwszego — wysokiego, zwalistego, szarego, i drugiego — przebranego za sługę, z głębokimi zakolami, posłusznego jak pies.

Schowałem się za białym pniem starego platanu.

— Opowiadaj — zadudnił pierwszy.

— Wszystkiego się dowiedziałem, panie — pochylił głowę drugi.

— I cóż?

— Cudzoziemiec, który tak zainteresował mojego pana, zwie się Orfeusz. Przybył do nas z bardzo daleka, jeśli się nie mylę, z Lesbos albo z jakiejś innej greckiej wyspy. Swego czasu gościł na ucztach pogańskich bogów, osiągając niesamowite sukcesy w grze na różnych instrumentach muzycznych jak na przykład...

— Dość! — przerwał mu szary. — To wszystko wiem.

— Jego kochankę, a wedle innych wersji małżonkę, ukąsiła żmija podczas zbierania jagód w lipcowej trawie. Dziś przebywa w podziemnym królestwie, a po naszymu piekle, bez żadnej nadziei, nawet na czyściec...

— Dosyć! — znowu wtrącił się szary. — I to wiem.

— W takim razie mój władca nie wie zapewne, że wyżej wspomniany Orfeusz całkiem podpada pod oskarżenie o gusa i czary. Wiemy o nim, że za pomocą gry na swych diabelskich cymbałach i gęślach może poskromić najdziksze zwierzęta, a od jego głosu w ogrodach wiosny rozkwitają hiacynty i cyklameny — takie same, jak te, które właśnie weszły w ogrodzie mego pana...

— Dość! — po raz trzeci warknął szary i bacznie rozejrzał się wokół, ale mnie nie dojrzał. — I to wiem!

— Panie, jestem w kłopotcie — zmieszał się posłużny. — Szkopuł w tym, czy istnieje coś takiego na bożym świecie, czego mój władca by nie wiedział?

— Cha, cha, cha! — wybuchnął zwycięskim śmiechem sza-

ry. — No właśnie, draniu. Wszędzie mam oczy, uszy i nos! Karmię swych szpiegów surowym mięsem, i dlatego tak rwą się do polowania. Moi agenci są czujni i wszędobylscy: śpią z wami w waszych łóżkach, podsłuchują was przez wasze garnki w kuchni i śledzą was z waszych kloak. Potrafią wnikać do waszego wnętrza i czytać wszystko, co tam zapisano w najtajniejszych dziurach i zagłębieniach!...

*Nigdzie się nic przede mną nie ukryje.
Już ja wiem dobrze, gdzie kto ryje,
Już ja rozumu tby nauczę głupie,
Żelazem im wypalę znak na dupie,
A paru lepiej dam po kręgosłupie! —*

zakończył szary piosnką.

Jego sługa, pojawiwszy aluzję, cały się zatrząsł i dzwoniąc zębami, spieszenie rzekł:

— Śmiem jednak sądzić, że nie wszystko do tej pory wiadomo drogiemu władcy. Rina...

— Rina?! — wrzasnął szary.

— Rina, do której mnie wyznaczono w celu...

— Rina?! Co Rina?! — podniósł w górę pięści szary.

— Rina, u której z najłaskawszej woli mego władcy przebywam jako sługa pokorny, nędzny robak, kazała mi odszukać wspomnianego niegodziwca Orfeusza, bo zakochała się w nim bez pamięci...

— Rina?!

— Rina, której rude włosy i ognista dusza, a także alabastrowa skóra i znamię na lewym pośladku...

— Rina?!

— Tak, zaprosiła wyżej wspomnianego włóczęgę do siebie na kolację, do Palazzo Azzo, jutro o północy, panie...

— O, nie! — załamał ręce z rozpaczony szary. — Łzesz, nikczemniku i niegodziwcze! Lecz za bardzo boisz się mnie, by

kłamać... O Rino, Rino!... Czyżbyś to zamysłała, moja dziewczyno? Czyżby moja miłość oraz gorące orędownictwo przed wszystkimi siłami nieba i ziemi nie zmieniły twej dziecinnej i pierwotnej duszy samicy? O, biada mi, biada, że na stare lata tak pokochałem tę larwę, dziwkę, sukę!

*Od dzisiaj jestem na dnie otchłani!
Po kiego grzyba serce mi rani
Moja kochana, moja jedyna,
Ta żmija, zdzira, gangrena Rina?!*

*Serce mi rani, rozdziera całe.
Jaką w tej sprawie podjąć uchwałę?
Jak deszcz do rynny rymnę: „O, Rino!”
Tyś wiarołomna, giń więc, gadzino –*

dośpiewawszy te tragiczne kuplety, szary nie mógł już powstrzymać łez, które zaczęły płynąć mu z oczu gorzkimi strumieniami. Sługa płakał wraz z nim.

— No więc tak, łachudro — w końcu przemówił szary, wysmarkawszy nos. — Przekażesz temu wędrownemu komediantowi jej zaproszenie. Przekonasz go, że musi do niej przybyć. Zresztą tylko o tym teraz myśli! Widziałem, jak się całowali! Jak długo trwał ten bezwstydnny, ten namiętny, ten żarliwy pocałunek tam, na czwartym balkonie. On jej pożąda! Ona go pragnie! Cha, cha, cha! Dostaną, czego chcą! — i szary aż zatarł ręce.

— Ale panie mój — zaoponował sługa — ależ po co doprowadzać do spotkania? Czyż nie ma mój pan dostatecznych podstaw — służenie pogańskim bogom, diabłu, czary, rozpusta, pijaństwo, szpiegostwo na rzecz Genui, a możliwe, że i sodomia — czyż nie ma mój władca wystarczających podstaw, by natychmiast pojmać nikczemnego pajaca i przegonić go pod słonymi różgami przez Most Westchnień, zapakować

do jednej ze sławnych *piombi* pod rozpalonym ołowianym dachem, gdzie jego ohydna skóra na wieki zlezie z podłych kości od śmiercionośnego skwaru?...

— Milcz, durniu! — wrzasnął nań szary. — Twoje rady dobre są tylko dlatego, że ich nie trzeba słuchać! Mam wobec tego chwata nieco inne zamiary. Cha, cha, cha, cha!

Klasnął w dłonie, i posłużny, z uśmiechem niewolnika kłaniając się co chwile, wycofał się. Dopiero gdy wyszedł za bramę i wsiadł do swej łodzi, zaintonował pieśń, z której mogłem dosłyszeć tylko pierwszą zwrotkę:

Jakież w sercu rozdartym okrutne udręki!
Ci, co w piekle zrodzeni, cnotą nie zastyną.
*Żyłbym jak polne ptaszę, uktadał piosenki, }
*Gdyby nie ty, najmiłsza, gdyby nie ty, Rino. }^{x 2}**

Tymczasem z przeciwległej bramy do ogrodu wszedł jakiś typ, z grabiami podobnymi do goryla, cały we krwi, z ogromnym zardzewiałym tasakiem, zatkniętym za pstrokaty turecki pas.

— Przyszedłeś? — spojrzał na niego szary.

— Jak kazaliście, panie — błysnął jednym okiem zaplamiony.

— Cóż, podejdź bliżej. Stań tu. Tfu, jak od ciebie śmiercią cuchnie!

— Właśnie ukatrupiłem pewnego nauczyciela szermierki na zamówienie siniora Pesaro z rodziną — wyjaśnił grabiasty.

— No dobrze, dobrze, odsuń się trochę. Stań pod wiatr. Dobrze. A teraz słuchaj uważnie...

Po tych słowach jednak szary zaczął mówić całkiem cicho, że ani słowa nie mogłem dosłyszeć. Nawet gdy wyszedłem z za swojego ulubionego platana i stanąłem tuż obok. Widziałem tylko, jak zakrwawiony od czasu do czasu kiwa dawno niemytą głową, najwyraźniej przystając na podszepty

szarego. Wreszcie ten ostatni skończył, i sięgając do rozcię-
cia w swej workowatej siermiędze, wyciągnął stamtąd pęka-
ty skórzany worek, który przyjemnie zabrzączał denarami.

— To zadatek — rzekł szary i poklepał po ramieniu nie-
mytego, a potem niespiesznie schował się za kulisy.

Znowu ukryłem się za drzewem. Duszę ogarnęła trwoga.
Powiało chłodem. A grabias, złowieszczco przytupując i po-
drygując, zanucił swym przykrym falsetem mniej więcej tak:

*Każdemu prawem dobro się należy,
Każdemu według jego paragrafu.
Mnie tylko — w serce nóż i już! I leży
Niepocieszony, niecny nasz Sparafu...*

*Każdy ma w życiu przyzwoity zawód:
Tamten w kamieniu robi, ten w kurniku.
Mnie tylko dożywotni czeka zawód:
Podwieszą mnie, powieszą, i po krzyku!*

*Każdy okienko ma i promyk słońca,
A mnie cholerę w bok i w łeb jak młotem:
Żem zwykle gie, posłować mam bez końca
Od żywych do umarłych i z powrotem.*

*Poeto, czujny bądź! Ceń lata młode:
Harfa i strofa — na bok! Trzeba trafu:
Wystarczy pióro w pierś — i koniec w wodę!
I amen! i przeklęty bądź, Sparafu!*

Jednooki dotarńczył, a potem wyraźnie i rzeczowo oznajmił:
— A więc jutro. Jutro o północy.

Roześmiał się i wybiegł ze sceny. Poczułem, jak zadziałała
niewidzialna maszynieria, poruszyły się dźwignie, ogród z cy-
kadami rozpadł się w oczach, scena zaczęła się obracać.

Znalazłem się w ciasnych podziemiach za kulisami.

— Jesteś już gotów? Zaraz twój występ. Nocne odwiedzi-
ny w pałacu — powiedziała mi jakaś inspicjentka w stroju
dogaressy.

Grupka wykonawców w szatach z różnych epok cuciała ja-
kiegoś pasibrzucha w tunice, który stracił przytomność. Owi-
nięta złoconą folią lira leżała na podłodze obok niego.

— *Finito* — skonstatował Asclepio, próbując uchwycić puls
nieszczęśnika.

Wokół szwendali się różni Marynarze, Mniszki oraz Upio-
ry, w charakteryzacji i bez, niektórzy bieгли na scenę, inni
z niej wracali, ktoś dudlił prosto z butelki czarną cieczą, jakiś
obwieś Kastrat obłąpiał w zakamarku dwie tancerki na raz.

— Jesteś już gotów? — powtórzyła Dogaressa. — Teraz
trzeci akt. Bez przerwy. A ty nie nałożyłeś nawet pancerza!
Tu jest!

Pokazała mi komórkę, w której napadły na mnie dwie ko-
stiumerki na raz, jedna stare babsko, druga — jeszcze prawie
dziecko — i zaczęły przypinać mi do piersi wypukły nieza-
wodny pancerz. Ich ruchy były zwinne i sprawne. Po chwili
miałem na sobie już nie tylko pancerz, ale i szeroki szkarłat-
ny płaszcz, choć, o ile dobrze sobie przypominam libretto,
płaszcz miał być czarny.

— Tutaj, tutaj — prowadziła mnie przez labirynty kulis Do-
garessa. — Tam, za tą kurtyną. Pierwszy raz grasz w spekta-
klu?

Kiwnąłem głową:

— W tym — pierwszy.

— Nie bój się. Wszystko będzie dobrze — mrugnęła do
mnie, stara przepalona tytoniem Włoszka. — No, naprzód!
Buona fortuna!

Ale w tym samym momencie złapała mnie za rękaw.

— Stój! Jak to, bez szpady?!

Rozłożyłem ręce.

— Szpadę dla Orfeusza, szpadę! — krzyknęła na całe gardło i jakiś pyzaty chłopak, przebrany za karła, podreptał ku mnie i podał szpadę.

— Teraz idź! — powiedziała Dogaressa.

Wokół mnie panowała noc, ciemna noc, stałem nad nieznanym kanałem, próbując przypomnieć sobie, gdzie znajduje się Palazzo Azzo¹, dokąd mnie zaproszono. Od gór wiał porywisty chłodny wiatr. Z nieba sypało gradem, który stukał o zamknięte na głucho okiennice. Mocniej otuliłem się płaszczem i ruszyłem w kierunku samotnego ognika, który pobłyskiwał po lewej od dostrzeżonego mostu.

Nie było wątpliwości — stałem przed pałacem, którego szukałem. Zadzwońłem wielkim okrętowym dzwonkiem, zawieszonym przed bramą. W judaszu pojawiło się czyjeś oko, nabiegłe krwią. Potem bramę otwarto; zrobiłem krok do środka.

Nie zdążyłem nawet otrząsnąć z poł płaszcza ogromnych, wielkości wroniego jaja, kulek gradu, gdy usłyszałem straszny tupot i furkot. Prosto na mnie, biegnąc schodami w dół, pędził jakiś osiłek z głową byka. Z rozbiegu uderzywszy mnie rogami w pierś, zapewne oczekiwał łatwego zwycięstwa. Ale mój pancerz na szczęście wytrzymał.

— Ole, bysiu! — krzyknąłem i znowu dostałem cios rogami.

Tym razem nie utrzymałem się na nogach i upadłem na wznak. Ale kiedy zwierz po raz trzeci natarł, by przebić mnie, leżącego, rogami na wylot, zdołałem się wywinąć i dosięgnąć go celnym pchnięciem szpady prosto w serce. Wstałem i przystawiłem ostrze mej szpady „bykowi” do gardła. Złoczyńca

¹ Nie ma pałacu o takiej nazwie w Wenecji.

charczał i rzucał się, wreszcie zerwał z siebie byczą głowę za kółko w nosie i odrzucił ją daleko od siebie.

— Wiedziałem, wiedziałem, że zwyciężysz, cudzoziemcze! — charczał. — Musiał kiedyś nadejść kres tego nędznego żywota, musiał!

— Kim jesteś i dlaczego na mnie napadłeś? — władczo spytałem.

— Jestem Sparafucile, płatny zabójca — odpowiedział niegodziwiec, ociekając gęstą czarną krwią. — Zna mnie cała Wenecja. Zabijałem ludzi nie z nienawiści, a za pieniądze. Nie jestem winien! To Inkwizytor, wszystko to Inkwizytor! O jedno cię błagam, cudzoziemcze, wybac mi, jeśli możesz!...

I rozpoczął tęskną arię, z której zapamiętałem jedynie przejmujący i patetyczny finał:

*Jak błagać mam o łaskę, jak płakać mam w rozpacz
Nad wszystkim, com uczynił, com sprawił zbrodnią swą?
Czyż nikt mi nie przebaczy, odpuścić win nie raczy,
Gdy konam, dogorywam, sphywając czarną krwią!...*

— Wybaczam ci, jeśli to w mojej mocy — rzekłem, wysłuchawszy do końca prawdziwie wzruszającej melodii.

— Przebij mi zatem gardło swą bronią, cudzoziemcze, i skróć moje cierpienie — z łagodnym uśmiechem rzekł zabójca Sparafucile.

Właśnie zamierzałem spełnić jego prośbę, ale zauważyłem, że i tak już nie oddycha. Pracownicy sceniczni wytarabani go za kulisy przy akompaniamencie burzliwych oklasków widowni. Pobiegłem na górę schodami, bo przecież dobiegała stamtąd porywająca, ognista muzyka.

Trwała tam głośna zabawa i tańce, żwawe weneckie melodie następowały jedna po drugiej, ale nie cieszyło mnie to,

bo nie widziałem jej. I czy była tam w ogóle? Czasem zdawało mi się, że poznaję jej kształty wśród masek-tancerek. Wołały mnie do siebie i zapraszały do tańca.

— Szukasz kogoś, kochasiu? — tchnęła mi prosto do ucha jedna z nich, kiedy położyłem rękę na jej kibici.

— Tej, jak jej, Riny! — odpowiedziałem.

— Nie musisz już jej szukać. To ja jestem Rina — pokazała koniuszek języka.

Rzeczywiście, to mogła być Rina. Przecież nigdy jej nie widziałem bez maski. Ale jak miałbym się przekonać, że to ona? Odnalazłem ustami jej usta. Jej usta przypominały kielich kwiatu. Było tak słodko, że przyprawiało o zawrót głowy. Wyprawiała swym językiem coś nieprawdopodobnego. Pociemniało mi w oczach, ale ani na chwilę nie uwierzyłem, że to Rina. Pamiętałem tamten pocałunek, inny. Dlatego siłą wyrwałem się kusicielce i przegnałem ją precz.

— Kochany, jak dobrze, że dochowujesz mi wierności — inna maska zaśpiewała mi nad uchem — jestem tak szczęśliwa, że nie zapomniałeś swej Riny.

— Zaraz pocujemy — odparłem na to zdecydowanie, zamiast „zaraz zobaczymy”, i znowu rzuciłem się na spotkanie woniom rozchylonych niczym kielich dziewczęcych ust. Było to niezapomniane. Tyle pokornej subtelności i gorącego oddania wypilem z tego kielicha, tyle cudownego miodu zlizalem językiem z wilgotnych ścian tej jaskini! Jakbym zapadał się pod ziemię, ale byłem całkowicie pewien, że to nie Rina. Dlatego i tę kłamczuchę odpędziłem w końcu od siebie.

— Znakomicie zdałeś mój egzamin, gołąbeczku — zaszleściła mi do ucha trzecia maska. — Upewniłam się, że kochasz swą Rinę...

Nie wiadomo, dlaczego miała źle zasznurowany gorset i robiła wszystko, żeby doprowadzić mnie do utraty tchu, lecz zbyt mocno pachniało od niej winem i jakąś męską wodą

kolońską, a usta miała rozwarłe niczym rana, i przesiąkałem jej pocałunkami, jej wsysaniem, jej lgnięciem, lecz w końcu, przewyciężając siebie i swe nagłe podniecenie, odkleiłem się od niej, bo przecież to nie była ona, Ada. Czy może Rina?

Wszystkie trzy dziewczęta, lekko na mnie obrażone, zataczyły koło wokół mnie i zaśpiewały swymi rozpustnymi sopranami mniej więcej tak:

*Widziałyście takiego lowelasa?
Takiemu każda z nas się zaraz odda,
Za jeden pocałunek duszę odda!
Lowelas, proszę was, jest pierwsza klasa!*

*Zmykajcie! Wystrzegajcie się poety!
O nutach tylko myśli i o flecie.
Gra smykami! Cóż wam, siostry, po poecie?
Nieszczęsne wasze cnoty! Ach, niestety!...*

Nie miałem jednak czasu ani ochoty wysłuchiwać ich do końca. Prędko przemierzałem kolejne pokoje, kątem oka oglądając te wspaniałe meble, dywany i obrazy, zatrzymując się niekiedy, by wypić kielich wina w coraz to nowym towarzystwie i znowu rzucić się na poszukiwanie — mijając portrety, lektyki, baldachimy, palankiny, garderoby, klatki z gadającymi papugami, szachownice, gobeliny i oboje. Aż w najdalszym pomieszczeniu w końcu natknąłem się na samotnego dryblasa z wielkimi zakolami, którego już dziś chyba widziałem. Trzymał w ręku pusty kielich i spoglądając na mnie przez to weneckie szkło, śpiewał gorzką arię, na której początek nie zdążyłem. A w środku było tak:

*Zaśnij, Asclepio, w ciemnym grobie,
Niewart miłości, szczęścia, żalu.
Nikt nie uroni łzy po tobie,
Bo nie wyznałeś, mój brzydal, u
Uczucia Rinie, gotów dla niej*

*Bądź co bądź umrzeć. Takie buty!
Czemuś ty jeszcze nie w otchłani?
Zaznaj pokuty dla cykuty!*

*Zaśnij, Asclepio, w ciemnym grobie, }
Niech się już wiosna nie śni tobie. } × 2*

— Gdzie ona jest? — przerwałem mu śpiew, bo sprawa była paląca.

— O, jakże daleko! — westchnął łysek. — Znałem ją od małości. Kupowałem jej słodycze i napój brzoskwiniowy u starego Albańczyka, kiedy chodziłem z nią na spacer do Giardini Pubblici...

— Gdzie teraz jest? — nalegałem.

— W każdym razie nie w tej altanie, do której przynosiłem jej sorbet, wtedy, latem, gdy całymi dniami przesiadywała w swym słomkowym kapeluszu o szerokim rondzie, chroniącym przed opalenizną...

— Czy jest tu, w tym domu? — zaglądałem w jego coraz bardziej szklane oczy.

— Jest tu. I nie tu. Jest ze mną. I beze mnie. Jestem bez niej. Pragnę zasnąć. Chcę zobaczyć wieczny sen o tym, że znowu łapie motylka na schodach klasztoru San Gregorio, jak piętnaście lat temu. Albo gra na lutni w orkiestrze Ospedale della Pietà. Albo je winogrona, odrywając każde grono osobno swoimi paluszkami. Swoimi paluszkami. Paluszkami...

— Powiedźże w końcu, gdzie jej szukać?! — podniosłem głos. I to jakby przywróciło mu przytomność.

— Uprawdzili ją! Tylko ty, cudzoziemcze, tylko ty możesz ją dogonić, jeśli twoi pogańscy bogowie pomogą ci w tym. O, po trzykroć przekłęci łajdacy, Carambolo, Pantalone i Galileo, wykradli ją na rozkaz Monsiniora Inkwizytora i właśnie w tej chwili wiozą ją po Canal Grande dla dokonania podłej zemsty. Jeszcze zdążysz, jeszcze zdążysz, cudzoziemcze!...

Zrozumiałem, że jego śmierć jest już blisko i jeszcze, nie daj Boże, nie dośpiewa arii, którą mu przerwałem. I nadto trzeba było dogonić łódź porywaczy. Dlatego wybiegłem z pałacu, a w ślad za mną płynęły końcowe słowa arii umierającego Asclepia:

*Obrońco, Orfeuszu, orle!
Ten, który własną zgubę przeżył,
Zaklina cię na twą mandorłę,
Byś mu przebaczył i uwierzył.*

*Zaśnij, Asclepio, w ciemnym grobie, }
Niech się już wiosna nie śni tobie. } × 2*

Nie wiem, czy doleciał do niego z dołu mój zduszony okrzyk: „Przebaczam ci, Asclepio!”.

Za kulisami czuć było perfumy, pot i chyba czosnek. Dogaressa cmoknęła mnie w policzek i pochwaliła za dobrą grę. Karzełek biegał w kółko i krzyczał, żeby czym prędzej przygotowali dla mnie żagłowiec.

— Jak tamten biedaczysko? — zapytałem małego o tłuszczochę w tunice.

— Już lepiej — odpowiedziała Mniszka z miską krwi w rękach. — Właśnie mu upuścili.

— Szukały cię tu jakieś dwa typy — oznajmił Maur o atletycznej budowie.

— Myślałam, że to ktoś z naszych — dodała Smeraldina. — Ale wszyscy mówią, że wśród naszych takich nie ma. To ktoś z widowni.

— Tu dziś nie dojdiesz, kto jest z widowni, a kto z naszych! — machnęła ręką Dogaressa, wycierając chusteczką pot z mojego czoła. — Łódź czeka. Teraz wychodzisz, Orfeuszu!...

Fale Canal Grande były zewsząd o burty mej lekkiej łodzi. Pogoda rzeczywiście nie była najlepsza dla pościgu: potężne wietrzyko z gór, chyba mistral, rozbijając się o marmurowe ściany pałaców, zawirowywał w kanale, niczym w kanionie. Brudne słonawe bryzgi chlustały na mnie ze wszystkich stron, nawet okulary ociekały wodą.

Dogoniłem ich dopiero między pałacem Corner i niedokończonym Venier dai Leoni. Udało mi się podczepić do ich barki bosakiem służącym do abordażu i z trudem utrzymując równowagę przy tej fali, przeskoczyć na ich pokład.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał mi się w twarz najbezczelniejszy z nich, Carambolo, wyciągając zza pasa sztylet z zatrutym ostrzem.

Jednakże nie zamierzałem czekać, aż puści go w ruch. Wkładając całego siebie w uderzenie prawej nogi, zdążyłem tylko zobaczyć, jak ciało niegodziwca plusnęło za burtą i momentalnie poszło na dno, pozostawiając po sobie tylko trójkątny kapelusz, który jeszcze pewien czas krążył po wodach kanału od murów jednego pałacu do drugiego.

— Przyszła kryska na matyska! — przekrzykiwał wiatr Pantalone, ale pierwszy byłem przy jego mieczu, a odrąbana głowa rzezimieszka spadła pod moje zmęczone nogi. Z trzecim niegodziwcem miałem najmniej kłopotów: zobaczywszy, jaki los spotkał obydwu jego kumpli, Galileo wyciągnął z pantalonów pistolec i bez wahania strzelił sobie w łeb. Jego głupawy mózg rozbryzgał się na wszystkie strony, niczym ptasie gówno.

Ale Rina! Nigdzie jej nie ma. Byłem pewien, że znajdę ją na tej łodzi. I co z tego?

— Na próżno, Orfeuszu! — zniecka przemówiła odrąbana głowa. — Na próżno. Jej tu nie ma. — Głowa ze skruczą pośpiesznie zamilkła.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — surowo zapytałem.

— Tylko tyle, ile powiedziałem — usłyszałem w odpowiedzi. — To znaczy powiedziałam. Rina, ach, cudowna Rina, jakże ona kochała życie! — I głowa uroniła parę gorzkich łez.

— Powiedz, co masz powiedzieć! — krzyknąłem. — Powiedz, samolubna pało, pusta kapusto, dzwonnico z nieto-perzami!

Ale zamiast odpowiedzi głowa zaśpiewała:

*Jak złota rybka, zwinna, giętka, szybka,
Wymknęła się nam, błysła piękną barwą
I do kanału prysła nasza rybka,
Chociaż wołaliśmy: — Co robisz, larwo!*

*Dlaczego tracę głowę? Życie swoje
Za cóż ja, głupi baran, oddać muszę?
Za nogi dwie, za cycki dwa, za dwoje
Węgielków w oczach, co przypiekły duszę?*

*O, duszo, skoroś z ciała wyleciała
Poza doczesnych światel krąg olbrzymi,
Leć tam, gdzie czeka cisza cisz i chwała
Wenecji za morzami nieziemskimi.* } × 4

Dojrzałem ogromną dmuchaną lalkę. Mętne fale kanału niosły ją w stronę laguny. Trzymała się na powierzchni jedynie na spadochronach mnóstwa swych spódnic. Opadły mi ręce. Zmęczyłem się. Poznawałem ten szary cień na wodzie. Znosiło mnie na otwarte morze. Minąłem pałac Treves dei Bonfili i Santa Maria della Salute ze składem celnym.

I głos, głos też rozpoznawałem, Jej głos, w wietrze i zawiei, ledwo słyszalny, daleki, z tamtego świata, Ona coś mówiła, coś powtarzała, zdaje się, moje imię, ale które z moich imion, mam ich przecież aż czterdzieści. Straciłbym przytomność, gdyby nie wybuch, wielki wybuch finału, od którego teatr powinien był się rozlecieć na tysiąc maleńkich teatrzyków, ten

wybuch zlał się z finałowym akordem wszystkich trzydziestu trzech orkiestr, straciłbym przytomność, gdyby nie opadła kurtyna...

Więcej nie wyszedłem na scenę, choć była owacja. Siedziałem na brzegu kamienia z rekwizytorni i czekałem, aż po mnie przyjdą.

O czym pisała wenecka prasa w tych dniach?

O polityce, sporcie, pogodzie i finansach. We wszystkich tych dziedzinach zapowiadano wielkie zmiany. Zapowiadał się ogromny wstrząs, zwłaszcza klimatyczny. Synoptycy radzili przygotować płaszcze przeciwdeszczowe i szczudła.

O samotnym i nieznanym koniu, który pojawiał się to w Cannaregio, to w Dorsoduro, to w San Polo, to w okolicach Arsenau. Rytmiczny stukot jego podków niósł się echem po najstarszym bruku, w najbardziej odległych pułapkach uliczek i zaułków. Czasem koń pojawiał się na mostach. Turyści dokarmiali go cukrem i marmoladą, a weneccjanie młodą trawą. Niektórzy próbowali go złapać, ale wtedy zaczynał poruszać się szybciej, przechodził w kłus, i wkrótce znikał z pola widzenia prześladowcy, umiejętnie lawirując w drobnej płataninie labiryntu starej Wenecji. Tak zrodziła się wersja, że jest widmem.

O widmach ostatnio w ogóle sporo pisano.

O tragicznej śmierci trzydziestoczteroletniego, zmarłego w sile wieku, trębacza Giuseppego Antonia Aldrovandiniego, powracającego z hucznej zabawy, *ergo* znajdującego się w stanie mocno nietrzeźwym, pewnej nocy roku 1707, kiedy to wpadł do kanału i się utopił.

O zuchwałej kradzieży z Biblioteki Sansovina niezwykle rzadkiego i cennego dzieła — zbioru budzących grozę opo-

wieści *Hypnerotomachia Poliphili*, spisanych w języku koine i wydanych w Wenecji przez niejakiego doktora Francesca Colonę w 1499 r. (drukarnia Alda Manuzia).

O owianej tajemnicą konferencji na temat walki z mafią, której obrady toczyły się wyłącznie nocą, chronionej przez potrojone straże przed obcymi szpiegami. Każdej nocy konferencja odbywa się w innym miejscu, jednak można stwierdzić niemal z całkowitą pewnością, że wstępne posiedzenie miało miejsce w pałacu Ca' da Mosto, znanym także jako hotel „Biały Lew”.

O zamachu, który jest przygotowywany, jak krążą pogłoski, na jednego z zagranicznych uczestników konferencji. Niewątpliwie w swoim kraju jest on nadzwyczaj ważną osobistością; wszelkie próby zdobycia informacji nie przyniosły nic dobrego dziennikarzom, którzy się tego podjęli. Minionej nocy jeden z najbardziej dociekliwych został nawet mocno pobity pałkami na krętych schodach Contarini del Bòvolo i zrzucony z tychże. Wszyscy napastnicy, jeśli poszkodowany się nie mylił, przeklinali w języku rosyjskim.

O kolorowo ubranym chwacie, który przybył łodzią z Aleksandrii Egipskiej i oto już trzecią noc zadziwia publiczność w zimowym kasynie Vendramin-Calergi, zgarniając raz po raz nadzwyczaj wysokie wygrane. Skutkiem niebywałego szczęścia gracza były do tej pory: jedno samobójstwo (luminale) i jedno rodzinne otrucie (według innych wersji — rodzinne postradanie zmysłów). Co się tyczy młodego barona Barbarelli, to został on umieszczony tymczasowo w szpitalu psychiatrycznym im. Karola Umberto, i czas pokaże, jak głębokiemu wstrząsowi uległa jego delikatna szlachecka dusza po nagłej utracie całego majątku i klejnotów rodzinnych.

O niewątpliwym sukcesie wczorajszej premiery w teatrze La Fenice i fantastycznym wprost pomysłem reżysera: podczas spektaklu odtwórcę głównej roli zastąpił ktoś będący jego cał-

kowitym przeciwieństwem; wyjście na scenę nieznanego śpiewaka, który zagrał Orfeusza, początkowo wywołało wśród wymagającej publiczności pewną konsternację. Jednakże wyjątkowa naturalność, z jaką ten ostatni wykonywał swoje partie, wyrazistość i wyszukanie każdego gestu czy ruchu głowy, przyzwyczajone predyspozycje wokalne i znakomite przygotowanie fizyczne dają wszelkie podstawy, by mówić o pojawieniu się nowej gwiazdy na firmamencie weneckiej opery. Reżyser, niestety, odmówił podania nazwiska swego wielkiego debiutanta, najwyraźniej wiążąc z nim jakieś dalekosiężne plany.

O dwu trupach znalezionych w *foyer* teatru La Fenice tuż po głośnej premierze. Nie udało się ustalić personaliów żadnego z nich. Obaj osobnicy do teatru przybyli w kostiumach z minionych stuleci oraz w czarnych maskach. Na żadnym nie stwierdzono śladów przemocy. Według ekspertów sądowo-śledczych, przyczyną śmierci był atak serca. Interesujące, że nikt spośród kilkutysięcznej publiczności, która opuszczała teatr przez *foyer*, nie zauważył ani jednego martwego ciała. Być może wrażenia ze spektaklu były tak silne, że żadne namacalne oznaki rzeczywistości nie zostały potraktowane serio. Możliwa jest również inna wersja: większość widzów mimo wszystko zauważyła ciała, ale uznała to za kolejny dowcip nie szczędzącego niespodzianek reżysera. Wstępne oględziny denatów pozwalają przypuszczać, że żaden z nich nie był mieszkańcem Wenecji ani obywatelem Włoch. Obaj posiadali bardzo charakterystyczny turecki lub perski typ urody, a pewna cecha, związana z wyglądem ich narządów prokreacyjnych, pozwala przypuszczać, że należeli do kręgu kultury islamskiej.

Jednakże nie tylko o tym pisała prasa w tych dniach.

Pisała, że wielce czcigodny profesor tanatologii i karnalistyki, wieczny Wenecjanin, pan Leonardo di Casallegra, już niebawem zamierza na zawsze opuścić Wenecję. Moż-

na jedynie domniemywać, co czcigodny starzec ma na myśli, mówiąc „opuścić”. Miejmy nadzieję, że w żadnym wypadku nie własną śmierć. Gazety spekulują, że po długich i wypełnionych skomplikowanymi poszukiwaniami latami profesor coraz gorzej znosi kapryśny klimat wenecki, że wszechobecna wilgoć wywołuje niepożądane zmiany w jego organizmie, i dlatego senior Casallegra powinien czym prędzej zmienić miejsce stałego pobytu.

O całym szeregu niewyjaśnionych zjawisk i wypadków, które ostatnimi dniami i nocami nader często występowały w różnych częściach miasta, dostatecznie zresztą przyzwyczajonego do wszelkich dziwactw. Tak oto pewien mieszkaniec *sestiere* Santa Croce, który zastrzegł sobie anonimowość, po kolejnym odpływie i opadnięciu wody zauważył na ścianie swojego domu, pokrytej małżami i wodorostami, jakiś krwawoczerwony napis nieznanymi literami (sanskrycki? hebrajski?). Podczas przyływu napis został pochłonięty przez wodę, a po kolejnym odpływie już go nie było; ukazał się z kolei jakiś niewyraźny obraz, który na oko przypominał szkielec ryby. Podobnie pani E., gospodyni domowa, mieszkanka *sestiere* San Polo, opowiedziała o nagłym pojawieniu się w sąsiednim, dawno opuszczonym budynku jakichś widmowych świateł; nieznanymi, ale niewątpliwie mocno podejrzani osobnicy przez całą noc wynosili z łodzi i przeciągali do wspomnianej już rozpadającej się rudery niezliczoną ilość waliz, pudeł i skrzyń w kształcie trumien. Jeszcze inna pani, tym razem z okolic Ghetto Vecchio, siniora Galuppi, uskarża się na trudne do zniesienia kocie koncerty. O tej porze roku jest to rzecz dość normalna. Cała nienaturalność sytuacji polega na tym, że słowo „koncerty” w tym wypadku ma sens dosłowny: kocie zgraje, inaczej niż zazwyczaj, zamiast okupować okoliczne dachy i tarasy dla nieprzerwanych miłosnych harców, do samego rana rzeczywiście muzykują, posługując się przy tym

najdziwniejszymi instrumentami, takimi jak np. teorban, a ich kolejne sola przywodzą na myśl lepsze partie wokalne z repertuaru Giuseppiny Pircher; na tym jednak nie koniec owych dziwów — równocześnie z kocią muzyką zewsząd dolatuje potwornie nieprzyjemny zapach, ściślej mówiąc — smród, przenikający do mieszkań przez ściany i szpary w okiennicach, zapach trochę podobny do wyziewów ze źródła siarkowodorowego, znikający dopiero nad ranem wraz z końcem kocich rulad. Oprócz tego istnieje także kilka zeznań kobiet o pojawieniu się na Giudecce i w pobliżu San Trovaso nocnego satyra, który wszędzie zostawia swoje ekskrementy, przerażliwie rechocze i przeszkadza w spaniu. Niektórzy mylnie biorą go za maniaka, który uciekł kilka tygodni temu.

Jakby i tego było mało, mamy jeszcze opowieść siedemdziesięcioletniego pijaka Pietro G., który w drodze ze spelunki „Da Ivano” do domu, rzecz jasna, między pierwszą a drugą w nocy zauważył na Piazzecie, między kolumnami św. Marka i Teodora, jeszcze jedną, trzecią kolumnę, bez wątpienia identyczną. Rankiem kolumny znowu były dwie.

Pisano i o tym, że nadszedł trzeci, przedostatni dzień głośnego seminarium *Postkarnawałowy bezsens świata*, zorganizowanego przy udziale miejscowych intelektualistów na wyspie San Giorgio Maggiore. Zgodnie z programem seminarium w dniu dzisiejszym zostaną wygłoszone dwa końcowe odczyty — pana Cucu Mauropula, przybyłego do Wenecji kilka dni temu statkiem z Aleksandrii, oraz ukraińskiego poety S. Parafińskiego, autora pięciu nie przetłumaczonych na żaden język tomików i trzech czy czterech niepewnych koncepcji; koncepcje te przedstawi on w wystąpieniu, którego tytuł wciąż jeszcze nie został ustalony.

O czym nie donosiła żadna z porannych gazet?

O oczywistym romansie wyżej wymienionego S. Perforackiego z jego tłumaczką, panią C. (według innych źródeł —

panią A.). O tajemniczych planach doktora urologii, pana R., męża wspomnianej C. (A?). Nie było też wzmianki o dziwnym typie, który kryjąc się pod maską *Cynocephala*, pojawiał się zawsze w pobliżu dwukrotnie wspomnianego S. Preferańskiego. O świetle, które do rana nie zgasło w hotelowym pokoju tego ostatniego, co było widać nie tylko z Mostu Akademii, ale i z okien znacznie odleglejszego pałacu Genovese.

O nocnych szelestach, przytłumionych dźwiękach i plusku wody.

Stało się, ziściło, spełniło — Cucu Mauropule! Już o dziewiątej rano po korytarzach i celach San Giorgio, na wyspie o tej samej nazwie, i nad całą laguną niósł się echem jego dudniący, głęboki bas, od czasu do czasu wzmacniany armatnimi salwami śmiechu. Jeszcze go nie było widać, a już Ada wiedziała, że jest, i oznajmiła Stachowi: — Mauropule.

Ten rzeczywiście przypominał pijanego Noego, wspartego o ścianę Pałacu Dożów. Siwa, przetykana czernią grzywa najpotężniejszego z lwów, rozczochrana na wszystkie strony, sto lat nie czesana broda, w której przy odrobinie chęci można by znaleźć mnóstwo drobnych przedmiotów, pociemniałe zęby, nawykłe do rozgryzania baranich kości udowych, kraciasta płócienna koszula i wspaniałe pękaty brzuch, złote pierścienie, łańcuszki, kółka, kolczyki, bransolety, plakietki na całym ciele, zarosnięte uszy, czarne jak otchłań oczy, ciągnący się za nim wszędzie zapach potu, wina i cebuli, a nade wszystko — głos, głos jakiegoś prehistorycznego pogańskiego boga, władcy podziemi i niebios. Cucu Mauropule przypominał Saturna, który pożarł własne dzieci.

Obejmował i całował każdego, kto tylko nawinął mu się pod rękę, przyciskając do brzucha z taką siłą, aż trzeszczały żebra. Pojawiał się to tu, to tam — z kieliszkiem, kanapką, fajką, zewsząd huczał jego rubaszny śmiech, piszczały hostessy,

które ten — jak wolno sądzić — nieustannie podszczypywał w pośladki, a za nim rozbrzmiewało ćwierkanie załaskotanej na śmierć Lisy Sheili, nawet Dappertutto, inaczej niż zwykle, nie wyglądał na absolutnego pana sytuacji.

I tak, ujrawszy Adę z Perfeckim, Mauropule rozłożył łapska na pół sali i ruszył im naprzeciw.

— Ho, ho, ho, ho! — przywitał Adę i podniósł ją na rękach wysoko ponad głowę, a potem, stawiając na nogi, tak długo przyciskał i obśliniał, że o mało nie wywołał burzy w sercu niewyraźnie uśmiechającego się Perfeckiego.

— Wierzyłem, wiedziałem i miałem nadzieję: i oto spotka-
liśmy się! — zaryczał Mauropule nie najgorszą angielszczy-
zną. — Co nowego, dziecino?

— Poznaj Cucu — odpowiedziała Ada. — Pan Perfecki z Ukrainy.

— Ho, ho, ho, ho! — zagrzemiał jak wulkan Mauropule, po-
trząsając Stachową prawicą. — To on? To twój Perfecki? Rad
jestem, niezwykle rad! *Oczeń rad!* — z jakiegoś powodu prze-
szedł na rosyjski, a wtedy, nachylając się do Stachowego ucha
i pieścizotliwie dotykając go szorstkim językiem, zadudnił
tak, że wszyscy w promieniu sześciu kroków usłyszeli:

— Mam nadzieję, że z taką lalą nie tracisz czasu na głup-
stwa, co?

Potem znowu zaniósł się śmiechem i trzepnął Stacha swo-
im łapskiem po ramieniu.

— A tobie co do tego, słoniu? — uśmiechając się, odpowie-
dział Perfecki, na wszelki wypadek po ukraińsku.

— Nie będę, nie będę przeszkadzał dwóm zakochanym
sercom! — zaryczał byk i mrugając kolejno do każdego in-
nym okiem, odszedł i zaraz zaczął kogoś następnego.

Po chwili jego gromki śmiech dolatywał już z oddali.

— Wreszcie rozumiem, dlaczego wszyscy mówią tylko
o nim — powiedział Stach.

— Nic jeszcze nie rozumiesz — zagadkowo odpowiedziała Ada i ruszyła na swoje miejsce w kabinie dla tłumaczy, bo na podium ukazał się Dappertutto i znienacka ogłaszając otwarcie kolejnego dnia seminarium, poprosił o wystąpienie (którego temat nie podlega sformułowaniu) gorąco przez wszystkich oczekiwanego i wreszcie szczęśliwie przybyłego, drogiego Cucu Mauropula, księcia Besarabii i Siedmiogrodu, połykacza ognia.

Ta zapowiedź zmusiła publiczność do zajęcia miejsc wokół bibliotecznego stołu i powitania nowego prelegenta burzą oklasków.

Stach był nieco zaskoczony tym, że po wczorajszym pogromie jakimś niewidzialnym tajnym służbom udało się doprowadzić pomieszczenie do błysku i idealnego porządku: wszystkie książki były na miejscach, rozbite kałamarze i spluwaczki wymieniono na nowe, jeszcze starsze, a ilość globusów i astrolabiów nawet wzrosła. Jednakże wszystkie te celne spostrzeżenia nie zanadto przykuwały uwagę Stacha: jakieś inne strapienie zaprzętało go całkowicie i przeszkadzało w skoncentrowaniu się. Być może była to trema przed własnym wystąpieniem, od którego tak wiele zależało?

A Cucu Mauropule, cały naszpikowany mikrofonami, opleciony kablami, jak Laokoon, zaczął swym nadprzyrodzonym głosem wykład, dla którego w żadnym z języków świata nie było tytułu.

— Istotą mego dzisiejszego objawienia — cedził każde uderzenie swojego głosu wielki herezjarcha — jest doprowadzenie do zaakceptowania przez państwa bądź niezaakceptowania pewnych kryteriów, wokół których już zatrzymują się karawany dni i nocy. Kryteria te można przyjąć albo zupełnie i w całości, albo częściowo, lub też nie przyjmować ich wcale, w ogóle ani w całej ich rozciągłości. W pierwszym wypadku uzyskamy to, co wywołała znana już z poprzednich wcieleń

haniebna opozycja metali twardych do innych naturalnych zjawisk, jak na przykład pasiaści przedstawiciele rodziny kotowatych. Stanie się to możliwe wyłącznie dzięki udziałowi dalszych paragrafów kodeksu cywilnego. W dwu pozostałych wypadkach przejście od nicości do przekroju podłużnego jaja niewątpliwie wywoła państwa zaniepokojenie, co nie zawsze i nie wszędzie daje gwarancje zwolennikom nowej kopulacji. Swoich też w żadnym wypadku nie chciałbym opierać na ptasich bazarach, ponieważ nawet minimalne podobieństwo do pożądanego stylu telegraficznego nie przyniesie nic poza roślinami strączkowymi. Z drugiej jednak strony, stan postembrionalnej psychozy kogokolwiek z nas automatycznie pociąga za sobą regenerację wina w sokach żołądkowych oraz nienaganne wyczerpanie wszystkich użytych w tym celu równonogich, co prawda, jedynie przy założeniu, że zastosowane zostaną pewne tajemne receptury na rozszerzenie granic nowoczesnego mechanizmu parapaństwowego na zachód i na Księżyc jednocześnie. Pośród innych decydujących parametrów wymienię również głębokość sadzenia warzyw, temperaturę dróg, a także wysokość przelotu pierwszych wiosennych komet — jeśli taka wysokość może zostać uznana za stałą. Tak więc, wychodząc z określonych założeń, w których nie ma większego znaczenia nieobecność czy też w tym samym stopniu wszechobecność martwych punktów rosy w ogólnym schemacie użytkowania gorących potraw, możemy przejść do poznania numeru porządkowego ich jak najbardziej legalnej wegetacji, jednakże — kładę na to szczególny nacisk! — dopiero w chwili, gdy weźmiemy pod uwagę gorące wanny. Mówię „wegetacji” i na twarzach wielu z was dostrzegam uśmieшек. W tym kontekście rzeczywiście może się wydać, że strumień świadomości Alemanów dawno już przekroczył granice ściśle ryżowego biopola i stał się negatywną komponentą procesów korozyjnych, w związku

z czym o wiele trafniej byłoby mówić o „efekcie ultrafioletowego ucha środkowego”. Proszę jednocześnie nie zapominać o tym, że wskaźnik stosunku pomidorów do zsinienia płci granicznej w żaden sposób nie może być porównywalny z początkiem trudnego dialogu dotyczącego uregulowania zewnętrznego ciśnienia krwi na podwodny system irygacyjny koordynat środowiska naturalnego. W ten sposób z absolutną pewnością możemy wysunąć pierwsze daleko idące uogólnienie: obecność żółwich jaj w kieszeniach płaszcza niekoniecznie doprowadza do spadku jakości zarówno samych kolorowych snów, jak i dowodów rzeczowych na nie!...

Niewidzialny sekretariat działał bez zarzutu. Wystąpienie Mauropula, wydrukowane na najbielszym papierze, leżało przed każdym słuchaczem. Zostało przetłumaczone na włoski, arabski, albański, japoński, serbołużycki i bengalski. W żadnym jednak języku nie można go było zrozumieć, choć każdy ze słuchaczy z całej siły wyteżał swój umysł, by uchwycić jego sens, naprawdę istotny, a kto wie, może nawet sakralny. Lisa Sheila raz za razem pokazywała prelegentowi OK. Al-Boraq Dżabraili, który minioną noc spędził na posterunku policji, spał i widział we śnie, jak mknie na swym rączym wierzchowcu z Mekki do Jeruzalem i z powrotem, choć czasem zdawało mu się, że to tylko wycieczka rowerowa za miasto. John Paul, tym razem obecny, nie wypuszczał się w dalekie podróże, a słuchał w maksymalnym skupieniu, jedynie od czasu do czasu bezgłośnie mówiąc: *bloodclot*¹. Gaston Déjàvu, na razie Wstrzemięźliwość-w-Ocenie, cały czas wyglądał tak, jakby wszystko niemal rozumiał, i nawet w potoku gęstej mowy herezjarchy dostrzegał pewne żartobliwe nuty, głęboko ukryte dla innych — świadczył o tym obłudny uśmiezek na wielkich czerwonych wargach, nie schodzą-

1 Szpetne jamajskie przekleństwo.

cy z upudrowanej i pokrytej różem fizys Gastona. Wreszcie stary jak świat Casallegra; ten chyba po raz pierwszy w ciągu ostatnich dni nie drzemał podczas wygłaszanego referatu. Wprost przeciwnie — słuchał z niebywałą w jego wieku uprzejmą uwagą, od czasu do czasu skinieniem głowy wyrażając pochwałę. Spojrzenia obu jego towarzyszek aż płonęły — z tak jawną pożądliwością patrzyły na monumentalnego Mauropula, na jego rozczochraną głowę Minotaura, na zaroiętą klatkę piersiową, rozpierającą zdecydowanie nie dopiętą koszulę — ich usta były półotwarte i pożądliwe.

Stach Perfecki przyglądał się blatowi stołu. Była to jedna z osobliwości biblioteki, zabytek przeszłości i terażniejszości. Pierwotnie wykonany został w XIII wieku przez mistrzów z wyspy San Pietro. Stało się to po słynnym trzęsieniu ziemi, wskutek którego klasztor trzeba było całkowicie odbudować. Wtedy też zamówiono wiele nowych mebli. Stół nosił na sobie ślady wszystkich czasów i nawarstwień, które powstały w ciągu całych siedmuset lat. Po pierwsze, składał się z różnych kawałków drewna, połączonych ze sobą w różnych epokach i na różne sposoby. Dziś można by powiedzieć, że to długasne owalne monstrum, za którym z łatwością mieściło się od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu osób, zrobione jest z buka, czereśni, jesionu, hebanu, cisu, bukszpanu i sandałowca, że inkrustowane jest masą perłową, ale gdzieś tam również kością słoniową i smoczymi kłami, choć przeważnie brak na nim inkrustacji, bo pierwotnie stół był znacznie mniejszy i przeznaczony do gry w taroka. Z boków podtrzymywały go cztery nogi, z których obecnie każda wyglądała inaczej. Pierwsza była marmurowym prostopadłościanem, w którym wyciosano nieskończenie długi sznur łuczników, jadących na słoniach i śpiewających jakąś pieśń wojenną. Tę nogę przywieziono z ruin Kartaginy około XVII wieku. Oczywiście, była ona o wiele starsza od samego stołu. Druga, okrągła, pocho-

działa z nieznannej krainy na wschód od wyspy Kaukaz. Wykonana była z oszlifowanego rogu ogromnego tura, zabitego na śmierć kamieniami i kamiennymi kulami podczas jednej z wypraw sławnego żeglarza Alviso da Mosto. Trzecia noga była miniaturą Wieży Babilońskiej, zrobioną ze skamieniałych resztek jakiejś przedpotopowej ryby, złowionej na sto lat przed Kolumbem w delcie Dunaju. I tylko czwarta noga, znajdująca się najdalej od Perfeckiego, jako jedyna zachowała się z oryginału, to znaczy została wyrzeźbiona przez mistrzów z wyspy San Pietro ze wspianiałego czarnego dębu, któremu nic i nigdy nie zdoła zaszkodzić.

Pośrodku stół podtrzymywały dodatkowo dwie kolumnienki z obsydianu, prawdopodobnie pochodzenia pozaziemskiego, zarówno jedna, jak i druga pokryte alegorycznym reliefem, wykorzystywane obecnie w celach technicznych — właśnie w nich znajdowały się gniazdzka do podłączania słuchawek i mikrofonów. Błąt z powodu kolejnych nawarstwień był bardzo pociemniały i chropowaty. Mimo to Stachowi Perfeckiemu, na tyle, na ile pozwalał wzrok, udało się coś na nim odczytać, coś odległego i minionego. Wśród śladów przeszłości Stach zauważył kilka jasnoniebieskich plam, niewątpliwie po atramencie jagodowym, pozostawionych przez niedoświadczonego kopistę, brata Michelina, podczas prac nad tekstem Jacopone da Todi *Stabat Mater*, uznanym później za kanoniczny — młody mnich zapewne bardzo się denerwował, kiedy po raz pierwszy zanurzał ciężkie niczym prawdziwa włócznia pióro w przepastnej niebieskiej otchłani kałamarza; obok kilka plam w kolorze brunatnym, które równie dobrze mogły być krwią z nosa wiecznie chorego bibliotekarza, brata Amadea (xv wiek), jak i niebacznie rozlanymi resztkami słodkiej małmazji, której z upodobaniem nadużywał opat Benedetto, siedząc nad dobrą księgą albo filozofując w towarzystwie trzech wspianiałych malarzy religijnych — Tizia-

na Vecellia, zwanego Tycjanem, Jacopo Robustiego, zwanego Tintorettem, i Dominikosa Theotokopulosa, zwanego El Greco. Były też zaschnięte na chropowatej powierzchni czyjeś łyzy (xviii wiek), a także wydrapany kawałkiem zielonej butelki po cabernecie wierszyk łańcuchowy, który sądząc z cech języka i stylu, przypuszczalnie pochodził z czasów nie późniejszych niż panowanie doży Gradenigo (1289–1311); w wolnym przekładzie Stacha brzmiał on tak:

*bo srogi to dopust, okropne męczarnie:
za jedno dotknięcie się łona Rosalby
mam głowę nałożyć, mam zginąć tak marnie,
o, gdyby nie marnie, nie było mi żal by*

Wiele różnorodności można było odczytać z tej głębokiej powierzchni, z owych corocznych słojów filozoficznych!

A nieubłagany Mauropule dalej prawił swoje.

— Przejdę teraz do punktu szerzej znanego — kontynuował. — W trzydziestym ósmym roku zauważyłem, że skłonność abisyńskiego ambasadora do kolekcjonowania białych wierszy nie przestaje szokować pojmanych na gorącym uczynku szczurołapów. Ze wszystkich danych wynikało, że nie jest możliwe, by częstotliwość migotania drzwi na siedem ósmych stała się obiektem parlamentarnej komisji śledczej, a z czasem zmieniła się w klasyczne monstrum do usuwania śmieci. Możliwość, by dzięki temu uzyskać wieczne pióro, skłoniła mnie do zbadania pewnych gatunków guzików i minerałów, wśród których, podkreślam, nie było ani jednego podobnego do swego odbicia w naczyniu mlecznym, a zwłaszcza kawowym. Ta okoliczność nie mogła nie doprowadzić do odkrycia, że pobyt prezydenta Szwecji w duszy każdego ówczesnego autopilota przeciągnął się ponad wszelką miarę. Wykorzystując tę sytuację, makarony znikły bez śladu, okazało się natomiast, że brudna bielizna pozbawiona jest najmniejszych

praw autorskich. Nie mogło to odpowiadać ani Osetycykom, ani tym bardziej budowniczym okrętów, wskutek czego najdrobniejsza aluzja cytrusowych do początku zdecydowanych reform w niższych odcinkach dwunastnicy przyjęta została w sposób jawnie wrogi i napotkała na szalony opór ortodoksyjnych sprzymierzeńców „tajnego eminencji”. Zaistniała sytuacja musiała odbić się na jakości rozmów internetowych! W związku z tym, że niemal krytyczny poziom opadów pozaatmosferycznych na surowe głowy świeżo nawróconych amatorów półkuli zachodniej w roku bieżącym przewyższył nawet poziom brzmienia zaimprovizowanej orkiestry matematyków, kolejne zdarzenie nikogo bynajmniej nie zaskoczyło zniecka, choć wnioski filatelistów różniły się nieco od koloru pomarańczy. Zdarzenie, o którym właśnie mowa — chciałbym, żeby to stało się bardziej zrozumiałe — to całkowite zakończenie procesu podnoszenia kwalifikacji skowronków z zakresu umiejętności przetrwania, w warunkach przejścia wyłącznie ilościowego (do jakościowego wciąż jeszcze daleko) przez kolaborację kaktusów meksykańskich z trzecim pianiem kogutów. Niemożliwe jest nawet opisanie wszystkich skutków wspomnianego kataklizmu! Po pierwsze, raz i na zawsze melomani poddani zostali wstrząsowi, a muzeum kopulacji październikowej zamieniono na rezydencję arcybiskupa rzeszy obcokrajowców. Po drugie, w piramidzie zapanował daleki od stabilności ażyotaż, któremu nie podlegała żadna z istniejących wówczas substancji piekła. Po trzecie, każda podejmowana przez tureckiego ministra bezpieczeństwa próba położenia kresu nieprzerwanemu przerostowi poziomek prowadziła jedynie do kolejnego przyrostu prostytucji i żeglugi morskiej. I wreszcie po czwarte, choć należałoby powiedzieć, że „po dziesiąte” i „po setne” — łańcuch następstw ciągnie się bez końca i nie ma na to sposobu — tak więc, po czwarte, już na zawsze sprostowana została bliska

prawdy pseudoteoria mongoloidalnego (ściślej: koloidalnego) pochodzenia motyli i elektrycznych wyłączników prądu...

„Coś nie tak — pomyślał Stachu Perfecki — coś dziś kiepsko z moim angielskim! Zupełnie nie mogę złapać kierunku myśli tego byka. Taki widać dzień!”

I sięgnął po słuchawki z synchronicznym przekładem, i usłyszał głos Ady, a głos ten bez wątpienia zwracał się do niego, do Stacha Perfeckiego, bo któż jeszcze pośród obecnych mógł ją zrozumieć:

— ...dlatego nie wiem, nie wiem, co mamy dalej robić, ale tego już się nie da odwrócić, chciałam tego uniknąć, ale stało się, stało. Za dwa tygodnie całkiem o mnie zapomnisz, poboli troszkę — i zapomnisz, wiem, co dzień kochasz się w innej, ale ja, co ja mam zrobić, nie wiesz? Sobą najmniej się przejmowałam, taka już jestem, nigdy o sobie nie myślę, w miłości muszę iść do końca, do ostatniego tchu, wiesz? Nawet ci do głowy nie przyjdzie, że jutro być może nasz ostatni dzień i że już nigdy i nigdzie, jestem tego pewna — słyszysz? — nigdy i nigdzie, tak, jakbyśmy umarli dla siebie nawzajem, ale z jakiegoś powodu tylko mnie to boli, tylko mnie się chce od tego walić głową w ścianę, a słuchaj sobie, słuchaj tego wystąpienia, zadowolony, uśmiechnięty, wiecznie uśmiechnięty, niczym Japończyk. Rozdarłabym ci ten twój uśmiech od ucha do ucha, żebyś tak już wiecznie chodził, bo postępujesz ze mną po prostu okrutnie, ciągle tylko te gierki, grasz na mnie jak na jakiejś lutni („okrutnie — lutni”, jak ci się rym podobają, poeta?), postępujesz okrutnie — wiecznie chodzić z takim uśmiechem, kiedy ja tu mało nie skonom, niewolnica twojego penisa czy jeszcze tam czego, twojej brwi nad lewym okiem, na przykład, skąd mam wiedzieć?... Zdradzam męża, grzeszę dla ciebie, a ty zwyczajnie się uśmiechasz, nawet słowa nie powiedziałeś do mnie po ludzku, tylko jakieś cytaty i gra słów, na każdym kroku gra słów i cytaty, i jakieś historie, o których

nie chcę słyszeć, jakieś aluzje nie wiadomo do czego. Niedługo wrócisz tam, do siebie, na Ukrainę, znowu znajdziesz się wśród przyjaciół i kochanek, tak, i będziesz miał wszystkiego pod dostatkiem, i... A ja, wiecznie sama, obca dla wszystkich i dla każdego, co będę wspominać z naszej sześciodniowej miłości oprócz twojego uśmiechu, z którym pewnie nawet śpisz — nie wiem, bo nie widziałam, jak śpisz, przecież nie spałam z tobą!... Czy powiedziałeś mi choć raz coś ciepłego, delikatnego, prawdziwego? Nie wymagam zbyt wiele, po prostu myślałam, że stałam ci się potrzebna — nie mniej niż ty mnie, ale tak nie bywa, miłość nie jest równa, miłość — to nierówność, ktoś musi więcej dawać, a ten drugi tylko bierze, bierze, bierze... Wybacz.

— To nieprawda! — krzyknął Stach, i wszyscy spojrzeli na niego, myśląc, że nie zgadza się z ostatnim stwierdzeniem prelegenta, w którym chodziło o „wyrządzenie szkód w rolnictwie samurajom pierwszego typu z powodu katastroficznego ich braku w górnych warstwach atmosfery”.

— To nieprawda! — powtórzył Perfecki półgłosem, niemal szepsem, gdy wszyscy zaczęli go uciszać. Mógłby w wielu rzeczach zaprzeczyć Adzie, jest całkiem inny, niż ona sobie wyobraża, przecież potrafi kochać z nie mniejszym oddaniem, przecież cała Wenecja stała się świadkiem jego miłości, przecież nikt i nigdy nie kochał z tak zawziętą i mężną bez nadzieinością, jak on, Perfecki, tak nikt nie kochał od tysiąca lat. Jednakże głos Ady w słuchawkach nie pozwalał mu odpowiedzieć, zaprzeczyć, Ada jakby puściła kasetę od początku, i znów powtarzała o tym, że uśmiecha się jak Japończyk, więc zmuszony był zdjąć słuchawki z uszu, uśmiechnął się.

I tu zdarzył się epizod, który wielokrotnie, ale nader sprzecznie relacjonowali różni naoczni świadkowie.

Cucu Mauropule, rozchełstany brzuchacz o głowie baśniowego olbrzymia, z zębami ludożercy, połykacz ognia i pro-

fesor bez tytułu, nagle zaczął krztusić się własną przemową, słowa polazły mu z powrotem w rozwartą paszczę, jakaś nieznaną siłą zdławiła mu gardło, zaczęło go wykrzywiać, stał się purpurowy i ktoś zupełnie inny piskliwym i skrzeczącym głosem przemówił z niego, z jego wnętrza:

— Słuchajcie mnie wszyscy! Jestem duchem Bahafu, mam dwadzieścia dwa i pół tysiąca lat. Narodziłem się w Mezopotamii z czteroskrzydłego demona Pacucu i kozioryby Sugur-mas. Ostatnie pięćset lat byłem muchą i spałem w bryłce bursztynu na brzegu Oceanu Niemieckiego. W końcu zostałem wezwany z woli mego najwyższego pana! Zwracam się do was, bracia i siostry: zbudźcie się ze snu! Zbudźcie i udajcie się do wiecznie kwitnącego ogrodu mojego i waszego władcy!

Po tych słowach jakby się zaciął, tak jak czasem zacina się stara porysowana płyta w gramofonie, a w pomieszczeniu przez kilka kolejnych minut w nieskończoność odbijało się echem: „cy-wład”, „cy-wład”, „cy-wład”...

W końcu Mauropule, na którego facjacie silnie odbił się cały przebieg wściekłego pojedynku, stłumił ów bunt i zagościł nachalny głos gdzieś w niedostępną czeluść. Audytorium, jeszcze przez jakiś czas oniemiałe, wybuchło radosnymi oklaskami. Pijany Saturn ukłonił się na wszystkie strony, wymachując brodą i kędziorami.

— On już tu jest — powiedział Leonardo di Casallegra.

— Bo on jest wszędzie — dodał, zapalając papierosa, Dap-pertutto.

— Następny mówca — chrząknęła z kabiny Ada.

— Następny? To ja — nie zrozumiał Perfecki.

УЗЫИЯ-ДБ

Uwadze Monsiniora polecam tekst referatu wygłoszonego przez Respondenta na seminarium *Postkarnawałowy bezsens świata: co na horyzoncie?* 9 marca b.r. w Wenecji. Wystąpienie Respondenta zaczęło się o jedenastej rano i z krótką przerwą trwało do dwunastej dwadzieścia trzy.

Cerina

1

Szanowni państwo! Moje zadanie nie należy do łatwych, mam więc powody do obaw, czy uda mi się należycie je wykonać. I nie w tym rzecz, że nie mam o czym mówić. Wręcz przeciwnie — mam do powiedzenia tak wiele, że nie wystarczyłoby nam nie tylko reszty czasu przeznaczanego na nasze seminarium, ale i — mogę państwa o tym śmiało zapewnić — pozostałych dni i nocy, którymi Opatrzność obdarzyła rodzaj ludzki. I mimo to z uporem godnym lepszej sprawy rzucam się na owe wiatraki w nadziei, że coś niecoś zdołam wnieść do świadomości słuchaczy.

Przybyłem tu z takiego kraju, o którym wiedzą państwo albo bardzo niewiele (nazywając go a to Uranią, a to Ukra-

nią, a to Ukrainę), albo też nic. Ci z państwa, którzy nie wiedzą „nic”, w istocie wiedzą o wiele więcej od tych, którzy wiedzą „bardzo niewiele”, bowiem ci ostatni znają jedynie spaczony lub zdeformowany obraz tego kraju. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby udało mi się bodaj niektóre z tych spaczonych i zdeformowanych wyobrażeń skorygować, a tych, którzy do dziś nie wiedzieli „nic”, obdarować przebłyskiem w postaci „czegoś”. I jak sądzę, jest to bardzo ważne nie tylko dla mnie.

Ale jak ogarnąć nieogarnione? Od czego zacząć? Od jajka? Od pierwszego dnia stworzenia, „kiedy tylko Duch Święty unosił się nad wodami”?¹ Od siedlisk pierwotnych ludzi z okresu neolitu? A może od raj u utraconego?

Zacznę od utraconego rękopisu. Zdarzyło się to siedem lat temu, kiedy wkrótce ukończeniu uniwersytetu ukrywałem się przed poborem do Armii Czerwonej na jednym z lwowskich poddaszy. Lwów to takie miasto, z którego przybyłem. Po włosku mogłoby się nazywać Leonia, a w sanskrycie — Singapur. Miasto to liczy ponad dziewięć tysięcy lat i leży pośrodku świata. Tego Starego Świata, który był płaski, spoczywał na wielorybach, żółtciu, a jego skrajem były Indie, o brzegi których uderzały fale Nilu czy też Oceanu. Zapewne dlatego zamieszkuje tam tak wielka liczba szaleńców i fantastów, a każdy z nich jest aż nazbyt przekonany, że to właśnie on stanowi centrum światowych wydarzeń. Oprócz tego Lwów ma swoje własne demony, widma i geniuszy. O każdym z nich można by napisać odrębną książkę, co też kiedyś zapewne uczynię. W końcu muszę powiedzieć i o tym, że we Lwowie nieustannie padają deszcze, przez co lwowskie poddasza pachną starymi ciałami kobiet i gnijącymi kwiatami.

Siedem lat temu ukrywałem się więc na takim poddaszu u pewnego znajomego działacza politycznego, który praco-

¹ Bohdan Ihor Antonycz, *Ballada o proroku Jonaszu*.

wał wówczas w kawiarni jako barman. Kawiarnia mieściła się w oficynie tego samego budynku, co i moje poddasze, a sam budynek pochodził z tych zamierzchłych czasów, o których nie możemy powiedzieć nic pewnego oprócz tego, że niegdyś były. Istniały hipotezy, że budynek liczył już bez mała pięć stuleci i stanowił niegdyś część muru obronnego. Inne zaś utrzymują, iż budynek wzniesiono za czasów austriackich reform i znajdowała się w nim filia miejscowego szpitala psychiatrycznego dla szczególnie pomysłowych pacjentów. Zgodnie z jeszcze innymi budynek w rzeczywistości zburzono w latach trzydziestych, to znaczy za Polski, a dziś istnieje tylko jego żłudna powłoka, także w tym celu, by umożliwić działalność konspiracyjnej kawiarni, w której trzy razy w tygodniu spotykali się na tajnych zebraniach awangardowi artyści, więźniowie sumienia i tacy jak ja dezerterzy.

Ze względu na ogromne i nieodparte upodobanie do staroci, a szczerze mówiąc — także z nudów, zacząłem na tym poddaszu przerzucać wszystko, co wpadło mi w ręce. Nie wdając się w tej chwili w nazbyt szczegółowe wyliczenia, wymienię mimo wszystko ptasie gniazda, pozytywkę, podwiązki, szklaną biżuterię, sztuczne rzęsy, gryf od mandoliny, kolekcję płyt gramofonowych i pasma czyichś siwych włosów. Nie mogę również przemilczeć wspaniałej kolekcji secesyjnej pornografii na pożółkłych rozpadających się stronicach, gdzie ówczesne modelki, najczęściej zwrócone ku widzowi olbrzymimi gołymi tyłkami, szalenie przypominają młode hipopotamice.

Zdaje się jednak, że nieco się zagalopowałem, miałem przecież opowiadać o swoim kraju.

Tak więc wśród rzeczy znalezionych w owej tajnej kwaterze była opasła, ręcznie szyta księga, spisana na ponad siedmiuset arkuszach różnego — od kredowego do bibułkowego i nawet toaletowego — papieru, zszytego, ściągniętego sznur-

kiem i ponumerowanego, jak też oprawionego w pozostałości z okładek innych ksiąg, w szczególności apokryficznej ewangelii Adama, średniowiecznego traktatu andaluzyjskiego *Źródła płodności zapieczętowane* oraz pamiątek generała austriackiej kawalerii von Böhma-Ermoligo.

Rękopis pisany był jedną i tą samą ręką, ale w różnych językach: najobszerniejsze były fragmenty po ukraińsku, jednakże czasami, kiedy autorowi brakowało terminów czy jeszcze czegoś tam, jakichś idiomatycznych zwrotów na przykład, wówczas przechodził na polski, niemiecki, jidysz, kilka obszernych ustępów napisano po ormiańsku, po jednym urywku napisano też gimnazjalną greką, w języku cygańskim, turecko-tatarskim, cerkiewno-słowiańskim, karaïmskim i genueńskim. I ani jednego fragmentu po łacinie. Niejeden z was się uśmiechnie, gdy usłyszysz, jaki tytuł nosiła ta księga. Autor zapragnął ogarnąć *w s z y s t k o* i nazwał tę fundamentalną pracę ni mniej, ni więcej, tylko: *Zaćmienie świata*. Do postaci tego zuchwalca za chwilę jeszcze powrócimy, ale na razie musimy choć w kilku zdaniach opowiedzieć o losie samego rękopisu.

Na szczęście zrobiłem z niego konspekt podczas przesiadania dniem i nocą na wspomnianym poddaszu. Ale na nieszczęście pewnego dnia późną jesienią tegoż roku zakonspirowany lokal zdemaskowano, kawiarnię zamknięto, a ja musiałem przeprowadzić dyslokację na wieżę dworca kolejowego. Kilka miesięcy później powróciłem na stare miejsce w jednym tylko celu — by wynieść rękopis, lecz znalazłem jedynie zwęglone szczątki. Rozsypały mi się w rękach i nawet popiołu nie zdołałem zebrać. Ktoś tam był podczas mojej nieobecności i zniszczył jedyne świadectwo tej niezwykłej i wielkiej duszy.

Mam tu na myśli autora rękopisu. Jego imię — Jaropołk Nepomucy Kunsztyk — widniało na tytułowej stronicy. Po przeprowadzeniu niezbyt skomplikowanego dochodze-

nia udało mi się dowiedzieć o nim niemal wszystkiego. Student filozofii i prawa, od dzieciństwa ciężko chory na suchoty. Syn znanego we Lwowie urzędnika, z którym jednak zrywa całkowicie w wieku lat siedemnastu. O matce wiadomo tylko tyle, że mogła nią być pokojówka ojca. W 1909 roku, nie osiągnąwszy nawet wieku dwudziestu siedmiu lat, Jaropołk Nepomucy umiera, pozostawiając po sobie jedynie rękopis *Zaćmienia świata*. Los typowy dla młodych inteligentów, którzy pojawili się na przełomie stuleci. Suchoty, *décadence*, *fin de siècle*, długi, Nietzsche, tragiczna miłość, nędza, księgi, ubóstwo, przedwczesna śmierć w dwu wariantach — wspomniane suchoty albo samobójstwo...

Dziś miałem zamiar opowiedzieć państwu coś niecoś o swoim kraju, opierając się wyłącznie na zapiskach Jaropołka Nepomucego Kunsztyka. Istnieje kilka przyczyn po temu. Po pierwsze, nie uważam własnych poglądów za nowsze czy bardziej interesujące. Po drugie, spuścizna Kunsztyka wygląda na aż nazbyt adekwatną do naszej epoki, kiedy zbliżamy się do pewnego zatrważającego punktu na tablicy czasu — chronologicznej cezury 2000. Autor *Zaćmienia świata* odczuwał to prawie tak samo mocno, jak my dziś: jego czas też przypadł na ważny próg w rachubie czasu (xx wiek). Po trzecie wreszcie, Kunsztyk jest autorem jednego z najbardziej ulubionych przeze mnie stwierdzeń, które brzmi następująco: „W istocie rzeczywistość nie istnieje. Istnieje jedynie nieskończona liczba naszych wersji o niej, a każda z nich jest nieprawdziwa, zaś wszystkie razem wzięte są wzajemnie sprzeczne. Jedyńm dla nas ratunkiem jest przyjęcie, że każda z nieskończonej liczby wersji jest prawdziwa. Tak też uczynilibyśmy, gdyby nie pewność co do tego, że prawda może być i jest tylko jedna, a zwie się ona — rzeczywistość”.

Chciałbym, aby te gorzkie i wspaniałe słowa posłużyły jako motto mojego dalszego wystąpienia, które proszę uwa-

zać za zbiór pewnych poglądów, samych w sobie nieprawdziwych i nawet nie odpowiadających prawdzie, ale w zupełnie dostateczny sposób będących owej prawdy wersjami.

2

Dlatego też zacznę od rzeczy, które — choć wyglądają z pozoru na jak najbardziej obiektywne, na zbliżone do pewnej prawdy — w istocie nieustannie wywołują ogromne wątpliwości. Chodzi, mianowicie, o historię i geografię. Wydawałoby się, że cóż może być bardziej prawdziwego od stwierdzenia „Rzeka N. wpada do jeziora P?” albo „Bitwa między Arnautami i Atlantami miała miejsce w takim to a takim roku”? Ale proszę tylko spróbować zaakcentować mocniej takie stwierdzenie, i usłyszają państwo gwizd audytorium, albowiem każdy z obecnych ma własny pogląd na owe rzeki wraz z bitwami. Pogląd taki staje się jak w każdej innej — że się tak wyrażę — nauce punktem, z którego obserwujemy zdarzenia. Bo czym jest dla Japończyka Daleki Wschód?

Położenie kraju, z którego przywędrowałem, określają ze wschodu na zachód cztery wielkie rzeki: Don, Dniepr, Dniestr i Dunaj. W każdej z nich słychać echo sanskryckiego *dana*, co oznacza „wodę”. Pewien mądrała, usłyszawszy to kiedyś ode mnie, zmrużył oczy i zapytał, czy rzeczywiście znam sanskryt. Odpowiedziałem mu, że niestety nie, ale kiedy on używa słowa *vagina*, ja ani przez chwilę nie podejrzewam go o znajomość łaciny. Mając do czynienia z poszczególnymi słowami, prawie nigdy nie znamy należycie języka. Ale to taka uwaga na marginesie.

Zdeterminowany przez cztery rzeki, kraj mój ma jednak od wieków znacznie bardziej fatalne problemy ze swoim położeniem geograficznym. Istota ich polega na tym, że górzy-

sta i pagórkowata na zachodzie, lesista i błotnista na północy, przylegająca do dwu stosunkowo ciepłych mórz na południu, ziemia ta stanowiłaby zupełnie normalny europejski wzorzec, no może ciut za duży, gdyby nie wschód — północny, południowy i po prostu wschód: step, równina, pole, Azja. Walka tych dwu, a ściślej rzecz ujmując, dwustu dwudziestu dwu geograficznych tendencji od samego początku określiła cały dramatyzm naszej sytuacji. Tam, gdzie Europa dopiero zaczynała powstawać, wyrastać, wznosić się, natychmiast wszczyniała bunt Azja, żądając bezwzględnie zaprowadzenia swego despotycznego, a zarazem anarchicznego statusu. Nie twierdzę teraz, że to źle. Mówię jedynie, że na tym polega jej istota. Owa istota zaś jest całkowicie sprzeczna z inną istotą — europejską.

Dlatego też jakakolwiek stałość, trwałość i ciągłość w warunkach tej ziemi rysuje się mgliście i niewyraźnie. Jacyś zagadkowi autochtoni rzeczywiście uprawiali na niej zboże i zajmowali się obróbką metali już trzy czy cztery tysiąclecia temu. Ale cóż my o nich wiemy? Pokusy archeologii pozostają jedynie pokusami — najważniejszego i tak się nie dowiemy. Co mogą mnie obchodzić szczątki czaszek i zabarwione na czerwono szkielety? Żądam tekstu, a nie poszczególnych znaków. O nieautochtonach, o przybłędach, koczownikach i im podobnych awanturnikach, wiemy natomiast znacznie więcej. Przyjrzyjmy się bliżej temu karnawałowi plemion, z których każde od czasu do czasu uznawane jest za naszych protoplastów, i każde z nich w istocie jest nim, ale wszystkie razem rzeczywiście wlały swą koczowniczą krew w żyły narodu, do którego, jak się wydaje, ja również należę. Informacji o nich najlepiej szukać w zabytkach piśmiennictwa dawnych wieków, w różnego rodzaju kapitalnych kompilacjach Herodota, obydwu Pliniuszy, Strabona, Ptolemeusza, Owidiusza czy też trochę późniejszych — Ammianusa, Jordanesa, Prokopiusza z Cezarei, Pseudo-Maurycego czy nawet w źró-

dłach arabskich, jak Al-Masudiego lub Abu Darmiego, we wszystkich tych wspaniałych i dowcipnych wymysłach, które prawdziwością swoją mogą ustąpić co najwyżej świadectwu św. Aureliusza Augustyna o podróży do Afryki Środkowej: „Będąc jeszcze biskupem w mieście Hippona, z kilkoma chrześcijańskimi niewolnikami udałem się do Etiopii, by tam nauczać Słowa Bożego. Spotykaliśmy tam mężczyzn i kobiety, którzy głów wcale nie mieli, oczy umieszczone były na piersi, a wszelkie pozostałe członki były identyczne z naszymi”. I nie mamy żadnych podstaw, by mu nie wierzyć! Tak kuszące są owe „pozostałe członki”, które są „identyczne z naszymi”.

Starodawna Ukraina stanowiła przestrzeń nie mniej fantastyczną aniżeli opisana przez Augustyna Etiopia. Wystarczy choćby pobieżne wyliczenie wszystkich tych mieszkańców pól, lasów, gór i wód. Kimeryjczycy, jeszcze przez Homera spowici mgłą tajemnicy w *Odysei*; czy oni istnieli, spytacie państwo — czy istniał Homer, zapytam ja; o Kimerii wiadomo tylko tyle, że Rimbaud uważał ją za „ojczyznę mgły i trąb powietrznych”; Scytowie, którzy są w prostej linii potomkami czy to Heraklesa, czy też może samego Zeusa, i dlatego mieszkają w płóciennych budach na wozach; Issedonowie, którzy przegonili Scytów znad Morza Kaspijskiego; Arimaspowie, którzy przegonili stamtąd tychże Issedonów, albowiem mają jedno jedyne oko pośrodku czoła i wiecznie walczą z gryfonami o złoto; Taurowie o byczych i capich głowach; Neurowie, z których każdy raz w roku w ciągu dnia bywa wilkiem; Amazonki bez prawej piersi, by celniej strzelać z łuku, i Sauromaci, których narodziły owe Amazonki na skutek gremialnego obcowania ze Scytami; Androfagowie, którzy spożywają ludzkie mięso i nie uznają sprawiedliwości ni prawa Boskiego; Amodokowie również spożywający mięso ludzkie, ale żywcem; Melanchlajnowie, zwani Czarnopłaszczowcami, jako że noszą tylko czarne odzienie; Saudaraci,

całkiem identyczni z Melanchlajnami, jednakże inne źródła mówią, że bardziej są podobni do Jazygów, Salów, Tisamatów i Roksolanów; z tymi ostatnimi nie należy mylić Reukanalów ani Rossomonów, ani tym bardziej Koistoboków, którzy wślawali się grabieżami na Bałkanach, przez co porównywano ich z Biessami; tymczasem Karpowie dali nazwę Karpatom, choć w owym czasie góry te nazywano Peukińskimi albo Kaukaskimi — co komu się bardziej podobało; Agatyrswowie, którzy śpiewali miast mówić, Dacy-Zawadiacy i wiecznie żywi Geci, którzy zaiste posiadli tajemnicę nieśmiertelności, i dlatego większość z nich żyje po dziś dzień; Bastarnowie, z których rozmnożyli się Goci, Sklawowie, Herulowie, Rugiowie, Wandalowie, Tajfalowie, Gepidzi, Urugundowie, inaczej Burgundowie, oraz inni Bastardzi; wszystkich ich rozproszyli Hunowie, którzy przybyli z nie istniejącej pustyni, gdzie spali po szyję w piasku, i odeszli w nie istniejące lasy, gdzie ukryła ich bujna zieleń; w drodze na zachód podbijali wszystkie inne narody, które im się nadarzyły, łącznie z Fanezjanami, mieszkańcami zatopionej dziś wyspy na Morzu Azowskim, którzy mieli po pięć sążni wzrostu, marmurowo białą skórę i tak wielkie uszy, że mogli się nimi w niepogodne dni owijać, było ich jednak zbyt mało — tylko ośmioro; w ślad za Hunami podążyli na swych stepowych kobyłach Kuturgurowie, Uturgurowie i Onogurowie, choć inni twierdzą jakoby Tukurgurowie, Ultingurowie oraz Hunnogurowie; Antowie, inaczej Wenedowie lub też Pelazgowie, dotarli pod nazwą Etrusków aż tu, na północ Włoch, choć bynajmniej nie twierdzą, że Wenecja to prastary ukraiński gród; jednakże wszystko to w proch obrócili po swym wtargnięciu Awarowie, za którymi popłynęli potokami barbarzyńcy wszelcy: Bułgarzy, Chazarowie, Czarni Kłobucy, Kara-Kałpakowie, Obrowie, Uhrowie, Pieczyngowie, Piesogłowcy, Surojady i Połowcy — i żadne mury obronne nie mogły uratować przed pędzącą Azją tych

nie mających mowy, zagadkowych i dotychczas nie nazwanych autochtonów, z którymi w końcu wynurzamy się z niebytu gdzieś tak w IX stuleciu, kiedy to zgraja skandynawskich obieżyświatów wymyśliła, że zjednoczy tę nie mającą języka wspólnotę, wszystkich tych DREWLAN, Dulebów, Krywiczów, Dregowiczów, Uliczów, Tywerców, Polan, Chorwatów oraz „Czodów białookich” w jednym państwie, na czele którego staną oni sami, to znaczy dwaj czy trzej Normanowie, zawzięci pijacy i rozbójnicy, którzy nie znali ani słowa w miejscowym narzeczu, a sami siebie nazywali „Rusią”. Ta ostatnia okoliczność zapewne zachęciła autochtonów do uznania nad sobą obcego panowania.

Jak wyglądali ci ludzie, powszechnie nazywani Słowianami? Jasnowłosi i fizycznie całkiem niezłe skrojeni, o jasnej karnacji, która łatwo czerwieniała od słońca, oszałamiali bardziej cywilizowanych cudzoziemców nasamprzód brakiem schludności. U Prokopiusza czytamy, że Słowianie śpią i jedzą w brudzie, jak bydło, i to nie każde, a u Ibn Fadlana mowa jest o ruskich kupcach, którzy w ciągu tygodnia w dziesięciu myli się z jednego wiadra, nie zmieniając wody, smarkając i plując do niego. Słabym pocieszeniem — jeśli takie rozczarowania wymagają jakiegoś pocieszenia — są słowa tych samych uczonych i starannie wymytych Arabów o innych narodach europejskiego średniowiecza (tak więc Al-Quacwini mówi o ówczesnych Niemcach, że „nie istnieje nic brudniejszego od nich, myją się raz do roku albo dwa, i to — brrr! — w zimnej wodzie!”; a Ibn Ruszd po spotkaniu z Wikingami zaznacza, iż „rzadko gdzie ujrzysz tak pięknych ludzi, jednocześnie jednak są głupi niczym osły i śmierdzą na miłę”; przypuszczam, że dla współczesnego Szweda czy Norwega takie uwagi nie byłyby miłe).

Co robić? Sto naście plemion urządziło sobie wieczny karnawał w naszych genach.

Ale dlaczego tylko w genach? Czyżbyśmy nie wierzyli w inne mniej namacalne rzeczy? W te przeciągi energetyczne między wiekami, w owo bezustanne rozpraszanie aury po całej przestrzeni?

Przywykłem szanować różnorodność i złożoność. Oto tutaj, dzisiaj przed państwem (Respondent spogląda na zegarek), zmuszony jestem uznać w sobie — w większej lub mniejszej mierze — Taura i Neura, Saudarata i Tisamata, Bastarna i Wandala, Androfaga i Pieczynga, i być może jeszcze kogoś, Cygana, Żyda, Polaka i całkiem niewykluczone, że Dowhana².

A teraz, drodzy państwo, chciałbym prosić o chwilę przerwy.

² Dowhanowie są jednym z narodów zamieszkujących Ukrainę. Fakt ten został naukowo dowiedziony (J. A.). [Jarosław Dowhan — współczesny poeta mieszkający w Stanisławowie (przyp. tłum.)].

tak można naprawdę zwariować — schodami w dół
 i korytarzem na prawo — i nie narobić w portki bo wszystko
 wyjdzie — a muszę jeszcze skończyć referat — śmiechu war-
 te — cholera do jakich sytuacji dochodzi — albo umrzeć albo
 się zesrać — kurwicy można dostać — sam sobie jestem wi-
 nien — sam mam siebie dość — kawał kretyna — żeby chociaż
 ktoś żeby jakaś przeszkoda — pośliznąć się upaść nogę złamać
 — mówić milczeć i mówić znowu — teraz chyba w prawo —
 tak jest taki korytarz — szybciej szybciej morderco — tydzień
 siedzimy w klasztorze i żeby choć jeden mnich — stałby so-
 bie modlił się przy oknie — albo walił kapucyna — puściut-
 ko które tam okna trzecie czy co — ale trzecie od której — aha
 to — tym bardziej otwarte jak się umawialiśmy — *wsio w pa-
 riadkie* — chłopaki czuwają — udawać że wdycham morskie
 powietrze — trochę mdli — pawia rzucić czy jak — zamiast
 strzału — ach jakie powietrze — lekko mi rzeźwo lubo — za-
 chwycam się pejżażem — morderca był estetą — co tam
 z futerałem aha — całkiem lekki ten futeralik — oto jak ją ko-
 chaneczkę — gołąbeczkę — a jak po ukraińsku tłumik — a jak
 po polsku *sraka* — też piknie — nałożyłem — szlicznie szlicz-
 nie — *siejczas kak palniom* — aha tu ustawię trójnóg i alfo-
 matycznie — panie poruczniku co to znaczy — proste jeśli
 twoja matka to kurwa — to tyś automatycznie skurwysyn —

jak tam Wenecja przez celownik — wziąć ją na muszkę — tak zdaje się wypływają — jedenasta trzydzieści dziewięć z dokładnością co do milimetra — nie zapomnieć po tym o rękawiczkach — końce w wodę jak mawiał pewien dowcipny weneccjanin — a jak to po ichniemu — *fucicare* — nie nie tak jakoś — *fucilare* bo strzelba to *fucile* — strzelba czy dubeltówka — dubeltówka czy strzelba — a jaka to różnica — po naszymu fuzja i tyle — albo pukawka — opłynęli cypelek — pierwsza łódeczka druga łódeczka — prują prosto na ten — Canale di San Giorgio tak zdaje się — płyną płyną — czółna Stienki Razina — płyńcie łabądki — płyńcie — co tam pisano nabrać powietrza czy co — do wojska trza było — a nie szlajać się po kawiarniach — jeśliś mężczyzna — a jeśli nie to co — to pstro — *balszaja tiochnika* — czy optyka — a mnie *wsio widno a tiebie wsio rawno* — optyka dla synoptyka — pierwszą łódkę przepuszczamy — płyn płyn łódeczko — po morzach i oceanach — a ja pomnik ci postawię — pełna schizofrenia — łódka Bols — nieźle się bawią — słońce krwawo zachodzi z nim resztką nadziei — geniusz i złoczyńca — własną biografię własnymi rękoma — pierwszą łódkę przepuszczamy drugą łódkę pięknie witamy — no co — gdzie nasz ulubieniec — lepiej by pod pokładem siedział i nosa nie wychylał — jakby wiedział — jakby człowiek wiedział gdzie upadnie powiadał pewien galicyjski profesor świeć panie nad jego duszą — ohoho — nikt inny tylko on — on — żadnych wątpliwości — *wot morda* — bandyckie nasienie — ciekawe czy pochowają w państwowej kwaterze na Bajkowym — w zamrażarce przewiozą — przestrzeloną tuszę — a to kto taki — a to «kevin costner» — osobisty «kevin» — goryl jak się patrzy — no goryl gdzie twoja intuicja — za co dają ci sałatę — no dobra — mamó snajpera pokochałam — pobożnie zmówcie paciorek — dziesięć — dziewięć — osiem — siedem — sześć — pięć — trzy — jakie trzy — cztery — dopiero teraz trzy — dwa — jeden — amen —

no i tak — wystrzelałem — a wy — wyście myśleli że
ja — no no no — wyście myśleli o mnie że ja — że zastrze-
lę — zwykłe palanty i tyle — jak to się ściąga — odkręca czy
co — aha jasne — pomachałbym im ręką — dalej dalej — płyn
gówny płyn — ja nie zabijam — nikogo nie zabijam bo sam
duszę mam — spadajcie — i tego — do widzenia

Jestem szczęśliwy, że znowu widzę przed sobą Państwa zasłuchane twarze. Pozostaje mi kontynuacja i zakończenie.

Ruch, nieustanny ruch, czarne dziury całych stuleci, przepaście w pamięci, brak formy i hierarchii, plazma, fermentacja — oto, co jest uderzające, kiedy zanurzamy się w głębiny ziemi, o której zacząłem państwu opowiadać. Z miejscowych i obcych kronik, przynajmniej z tych, które ocalały z pożogi tysiąca i jednej wojny wszech czasów — przed Mongołami, za Mongołami i po nich, z pieśni, legend, mitów i innych wspaniałych dyrdymałów, a lepiej rzecz: wersji (bo tak się umawialiśmy) — wyłania się obraz kraju o wiele bardziej zadziwiającego niż ówczesne Indie czy Chiny. Krzyżują się nad nim wiecznie miecze komet. Procesje umarłych wychodzą w biały dzień z podziemnych mogił. Cielęta rodzą się z ośmioma nogami, a psy z dwoma głowami. Cerkwie zapadają się pod ziemię, a na ich miejscu pojawiają się czarne jeziora. Trąby powietrzne i gorący stepowy wiatr wznoszą ku niebiosom całe miasta wraz z sadami i budynkami, i pędzą w nieznane, aż w otchłanie Tartaru. Oblicza na krzyżach przydrożnych same z siebie odwracają się obliczem ku zachodowi. Nie ma w tym nic dziwnego: ziemia ta nie zna Prawa Bożego, albowiem Bóg ją porzucił.

Ale jednocześnie jakże szczerze została obdarzona! W *Traktacie o dwu Sarmacjach* jawią nam się takie bogactwa

nieokielznaney przyrody, że narzuca się skojarzenie z biblijnym mlekiem i miodem. „Ptaków jest tam tyle, że wiosną dzieci napełniają czółna jajkami dzikich kaczek, gęsi, żurawi i łabędzi. Psy karmią tam mięsem dzikiej zwierzyny. Rzeki wypełnione są niesłychanym mnóstwem jesiotrów oraz innych wielkich ryb, które płyną od morza w górę słodkowodnej rzeki, tak przepełnionej rybami, że rzucona w wodę spisa zatrzymuje się i sterczy niby w ziemię wbita”. Dzikie pole, ta kusząca *terra incognita* ukraińskiego Południa i Wschodu, wabi swoimi fatalnymi przestrzeniami wciąż nowych pionierów — coś na kształt amerykańskiego Dzikiego Zachodu po czterech czy pięciu stuleciach.

Trawa jest tam wysokości jeźdźca. Dęby liczą po tysiąc lat — z jednego takiego drzewa można wyciosać cały okręt albo pałac. Na poły fantastyczne tury, żubry i sumaki o złotych rogach i diamentowych kopytach ogromnym niepłochliwym stadem przemieszczają się tą bezkresną równiną. W sięgających nieba kurhanach śpią w oczekiwaniu na godzinę X przedwieczni magowie, strzegący nieprzebranych skarbów. Ale zimą wszystko to przykrywa śnieg. Jest go tak dużo, że podobnie jak trawa latem, śnieg może ukryć jeźdźca na koniu. Wiosną śniegi owe topnieją, zatapiając na dwa, trzy tygodnie całą okoliczną równinę. Wtedy miejscowi wypływają na świat Boży w swych czółnach i zarzucają sieci rybackie, za pomocą których wyławiają całe mnóstwo różności: przepiór-cze gniazda, rzymskie monety, ciosy mamuta, czaszki nieznan-nych monarchów, z których weseli nomadowie popijali wino.

Oczywiście, taka ziemia nie mogła nie przyciągać licznych zgrai szczególnie barwnych osobników określonego autoramentu z różnych krajów. Wydziedziczeni magnaci i wyklęci duchowni, wędrowni żebracy, znający się na chiromancji, chironomii i chirurgii, muzykujący ślepcy, którzy wzięli na siebie misję i trubadurów, i kronikarzy, zbiegli chłopi, par-

tacze spoza cechów, żacy, relegowani za wolnomyślicielstwo i sodomię, rycerze o podejrzanym genealogii i genitaliach bez podejrzeń, rejestrowi karciarze i szarlatani, jezuicy kaznodzieje, czarnoskórzy akrobaci, nie uznani władcy nie istniejących państw, uczone obieżyświaty, poszukiwacze kamienia filozoficznego, sprzedawcy powietrza, wyznawcy kwiatu paproci, degustatorzy soli wiedzy tajemnej, szynkarze, obeznani z mądrością chaldejską, dzieci idące do pierwszej komunii, świadkowie drugiego przyjścia, adeptci trzeciej nocy, adwentyści dnia czwartego, moczymordy, socynianie, arianie, rastafarianie, trynitarze, antytrynitarze, ale nade wszystko — wolni kochankowie i kozacy, rezuny i bohuny, pijacy i rębacy, aniołowie stepu...

W naszych karnawałach zachowały się dane personalne co poniektórych wymienionych postaci. Na przykład suwren Karpat i Dunaju, księżę Jarosław Ośmionóg (nazwany tak z powodu swego wścibskiego charakteru i wszędobylstwa). Albo Kozak Jamajka — rzadki okaz poszukiwacza przygód, który wykradł z wyspy Chios galerę turecką i przybił aż do wybrzeży Antyli, gdzie dał początek rodowi Oszczyrków. Albo też filozofujący kat Pawło Macapura, jeden z ojców średnowiecznej mafii narkotykowej, którego powieszono za gustowanie w ludzkim mięsie. Lub szkocki charakternik McNose, który dochrapał się stopnia pułkownika u kozaków i dziś znany jest całej Rzeczpospolitej jako Maksym Krzywonos...

Cudzoziemcy na Ukrainie to w ogóle odrębna i wielce rozległa materia. Zatrzymam się jedynie przy kilku Włochach, przede wszystkim ze względu na moje upodobanie do wszystkiego, co włoskie, ale także dlatego, że dla każdego Włocha Ukraina mogłaby być rodzoną matką.

Pomijając szeroko znane postacie epigonów wzniesłego *quattrocento*, którzy nie znaleźli zbytu na innych co bardziej wysuniętych na zachód ziemiach, przybyli do nas,

nafaszerowani architektonicznymi, malarskimi, erotycznymi i filozoficznymi ideami, wszystkich tych bohaterów płaszcza i szpady na kształt Pietro di Barbony, Pawła Rzymianina, Ambrosio Przychylnego, Kallimacha Buonaccorsiego i jeszcze późniejszych: Rossiego, Rastrellego, Corassiniego i innych; wspomnę tu pobieżnie tych, którzy choć o wiele mniej znani, są osobowościami zupełnie nieprzeciętnymi i wręcz egzotycznymi. To przede wszystkim właściciel objazdowego zwierzyńca Michelagnolo Romano, który jako pierwszy pokazał mieszkańcom mojego kraju żywego nosorożca (wcześniej jedynie czytali o nim w popularnych *Fizjologach*, zapewne bizantyńskiego pochodzenia). To poza wszelką wątpliwością konsul Republiki Weneckiej Bandinelli, który zamieszkiwał budynek ze skrzydlatym lwem we lwowskim rynku i urządzał niezapomniane regaty z muzyką i śpiewami po rzece Pełtwi i jej kanałach. To również dyplomata i poeta, poseł Wenecji u kozaków, Alberto Vimina da Ceneda (w rzeczywistości Michele Bianci), który tak zasmakował w miejscowych miodach i nalewkach, że nie zechciał powrócić do Włoch, pozostał przy Wojsku Zaporoskim pod imieniem pisarza Michaśka Pianki i skończył na białą gorączkę w budżackich stepach. To także syn wędrownego Cygana i kapuańskiej praczki Pietro Mohigliani, który po przyjęciu greckiego wyznania wybił się i został metropolitą, a potem założył w Kijowie akademię, gdzie nauczano wedle włoskich wzorów siedmiu nauk wyzwolonych; do końca swoich dni ten poważny hierarcha nie mógł się pozbyć romańskiego akcentu w wymowie, przez co wołano nań „Wołoch” albo „Mołdawianin”. To w końcu również Giovanni Mazeppa, potomek wygasłego lombardzkiego rodu, który zrobił karkołomną karierę polityczną najpierw za panowania Piotra I, a później na dworze króla Szwecji Karola XII. Mógłbym kontynuować ten imponujący rejestr.

By jednak skończyć z zagadnieniem naszych kontaktów

historycznych, muszę podkreślić, że i Ukraińców przyciągała do siebie *bella Italia*. Uważali oni, że zdołają się tu czegoś nauczyć, pokonywali zatem pieszo Alpy, by spocząć na soczystej trawie nieopodal Bolonii albo Padwy, nad brzegami wiecznych rzek, w cieniu drzew pomarańczowych. Wspomnę przy tej okazji choćby Jurka Kotermaka (inaczej Georgius Drohobicus), autora pierwszej drukowanej w Rzymie księgi, doktora filozofii, medycyny i astronomii, rektora uniwersytetu w Bolonii, którego wykładom przysłuchiwał się Mikołaj Kopernik, uważany co prawda za jednego z najsłabszych uczniów i nie raz wyrzucany za drzwi, jako że poważał się głośno mówić o jakichś bzdurach sprzecznych z naturą, jakoby Ziemia obracała się wokół Słońca. Do dziś boleśnie odczuwamy skutki tych kopernikańskich mistyfikacji.

Nie wspominam tu już o tym (a warto byłoby), że sławny malarz wenecki Vittore Carpaccio pochodził, rzecz jasna, z Karpat, podobnie jak i ja, a prawdziwe jego nazwisko brzmiało Huculak albo Budzulak, a może i Buźdyhan.

A teraz, mili państwo, zanim przejdę do końcowej części mojego przelewania z pustego w próżne, muszę się poskarżyć na skołowaciały język i suchość w gardle. Czy łaskawie nie zgodziliby się państwo na to, żebym szybkoitko wychylił odrobinę młodego winka z tego oto srebrnego kielicha? [*Otrzymuje zgodę, pije wino*].

Dość jednak kukiełek i masek. Po prezentacji egzotycznych ptaków i roślin warto przejść do przedmiotów o wyższym znaczeniu. Zebraliśmy się bowiem w epoce „postkarnawałowego bezsensu świata”. I pytamy: „co na horyzoncie”? A ja już od godziny plotę państwu o tym, co poza horyzontem. Choć być może horyzont to nie tylko to, co widnieje jako niedosiężne gdzieś hen, przed nami. Być może dane jest nam ujrzeć prawdziwy horyzont, gdy tylko obejrzymy się i przykryjemy wierzchem dłoni ślepnące od zachodzącego blasku oczy? *À*

propos, przodkowie mego narodu sądzili, że właśnie tam, za horyzontem, żyją dusze i ciała zmarłych. Jeśli to kiedyś okaże się prawdą, to bardzo chciałbym dotrzeć tam — rakiem, tyłem, plecami do przodu, nie oglądając się. Tylko w ten sposób mam szansę dogonić tę niewidzialną, ale wcale nie umowną linię.

4

Ta ziemia, o której tu dzisiaj tyle mówię, nie mogła, jak już państwo zrozumieli, nie zrodzić mnóstwa poetów. Jest ich cały legion, w większości nikomu nie znani, oprócz samych siebie, ale jest nawet wśród nich kilka tysięcy szczęśliwców, których drukowano w gazetach i którym wydawano książki. Jeszcze więcej niż poetów mamy pieśni. Pewien hochsztapler naliczył ich około trzydziestu tysięcy. Mogę pochwalić się tym, że znam z dziesięciu.

Ale nie poeci i nie pieśni stanowią o istocie naszego karnawału. Są jedynie uzupełnieniem, aneksem, dodatkiem, przyprawą dla osób szczególnie wrażliwych. Istnieje inny czynnik, inny bodziec. Dzięki niemu przeżyliśmy nawet najbardziej pustoszące nasz kraj wojny i — według Pawła z Aleppo — pozostaliśmy „liczniejsi od gwiazd na niebie i piasku w morzu”. W końcu także dzięki niemu za każdym razem stajemy się sobą mimo pokus bycia kimś innym.

Mam tu na myśli misterium mężczyzny i kobiety.

Ukrainki mogę porównać co najwyżej z Włoszkami lub z Greczynkami. Każdy z was mógł widzieć takie kobiety u Tyjcjana. Przybyły z Armenii cudzołożnik jeszcze pięć wieków temu napisał o nich tak: „Wzrost raczej wysoki aniżeli niski, włosy bardziej ciemne niż jasne, oczy bardziej czarne niż szare, choć bywają także zielone. Zęby duże i białe, jednak nie

za bardzo. Usta raczej wąskie niż szerokie, lecz przyjemnie się je całuje. Brwi równe, jak same to określają: pod sznurek, nosy zaś bywają różne, acz nie tak piękne jak u naszych kobiet. Oddech przyjemny, głos nadający się do śpiewu, język żwawy. Szyje giętkie, ale w żadnym wypadku nie za długie, w sam raz. Ramiona szerokie, lecz w miarę, kształtne. Piersi raczej duże niż małe, czasem bardzo duże, niezwykle rzadko natomiast bardzo małe. Brzuchy piękne i ogromne, jak księżyc białe. O biodrach mógłbym opowiadać całe wieki, o poślądkach jeszcze dłużej, ale nie będę. Kolana, podobnie jak łokcie, twarde, przyjemne w dotyku, wrażliwe. Łydki, jak i ramiona, pełne, o gładkiej skórze, bez włosów. Stopy ogółem większe niż u innych narodów, ale to do nich całkiem pasuje. O tym, co między nogami, znowuż ni słowem nie wspomnę, choć jest nader udatne. Zapomniałem o uszach — raczej małych niż dużych. I o dłoniach — zdolnych do wszelkiej pracy, czystych”.

Niestety, jesteście niewdzięcznymi istotami. Nasi mężczyźni do dziś nie nauczyli się prawdziwie cenić tego, czym ich obdarowano. Tatarzy, którzy w ciągu stuleci przybywali z południa wyłącznie po ten „żywy towar”, okazali się znacznie lepszymi znawcami. W całym muzułmańskim świecie, a także tutaj, w śródziemnomorskiej Europie, czy nawet w Afryce, sprzedawano wykradzione i pohańbione przez nich kobiety „o włosach bardziej ciemnych niż jasnych”. Moda na ukraińskie nałożnice łatwo wyparła poprzednie upodobania haremowych erotomanów do chudych Czerkiesek, wielgachnych Amazonek czy oziębłych Lesbijek.

Nasi mężczyźni okazali się chyba niegodni takiego bogactwa. Co czynili najlepsi z nich, by zatrzymać te kobiety i strzec ich? Uciekali za porohy, w dzikie pola, kozakowanie, w bezżenność, w celibat. Po co? Aby popić do woli, połowić ryby, pobyc w męskim towarzystwie. Tymczasem kobie-

ty, „o których biodrach można opowiadać wieki całe”, pozostawiali wszelkim niezgułom, hreczkosiejom, przyjezdnym lowelasom i wędrownym sztukmistrzom. A kiedy z południowego wschodu przylatywali łowcy kobiecych ciał, to nie było już komu ich bronić, bo niezguły przesiadywały trudno czas w szynku, lowelasi podążali w odległe dziewicze kraje, a sztukmistrze po prostu rozpływali się w powietrzu, albowiem po to są sztukmistrzami.

Pewna młoda Greczynka opowiadała mi, że wszystkie kobiety w Grecji zazwyczaj mają kształtne piersi, tak jak ona. Osiąga się to dzięki pewnemu sekretowi. Dziewczynki od dzieciństwa prawie karmią specjalnym ślimaczkiem żyjącym w winnicach. Wtedy zapytałem żartem, czy nie dają adekwatnego ślimaczka ich chłopcom. Jak wiele starań dokładają jednak Grecy, by ich mężczyźni chcieli kochać ich kobiety! Aby ten niesamowity dramat, ten karnawał uczuć, nigdy się nie skończył.

Tymczasem u nas wciąż trwa wielkie nieporozumienie płciowe. Nadal nie dość kochamy nasze dziewczęta. Wszelkie przejawy pełni istnienia, tego słodko-gorzkiego święta z jego darami i dziurami, wyparło u nas biesiadowanie — ten erzac karnawału, gdzie nazbyt wiele się pije, je i połyka, gdzie „nawet *coitus* się nie przytrafi”, gdzie „dupy gwoździami przymocowano”, gdzie „ruszamy do ataku i grzęźniemy w strawach; jak rycerze złożymy kości swe w gościach”³. A nasze kobiety stają się w ten sposób grube i usidłone.

Najbardziej kobiece z nich co dzień uciekają do zamor-

3 Pochodzenia ostatniego cytatu nie udało się ustalić (J. A.).

Pierwsze dwa cytaty pochodzą z wiersza Jurija Andruchowycza *Za-hybel Kotlarewszczyzny* (*Zagłada Kotlarewszczyzny*) ze zbioru *Ekzotyczni ptachy i rośliny* (*Egzotyczne ptaki i rośliny*), trzeci zaś z wiersza *Den' narodżennia* (*Urodziny*) Wiktora Neboraka (przyp. tłum.).

skich haremów — w większej mierze dziś niż trzysta lat temu, ale jutro, jeszcze bardziej niż dziś, pozostaną ozdobą wonnych społeczeństw Zachodu i Wschodu na wszystkich szczeblach: od brudnych portowych lupanarów do wysublimowanych snobistycznych orgii.

Na przekór temu wszystkiemu wciąż trafiają się wśród nas jeszcze tacy, którzy się kochają. Dzięki nim przetrwamy nawet teraz, kiedy wszyscy aniołowie odwrócili się od nas. Dzięki temu do dziś jesteśmy „licniejsi od gwiazd na niebie i od piasku w morzu”. W końcu także dzięki temu wciąż jeszcze stajemy się sami sobą, choć tak silna jest pokusa wydawania się kimś innym.

Pozwólcie państwo, że zanim skończę, odwołam się do pewnego truizmu. Mam nadzieję, że niezbyt to państwa rozdrażni.

Tylko miłość może nas wybawić od śmierci. Tam, gdzie kończy się miłość, zaczyna się „bezsens świata”. Nie sądzę, by wówczas „na horyzoncie” mogło jeszcze „cokolwiek” pozostać. Oprócz pustki, rzecz jasna. Pustki, która pociąga, woła, przyciąga — jak jej się oprzeć w tym czasie „postmiłosnym”?

Nie chciałbym pozować na wieszczka i o czymś tu dzisiaj prorokować. Zaproponowałem państwa niewadze jedynie szereg wersji, z których każda z osobna jest nieprawdziwa, a wszystkie razem wzięte są wzajemnie sprzeczne. A mimo to spróbuję nawet z tak beznadziejnej sytuacji znaleźć wyjście honorowe, to znaczy pewien wniosek. Jest to absolutnie niezbędne dla pełni kompozycji mojego tekstu. Ale nic więcej. Dlatego też proszę nie odebrać tego wniosku nazbyt poważnie. Proszę odnieść się do niego jak do kropki kończącej zdanie. Albo jak do trzech kropek czy znaku zapytania.

Jestem zwolennikiem tradycyjnego systemu wyobrażeń. Jeśli przez Karnawał rozumiemy skrajne napięcie sił życia w całej pełni i niewyczerpaniu, czy tak samo wyższy przejaw

bitwy miłości ze śmiercią (śmiercią jako pustką, antyistnieniem, nicością), to istotnie nie powinien się on nigdy zakończyć, czy przynajmniej powinien trwać tak długo, jak długo nie wyczerpaliśmy jeszcze swego kredytu u Niebiańskiego Widza. Stwierdzam to, nie, nie stwierdzam, wysuwam hipotezę, choć mogę wydać się przy tym równie staromodny, jak niestosownie wymyślony przeze mnie Jaropołk Nepomucy Kunszytk, zmarły swego czasu na zaćmienie świata.

Mój rozmówca dużo pali. Ma zwyczaj zdejmowania od czasu do czasu okularów, co powoduje, że jego oczy nabierają zupełnie innego, trochę zagubionego wyrazu. Porozumiewamy się w nieco dziwnym języku, w którym dwie trzecie słów stanowi niemiecki, resztę angielski. Nasza wspólna znajomość obu tych języków wystarcza, by porozumieć się na przyzwyczajonym poziomie. Trudno nie zwrócić uwagi na jego wysmukłe palce, nie zdziwiłabym się ani trochę, gdybym się dowiedziała, że należą do wirtuoza. Od nich — od palców — zaczynam naszą rozmowę, która odbywa się w hotelowym apartamencie, gdzie mieszka mój rozmówca, pośród gobelinów, zwierciadeł i starych świeczników.

— **Panie Perfecki, palce zdradzają chyba w Panu muzyka?**

— Rzeczywiście, potrafię grać na niektórych instrumentach. Proszę mi wierzyć — zupełnie nieprofesjonalnie. Zdarsza się jednak, że coś mi wychodzi.

— **A gdybym poprosiła Pana o wykonanie czegoś, choćby na tym szpinecie?**

— Szpinet, podobnie jak klawesyn i cembalo oraz klawikord, należy do moich ulubionych instrumentów. Kiedy byłem zupełnie małym dzieckiem i mieszkałem w miasteczku, otoczonym ze wszystkich stron górami, chodziłem na prywatne lekcje muzyki do pewnej starej samotnej Żydówki.

W miasteczku wołali na nią „głupia Cela”. Nie wiadomo, kiedy otrzymała w spadku przedziwny dreźnieński klawesyn, na którym swego czasu grał ktoś z wielkich, chyba Mozart, ale nie ten Mozart, którego wszyscy znają, a Franciszek Ksawery Mozart, jego syn, który mieszkał we Lwowie. Cela była potwornie sklerotyczna i nieporządna, w dodatku trzymała na werandzie trzynaście kotów, i to wszystko strasznie śmierdziało. Ja jednak lubiłem lekcje muzyki: zapach starego drewna, zeszyty z nutami, drganie dźwięku, smród werandy... Pewnego dnia Cela wyszła z domu i już nigdy nie wróciła — tak, jakby nigdy nie istniała. Znacznie później dowiedziałem się, że była to św. Cecylia, patronka muzyki i wynalazczyni organów.

— **Rozumiem. Przejdźmy teraz od palców do ozdób na palcach. Ten pierścień ma jakąś ciekawą historię?**

— Sprezentował mi go mistrz łoży „Ku Prawdziwej Jedności” podczas inicjacji na piąty, licząc od dołu, stopień wtajemniczenia. Oczywiście, tylko żartuję. To rodzinny pierścień, a może lepiej powiedzieć — rodzinny.

— **Na ile zrozumiałam Pana dzisiejsze wystąpienie, zagadnienie rodu, dziedzictwa, tradycji we wszystkich jej wymiarach jest kluczowe dla Pańskiego światopoglądu?**

— Być może ma Pani rację. Choć nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Moje korzenie nie mają w sobie nic wyjątkowego. Przez długi czas było to zresztą poważną przyczyną mojego cierpienia. Cierpienia? Tak, chyba mogę w tym wypadku użyć tak mocnego słowa. Cierpienie.

— **Ma Pan na myśli jakieś prześladowania ze strony reżimu?**

— W żadnym wypadku.

— **Więc co?**

— To zbyt intymne. Chociaż ogólnie mogę to opisać. Swego czasu ożeniłem się z osobą, która pochodziła z rodowitej

szlachty. Była chyba hrabianką, a może nawet księżniczką. Jej rodzice odmówili nam błogosławieństwa z powodu mojego niskiego pochodzenia. Najpierw zażądali świadectwa genealogicznego na potwierdzenie, że choć jedna szesnasta mojej krwi posiada błękitnawy odcień. Ale nawet na to nie zdobyłem dowodów, choć pisałem rozpaczliwe listy do wszystkich monarchów świata. Tylko król Neapolu był łaskaw odpowiedzieć i przysłał mi kolorowe zdjęcie swego ulubionego słonia...

— **I to było przyczyną waszego rozstania?**

— Myślę, że tak. Ale nie bezpośrednio. W ogóle nie ma czegoś takiego, jak przyczyny bezpośrednie.

— **Dziękuję za ogromną szczerłość z Pana strony. Jednakże nasi czytelnicy bardzo chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej o Panu i Pańskim życiu. Nie wątpię, że w swojej ojczyźnie jest Pan bardzo znaną postacią. Proszę nie osądzać nas surowo, ale tu, w Wenecji, dotychczas nikt nic o Panu nie słyszał. Tak więc, coś o sobie...**

— Mówienie o sobie zawsze sprawia mi ogromną radość, dlatego chętnie godzę się na wszystkie wywiady. Lubię się nawet spowiadać — duchowni potrafią być uważnymi słuchaczami. Urodziłem się mniej więcej w środku Europy. W dzieciństwie chodziłem na prywatne lekcje muzyki, potem do tajnego gimnazjum, gdzie uczyliśmy się języków, poetyki, fechtunku i nut...

— **Ile języków Pan zna?**

— Żadnego. Znam wiele słów z różnych języków. Dziś już o tym mówiłem. Wtedy, w dzieciństwie, nauczyłem się rozróżniać instrumenty muzyczne. Zrozumiałem, że klarnet to egzaltowany panicz okresu dojrzewania, skłonny do patosu i uniesień. Fagot — na pozór powierzchowny trzynastolatek, w istocie jednak — głęboki i pełen namiętności. Skrzypce są jak starzejąca się panna, cała w nerwach, której żar pochodzi ze straszliwego przecucia dozgonnego dziewictwa. Nato-

miast wiolonczela to pogodna i harmonijna pani swego losu, erotyczna królowa smyków i smyczków. Mężczyzną stałem się jednak dzięki harfie — doświadczonej, przejrzałej kurtyzanie o nieco zbyt romantycznych poglądach na życie i seks.

— **Próbował Pan komponować?**

— Próbowałem, odkąd sięgam pamięcią, lecz rozumiałem przez to pisanie wierszy. I w ogóle słów, połączonych razem, tekstów. Co do muzyki, to nigdy nie pisałem jej, w ścisłym tego słowa znaczeniu, choć mogę zagrać dowolny utwór. We Lwowie, gdzie z rodzinnego miasteczka przyjechałem jako siedemnastolatek...

— **Lwów to wspomiane dziś przez Pana miasto, które ma dziesięć tysięcy lat?**

— Ja mówiłem, że ma dziesięć tysięcy lat? Zgłupieć można! Tak więc, we Lwowie od razu wylądowałem w niezłym towarzystwie małoletnich obiboków. Przesiadaliśmy w piwnicach, palili, pili tanie wino i graliśmy, jak nam się zdawało, rocka. Albo bluesa. Dość często nas nakrywali i policja, która nazywana jest „milicją”, zabierała wszystkich bez wyjątku do ciupy. Ani razu od nich nie oberwałem, bo zaczynałem deklamować wiersze, albo wróżyłem milicjantom z ręki. Wśród nich trafiali się różni ludzie, nie tylko kanalie.

— **Naprawdę?**

— Jestem pewien. Jednocześnie udawało mi się studiować na uniwersytecie. Potem zdarzyło się jeszcze wiele ciekawych rzeczy — ożeniłem się, ukrywałem, wydawałem książki, latałem nad miastem na lotni, przemycałem zakazaną literaturę i trawę, pół roku grałem na kotłach w orkiestrze symfonicznej, pracowałem na cmentarzu jako grabarz... Wszystkiego teraz nie sposób wspomnieć.

— **O czym są Pana wiersze?**

— O ciszy, która następuje tuż po zakończeniu nalotu atomowego. Proszę tak na mnie nie patrzeć, to tylko żart. Czy

streszczanie wierszy ma jakikolwiek sens? Niewątpliwie najlepsze z nich to te, które można opowiedzieć, ale jak wiele wtedy tracą! Idealny wiersz, a taki nie istnieje, musiałby dać się opowiedzieć tak, by nic z niego nie stracić. Opowiadając własnymi słowami.

— **Może mimo wszystko Pan próbuje?**

— To beznadziejna sprawa, ale proszę posłuchać. Zawsze pakowałem się w beznadziejne sytuacje. Otóż, proszę sobie wyobrazić... Proszę sobie wyobrazić lipcowy upał. Wielkie kamienne miasto, szare i żółte budynki. I wyschnięte rury wodociągów, z których pachnie mchem. Nigdzie ani kropli wody. Zostało tylko pół butelki wina. Jest ciepłe i zwierzające. Ale niesie je Pani dla kogoś, by uratować go od... Od upału? Od pragnienia? Od śmierci? I wtedy na rogu dwóch wymarłych uliczek w gęstwinie Starego Miasta zatrzymuje Panią patrol. Znalazłszy wino, na Pani oczach patrol wylewa je, ciecz wolno ścieka po chodniku do rynsztoka, i zaczyna Pani rozumieć, że to już wszystko, koniec, i osuwa się Pani po ścianie budynku, do której została przyparta podczas rewizji. Ale to zbyt smutny wiersz. Mam inny. O, taki. Chłopiec i dziewczyna siedzą za dwoma zsuniętymi fortepianami. Jedno naprzeciw drugiego. Powinni zagrać coś na cztery ręce. Dalej idzie opis tego, o czym grają. On — o deszczu i listopadzie. Ona — o pustych zimnych pokojach. On — o nadziei na lepsze. Ona — o szczurze widzianym wczoraj na śmietniku. On — o tym, jak mu z nią dobrze. Ona — o rozłące. On zamyka oczy. Nie ma jej. Otwiera oczy. Nie ma jej. Kto zatem siedzi przy drugim fortepianie?

— **Śmierć?**

— Nie. On sam. Odbity w lustrze. Dokładnie tak, jak ja w tej chwili. Podoba się Pani?

— **Nie za bardzo. To raczej przypomina sny niż wiersze.**

— To jeszcze nie napisane wiersze. A nie napisane wiersze to sny. Ma Pani rację.

— Dziękuję. W takim razie czy pozwoli Pan na jeszcze jedno intymne pytanie?

— Nie wiem, zobaczymy.

— **Czy mógłby Pan opowiedzieć coś o swoim otoczeniu w Pana mieście?**

— O, to cudowna zbieranina prawdziwych hultajów i nierobów, z których niemal nikt niczego w życiu nie bierze na serio. Oprócz rysowania kredą na asfalcie i balowania, oczywiście. Ale ponad wszystko cenią oni siebie samych i o tym stale dyskutują w kawiarniach. Lubię ich ponad wszystko, w dodatku tylko oni nadają pewien sens temu miastu, nie wiem...

— **Z czego się zatem utrzymują?**

— W większości żyją jak ptaki niebieskie. Jednak od czasu do czasu ktoś sprzeda tu, na Zachód, obraz, dwa. Albo obrazki. Albo na przykład klejnot rodzinny. Czy któryś ze swoich organów wewnętrznych — płuco, powiedzmy. Za to teraz nieźle płacą.

— **A z czego Pan się utrzymuje?**

— Za kilka godzin mam być na uroczystej kolacji, podczas której zostanie mi wręczone honorarium za dzisiejsze wystąpienie — milion lirów. To mniej więcej sześćset dolarów.

— **Ale tam, w domu. Z czego tam Pan żyje?**

— Po pierwsze, z wiecznych długów. O tym niełatwo jest mówić, ale to prawda. Po drugie, nieco mi zostało z czasów, kiedy pracowałem jako grabarz, a potem jako trębacz w ratuszu. I jedni, i drudzy zarabiają nieźle, choć ci pierwsi zarabiają lepiej. Niekiedy udaje mi się sprzedać pewną ilość swoich książek albo wygłosić wykład z filozofii zen w zakładzie dla młodocianych przestępców. Były jednak i takie czasy, kiedy całymi tygodniami nie miałem za co kupić chleba i papierosów. W ostateczności — wynoszę na bazar swoje ulubione książki albo grafiki przyjaciół, które dostałem na urodziny.

- Czyli sprzedaje Pan swoich... przyjaciół?
- Nie. Nie sprzedaję swoich przyjaciół. Powiedziałbym inaczej: moi przyjaciele ratują mnie od śmierci głodowej. O!
- Czy wierzy Pan, że w Pana kraju życie będzie lepsze?
- I teraz jest wspaniałe. Życie nie bywa lepsze czy gorsze. Życie to życie. A ja w nim. Cieszę się, że jest.
- Nawet kiedy nie ma pieniędzy na chleb i papierosy?
- Wtedy tym bardziej. Wtedy wszystko się wyostrza. Wtedy jesteś lekki i jasny.
- A więc po Wenecji wraca Pan do domu?
- Nie wiem. Chciałbym jeszcze trochę powędrować. Znaleźć się za oceanem. Napisać książkę o Nowym Jorku.
- A czy napisze Pan książkę o Wenecji?
- To byłoby naprawdę zwariowane! Pisać o Wenecji? Czyż można coś jeszcze napisać o Wenecji? Po tych tysiącach, setkach tysięcy już napisanych stron? Nie, nie ma głupich!
- A jednak. Jakie są Pana wrażenia z Wenecji?
- Przeżyłem tu chwile grozy. I niepokoju. Wie Pani, jak spędziłem dziś kilka godzin po obiedzie, kiedy w końcu odbyło się moje wystąpienie na seminarium? Staram się nie pokazywać pewnej znajomej dziewczynie. Przyjechała z Polski i chyba już trzeci dzień szuka mnie po całej Wenecji. Nie mogę się z nią jednak teraz spotkać. Proszę się tak nie uśmiechać, to zupełnie nie to, o czym Pani myśli. Tak więc, by się z nią nigdzie nie spotkać, wybieram się na spacer w jakieś mniej znane i odległe regiony miasta, gdzie prawie nie trafiają się muzea, zabytki, restauracje i tego typu rzeczy. Muszę przyznać, że takie miejsca niełatwo tu znaleźć. Mimo to dziś po południu coś takiego chyba mi się udało. Otulałem się płaszczem i drzałem na tym wściekłym wietrze...
- Pogoda ostatnio rzeczywiście zadziwia...
- Padał mokry śnieg, wokół żywej duszy, i patrzyłem na jakieś bardzo biedne i bardzo chore miasto. Aż mnie ciarki

przeszły, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że nawet my, obecne pokolenie, możemy stać się świadkami ewakuacji z tego miasta wszystkiego, co żyje, bo dalsze życie stanie się tu po prostu niemożliwe. Zobaczyłem straszną metaforę ludzkiej niemożności uratowania świata za pomocą kultury. Taki tam chwilowy nastrój.

— **Coś, co znalazło odzwierciedlenie w Pańskim wystąpieniu, prawda? *À propos*, ten fragment o młodej Greczynce z obfitym biustem to także metafora? Czy nie wymyślił jej Pan, tak samo jak swojego nieszczęśliwego filozofa suchotnika?**

— Nie wymyśliłem. Pracowała jako kelnerka w jednej z berlińskich knajp i naprawdę miała niesamowite piersi. Nazywali ją Zoja, czyli „życie”, jeśli się nie mylę. Teraz jest już pewnie w Grecji.

— **A co Pan powie o tutejszych kobietach?**

— Podoba mi się w nich, że patrzą na mężczyzn. To czyni je pięknymi. Owa mieszanka stuleci — krew kurtyzan i mniszek...

— **W Pana kraju kobiety nie patrzą na mężczyzn?**

— Myślę, że mimo wszystko patrzą. Po prostu zdążyły się już rozczarować.

— **Pan również był przyczyną rozczarowania?**

— Z pewnością. Zbyt mało kochałem swoją żonę. Mam na myśli rozciągłość w czasie. To znaczy, znowu nie tak to wyraziłem. Trudno mi mówić tak, by być zrozumianym.

— **Proszę mi wybaczyć. Może trochę przesadzam z nietaktownymi pytaniami. Nawiasem mówiąc, za tę rozmowę będzie Pan również mógł otrzymać honorarium. A na razie chciałabym Panu podziękować. Muszę szczerze przyznać, Pana wystąpienie spodobało mi się najbardziej ze wszystkich, jakie dotąd usłyszałam. Nie uwierzy Pan, ale nawet bardziej niż wystąpienie pana Mauropula! Życzę**

Panu i Pana ojczyźnie dużo miłości. Teraz jeszcze jedno, ostatnie pytanie, na które może Pan nie odpowiadać. Przeglądając się Panu od samego rana, zauważyłam, że inaczej niż w poprzednie dni, miał Pan ze sobą jakiś czarny skórzany futerał, z którym się nie rozstawał. Co w nim było?

— Broń palna. Karabin snajperski. Przecież tylko dla zachowania pozorów jestem uczestnikiem seminarium. Moim prawdziwym zadaniem było wykończyć pewną szychę.

— I co, udało się Panu?

— Mam nadzieję, że nie. Nie strzelałem. I w ogóle to był żart.

— Ooo! Żart? Ale mnie Pan rozczarował! Chociaż tak właśnie myślałam. Dziękuję jeszcze raz.

NA ZDJĘCIU: nasz gość S. Perfecki spogląda na Wenecję z okna klasztoru San Giorgio Maggiore.

Nie mam wątpliwości, że ją przeleciałeś — powiedziała Ada i zasznurowała usta.

— Kogo? — nie zrozumiał Perfecki.

— Jasne, że tę dziwkę z gazety. Wciąż ssie tik-taki. Myślisz, że ją interesują wywiady? Dziewczyna po prostu przygód szuka.

Już ponad pół godziny w padającym mokrym śniegu błędzili po najciemniejszych zaułkach w poszukiwaniu tajemniczego domu Farfarello, gdzie zaproszono ich na uroczystą kolację. Sądząc po zaznaczonym punkcie na mapie, którą wręczył im dzisiaj Dappertutto, miejsce tej biesiady znajdowało się gdzieś całkiem blisko. Ale gdzie?

— W tych dzielnicach dla lumpenwenecjan i sam diabeł się nie połapie — odkrył Amerykę Perfecki i omal nie upadł, potykając się na jakimś niewidocznym schodku, po czym bez specjalnej złości zaklął. — Dlaczego tak sądzisz?

— Za długo siedzieliście z nią w twoim pokoju — wyjaśniła Ada. — I w ogóle. Zresztą, czy to moja sprawa?

Znowu udała, że wpatruje się w mapę, stojąc w pobliżu samotnej i na razie nie rozbitej latarni. Północny wiatr wiał po zaułkach, sypiąc wciąż nowymi garściami krupy śniego-wej. Uderzał w latarnie i szarpał okiennicami.

— Ale to nic. Jeszcze jedna noc i dzień — mówiła dalej —

i rozjedziemy się. — No i dupa błada. — Spojrzała na numer budynku.

— Trzy tysiące dwieście szesnaście — wypalił Stach pierwsze, co przyszło mu do głowy. — Jesteś dla mnie niesprawiedliwa. Tylko ty się dla mnie liczysz. Pragnę tylko ciebie. Po prostu nie dostrzegam innych, bo na świecie jesteś tylko ty.

Odważył się pocałować ją w policzek, ale natrafił wargami tylko na płatek śniegu.

— W takim razie jesteśmy już prawie na miejscu — wyciągnęła wniosek Ada i zdecydowanie skrzyła w prawo. — Pragnęłam tylko jednego: żeby ci było dobrze.

Jak zawsze szła trochę z przodu.

— No dobrze — powiedziała po chwili i jeszcze raz spojrzała na mapę. — Jesteśmy.

Mapa trzepotała na wietrze i próbowała wyrwać się jej z rąk. Nagle wydało się, że to kawałek żywej skóry, który bardzo chce pofrunąć. Pokonując ptasi opór mapy, Ada złożyła ją i wepchnęła do torebki, wyciągając w zamian jeden z niezliczonych przewodników.

Budynek, naprzeciwko którego właśnie stali, znajdował się po drugiej stronie wąziutkiego kanału; prowadził doń na pierwszy rzut oka niewidoczny mostek. Choć wokół panowały ciemności, budynek był oświetlony jakąś wewnętrzną iluminacją, przebijającą się przez szpary w zabitych albo połamanych okiennicach. Prócz tego budynek dźwięczał. Z daleka było go słycać. Cała fasada ozdobiona była blaszanymi słońcami, gwiazdkami, półksiężycami, miniaturowymi wiatraczkami i diabełkami — wszystko to kręciło się jak szalone, łopotało i brzęczało w porywistej nocnej wichurze. Zdawało się, że to jakiś całkiem dzieciniały sztukmistrz postanowił ubrać cały swój dom w różnorakie magiczne drobiazgi, żeby odegnać albo na odwrót — zwabić przelatujące duchy.

— Casa Farfarello — przeczytała Ada w przewodniku. —

Dziś nikt tu nie mieszka. Wcześniej dom należał do rodziny kupieckiej, która przybyła do Wenecji z dalekiej Kalkuty. Albo z Madrasu. Na początku wieku wszyscy nagle zniknęli. Tu napisano, że przemienili się w dziwaczne ptaki. Teraz budynek wynajmuje fundacja. Na różne imprezy. Idziemy?

Perfecki wszedł na mostek i poczuł, jak ten zachybotał się pod nim. Zrobiło mu się ciężko na duszy. Wiatr zwiewał na bok jego trochę zmoczoną czuprynę. Ada obiema rękami przytrzymała swój beret.

— Tak czy inaczej kocham cię — Stach próbował przekrzyć wiatr, lecz Ada mogła tego nie usłyszeć, bo odpowiedziała niezbyt dorzecznie:

— Postaraj się mnie nie zostawiać z innymi.

Wewnątrz pachniało pustką i grzybem, strzępy aksamitnych tapet zwisały ze ścian, z jakichś szczelin w ścianach ciurkała woda. Jednakże cała ta ruina była jaskrawo oświetlona różnobarwnymi świecznikami i mnóstwem świec zapachowych — grubych i cienkich, rozmieszczonych na schodach, galeryjkach i górnych pokojach.

— Państwa płaszcz — ukłonił się służący Chińczyk, pojawiawszy się przed nimi w korytarzu i jak wydało się Stachowi, niezbyt przyjaźnie się uśmiechnął. Gdzieś na górze zaśmiał się tubalnie Mauropule; nie sposób było go z nikim pomylić.

— Całkiem tu przytulnie — jakby ironizował Perfecki, strząsając z włosów płatki mokrego śniegu.

— Fundacja od dawna już planuje kapitalny remont i przebudowę — wyjaśniła Ada. — Na razie brakuje pieniędzy.

Chińczyk odebrał od nich płaszcz i wszedł do jakiejś bocznej szafy, skąd już nie wrócił. Zjawiała się natomiast uśmiechnięta hostessa ubrana w księżycowo bładą suknię, nieco przypominająca szatniarza, który przepadł, ale już bez

śladu chińskich rysów. Poprowadziła ich schodami na górę, omijając świeczniki i dziury w podłodze, rozstawione tu i tam miednice, miski i dzbanki, a także fikuśne nocniki — wszystkie te naczynia były już po same brzegi wypełnione wodą, która skapywała zewsząd.

Ada ubrana była na ciemnozielono — po raz pierwszy w ciągu tych dni Stach ujrzał ją w tak niecharakterystycznym dla niej kolorze. Na piersiach miała broszkę w kształcie srebrnej zgrabnej żaby, której również dotychczas nie widział. Perfecki ze zdziwieniem odkrył, że do twarzy jej w tym. Hostessa szła trochę z przodu. Kiedy doszła do górnego piętra i odwróciła się, okazało się, że to nie żadna hostessa, a sekretarz Dappertutto w wybornie skrojonym ubraniu. Puścił im w twarz chmurkę papierosowego dymu i z niezadowolaniem rzekł:

— Wszyscy już od dawna na miejscu. Przez was nie możemy zaczynać. Gdzie się włóczyliście?

— Kilka razy gubiłam drogę — odpowiedziała z poczuciem winy Ada, mrużąc od światła oczy.

— Zawsze byłaś nieuważna — pokiwał głową Dappertutto i zatrzymał się przed poplamionymi wapnem drzwiami, zza których niezbyt wyraźnie dobiegały głosy, od czasu do czasu huczał Mauropule, a ponad tym dolatywały jakieś pojedyncze muzyczne akordy — tak bywa, gdy niewielka orkiestra szykuje się do gry, strojąc swe instrumenty.

— Jesteście gotowi? — surowo zapytał Dappertutto, lustrując ich od stóp do głów.

— Jak zawsze — kwaśno uśmiechnął się Stach.

— Nie, nie jesteście gotowi — twardo odpowiedział sekretarz i palcem wskazującym dotknął najpierw czoła Ady, potem Stacha. — Dopiero teraz jesteście gotowi.

Jego palec był jakby namaszczony lepkiem olejem, po którym na czole musiał pozostać ślad. Perfecki spróbował natych-

miast zetrzeć nieprzyjemne uczucie plamy, ale Ada złapała go za rękę i przez zęby wyszeptała: — „Daj spokój”. Dappertutto jeszcze raz obrzucił ich surowym spojrzeniem i nagle rozlewając się w uśmiechu chińskiego szatniarza, wyrzekł:

— Życzę przyjemnej zabawy i niezapomnianych wrażeń!

Uklonił się, odwrócił się twarzą do drzwi i popchnął je oburącz.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było raczej niezbyt przestronną salą, równie rzęsiście oświetloną, z oknami, zasłoniętymi starymi dziurawymi okiennicami, przez które ze dworu wlatywał wiatr i garście śniegu. Całe towarzystwo rzeczywiście już tam było. Goście wyglądali bardzo niezwykle, odświeżenie: wybrylantynowany i umalowany Déjàvu, ucieleśnienie Elegancji, Al-Boraq w nowiutkim trenczu oraz kawalerskich butach z wysokimi cholewami i ostrogami, Lisa Sheila w tak męskim kapeluszu, że jej twarz o długim nosie kryła się prawie całkowicie w jego cieniu, John Paul w niezliczonych kolorowych koszulach i swetrach. Mauropule miał na sobie tak wściekle czerwoną marynarkę i tak szmaragdowo-fioletowo-pomarańczowo-złoty krawat, że trudno było na jego widok nie oślepnąć, do tego wciąż łapał i podszczypywał powabne i ruchliwe hostessy, które właśnie kończyły nakrywanie do stołu; z rozłożonymi jak strach na wróble rękoma, gonił za nimi po całej sali tylko po to, żeby znowu którąś z nich obłąpić, a po wydobyciu z każdej erotycznego pisku — zwycięsko zarechotać.

Tuż koło gorącego pieca siedział w ogromnym, niemal monumentalnym fotelu, bardziej przypominającym tron, sam Casallegra — do pasa w czarnym fraku, z muszką i kamizelką, także obsypaną gwiazdno-księżycowym jeszcze ciepłym pyłem. Co było poniżej pasa, trudno powiedzieć, bo ta połowa starego była starannie otulona pledem, nad któ-

rym honorową wartość pełniły Concitta i Lucia, na przemian gładząc pradziadka i szepcząc mu coś miłego na ucho.

Potem byli jeszcze inni goście — liczne światowe sławy, a może tylko ich sobowtóry. Niektórzy nawet tańczyli, choć wydawało się, że w tej bezładnej kakofonii, która płynęła z głośników i zewsząd, nie tylko tańce, ale i hulanka nie jest możliwa.

I oto w tejsze chwili poleciało niby szmer, lekki i niewyraźny, z ust do ust jedno i to samo: „Zaczynamy, zaczynamy”...

Muzyka (jeśli tak się o niej da powiedzieć) ucichła, wszyscy w sali zamarli. Dappertutto stanął pośrodku, trzymając w ręce mikrofon, który bardziej przypominał głowę węża. Postukał weń tym samym namaszczonym palcem, po czym zapadła całkowita cisza. Nawet wiatr za oknem nagle ustał.

— Moi kochani — zwrócił się do obecnych sekretarz wykonawczy. — Zgodnie z prastarym zwyczajem naszej wspólnoty, powinniśmy rozpocząć tę długo oczekiwaną uroczystość chwilą ogólnego zjednoczenia i głębokiego skupienia. Proszę puścić nagranie.

Po tych słowach wyprostował ręce, stanął na baczność i wypuł z ust niedopałek. Stało się to sygnałem dla niewidzialnego chóru i orkiestry. Melodia była równie dziwaczna, jak cały poprzedni akompaniament. Właściwie było to kilka różnych tematów muzycznych, puszczonej jednocześnie i bez odrobiny gustu. Stach, ze swym słuchem absolutnym, zdołał rozpoznać jedynie niektóre składniki rozkwitłej przy żyrandolach i świeczkach świętej kakofonii. Podstawę stanowiła *Mała kantata masońska*, na nią nakładały się synkopy *Marszu różokrzyżowców* i bufoniaste rytmy *Walca czarnoksiężników*¹. Co tam jeszcze było, tego nawet Perfecki nie mógł uchwycić, choć niewątpliwie brzmiało tam z dziesięć

innych klasycznych i neoklasycznych nawarstwień. Większość z obecnych poruszała wargami, jakby śpiewała w jakimś całkiem niezrozumiałym języku, może po łacinie. Ukosem spojrzawszy na Adę, Perfecki zauważył, że i ona, choć nie śpiewa, cały czas jakby walczy z taką pokusą: drganie ust najlepiej wyrażało jej stan. Po jakimś czasie sam złapał się na tym, że i jego korci niesamowicie, by włączyć się w tę pieśń, i mimo że nie znał słów, coś go ciągnęło, by dośpiewywać choć ostatnie sylaby. Na szczęście wkrótce się to skończyło i wszyscy zaczęli bić brawo.

Stół został nakryty z tak histeryczną obfitością, że przez chwilę Stach już nie żałował, że się pojawił na tej podejrzanej kolacji. Tak jakby się to działo nie w wielkim poście, a w samym środku karnawału. Co prawda, siedzieć mu przyszło na jakimś straszliwie chybocącym się stołku, który do tego wymazany był kredą i poplamiony stosunkowo świeżą farbą, ale Ada zdążyła szepnąć ukradkiem, że to skutki niedawno rozpoczętego remontu. Prócz tego akurat naprzeciwko nich usadowił się Mauropule, który nazywał Adę „córeczką” i mrugał przy tym pożądliwie. Kiedy wysokie szklane kielichy zostały napełnione po brzegi gęstą czarną cieczą, którą wszyscy z nieznanых powodów nazywali *sangue del drago*, Dappertutto podniósł się i od czasu do czasu nachylając się uchem do drzemającego obok Casallegrы — jakby szukał potwierdzenia dla swego *speechu* — oświadczył:

— Moi sławni! Moi prześwietni! Moi nierzadko dostojni, ale przede wszystkim wybitni i słynni, moi znakomici! Oto nadeszła pora naszej kolacji. Zasłużyliśmy na nią niezwykle uczciwie, w ciągu niezapomnianych czterech dni mężnie posługując się intelektem, na ile nam na to pozwalał, żeby

¹ *Mała kantata masońska* to ostatni z ukończonych przez Mozartę utworów (KV 623, 15.11.1791). Jeśli chodzi o *Marsz różokrzyżowców* i *Walc czarnoksiężników*, to nic nam o nich nie wiadomo.

wykrzesać z dzisiejszego bezsensu bodaj iskrę wesołości i radości. Nie wszyscy dotrwali cało do dzisiejszego wieczora. Niektórym skradziono konia, innym — serce. W imieniu swego patrona oraz we własnym imieniu chciałbym wszystkim serdecznie podziękować. Zaprosiliśmy was nie tak po prostu, i nie dlatego, że jesteście jacyś szczególni. W rzeczywistości jesteście przecież całkiem zwyczajnymi ludźmi, jakich wiele — do licha i trochę — i których imię legion. Nikt z nas, ani mój patron, ani ja, nie spojrzelibyśmy nawet na żadne z was, gdyby nie pewna wasza cecha, która czyni was nie tyle może interesującymi, ile — że tak powiem — zabawnymi. Tę swoją cechę każdy z was doskonale sam zna, nie zamierzam zatem ich wymieniać. Muszę podkreślić: zasłużyliście nie tylko na tę wspaniałą kolację. O wiele poważniejsze nagrody dziś posypią się na wasze zadowolone z siebie i swej pustki głowy! I rzecz nawet nie w honorarium, które *à propos* — liczę do trzech: *uno, duo, tre!* — zaraz znajdziecie w swych kieszeniach.

Sięgnąwszy do marynarki, Perfecki rzeczywiście namiętnie wyjął grubą kopertę, która nie wiadomo skąd się tam wzięła. Nie zdążył nawet się zdziwić, bo Dappertutto kontynuował:

— A co, są? No widzicie! Tak więc całe te wypłaty są niczym w porównaniu z tym, jakie możliwości przed wami teraz się otworzą. W tym celu żądamy od was tylko jednego: pijcie i lejcie w siebie, żryjcie i napychajcie się, ażeby przedwcześnie nie zasnąć — dudlcie, żłopcie, trąbcie — słowem — bawcie się i weselcie, byśmy mogli w całej krasie i do samego rana przedstawiać wam widowisko, którego tytuł brzmi: *Zabawne zmagania z sennością w najszerszym gronie przyjaciół*^{2!}

² Swobodne nawiązanie do dzieła *Hypnerotomachia Poliphili*, wydane w Wenecji w 1499 r.

W tejże chwili na dworze uderzył piorun, aż mury się za-
trzęsły, a błysk był widoczny nawet przez zabite okiennice.

— Usłyszano nas! — ucieszył się sekretarz i wychylił do
dna swój niemały kielich.

— Nie pij — szepnęła Ada, jednak Stach już zamierzał jej
nie posłuchać, zwróciwszy uwagę na to, jak pożądliwie, wiel-
kimi łykami pochłaniają obecni swoje czarne wino, aż im
cieknie z ust i rozchlapuje się na wszystkie strony. Ale kiedy
podniósł kielich całkiem blisko nosa, wzdrygnął się od nie-
miłego zapachu, który uderzył mu w nozdrza.

— Masz rację — odpowiedział Adzie tak samo prawie
szeptem i zupełnie niezauważalnie, jak mu się zdawało, dla
innych wylał swą porcję pod stół, po czym natychmiast zo-
baczył, jak zasyczała i zwęgliła się w tym miejscu podłoga.

Na szczęście w kieszeni miał na wszelki wypadek butel-
kę z ulubionym podkarpackim balsamem, ostatnią z zapasu
przywiezionego jeszcze z domu — w kolorze balsam ani tro-
chę nie różnił się od „smoczej krwi”; poszedł aż miło, mocno
rozgrzewając i wprawiając w lepszy nastrój.

— Ale pijesz! — porozumiewawczo mrugnął do niego
Mauropule i po raz kolejny zarechotał.

— Swoją piję, a nie krew ludzką — Perfecki w odpowiedzi
zacytował Szewczenkę, chyba nie całkiem stosownie.

I było wielkie żarcie. I jak w kalejdoskopie zmieniały się
talerze i potrawy. I raz po raz napełniano i opróżniano kie-
liczy z czarną nalewką. I płonęły policzki i oczy, zaostrzały
się nosy. I piszczały hostessy, które Mauropule nieustannie
i niezmordowanie za coś tam łapał, chwycił, macał. I snuł się
po sali Dappertutto, okazując każdemu częśćkę uwagi i życz-
liwości, kawałek szczególnej tajemnej sympatii, podsuwając
jakieś papierki do podpisu, puszczając dym, przewracając

oczami i drapiąc się w piersi paznokciami. I nie milkła muzyka, przy której nie tylko tańczyć, ale i oddychać się nie chciało. I wciąż krążyły jakieś fantastyczne pary wokół. I nawet sędziwy Casallegra, podtrzymywany przez swe czułe opiekunki, począł na środek sali i znalazł się wewnątrz niezwyklego korowodu — furda, że poniżej pasa nie miał niczego, prócz ocieplanych kalesonów w kolorze lilaróż. I błysnąwszy spod kapelusza, Lisa Sheila rzuciła z zalotną intonacją:

— *Hey, buddy*, następny taniec mój.

— Ja nie tańczę — odburknął na to Perfecki, bo po balsamie wydało mu się, że nie spaghetti nawija ona na widelec, a żywe robaki, które nawet w ustach wciąż się jeszcze ruszają.

W tym samym momencie spostrzegł też wiele innych metamorfoz jada, których — wydaje się — nikt więcej nie widział. I to nie pieczarki były w pizzy, a kijanki, i nie *tortellini* polewał Déjàvu czerwonym ketchupem, a psie uszy, i nie z befsztyku puścił krew Dżabraili, a z czyjegoś włochatego policzka, który leżał u niego na talerzu, pocięty przy gołeniu, i nie kiełbaskami napychał się Mauropule, a odrąbanymi palcami jakiegoś nieszczęśnika, do tego z żałobą pod paznokciami. A co dopiero inne stawy — warzywa, sałatki czy *frutti di mare* — jak nie pijawki, to gąsienice, jak nie stonogi, to glisty wiły się na talerzach, salaterkach i półmiskach. Spojrzawszy na całe to ohydztwo, Stach nie mógł nie przypiąć się do balsamu, schowanego na piersi, w przeciwnym razie na pewno zrobiłoby mu się niedobrze...

— Muszę zaprosić starego. Dziś jego wieczór — powiedziała Ada. — Postaraj się mnie nie tracić. Z pola widzenia — uściśliła, jakby nic więcej nie miała na myśli.

I poszła, okrążając stół, do samego szczytu i pocałowała wiekowego Casallegrę w rękę, cała ciemnozielona, a możliwe,

że i w pierścień pocałowała, a po chwili już prowadziła go w dziwnym spowolnionym tańcu, przy dźwięku zestrojonych instrumentów, wężowatym syczeniu publiczności i akompaniamentie piorunów za oknem.

— Światło! — ryknął rozkazująco w mikrofon Dappertutto, i w pokoju zrobiło się prawie ciemno, czyli intymnie.

— Brawo, patronie! — znowu wrzasnął Dappertutto.

— Brawo, patronie! — podchwyciła prawie cała sala z radością obserwując, jak grzecznie, niczym u dziecka, ułożyła się stara głowa gdzieś tam, całkiem blisko obfitego biustu Ady.

— A gdzie jej mąż, ten Niemiec? — zapytał Mauropule, niezłomnymi zębami miażdżąc kość ogonową.

— Wczoraj zniknął — wrzucił ramionami Stach.

— Zniknął?! — Mauropule przykrył wszystko wokół nową kaskadą homeryckiego śmiechu, aż złoto na nim zabrzęczało. — Zniknął! Cóż, w takim razie do dzieła! — I znowu, jak zawsze, mrugnął do Stacha, ale tym razem obydwójkiem oczu.

— Co masz na myśli? — Perfekci zdecydowanym ruchem poprawił okulary i łyknął balsamu prosto z butelki.

— Że muszę z nią zatańczyć! — wyjaśnił Mauropule i oblizął palce, co prawda Stach nie zauważył czy swoje, czy może te odrąbane. — A tobie coś się nie podoba?

Stachu chciał rzucić w niego świńskim uchem, ale w tej samej chwili zobaczył, że naprzeciwko niego siedzi już nie Mauropule, a czarnej maści osioł w biskupiej mitrze i w sutannie.

— Moi sławni, moi słynni! — znowu dopadł mikrofonu latający Dappertutto.

Proszę wszystkich o uwagę: pani Ada Cytryna, współpracownica naszej fundacji, królowa dzisiejszego przyjęcia!

Wszyscy zaczęli bić brawo w takt kolejnych uderzeń piorunów, aż stary Casallegra się zachwiał i pobladł straszliwie.

— No tak. Zaczyna się — powiedział osioł, osuszywszy pełen kielich „smokówki”.

„Źle z nim, niedobrze” — zaszeleściło w sali.

Zabawa trwała.

„Źle z nim, niedobrze” — ten refren pulsował w zmąconej głowie Stacha. Nie wiedział, kogo dotyczy, ale mógł przypuszczać, że nawet jego samego.

„Kiepsko z nim, źle się poczuł” — z tymi słowami wzięto starego pod rękę i wyprowadzono z pokoju gdzieś w dalsze zakamarki, a frak oraz kalessony zwiślały na nim niemo i żałośnie.

Stach też się źle czuł. Ada tańczyła. Cieszyła się powodzeniem. Wciąż ją ktoś prosił. W odpowiedzi na to Stach palił jednego za drugim i zbyt często zdejmował oraz zakładał okulary. Pioruny i błyskawice. Potworna niemuzyka. Ciemnozielona suknia. Za dużo tego wszystkiego.

Początkowo wydawało mu się, że Ada bez żenady ociera się policzkiem o pierś Al-Boraqa. Że ręce Johna Paula spęzły poniżej talii i objęły Adę w najbardziej ryzykownym miejscu. Że Gaston Déjàvu liźnął jej szyję. Że jakiś piękniś, podobny do Erosa Ramazottiego, owinął się wokół jej ruchliwych bioder. Że nawet Lisa Sheila z jakiegoś powodu z nią tańczy.

Ile było tych tańców? Nieznośnie wiele! A jak długo cierpiał Perfecki, topiąc żal w butelce z balsamem? Tysiąc lat!

Ale koniec jego zgryzoty nie nastąpił nawet wtedy, bo raptem przenikliwy Dappertutto zabrzączał do mikrofonu:

— A teraz, moi sławetni, tango! Tango Mauropule!

Jak ogień przeleciał nad salą czerwony w swej marynarce włoskiej i schwycił Adę jak słomkę, w obręcz swych łapsk. I zaczęło się tango — jakby nie tango, a nóż prosto w ser-

ce Perfeckiego, i wygibasy, i przyciskasy, i wciąż jej coś na ucho ślinał, a ona tylko odchyłała głowę i śmiała się, i Dapper-tutto wrzeszczał „najwspanialsza para, najwspanialsza para!”, a to połączenie jadowitej czerwieni z ciemną zielenią było tak dzikie i nieprzyzwoite, jak krawat Mauropula, i cały zwierzynek klaskał, aż kipiąc z podniecenia, i obydwójce opuścili salę, tańcząc, i zniknęli w czeluściach zasypanych piaskiem i tłuczoną cegłą korytarzy, gdzie potoki deszczówki spływały po ścianach.

— No i tak — rzekł do Perfeckiego czarny osioł, a ściślej już nie osioł, a raczej chiński szatniarz, który wsuwał za pomocą pałeczek spaghetti, ale po chwili był to już nie Chińczyk, a zwykły pstrokaty kogut w takich samych okularach, jak Perfecki.

— Przynajmniej byś milczał! — uderzył Stach pięścią w stół, aż kogut wleciał pod sufit, ze strachu trzepocząc skrzydłami, i pozostał pod sufitem, przemieniony w siedmiolampowy kandelabr z jelenimi rogami.

Stach pociągnął tęgiego łyka z bezdennej swej flaszki, po czym w końcu się podniósł i zdecydował, że na niego już pora...

W korytarzach rzeczywiście pełno było wapna, siarki i kawałków cegły, potoki deszczówki lały się z góry, a Perfecki stąpał prosto w kałuże i boleśnie obijał się o jakieś dziwaczne skrzynie, ponastawiane wszędzie i pozamykane, o jakieś niezgrabne przedpotopowe walizy oraz pudła, przypominające trumny. Do każdych drzwi zaglądał, ale nigdzie nikogo nie było, tylko czasem któraś z hostess pędem mijała go z okrzykami: „Chłodny kompres dla barona Casallegrzy!” „Gorąca kamfora dla siniora Leonarda!” albo „Poduszka tlenowa dla pana prezydenta!”. Spychały Perfeckiego z drogi, bo zawadzał,

więc za każdym razem musiał chwytać się rękami mokrych ścian, pajęczyn, pustki.

„A jeśli jest teraz tam, koło niego?” — pomyślał Stach i postanowił biec za następną hostessą, żeby trafić tam, gdzie być może ratowali życie doktorowi tanatologii, widać nie na te lata tańce. Ale gdy tylko tak pomyślał, nagle wszystkie dziewczyny poznikały z korytarzy, i już nikt nigdzie nie biegł. Perfecki ze złości aż przysiadł na jednym z drewnianych pudeł. W tej samej chwili ze środka dał się słyszeć jakiś stuk i czyjś paskudny głos zamamrotał:

— A poszedł stąd!

Stach tylko splunął i ruszył dalej...

Po dobrej godzinie błąkania się nie kończącymi się korytarzami i piętrami wreszcie usłyszał nader znajomy rechot. Rzucił się w kierunku, z którego dolatywał dźwięk, i wkrótce zobaczył całe stado hostess, szczebiocących z ożywieniem i uśmiechających się, ustawionych w kolejce pod drzwiami, zza których dolatywał dosłyszany przez Stacha charakterystyczny zew Mauropula.

— Co on tam robi? — zapytał Perfecki dziewcząt, ledwo łapiąc oddech.

— Zapładnia — z dumą odpowiedziały dziewczęta.

— Kogo?! — prawie krzyknął Stanisław, bo w tym nastroju zdawało mu się, że na całym świecie jest tylko jeden obiekt do zapłodnienia.

— Kogokolwiek — powiedziały hostessy. — Nas wszystkie.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i ze słowami „Która następna?” wyszła wesoła piękność, podciągając pończochę i zasuwając zamek wąskiej spódniczki. Kiedy wychodziła, mijając się w drzwiach z następną, Perfecki zdołał dojrzeć wielkie łóże i głowę byka, posapującego z zadowolenia, i jak się

wydawało Perfeckiemu, głowa ta nawet mrugnęła do niego. Reszta ciała schowana była pod kołdrą, więc trudno powiedzieć, czy też była bycza.

— To to tak rechoce? — zapytał Perfecki, oblizując zaschnięte wargi.

— Nie to, a ten — poprawiły go dziewczęta. — Nasz kochaś!

— A gdzie Mauropule? — zdradził się Stach.

— A gdzieś — odpowiedziała najbardziej kpiarska hostessa, a ich śmiech dłużej jeszcze gonił Perfeckiego.

Zazdrość, potworna zazdrość, gnała Perfeckiego coraz dalej. Gdzie ona jest? Kto z nią jest? Noc mijała, grzmoty piorunów wstrząsały ziemią i morzem, aż budynek drżał w posadach. Znienacka Stach zobaczył w końcu jeszcze jednego korytarza postać, która z nie mniejszym zdecydowaniem ruszyła mu naprzeciw. Już przygotował się do kopnięcia albo jeszcze lepiej — zadania ciosu grzbietem dłoni, ale w tym momencie na szczęście zrozumiał, że to on sam, odbity w lustrze.

— A ty co tu robisz? — zapytał Perfecki i uśmiechnął się krzywo.

— To samo, co ty — odpowiedziało mu odbicie i zdjęło okulary, mrużąc niedowidzące oczy.

Stach namacał nasadę nosa. Okulary były na miejscu.

— To może ty ją gdzieś widziałeś? — dotknął palcem pierś swego odbicia.

— My jej wcale nie obchodzimy, stary — usłyszał w odpowiedzi z lustra. Wszystkie kobiety to zdziry! Zapamiętaj: tak było, jest i będzie. Zdradzają zawsze i wszędzie. Nasze głupie serca są jedynie zabawką w ich rękę. Trzeba je pieprzyć, pieprzyć i zapominać, a potem iść dalej!...

— Która godzina? — nie wiadomo dlaczego zapytał Stach.

Odbicie w lustrze spojrzało na zegarek i odpowiedziało:

— Piętnaście po dwunastej. Mamy już dziesiątego marca, stary.

— No to sto lat — powiedział Stach i podał niedopitą butelkę.

Nie zdołał jednak przebić się tam, na drugą stronę lustra, za jego gładką i chłodną powierzchnię.

Potem były coraz to nowe wyzwania: przegniła krokiew, spadająca skądś Stachowi na głowę; kałuża krwi, z której chleptało pięć szczurów; wściekle spieniony rottweiler, urywający się z łańcucha, przytwierdzonego do ogromnej skrzyni okrętowej; spłoszone stado nietoperzy. Ale nic nie mogło powstrzymać Perfeckiego.

Nie zostawiaj mnie z innymi. Nie zgub mnie. Tak mówiła Ada. Krążył więc po kolejnych zakamarkach tego dziwnego budynku, w którym działo się coś paskudnego.

A rozpacz jego była tak okrutna, że złapał odłupany kawałek i wydrapał na ścianie ogromnymi literami: ADO MAM JUŻ TEGO PO USZY WKURWILI MNIE MAM DOŚĆ!

Mimo to jednak szukał dalej.

„A jeśli wróciła już do sali i znowu teraz z kimś tańczy?” — ni z tego, ni z owego przyszło mu do głowy. Rzucił się więc z powrotem, ale po kilku chwilach zrozumiał, że żadnej sali już dziś nie znajdzie — wszystkie korytarze były ślepe. Rzucając się to w jedną, to w drugą stronę, Stach ciągle powracał w to miejsce, gdzie pozostawił na murze swój rozpaczliwy apel. Ta bezradność sprawiła, że znowu musiał przypiąć się do ojczystej butelczyny, i wtedy usłyszał harfę. Jej dźwięki, całkiem harmonijne, na pewno nie należały do ogólnej i wszechobecnej kakofonii. Perfecki ruszył w kierunku tych dźwięków, jak ku światłu, były tuż-tuż, przyspieszył kroku, kiedy nagle poczuł, że spada gdzieś nie

wiadomo gdzie, a po chwili rzucał się już wewnątrz jakiejś wypełnionej wodą szklanej przestrzeni, jakiegoś akwarium, gdzie przepływały koło niego różne kolorowe ryby z czarnymi plamami na żółtych płetwach albo na odwrot. Wielka głowa z brodą i zakolami pochylała się nad nim i ze złośliwą satysfakcją krzywiła się w uśmiechu. Perfecki chciał schować się przed nią do jednej z muszli na piaszczystym dnie, ale obok głowy pojawiły się także ręce, dwie ogromniaste dłonie, rozkołysały akwarium we wszystkie strony, z czego zrobiło się wielkie poruszenie, Perfeckim oraz innymi rybami rzucało od ściany do ściany, głowa cieszyła się i rechotała, ale potem akwarium wyśliznęło się głowie z rąk, Stachowi pociemniało w oczach, jeszcze raz poczuł, jak spada, jak rozbiła się szkło, jak razem z wodą, roślinami i muszlami porzuca samego siebie.

Oprzytomniał na zimnym cemencie podłogi.

Nad nim rozbrzmiewała harfa, a kiedy stękając z bólu, otworzył oczy, zobaczył czarną małą, która z pewną wprawą przebiegała palcami po strunach, wciąż przy tym mrugając do niego.

„Jeszcze jedna mrugałka” — pomyślał Perfecki, wstając i powoli usuwając z siebie wodorosty i mokry piasek.

— Cześć — powiedziała mała ludzkim głosem, co strasznie zdziwiło Stacha.

— *Ciao* — odpowiedział w tejże chwili i poznał ją po minie, sposobie gry oraz jeszcze jakichś bardziej intymnych szczegółach, ją, tę kobietę, która była o szesnaście lat starsza od niego i kiedyś bardzo dawno temu, właściwie w dzieciństwie, zaprosiła go do siebie zaraz po skończonej próbie i zaprowadziła do swego tajemniczego ogrodu, gdzie doznał huraganu stawania się mężczyzną.

- Okularów nie rozbiłeś? — zapytała harfistka.
- Chyba nie — Perfecki namacał nasadę nosa. — Na miejscu. A jak pani... jak ty się tu znalazłaś?
- Z choinki się urwałam — odpowiedziała małpa, ani na chwilę nie przerywając gry. — Zawsze takie głupie pytania zadajesz?
- Nie, nie zawsze — z poczuciem winy odpowiedział Stach.
- To zadaj jakieś mądrzejsze.
- Zna pani... znasz ten budynek?
- Z byka spadłeś? Jeszcze lepiej. Świetnie! — odpowiedziała na to kobieta, a Stach coraz wyraźniej ją rozpoznawał. — To uważasz za mądrzejsze?
- W takim razie powiedz mi, czy inaczej, proszę mi powiedzieć, zapomniałem, jak do ciebie, czy do pani się zwracałem.
- A wcale się nie zwracałeś. Tylko dzwoniłeś zębami, chudzińska taka — przypomniała mu małpa.
- Możliwe — kiwnął Stach — ale proszę mi powiedzieć, jak odszukać salę, w której wszyscy tańczą i piją...
- Czyś ty chory? — przerwała mu harfistka. — No i po co ci ta sala, kiedy jej tam nie ma.
- Jakiej jej? — nie zrozumiał Perfecki.
- No tej twojej...
- A ty wiesz, gdzie jest?
- A niby nie? — powiedziała małpa i tajemniczo umilkła, całkiem oddając się muzyce.
- To może mi powiesz? — zaczynał wrzeć Stach, daremnie szukając po wszystkich kieszeniach zgubionej, zdaje się, butelki.
- A co za to dostanę? — kokieteryjnie spytała kobietka.
- Milion lirów — Perfecki sięgnął po podłużną kopertę.
- Spadaj, cwaniaku! — powiedziała na to harfistka. — Po kiego mi te liry?

— No to w takim razie nie wiem, co jeszcze mógłbym dla ciebie zrobić — wymamrotał Stach, z przerażeniem myśląc, że zaraz chyba będzie musiał ją posuwać.

— To pocałuj mnie — małpeczka wyraziła w końcu swe najgłębsze życzenie. — Tylko nie tu. I nie tu. A wiesz gdzie? W dupę!

— Proszę mi wybaczyć, ja pewnie, jak by tu pani powie-
dzieć... — wahał się Perfecki, wyobraziwszy sobie czerwony
małpi tyłek, i zrobiło mu się tak mdło, jakby znowu miał szes-
naście lat i dwa razy starsza *madame* zapraszała go na herba-
tę po próbie.

— Co, nie chcesz? — udała żal małpa. — Przecież kocha-
łeś ją kiedyś i nawet nazywałeś swą najśłodsza dynią... Bez-
wstydnik!...

— Nie przypominam sobie — potarł czoło Perfecki. —
Może kto inny tak ją nazywał?

— No to jak sobie chcesz — obraziła się małpa i całą sobą
pokazała, że rozmowa skończona.

Na zewnątrz wciąż jeszcze grzmiało, burza nie ucichała
ani na chwilę, w dudniących korytarzach świszczła i wył wiatr.

— No dobra — westchnął Stach, a harfa przestała grać.

Zamknął oczy i natknął się wargami na coś chłodnego
i metalowego. Była to klamka od jakichś wcześniej nie do-
strzeżonych drzwi. Od dotyku jego warg lekko się uchylili.
Perfecki podniósł się z kolan, ale nie wszedł do tego poko-
ju. I tak wszystko widział, choć paliło się tam zaledwie kilka
świeczek i panował gęsty półmrok.

Pośrodku pokoju stała bardzo stara żeliwna wanna
na czterech nogach, zakopcona i obtłuczona. Najpewniej
miała spełniać funkcję łoża, bo właśnie w niej spoczywał
żółtawo-blady Casallegra. Obok wanny ukląkł na jedno ko-

lano spocony Mauropule. Ręka prezydenta zamarła na jego cygańskiej bujnej czuprynie, pochylonej niby przed sztandarem. Obydwie dziewczyny — Lucia i Concitta — stały u wezglowia i w nogach wanny, w pozach płaczek. Prócz nich w pokoju była jeszcze jedna osoba, ktoś obrócony twarzą do ściany, jakaś kobieta w ciemnozielonej sukni, a przed nią otwarta gruba księga, z której monotonna czytała coś półgłosem, w stężonym, zupełnie nieznanym języku, być może — koine.

— I wówczas nastanie czas — mówił starzec, prawie nie ruszając wąskimi wargami.

— I wówczas nastanie czas — powtarzał za nim Mauropule.

— I nadchodzi inny z woli mojego Pana...

— I nadchodzę ja z woli mojego Pana...

— I nie wierzysz i mówisz do swego Pana...

— ...do swego Pana...

— Panie mój, nie dość byłem na tym świecie, nie nacieszyłem się...

— ...nie dość piłem na tym świecie, nie nawaliłem się...

— Ciebie, mój Panie, nie dość wysławiałem, nie nabyłem się, nie nażyłem.

— ...nie wysłałem się, nie nabawiłem się, nie napiłem...

— I pięć tysięcy wiosen uczciwie Ci służyłem, ale nie wysłużyłem.

— I pięć tysięcy wiosen podle Ci służyłem, żebyś się wściekł.

— I pytam Cię, mój Panie: „Dlaczego dziś?”

— I pytam Cię, mój Panie, „Czyż nie dziś?”

— I słyszę Ciebie w żywocie swoim, jak powiadasz: „Właśnie dzisiaj!”

— I słyszę Ciebie w żywocie swoim, jak powiadasz: „Właśnie dzisiaj!”

— Bo nadszedł czas i nadeszła noc i nadszedł ten...
— Bo nadszedł czas i nadeszła noc i nadszedłem ja...
— Któremu siłę Moją i piękno Moje i czary Moje oddajesz...
— Któremu siłę Jego i piękno Jego i czary Jego oddajesz...
— A ciebie wezmę do Siebie na wieczne rozkoszowanie
w ogrodzie!

— A ciebie wezmę do Siebie na wieczne torturowanie
w piekielnym smrodzie!

— Niechaj tak będzie...

— Niechaj tak będzie...

— Niech tak się stanie...

— Niech tak się stanie...

— A jeśli nie będzie i się nie stanie, to niechaj nic nie
będzie i się nie stanie!

— A jeśli nie będzie i się nie stanie, to Ja ci dam!

A po zakończeniu tych słów, od których Perfeckiemu aż dech zaparło, stary wymówił jeszcze jakieś zaklęcie i mamrotał je za nim Mauropule, z którego pot lał się niczym rzeki babilońskie, tak że jadowita marynarka zrobiła się ciemnowiśniowa, a gromy przecinały niebo gdzieś za ścianami budynku, a niebieskie iskry błyskały ręką umierającego i trzeszczały w dzikim uwłosieniu jego następcy, a wszystko to bulgotało w nieznanym języku, a może i w różnych nieznanym językach, bo Perfecki nie znał żadnego języka, znał jedynie słowa...

A wówczas wanna z ciałem starca wzniosła się aż pod sufit i krążyła po pokoju, a wszyscy, nawet kobieta w zieleni, podnieśli wzrok na nią, niczym na obraz swego najwyższego władcy, i na chwilę znalazł się w niej nie siwiutki dziadunio, który dopiero co abrakadabrami zaklinał, a skrzydlaty lew, i można byłoby go uważać za tegoż samego, świętego lwa, gdyby nie małe różki, wyłazące spod jasnej grzywy; ale wszystko to trwało tylko chwilę, bo wanna wybuchła

wraz ze lwem oślepiającym wybuchem, a żółtego dymu było mnóstwo, i smrodu, i znowu tylko na chwilę, bo pozostało po wybuchu tylko jajko, które spadło spod sufitu na podłogę, ale się nie rozbiło, bo jednak było twarde, i nie dane mu się było rozbić, bo nie takie było jego przeznaczenie.

Jajko się toczyło, a Mauropule już wstawał z kolan. Złapał jajko i połknął je. W tej samej chwili na jego miejscu wyrósł wielki słup ognia i niesamowity śmiech, i żar, a Lucia z Concittą zwinnie płażały wokół niego. Tylko pani w ciemniej zieleni nadal stała twarzą do księgi, z której coś tajemniczego czytała na głos...

Po zgniłych deskach, po kałużach, po kawałkach akwarium, po śliskich i kręconych schodach, po świecznikach i lampkach, po wszystkim, co było, pędził Perfecki dokąd nogi poniosą, choć się pod nim ugiwały. Jakieś wronie gniazda leciały na niego spod sufitu, jakieś mysie łapki i ślimaki spadały za kołnierz, i kawałki tapet, i walizy, i pudła, i trumny...

— Stało się, ziściło, spełniło! — skrzeczał do mikrofonu Dappertutto.

Wszyscy powitali ten komunikat oklaskami. Tylko Ada, królowa przyjęcia, w ciemnozielonej sukni z broszką w kształcie żaby (żabką-broszką), nieruchoma stała przed otwartą grubą księgą w formie *folio*.

— Moi wspaniali! — kontynuował nocną akcję sekretarz. — Moi wielce wspaniali! Nasza zabawa trwa, choć do świtu jeszcze bardzo daleko. Ale co to dla nas te ziemskie świty, najważniejsze jeszcze przed nami! Jak nastrój, moi słynni?

Wszyscy zawrzasnęli i zatupali z takim szalonym uznaniem, że Dappertutto aż rozkwitł niczym potworne karłowate drzewo.

— Nadchodzi chwila ostatecznej nagrody — rzekł po chwili, kiedy sala umilkła. — Pamiętacie, że fundacja obiecała wam znacznie większe dobra niż wieczerza, *à propos*, szczęśliwie pożarta przez was, i honoraria, które włożono wam do kieszeni. Ale co, co to takiego? Czego najbardziej pragniecie?

Na to zabrzmiało mnóstwo odpowiedzi, wśród których można było usłyszeć coś o samochodach, akcjach przedsiębiorstw naftowych, samolotach oraz nieruchomościach, bo każdy miał inne swe najgłębsze życzenie.

— Nie! — zaprzeczył Dappertutto, potrząsając głową. — Nie! Nie to dziś otrzymacie, a coś o wiele ważniejszego, cenniejszego i bardziej nadzwyczajnego. Ale co to takiego? Co jest dla was naj, naj, najbardziej pożądane?

Tym razem nadeszło znacznie mniej odpowiedzi niż poprzednio, ale mimo wszystko niektórzy odważyli się głośno wyrazić to, co najtajniejsze:

— Zamiana gruczołów płciowych!

— Kosmiczny seks!

— Przedłużenie istnienia!

— Życie na Wyspach!

— Wieczna rozkosz!

— Prawie odgadliście, moi słodcy, prawie odgadliście! — Jeszcze trochę, a zrzucicie z siebie na zawsze ciężar niemożności! Niech wasza myśl przekroczy swe granice, myślcie lżej, swobodniej; zapamiętajcie: nie ma tego, co niemożliwe! Dziś może wszystko się zdarzyć! Jeszcze trochę, a usłyszymy to słowo, osiągniemy niedosiężnego, pojmiemy tę ukrytą *idée fixe*, której jeszcze być może się wstydzicie, a jednak bardzo, bardzo tego pragniecie w snach, w podkorzu, w objawieniach widzicie tę...

— Nieśmiertelność — zażartował Perfecki, a wszyscy spojrzeli na niego.

— Tak, tak, niech to diabli! — podskoczył Dappertutto. — Tak! Kto wyrzekł to słowo? Kto jako pierwszy je wymówił? Gdzie on jest? Pokażcie mi tego mądrale!

Co najmniej pięćdziesięciu ludzi zakrzyknęło na raz:

— To ja! Ja to powiedziałem!

Po czym zaczęła się tak szalona radość, takie kocie harce, takie rozkołysanie temperamentów, że sekretarz musiał strasznie długo całą tę kompanię poskramiać i uspokajać, w rzeczywistości jeszcze bardziej ją ekscytując.

— Tak! Tak! Nieśmiertelność! Wieczność! Wszechświat! — krzyczał raz po raz, machając ogonem i biegnąc tam i z powrotem po sali.

Jednakże i ta fala musiała przycichnąć; zapadła w końcu cisza. Wszyscy pragnęli wiedzieć, co będzie dalej, jaka jeszcze gra z nimi dziś zostanie podjęta.

— Ale dla nieśmiertelności, moi sławni — intrygował Dappertutto — dla nieśmiertelności każdy z was musi w sobie coś zmienić.

— Albowiem nieśmiertelności godzien jest tylko ten, kto stał się samym sobą, inaczej nie! A przecież wy na razie nie jesteście sobą! Na razie jesteście niczym, tfu, pustką, intelektualistami! Życzę wam, byście się stali sobą! Prawdziwymi! Innymi! Niezrównanymi!

— Ale jak? — jednym spragnionym głosem zawrzasnęli goście domu „Farfarello”.

— Magiczna księga! — znowu przekrzyczał ich sekretarz. — Magiczna księga jest w rękach naszej królowej Ady! Magiczna księga, która ma czterysta lat! Czterysta razy po czterysta lat! Osądzi każdego i przemieni dla nieśmiertelności!

Po tym, jak kolejna burza okrzyków i zachwyków ucichła, Dappertutto znowu wziął mikrofonowego węża do rąk. Mówił teraz bez wykrzykników, spokojnie i konkretnie, niczym

instruktor wspinaczkowy przed wejściem na szczególnie trudny, niedostępny szczyt:

— Procedura będzie prosta. Każdy z was, który godzi się na nieśmiertelność, a innych, jak sądzę, tu nie ma, po kolei podchodzi do księgi i wymienia tylko dwie liczby: jedna z nich oznacza stronę od końca, druga — wers od dołu. Stronic w tej księdze jest tysiąc sto jedenaście, a wersów na każdej stronicy jest czterdzieści, czyli mnóstwo. Wymieniacie dwie cyfry, tylko dwie cyfry, bez zbędnego gadania, a pani Ada czyta wam na głos wywrózone przez was miejsce. Wówczas, jeśliście tego warci, przeobrażacie się dla nowego życia, dla życia wiecznego zgodnie z tym, co napisano i przeczytano!

I trzeba było widzieć, jak rzucili się goście tam, do Ady, do jej królewskiego podium, jak zaczęli zawzięcie walczyć o miejsce w kolejce, jak przepychali się łokciami, ramionami, brzuchami!... (Ale wszystkich wyprzedziła rączka Shalizer w kapeluszu na bakier).

Tylko Perfecki, smętny w swych okularach, nigdzie nie biegł. Nieśmiertelności nie pragnął, czy co?

Między piątą a szóstą rano rozwarły się okiennice, a gdy wicher wdarł się do sali, wyrósł na parapecie słup ognia, w środku którego stał czerwono-jadowity Mauropule, z towarzyszącymi mu dwiema kometami i smugą rozżarzonych gazów. A pierwszą z komet zwano Lucia, drugą zaś Concitta. I zawrzasał Mauropule z brzucha swego:

— Jam jest wielki duch Bahafu!

— Przyszedłem, by was wezwać. Podążajcie za mną ku wiecznie kwitnącym ogrodom naszego pana i władcy!

— Stańcie się! — wrzasnął do wijącego się mikrofonu Dappertutto.

— Stańcie się! — zaśpiewały za nim słodko-mdłe głosy, a imię ich legion.

— Stańmy się! — zażądali goście.

I popędzili z okien w burzowe niebo przed świtem, jedno za drugim, jedno przed drugim, jedno prędzej od drugiego, wiedzeni przez ognistego czarownika z dwoma przybocznymi kometami. Ale nie Sheila była wśród nich, a skrzydlata lamia o ciele smoka, sukkub imieniem Lilith, i tak jej było dobrze. I nie samozwańczy Al-Boraq wyleciał w ślad za nią, a dżin bez imienia, który ukradł niegdyś prorokowi jego skrzydlatego ogiera i przywłaszczył sobie jego imię, z woli Allaha został go jednak pozbawiony, a koń ten powrócił do złotych stajni w siódmym niebie; ale i to było dobre dla bezimiennego dżina, bo stał się samym sobą. I nie John Paul Oshchyrko zniknął w chłodnych wysokościach po bezdennie błękitną inną trawę, a duch afrykańskiego lasu Dada, obecny w każdej roślinie, w każdym kwiecie i pędzie, w każdym pyłku, a potem zapomniany, jednak dziś znów z niebytu wybujały, czyli wskrzeszony — ziemski, trawiasty, liściasty duch, i było mu dobrze. I, oczywiście, nie Gaston Déjàvu, znawca Choreografii, wtargnął w Ocean Powietrzny w ślad za zbawionymi, a tak samo skrzydlaty — bo wszyscy byli skrzydlaci — Markiz Żab, chudonogi skrzekacz, wielki zwolennik czarnych mszy i sobotnich rozrywek na moczarach tamtego świata; i tak było dobrze.

A za nimi jeszcze chmara innych gości: ale nie aktorów i ministrów, i nie modelek, i nie bankierów, a przeważnie lemurów, echiden, syren i ośmiookich smoków oraz mantichor z lacertinami... A cała ta długaśna kawalkada pobłykiwała i parskała na wszystkie strony dymami, strzelała gazami, i huczała, i dudniła, i wrzeszczała. W końcu zaś o szóstej piętnaście ziemskiego weneckiego poranka, chwilę przed pierwszym brzaskiem, przepadła w ciemnościach wśród nieznanym gwiazdozbiorów.

A Stach Perfecki znalazł się w księdze, nie w Księdze, w jej ogrodzie, wśród krzewów i kwiatów ze starych drzeworytów, wśród ptaków i pszczół z pisma greckiego, wśród języka koine, wśród porywających historii, wśród zapachów — starożytności, wina, czcionek, akwareli, złotych liter. Ogród był duszny i mroczny, trawa sięgała Stachowi do pasa i wyżej, a wszędzie syczały węże. Prawie Ją dogonił — był pewien, że to Ona, choć widział tylko jej plecy — biegł za nią już od dawna, ale nie mógł dogonić, trawa robiła się coraz bujniejsza, syczenie coraz głośniejsze, pachniało owocami ze wszystkich drzew, widniejących na stronicy, a więc właśnie Ją doganiał, by tylko spytać, ale nie dowiedzieć się, by tylko spojrzeć, ale nie zobaczyć, by tylko wyciągnąć rękę, ale nie dotknąć, i już wyciągał rękę o nieskończenie długich palcach, kiedy zniemacka usłyszał, że go wołają, że go nieustannie wzywa głos inny, głos Ady, że jego imię wymówiono już dziesiątki, a może i setki razy. A kiedy wreszcie dotarło do niego, zatrzymał się, i wszystko się zatrzymało, a przed chwilą rozwinięty ogród zwinął się ponownie do nieskończenia małego punktu w końcu ostatniego zdania już nie istniejącej Księgi, nie księgi, bo ciągle przedzierało się doń gdzieś z zewnątrz jedno jedyne słowo: „Stanisławie!”

ᠠᠠ-ᠴᠢᠷᠠᠨ:

W ostatnim z moich doniesień, chciałabym poinformować Mon-siniora o tym, co następuje:

a) Rankiem 10 marca weszłam do pokoju hotelowego Respondenta i ujrzałam go śpiącego w łóżku, ale w ubraniu, łącznie z płaszczem. Wyglądało to na jeden ze skutków nocnej biesiady, która odbywała się w Casa Farfarello w przeddzień. Strasznie długo musiałam wywoływać Stanisława (przekreślone) Respondenta z jego snów. Miałam wrażenie, jakby słyszał mój głos, ale nie chciał mu się podporządkować, wołąc nadal przebywać t a m (możliwe wersje: stary budynek, nocne niebo, ciemny ogród). Mimo to mój upór przyniósł skutek: Respondent powrócił do rzeczywistości (?) i spojrzął na mnie szeroko otwartymi oczyma. Chociaż trudno powiedzieć, czy widział mnie bez okularów.

b) Byłam pierwsza na tym świecie, która złożyła Respondentowi życzenia z okazji jego urodzin. W odpowiedzi na to Respondent oświadczył, że oczekuje na prezent ode mnie. Obiecałam, że cały dzień będziemy tylko we dwoje. Respondent wyraził wątpliwość, czy to się uda, bo dziś przecież ostatni dzień seminarium, w planie przyjęcie niezwykle odpowiedzialnego memorandum i — co ważniejsze — w programie przewidziano jakiś niesamowity obiad *maestoso* z grappą.

c) Kiedy Stach (przekreślone) pływał się w wannie i doprowadził do porządku, myślałam o tym, że jutro o tej porze ani jego, ani mnie już tu nie będzie. Nie chciałam, by to „jutro” nastąpiło, ale nastawało, zbliżało się. Tymczasem on (przekreślone) Respondent chłupał się w wannie i na całe gardło wyśpiewywał ukraińską pieśń ludową, której treść sprowadza się do tego, że ze stu tysięcy zakochanych par tylko jednej udaje się nie rozstać.

d) Podczas śniadania zdarzyła się przykrość: namacawszy w kieszeni marynarki kopertę, sprezentowaną wczoraj przez fundację, Respondent postanowił się pochwalić, jak jest bogaty. Jednakże po zajrzeniu do środka zbladł, twarz, i bez tego pociągła, wydłużyła się jeszcze bardziej, kiedy wysypywał z koperty wszelkie śmiecie. Zamiast dwudziestu pięćdziesięciotysięcznych nowiutkich banknotów, które tam były, wedle słów Respondenta, jeszcze wczoraj, dziś znajdowały się w niej: kawałek mapy Wenecji z zaznaczonym na niej punktem, gdzie znajduje się Casa Farfarello; zużyty bilet na statek komunikacji miejskiej (jeden przejazd); wykorzystany bilet do muzeum Correr; pożółkła kartka z jakiejś włoskiej książki kulinarnej, zawierająca przepis na *broeto de pesse*; zaproszenie na koncert dobroczynny utworów Giovanniego Legrenzi, który odbył się w Ca'Rezzonico jeszcze 13 lutego ubiegłego roku; reklama systemów komputerowych Macintosh; ogłoszenie gazetowe o usługach wróżki, masażystki i układaczki horoskopów; zużyta karta telefoniczna z reprodukcją *Portyków* Canaletta; wycięte z gazety zdjęcie włoskiego premiera; stronica wydarta z zeszytu szkolnego, na której namalowano serce przebite strzałą; złożona we czworo kserokopia ostatniej strony referatu na temat *Seks bez kijów, albo Czerwony Kapturek na dobrej drodze* (po ang.); ulotka tajnej organizacji maoistów, nawołująca do jednogodzinnego siedzącego strajku; instrukcja obsługi spłuczki w toalecie dworca kolejowego w Wenecji; pocztówka z widokiem na lagunę z dzwonnicy San Marco wieczorową porą, na odwrocie napis „Dear Lesja!”; bardzo pokreślony brudnopis czterech tercyn z pie-

śni XXI *Piekle* Dantego; kartka z notatnika telefonicznego z jednym zapisem „Moja gołąbeczka: 505-99-12”; rachunek za kolację z restauracji „Luna”; etykieta z butelki wina Merlot di Pramagiora; kawałek grubego papieru pakowego z tekstem podstawowej modlitwy krysznaitów, zapisanym w urdu, jak też jej transliteracja łacińska; zasuszony liść laurowy, który rozpadł się od dotyku.

e) To znalezisko, jak już podkreślałam, nie zrobiło na Respondencie dobrego wrażenia, powtarzał wciąż, że został prawie całkiem bez pieniędzy, że chciał, nie, marzył, by cały dzień wydawać je wyłącznie na mnie, że teraz on (przekreślone) Stanisław nie zdoła kupić mi nawet kieliszka dobrego białego wina, nie mówiąc już o szampanie. Uspokajałam go, że pieniądze nie są najważniejsze. Mam ich dość, byśmy mogli świętować ten dzień bez szczególnych ograniczeń i niczego sobie nie odmawiali.

f) Wówczas Respondent, pocierając czoło, powiedział, że wszystko to bez wątpienia jedna ze sztuczek, które zdarzyły się ubiegłej nocy, a czego on (Respondent) był świadkiem. Zapytałam, co mianowicie Respondent miał na myśli. W odpowiedzi usłyszałam mętną i wewnętrznie sprzeczną opowieść o latających słupach ognia, małpie, która grała na akordeonie *Małą kantatę masońską*, czarnym ośle pod kołdrą i inne głupstwa. Sądzę, że właśnie w taki dziwaczny sposób odbiła się w jego (Stanisława) umyśle nocna ceremonia transformacji Barona w substancję letalną oraz doprowadzenie przez Barona nowo objawionego Księcia do stanu mocy i potęgi, jak też ogólna naturalizacja wszystkich pozostałych respondentów, skutecznie urzeczywistniona za pomocą Księgi.

g) Udało mi się rozwiązać jakiegokolwiek wątpliwości Respondenta co do tego, że to, co zobaczył ubiegłej nocy, ma jakiegokolwiek realne podstawy. Filiżanka z kawą lekko drżała w jego (Orfeusza) ręce, więc dla rozweselenia duszy w tak szczególnym dla niej dniu zwróciłam uwagę Respondenta na zalany słońcem świat za oknem.

h) Po nocnym mistralu Wenecja rzeczywiście wyglądała na dopiero co stworzoną i była pięknym prezentem dla Respondenta. Niebo było czyste i ogromne, jasne budynki odbijały się w wodach kanału wraz z motorówkami, zgrabnymi barkami przewożącymi towary spożywcze oraz, oczywiście, pływającymi gondolami. Nocny wiatr co prawda wyrządził w mieście trochę szkód, zatopiwszy dolne piętra budynków, połamawszy gdzieś tam pale, poprzewracawszy kosze na śmiecie i potrzaskawszy latarnie. Jednakże najważniejsze, że podniósł wodę i całkowicie odświeżył, rozpędziwszy cały brud poprzedniego czasu.

i) To przede wszystkim rzucało się w oczy, gdy tylko puściliśmy się ze Stachem po śniadaniu ku brzegom San Giorgio Maggiore, choć byłam pewna, że na próżno. Kiedy wypłynęliśmy na szeroką taflę kanału San Marco, Stach objął mnie. Przytuliłam policzek do jego wielkiej dłoni. Jego włosy rozwiewały się na wietrze i dotykały mojej twarzy. Powiedział mi na ucho: „Nie mogę bez ciebie”. Musiałam milczeć ze trzy minuty, żeby jakoś wziąć się w garść i nie zdradzić się głosem.

j) Wewnątrz klasztoru oczywiście nikogo nie było i nic się nie odbywało. Przyczepiona do drzwi Cenacolo kartka powiadamiała wszystkich uczestników seminarium, że ubiegłej nocy niespodziewanie zmarł prezes Fundacji „La Morte di Venezia”, doktor baron Casallegra. W związku z nagłą śmiercią swego pomysłodawcy i ideologa (jak to się Monsiniorowi podoba?) seminarium musi zostać przerwane, ponieważ współpracownicy fundacji powinni skupić się na godnym przeprowadzeniu ceremonii pogrzebowej. Wielka prośba do uczestników i gości, by w ciągu doby opuścili miasto.

k) Pocałowawszy klasztorną klamkę (to wyrażenie „pocałować klamkę” wywarło na Stachu szczególnie mocne wrażenie), wróciliśmy do łodzi. Schody przed kościołem San Giorgio były zatopione (*acqua alta*). Stach był bardzo niezadowolony z tego, że teraz nie uda się uchwalić końcowego memorandum, do któ-

rego przygotował z dziesięć niezwykle ważnych propozycji. Wydaje mi się jednak, że jego niezadowolenie miało związek raczej z obiecany i utraconym obiadem na zakończenie. Taki już jest ten Respondent!

l) Przypomniałam mu, że to przecież lepiej, bo będziemy mieli czas dla siebie, będziemy wolni i niezależni. Pożegnać się z Wenecją i pożegnać się ze sobą. Niełatwo było mi to powiedzieć. Coś przeszkadzało w gardle, zwłaszcza kiedy Orfeusz sięgał miękkimi wargami mojej szyi gdzieś tam, w okolicach karku, pod potylicą, odgarniając szalik i sweter (Monsinior na pewno pamięta, o który sweter chodzi!), Respondent dotknął mnie z tyłu swym pocałunkiem niby złotą pieczęcią.

m) W łodzi znowu powrócił temat Doktora. Odpowiedziałam Stachowi, że Doktor interesuje mnie coraz mniej. Mam względem niego kilka podejrzeń. Po pierwsze, Doktor mógł po prostu zabłądzić gdzieś w starej Wenecji i tam wynająć sobie mieszkanie na tych parę dni, które pozostały. Po drugie, jego namiętne zainteresowanie akwariami i rybkami, do którego nigdy nie podchodziłam ze zbytnim entuzjazmem, ostatnio przerodziło się w oczywistą manię. Całkiem możliwe, że Doktor dokonuje właśnie jakiejś kolejnej akwaryjnej machinacji.

n) Po trzecie, nie odrzucam także ewentualności nowego flirtu Doktora z jakimś ładnym weneckim chłopcem. W żadnym razie nie chciałabym Monsiniorowi niczego sugerować, ale niech nas rozsądzi Monsinior. Według mnie, Doktor od początku do końca z właściwą sobie konsekwencją zawałał sprawę, w której tu przybyliśmy, faktycznie wykorzystując cały wenecki czas na załatwianie własnych spraw, podstępnie korzystając ze swego od Monsiniora oddalenia.

o) Nie uciekałabym się do takich oskarżeń i ukryłabym przed Monsiniorem niegodziwe zachowanie Doktora, gdyby nie docierały do mnie informacje, że to niewdzięczne i zdradliwe stworzenie już zdążyło nabazgrać do Monsiniora absolutnie nie

odpowiadającą prawdzie depeszę, w której podle mnie oczer-
niono i nawet proponowano rozpatrzeć moją sprawę w trzecim
specjalnym podkomitecie. Mniejsza o to.

p) Woda podniosła się na tyle, że po placu św. Marka mog-
ły zupełnie swobodnie pływać nawet gondole. Jeśli zaś cho-
dzi o pieszych, to zmuszeni byli przemieszczać się po specjalnie
postawionych pomostach albo na szrudłach. Woda zatopi-
ła nawet atrium bazyliki, gdzie bez trudu dostaliśmy się na ło-
dzi i pływaliśmy dobrą godzinę (póki woda nie opadła tak, że
nasza łódź zaczęła ocierać dnem o kamienne płyty posadzki).

q) Słońce odbijało się w wodzie pod nami i na mozaikach
w górze. Plusk fal odbijał się echem wewnątrz świątyni. Stanisław
pokazywał mi każdy kamyk tej rozsypanej po suficie Biblii — od
stworzenia świata po Exodus. Byliśmy w każdej z siedmiu ma-
łych naw, gdzie przepływały obok nas, nad nami i trochę w nas
samyh najróżniejsze cuda, na które w innych, nie tak smut-
nych okolicznościach nigdy nie zwraca się uwagi: jerozolimskie
czarno-białe kolumny z orłami i lwami, marmurowa muszla arka-
dy, piętnaście obrazów potopu, dziś nader aktualnych,

r) starzy apostołowie, św. Marek w ekstazie, reszta ewangeli-
stów, prorocy, posadzka również wyłożona była mozaikami, wid-
niejącymi spod wody, śmierć Noego unosiła się nad nimi i nad
nami, wieża Babel, wyrok Salomona, żywot Józefa poruszały się
półkolem, na zakończenie była Brama Kwiatów, a potem

s) wszystko popłynęło w odwrotnym porządku, to jest Bra-
ma Kwiatów, półkole z żywotem Józefa, wyrok Salomona, wieża
Babel, śmierć Noego unosiła się wszędzie, światło podwodnych
mozaik, prorocy, ewangeliści, ekstaza Marka, najstarsi z aposto-
łów, potop w piętnastu odsłonach, ale na odwrót — rozpoczy-
nający się od gałązki oliwnej i zakończony budową arki, arkada
marmurowej muszli, orły i lwy czarno-białych kolumn jerozolim-
skich, i jeszcze wiele innych rzeczy, których nie zdążyliśmy albo
nie zdołaliśmy zobaczyć.

t) Kiedy znów znaleźliśmy się na ładzie, Stach wziął mnie za rękę. Powiedziała mu, że to nie takie proste. Gołębie latały wokół, nie mając gdzie usiąść. Powiedziała, że możemy przynajmniej nie żałować. Stach odpowiedział, że jest w tym jakiś sens. Powiedziała, że ma rację. Stach stwierdził, że tak już musi być. Zgodziłam się, że nic się na to nie da poradzić. Puścił moją rękę.

u) Nagle on (przekreślone) mój poeta ukucnął i schował się za mnie, mówiąc, żebym się nie ruszała. Jak się okazało, zobaczył jakąś znajomą dziewczynę, z którą niegdyś umawiał się na spotkanie w Wenecji. Przyjechała tu dla niego, ale w ciągu czterech dni nie zdołała go odnaleźć. Właśnie wsiadała do *vaporetto*. Niczym nie zwracająca uwagi turystka, jakich tysiące — w czarnych okularach i swetrze do kolan. Tylko taki jołop jak Perfecki mógł coś w niej widzieć. Zdaje się, musiała już wyjeżdżać z Wenecji, biedaczka. Mój włóczęga oznajmił, że szkoda mu jej i że jest prawdziwą przyjaciółką.

v) To spóźnione współczucie donżuana dość mnie rozszerdziło, więc kiedy pobladły kusiciel przysiadł za moimi plecami, pokazywałam język w kierunku *vaporetto*, które na szczęście odpływało gdzieś daleko, na Lido, a może i na Chioggię, Pellestrinę, Sycylię, albo i do Polski.

w) Doczekawszy całkowitego zniknięcia *vaporetta* z pola widzenia, bohater-kochanek wyprostował się na całą swoją długość i natychmiast postanowił wymóc na mnie pobjażanie, liżąc moją rękę w zagłębieniu między kciukiem a palcem wskazującym. Udałam, że wcale się nie gniewam, choć w środku denerwowałam się i złościłam, nie mając do tego żadnego prawa: jego kontakty z kobietami różnych krajów — to jego problemy, jutro już nas tu nie będzie, nie jesteśmy nikim dla siebie, przygodni znajomi, którym zachciało się pobyć razem. Udałam nawet, że kaszlę, żeby sobie nic nie wyobrażał.

x) Ostatecznie udało mi się odtajać dopiero po godzinie, kiedy usiedliśmy w jakiejś ciasnej *osterii* na Campiello Corner w po-

blizu poczty. Zwróciłam uwagę na nieprzyjemnego typu, który swym wyglądem przypominał włochatego potwora, jakiegoś psiogłowca czy coś podobnego, dość niechlujnie jadł przysmażoną rybę, plując wokół siebie ośmi i nie spuszczał oczu ze Stanisława, który siedział do niego plecami, więc nie mógł go widzieć. Z tego, że rybę ten potwór popijał najtańszym czerwonym (!) winem, wywnioskowałam, że na pewno pochodzi z tego samego kraju, co Stanisław.

y) Monsinior zapewne rozumie doskonale, że jako ulubiona uczennica czegoś się jednak w szkole Monsiniora nauczyłam. Dla przykładu mogłabym uczynić tak, że obrzydliwy pożeracz ryby przypadkowo udławiłby się ością, i w ciągu kilku sekund, jak Monsinior lubi żartować, wyciągnąłby kopyta. Mam jednak zbyt miękkie serce, nawet wobec takich ludzi, którzy zdecydowanie mi się nie podobają. Dlatego jedynie unieruchomiłam paskudę i przez następne pół godziny, kiedy popijaliśmy ze Stachem kawę z likierami, psiogłowiec zastygł całkowicie, ze szklanymi oczyma, rozdziawioną gębą i podniesionym kieliszkiem. Trwało to, póki nie wyszliśmy z *osterii*.

z) Wtedy znowu naszła mnie taka rozpacz, taka ogromna niemoc ogarnęła mnie od stóp do głów, że pomyślałam sobie: no to koniec z tobą, dziewczyno. Pozostawało nam jednak jeszcze blisko szesnaście godzin. A jeśli przeliczyć to na minuty, to jeszcze więcej. Pomyślałam, że musimy, musimy przeżyć je jak najlepiej, najbliżej, dać sobie tyle ciepła, ile tylko potrafimy, a to naprawdę dużo. Przekreślałam więc raz na zawsze to słowo — Respondent (przekreślone), nie wykonałam swojej misji, umyślnie jej nie wykonałam, bo mam dość — misji, tajemnic, poświęcenia, sprawozdań, bo od jutra jest mi tym bardziej wszystko jedno, porzucam więc Piramidę i opiekę Monsiniora, a ponadto całym sercem Monsiniora się wyrzekam.

Z wyrazami szacunku,
Niecerina

Wreszcie odszedł na zawsze baron Leonardo di Casallegra, doktor tanatologii, uczony karnawalista, wieczny Wenecjanin, niestrudzony poszukiwacz prawdy i cnoty. Stało się to w nocy z 9 na 10 marca, kiedy nad miastem szalały żywioły, a niewidzialne skrzydła potężnych demonów niepogody trzepotały za oknami naszych domów. Śmierć przyszła nagle i nieubłagane — właśnie tak, jak przychodzi do największych spośród wielkich.

Doprawdy, aż się wierzyć nie chce. Wierzyć się nie chce, że nie ma już wśród nas Leonarda di Casallegrę. Trudno wyobrazić sobie to miasto bez niego. Wydawało się, że mieszkał w nim zawsze. Wydawało się, że jest jego panem, fantomem i mężem zarazem. Był to niewątpliwie jeden z najwierniejszych związków, jaki kiedykolwiek i gdziekolwiek istniał — jego małżeństwo z Wenecją.

Znamienne i wielce symboliczne, że Leonardo di Casallegra odszedł w trakcie seminarium poświęconego naszemu miastu, które sam zorganizował i zainaugurował. Wcieliwszy w życie jeden ze swych najznakomitszych pomysłów, niewątpliwie był najzupełniej szczęśliwy i z lekką duszą wstąpił w strumienie całkowicie odmiennej muzyki, jak to czynią ludzie do końca wypełniający swoje ziemskie przeznaczenie.

Ostatnią wolą uczonego było, by nie chować go w ziemi.

Dla kogoś takiego jak on — płynnego, zmiennego i różnego — głęboko obca była idea tak przeciętnego, czy wręcz trywialnego, spoczywania w ziemi. Dziś spełniamy to, czego sobie życzyłeś; jego prochy zostaną rozsypane z samolotu nad laguną.

Niech pamięć o wiecznym Wenecjaninie na wieki wśród nas pozostanie.

Fundacja „La Morte di Venezia”

KARNAWAŁ MUSI TRWAĆ,
W PRZECIWNYM RAZIE NASTĄPI JEGO KONIEC!
Memorandum podsumowujące
pierwsze weneckie seminarium
Postkarnawałowy bezsens świata: co na horyzoncie?

Uchwalone 10 marca 1993 r.
na pokładzie samolotu „Bucintoro”,
z którego rozwiano prochy doktora Leonarda di Casallegrzy

Od 6 do 10 marca 1993 r. w Wenecji odbywało się międzynarodowe seminarium *Postkarnawałowy bezsens świata: co na horyzoncie?* Wzięło w nim udział blisko 330 uczestników, pośród których znajdowało się 7 głównych prelegentów z ponad 8 krajów świata.

Uczestnicy i goście seminarium zgromadzili się w stolicy karnawału w pierwszych dniach Wielkiego Postu w jednym wspólnym celu: po raz ostatni przedstawić swe przypuszczenia co do dalszych szans ludzkości na pozostanie, bycie i stanie się sobą. Wszelkie możliwe rozważania na ten temat wydają się nam wyjątkowo aktualne właśnie dziś, gdy zbliża się pewna chronologiczna cezura, za którą się czai złowieszcza niewiadoma.

W trakcie seminarium:

- wysłuchano 7 głównych referatów, których łączny czas trwania przekroczył szesnaście i pół godziny, albo i więcej;
- naliczono 1213 wystąpień oraz głosów w dyskusji — zarówno bezpośrednio związanych z tematem seminarium, jak i dalekich od niego, a nawet bez najmniejszego związku;
- wypróbowano ok. 14 537 hermetycznych metafor, figur retorycznych, ostrych paradoksów, czytelnych aluzji, ukrytych cytatów oraz innych środków czerpiących z czarnego humoru oraz dań kuchni narodowej;
- puszczono w obieg kultury ponad 817 oryginalnych idei;
- wypito imponującą ilość białych i kolorowych płynów, wytworzonych głównie z winogron, zboża oraz krwi.

Najważniejsze wnioski, do jakich wspólnymi siłami doszli uczestnicy i goście seminarium:

- I. Miasto Wenecja (wraz z przedmieściami Mestre i Marghera) liczy w dniu dzisiejszym ok. 370 tys. mieszkańców.
- II. Na progu nowego tysiąclecia szanse ludzkości na przetrwanie i pozostanie sobą nie są zbyt wielkie, ale jednak są.
- III. Z powodu nie do końca wyjaśnionego związku marcepanów i chrystepanów z niedawną (czytaj „przyszłą”) próbą ponownego stworzenia świata syndrom wiosenno-jesiennego polowania na czarownice powinien zostać uznany za skandaliczny i niezwłocznie usunięty z wszelkich układów okresowych.
- IV. Karnawał musi trwać, w przeciwnym razie nastąpi jego koniec!

Nasze memorandum zostało uchwalone na niebie Wenecji podczas ceremonii rozwiewania nieśmiertelnych prochów naszego Przyjaciela i Nauczyciela, profesora Leonarda

di Casallegrzy. Z lotu ptaka Wenecja ma kształt ryby przeciętej literą S w lustrzanym odbiciu (Canal Grande).

Wzywamy wszystkich, którym nasze dążenia nie są obojętne. Ludzie, bądźcie czujni!

Dr Leonardo di Casallegra baron; Amerigo Dappertutto, sekretarz wykonawczy; dr Gaston Déjàvu, Francja; Pseudo-Al-Boraq Dżabraili, szejk; Guru John Paul Oshchyrko, dada; Lisa Sheila Shalizer (Lilit Zuckerkandel), pisarka; Cucu Mauropule (BHF), książę ognia, połykacz; Stanisław Prefekcki (WNP), autor; łącznie 329 podpisów.

[kaseto wideo, streszczenie]

UWAGI WSTĘPNE. Akcja toczy się w jednej z weneckich restauracji, która o tej wieczorowej porze jest prawie pełna. Jest to jednak tylko ogólne wrażenie (szum), bo w kadrze nie tak znów wiele widać. Lewa część kadru obejmuje fragment lustra, w którym odbija się przeciwległa strona pomieszczenia z barem i starymi egzotycznymi butelkami — pękatymi, podłużnymi, płaskimi i kulistymi, często w słomianej plecionce. Niekiedy w zwierciadle pojawiają się i znikają przechodzący ludzie. W prawej części kadru widać brzeg jakiegoś stołu, nie wiadomo jednak, kto przy nim siedzi, ale to chyba nieistotne. Pośrodku kadru, w pobliżu lustra — stół, za którym siedzi para; Stacha Perfeckiego poznajemy od razu, obok niego młoda kobieta w ciemnowiśniowym żakiecie, to, jak się domyślamy, Ada Cytryna. Między nimi stoi zapalona świeczka. Zdaje się, że właśnie przed chwilą skończyli kolację. Perfecki od czasu do czasu sięga po wąską menzurkę, z której pociąga coś piekącego. Przed jego towarzyszką stoi kieliszek z odrobiną czerwonego wina. Co jeszcze? Popielniczka z górą petów świadczy o nie najwyższym poziomie restauracji. Rozmowę słyhać niezbyt wyraźnie, ale po trzecim, czwartym przesłuchaniu udaje się ją niemal w pełni odtworzyć. Nieznana kamera, najwyraźniej ukryta, pracuje nieruchomo, żadnej zmiany położenia w ciągu całego materiału. Stały widok na plan ogólny.

- STACH PERFECKI (*Po raz kolejny pociągając z menzurki*). Piecze. Super. Dlaczego tak długo ukrywałaś to przede mną?
- ADA CYTRYNA Nie wszystko możesz wiedzieć, braciszku. I nie wszystko ja mogę wiedzieć...
- s.p. Mam na myśli to świństwo. (*Ruchem głowy wskazuje na płyn w menzurce*).
- A.C. Aa, to! Jeśli ci nie smakuje...
- s.p. Smakuje. Rozwiązuje język i znów go płacze. Ciepło się razem robi. Rozum wprawia w wewnętrzny rezonans. Zrazem wyostrza rezon.
- A.C. A kora mózgowa?
- s.p. Czuję, jak obumiera. Zaczynając od podkorza. Wkrótce nie będzie jej zupełnie. Wyobrażasz sobie, jak dobrze jest bez podkorza? Zupełnie jak bez...
- A.C. To pewnie tragedia dla poety?
- s.p. Niekoniecznie. Może choć przekłete sny przestaną się śnić. Nie odpowiedziałas na moje pytanie.
- A.C. A to dla ciebie ważne?
- s.p. Bardzo ważne. I dla mnie, i dla ciebie.
- A.C. Nie wiem, co mam odpowiedzieć, Stanisławie. Bałam się naszych kontaktów, tego zbliżenia. Że to wszystko za daleko nas zaprowadzi. Pamiętasz dzień, w którym nie przyszłam? (*Stach kiwa głową*). Musiałam pobyć sama. Miałam nadzieję, że mi to pomoże. Ale pod wieczór aż mnie roznosiło. Waliłam pięściami w ścianę. W poduszkę. I zwijałam się na łóżku, jak... Zresztą, nie musisz znać tych szczegółów...
- s.p. Mów, mów. To bardzo przyjemne. (*Bierze ją za rękę*). Trochę już mam w czubie, ale dziś mi wolno, prawda?
- A.C. Boję się chwili rozstania...
- s.p. (*Patrzy na zegarek*). Jest dziesiąta. Jeszcze jakieś dziewięć godzin. Co najmniej. Jeśli nie więcej. Wszystko zależy tylko od ciebie.

A.C. Ode mnie? Powiedziałeś to zbyt niespodziewanie. Nie jestem gotowa, by odpowiedzieć.

S.P. A za dziewięć godzin?

A.C. Musisz mnie zrozumieć. Proponujesz mi coś, od czego dostaję zawrotu głowy. Może to tylko wino? Pomyśl — jak mogę powiedzieć „tak”, skoro prawie cię nie znam? Pamiętasz, wtedy, w Bazylice św. Marka, opowiadałam ci o sobie. O wszystkim, co chciałeś wiedzieć. Nawet intymne szczegóły. A twoje życie? Nic o tobie nie wiem. Oprócz tego, że mi wlałeś do środka, że tam siedzisz i nie dajesz spokoju. Kim jesteś, Stanisławie? Nic nie wiem o twoim życiu osobistym. O twoich żonach, kochankach. Nie, nie tak, przepraszam. Nie powinny mnie obchodzić twoje kochanki. Ale jak mogę ci odpowiedzieć „tak”, skoro w domu na pewno ktoś na ciebie czeka? Powiedz prawdę, czeka?...

S.P. Już od siedmiu lat nikt nie czeka.

A.C. Rozwiedliście się?

S.P. Umarła.

A d a p i j e w i n o . S t a n i s ł a w p o c h w y c i ł w l u s t r z e
odbicie kelnera, woła go na migi.

S.P. (*Dopiwszy z menzurki*). Byliśmy razem niecałe pięć lat. Wyrwałem ją z domu rodzinnego. Wziąłem za rękę i wyprowadziłem, choć nie miałem dokąd. Nienawidzili mnie za to i mieli mnie za czortopolskie nasienie.

A.C. Za co?

S.P. No, nie za kogoś, kogo chcieliby za zięcia. Pochodzili z bardzo starych szlacheckich rodów. Mieszkali w domu na zboczu Wysokiego Zamku. W gąszczu dzikiego wina i wśród zniszczonych ptasich gniazd. W nocy, kiedy odprowadzałem ją do domu, nagle zza ogrodzenia wyskakiwali ich słudzy i okładali mnie pałami. Zakradałem się do jej sypialni przez komin, niekiedy przez okno, po związa-

nych prześcieradłach. Jej młodsza siostra nas podglądała, ale nie powiedziała ani słowa rodzicom, inaczej stary zastrzeliby mnie na miejscu, jak jakiegoś złodzieja...

Pojawia się młody fircykowaty kelner. Oczami szuka spojrzenia A d y. Ta jednak nie zwraca na niego uwagi.

KELNER *Qualcos'altro*¹?

s.p. Zamów mi to samo. (*Pokazuje na menzurkę*).

A d a zamawia i kelner odchodzi, ponownie ob-
rzucając ją spojrzeniem.

A.C. Co było dalej?

s.p. (*Zapala*). Pobraliśmy się w kościele św. Piotra i Pawła.

Rodzice oczywiście wypędzili ją z domu. Byliśmy studentami i nie mieliśmy gdzie mieszkać. Nocowaliśmy gdzie popadło. Niekiedy całymi miesiącami mieszkaliśmy w jakichś daczach za miastem, albo w starych ruderach do rozbiórki. Takie psie życie: wieczne śmietniki, piwnice, jakieś podejrzane miejsca, gdzie za trzy ruble mogliśmy uprawiać miłość...

A.C. Miłość? Kochałeś ją?

s.p. Z każdą chwilą coraz bardziej i bardziej. Drżałem, gdy podchodziłem zbyt blisko niej. Nieczęsto mieliśmy okazję być tylko we dwoje. Niekiedy prowadziłem ją do lasu, albo nocą do parku. Najgorzej było w zimie, jak się domyślasz. Mieliśmy kilku przyjaciół, którzy wyszukiwali dla nas coraz to nowe tymczasowe lokum — na strychach, w pracowniach malarskich, w piwnicach. Po roku takiego życia zaczęła chorować: przeziębienia, gorączki, niedożywienie, nerwy, różne kobiece problemy. Poszedłem do jej rodzi-

1 Podać coś jeszcze?

ców, ale stary nawet słyszeć nie chciał o pogodzeniu się, w rozmowie wyzywał ją od suk i kurew. Kiedy wychodziłem z ganku na podwórze, poszczuli na mnie dwa wielkie dogi, kilka tygodni przeleżałem w szpitalu...

Podchodzi kelner z małą tacą, na której stoi tylko zielonkawa menzurka.

KELNER *Per Lei, signore.*

A.C. *Per favor, ancora del vino. Grazie².*

Kelner, napotkawszy wreszcie jej spojrzenie, odchodzi zadowolony.

s.p. (*Wychyla z menzurki*). Nieźle. Dzięki niemu przechodzę w stan płynny. Odpływam. Widzisz tę bliznę? (*Podciąga koszulę nad nadgarstkiem prawej ręki*). To zęby jednego z tych potworów.

A.C. I co było potem?

s.p. Potem skończyliśmy uniwersytet, i zaproponowałem jej, żebyśmy się przenieśli do mnie, do Czortopola. Możesz nie znać. To takie miasteczko w górach, niedaleko Rumunii, prawie w środku Europy. Stamtąd pochodzę. Mieszka tam wielu pijaków i wszelkiej maści nieudaczników, którzy przegrali życie i siedzą po uszy w gównie. Wiedziałem, że powrót to przyznanie się, że jestem taki sam. Ale tam mimo wszystko był dach nad głową. Dom moich rodziców, sad ze starymi jabłoniąmi. Czereśnie. Zbierałaś kiedyś czereśnie? (*Ada pije wino*). I lipa, lipa, lipa. W lipcu to było prawdziwe królestwo. Łaziłem po jej gałęziach, kręciło się w głowie, to był słodki pachnący labirynt. Stara jak świat lipa. (*Ada pije wino*). Jesteś dziś jakaś... inna niż zwykle.

² To dla pana. / Proszę jeszcze trochę wina. Dziękuję.

- A.C. Chcę, żebyś mnie zapamiętał. Taką. Ale i tobie, braciszku, nic nie brakuje!... (*Dotyka ręką Stachowej twarzy*). Co było dalej?
- S.P. Przyjechaliśmy tam latem, łało codziennie. Nawet gór nie było widać. Po dwu tygodniach nie wytrzymała. Zaczęła błagać, byśmy wrócili. Nie mogła wytrzymać bez Lwowa. Raz w tygodniu do Czortopola przywozili nowy film. Z samego rana kupowałem bilety na ostatni seans. To była jedyna rozrywka. Oprócz spacerów po deszczowym lesie, oczywiście. Podczas filmu miejscowi chłopcy gwizдали z tylnych rzędów i turlali po podłodze butelki po jabolu.
- A.C. Po czym?
- S.P. No, to takie wino. Jak się je pije prosto z gwinta, to przez następne czterdzieści pięć minut życie wydaje się fantastycznie piękne.
- A.C. A potem?
- S.P. A potem na ogół haftujesz.
- A.C. To wiem. Pytam, co było potem z wami?
- S.P. A potem, rzecz jasna, wróciliśmy do Lwowa. Była w stu procentach światową damą. Nie mogła żyć bez wizyt. Bez teatru, bez nowych ubrań, delikatnej bielizny, bez porannego kakao, wieczorów poetyckich i nocy spędzanych wśród bohemy... Szlachcianka, co zrobisz?... Barbara Langysz!...
- A.C. Byłeś w stanie jej to wszystko zapewnić?
- S.P. Czasem mi się udawało. Niekiedy cały tydzień nocami wyładowywałem wagony, żeby kupić jej coś u handlarzy — majtki, które się jej podobały, na przykład...
- A.C. (*Półironicznie*). To byłeś rzadkim okazem męża!...
- S.P. (*Nie zauważając ironii*). Coś ty. Bardzo zawiniłem względem niej. Byłem zbyt przejęty samym sobą. Wierzę, pijaństwa. Niekiedy przepadałem na długie tygodnie. Potem ona nie wierzyła. Była pewna, że spędzam

czas z jakimiś laskami, że z nimi sypiam. Czasem nawet krzyczałem na nią, że to nie tak. Ale ona i tak nie wierzyła.

Pojawia się kelner z niedużym dzbankiem na tacy. Nalewa wina do kieliszka Ady, nie odrywając przy tym wzroku od jej oczu. Napelniwszy kieliszek, mówi:

— *Prego, signora.*

A.C. *Grazie, lei e molto gentile.*³ (*Również patrzy mu prosto w oczy*).

Trwa to jakąś chwilę, tymczasem Perfekci, zanurzony we własnych myślach, ciągnie:

s.P. Często zatrzymywała nas milicja. Albo straż. Nie podobało im się, że całujemy się w parku. Albo że leżymy obok siebie na trawie, tylko leżymy. Dlatego zawsze nosiliśmy ze sobą dokumenty i akt ślubu. Że jesteśmy mężem i żoną. Bo kościelnemu świadectwu nie wierzyli.

Kelner odchodzi w końcu, rzucając szybkie spojrzenie na Stacha.

A.C. Mieliście dzieci?

s.P. Mieliśmy mieć. Chyba sześcioro. Wymyślaliśmy dla nich różne niezwykle imiona. Najstarszy miał mieć na imię Avallon. Potem miała być dziewczynka, o imieniu Marmolanda. Potem znowu chłopczyk — z takim długim imieniem Życie-W-Pokoju-I-Dostatku. Później znowu dziewczynka, Marijka. No i tak dalej.

A.C. Nie urodziły się?

s.P. Nie mogły.

A.C. Rozumiem. Przepraszam.

3 Proszę, to dla pani. / Dziękuję, jest pan bardzo miły.

- s.p. Nie rozumiesz. (*Pije z menzurki, krzywi się, zapala papierosa*). Nie rozumiesz, Ado. One nie mogły być nawet poczęte. Jej choroba.
- A.C. Co to było?
- s.p. Jedna z tych nieuleczalnych. Zgasła w ciągu roku. Najpierw podtrzymywałem ją prochami...
- A.C. Czym?
- s.p. Lekami. Potem już trzeba było kłuć. Strzykawek jak zwykle nie było. Wierzyła, że ją uratuję. Śniła sny, w których ją ratowałem. Ale tak naprawdę — przyniosłem jej zgubę. To przeze mnie wszystko się stało.
- A.C. Dlaczego tak mówisz?
- s.p. Bo zabrałem ją z domu. Gdyby została w rodzinnym gnieździe, wszystko byłoby inaczej. Nie miałem prawa ciągać jej po swoich strychach, zmarniała w piwnicach. Underground nie jest dla każdego. Są ludzie, którzy przypłacają to życiem.
- A.C. Chodziliście do lekarzy?
- s.p. Nic innego nie robiliśmy. Wiesz, wtedy już byłem trochę znany. Dwukrotnie pokazywali mnie w telewizji. Wiesz, tacy wpływowi sympatycy, którzy załatwiali nam konsultacje u najlepszych lekarzy. Ale diagnozy były jednakowe: to koniec. Choć myślę, że tu nie obyło się bez węża...
- A.C. Bez węża?
- s.p. (*Macha ręką*). Nie zwracaj uwagi. To moje przywidzenia.
- A.C. Nie poznajesz po plecach tego typu tam, przy barze? (*Pokazuje na odbicie w lustrze*).
- s.p. Pierwszy raz widzę. A co?
- A.C. A nic. Pomyślałam, że możesz go znać.
- s.p. Nie, nie znam. Ostatnie pół roku przeżyliśmy trochę inaczej. Moi dobroczyńcy zdobyli dla nas mieszkanie na Sychowie. To taka strasznie paskudna część miasta, daleko od centrum, zupełnie sowiecka, zabudowana ohyd-

ną wielką płytą. Do jednego z takich mieszkań dostałem klucze. W środku było zupełnie pusto. Nawet kranów nie było, tylko ściany, podłoga i sufit. Spaliśmy w śpiworach, jak jacyś wędrowcy górscy. Zapraszaliśmy całe zastępy naszych przyjaciół, piliśmy, siedząc na podłodze, potem tańczyliśmy przy harmonijce i drumli. Ona szalenie lubiła tańczyć, do ostatniej chwili. Kiedy już nogi odmawiały posłuszeństwa, brałem ją na ręce — stawała się coraz lżejsza — i odnosiłem do kuchni, gdzie układałem ją do snu. Później nie mogła nawet chodzić, a ja ciągle szukałem jej czegoś do picia, bo męczyło ją straszne pragnienie, lato paliło jak ogień, a w mieszkaniu nigdy nie było wody...

A.C. (*Patrzy na świeczkę*). Prawie zgasła.

S.P. Dwa miesiące przed jej śmiercią ostatni raz poszedłem do jej rodziców. Nawet za próg mnie nie wpuścili. Stary rozmawiał ze mną przez drzwi. Powiedział, żebym się zabierał, bo zaraz wezwie milicję, i wlepią mi od pięciu do ośmiu za próbę rozboju. Nie miałem siły go przekonywać. Na swój sposób bardzo kochał córkę. I dlatego tak mnie nienawidził. Boże, jak szumi w głowie od tej pięknej zarazy!...

Podchodzi kelner i wlepia spojrzenie w Adę.

KELNER *Desidera qualcosa, signora?*

A.C. (*Zdziwiona, śmieje się*). *Come ha fatto a indovinare? Vorrei un'altra candela.*

KELNER *Candela? (Uśmiecha się). Questa non va piu bene? (Zerka trochę w stronę ogarka, trochę w stronę Stacha). Un attimo, signora⁴.*

Ada śmieje się z jego żartu, kelner odchodzi.

⁴ Pani mnie wzywała? / Skąd pan wiedział? Proszę zmienić świeczkę. / Świeczkę? Ta pani nie odpowiada? Już się robi.

s.p. Zabrali ją, jak tylko umarła...

A.C. Kto?

s.p. No, jej rodzice, oczywiście. Przyjechali czarnym karawanem i odebrali mi jej ciało. Było tam chyba z sześciu osiłków ze służby z kastetami i nahajkami w rękach. Rzuciłem się, żeby jej bronić. Wydawało mi się, że oddycha, choć minęły już ze dwie godziny, od kiedy puls ustał. Powalili mnie na podłogę, dwóch mnie kopało, reszta wynosiła ciało...

A.C. Ale jak to przeżyłeś? Jak nie umarłeś wtedy? Jak odważyłeś się pozostać i żyć?

s.p. A przeżyłem? Dwa dni później był pogrzeb...

Pojawia się kelner, zabiera ze stołu ogarek (nie-
mal nie spuszczać z Ady lekko wilgotnych oczu)
i stawia nową zapaloną świeczkę.

KELNER *Questa e veramente speciale, signora.*

A.C. *Grazie. Non sembra male*⁵.

Oboje śmieją się i kelner odchodzi.

s.p. (*Pociągając z kieliszka*). O czym tak cały czas ze sobą gadacie?

A.C. Nie znasz Włochów?... Pstro w głowie!

Bierze go za rękę. Sta ch patrzy dość ponuro. Na nią.

s.p. Pochowali ją na Łyczakowie, w rodzinnym grobowcu, pod czarną madonną. Leżały tam wszystkie jej praprababki. Mnie do niej nie dopuścili. Za każdym razem jak spod ziemi wyrastał jakiś fagas...

⁵ Proszę, ta jest specjalnie ode mnie, pani. / Dziękuję, wygląda całkiem nieźle.

A.C. Kto?

s.P. Jakiś debil. I zastępował mi drogę. Miałem podbite oczy i opuchnięty nos. Nieutulony w żalu wdowiec. To jeszcze po tym, kiedy ją zabierali. Tylko z daleka widziałem, jak wnoszą trumnę do grobowca. Pachniało starym kamieniem i mchem. I cmentarnymi wyziewami. Z bardzo daleka...

A.C. Nie mogłeś nawet do niej podejść?

s.P. Dobrze mnie pilnowali. Jej matka dostała ataku, była w szerokim czarnym kapeluszu z czarnym piórem i woalką. Wezwali do niej karetkę prosto na cmentarz. Stary z trudem się poruszał. Widziałem to wszystko, schowany za aniołem. Potem leżałem na gołej ziemi, na wznak, i nawet oddychać nie mogłem...

A.C. Wiem, to tak bywa.

s.P. Przez resztę września codziennie przychodziłem do niej. Przebrany za grabarza. Wiesz, jak się otwiera stare grobowce? Nauczyłem się tego. Rozbiłem wieko jej trumny. Całowałem ją i mówiłem do niej. Potem przynosiłem obój; z jakiegoś powodu lubiła go najbardziej. To po tym wypadku w muzeum... wydawało mi się, że zaczyna ruszać głową. Chyba zacząłem wariować, ale to dawało mi wiarę. Potem jakiś podlec doniósł na mnie — widocznie usłyszał dźwięk oboju z grobowca, postanowił o wszystkim powiedzieć staremu... Ten po kilku dniach wystawił wartę, a potem замуrował grobowiec na zawsze. To wszystko.

A.C. Ciągłe ją kochasz?

s.P. Nie wiem. Myślałem, że tak. Dopóki... No, wiesz. Dopóki nie spotkałem...

A.C. (*Patrzy mu w oczy*). Uważaj, mogę ci uwierzyć.

s.P. To uwierz.

A.C. I czekasz na moją odpowiedź?

s.p. Musimy zniknąć. Polują na mnie. Nie powinienem ci tego mówić. Jestem już wstawiony. Wybacz. Ale dziś mi wolno, prawda?

A.C. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. (*Podnosi kieliszek*).

s.p. Starczy ci na dwa bilety do Rzymu? Albo do Florencji? A może choć do Rawenny?...

A.C. I co dalej?

s.p. Znikniemy. A dalej — tak jak już mówiłem...

A.C. Och, Orfeuszu, Orfeuszu!... (*Wsuwa rękę w jego włosy i tarmosi je*). Kim jest ten typ, co ci się przygląda?

s.p. Wiesz, na mnie naprawdę nikt nie czeka. Mam pełne prawo do tego, by zniknąć.

A.C. A twoi rodzice?

s.p. Moi rodzice? Oni są pewni, że któregoś dnia ruszyłem w świat z wędrownym cyrkiem...

A d a wzdyga się.

A.C. Co to za typek tak ci się przygląda?

Perfecki w końcu spogląda w lustro. Widzi w nim skierowane na siebie spojrzenie z bufetu. A d a zabiera rękę. Perfecki podnosi swoją menzurkę i pije do odbitej w lustrze twarzy. Ta się uśmiecha. Perfecki też.

s.p. Może wie, że mam dziś urodziny. Chodźmy stąd.

Znowu zapala papierosa.

A.C. Dam ci odpowiedź. Rano. Będziemy razem do rana...

s.p. Do rana coraz mniej czasu.

A.C. Ale ciągle wystarczająco dużo, żebyś usłyszał odpowiedź. Żebyś...

Podchodzi kelner:

— *Eccomi, signora. Qualcos'altro?*

A.C. *Grazie, il conto*⁶.

Kelner kiwa głową i odchodzi.

A.C. ...żebyś zrozumiał, w jak straszną aferę się pakujesz.

Stach nachyla się w jej stronę i całuje ją. W tym samym momencie coś świsnęło koło jego ucha. Lustro pękło. Na całej powierzchni rozbiegły się drobne pęknięcia. A da i Stach (nie od razu) patrzą w lustro, jednak przy barze już nikogo nie ma.

A.C. Co to było?

S.P. Nie zwracaj uwagi. Musimy stąd iść.

Znowu kelner. Podaje rachunek i mruga do swojego zniekształconego odbicia. A da odlicza pieniądze.

A.C. *Tenga pure il resto. Che costa e successo allo specchio?*

KELNER *Grazie, signora. Succede che anche gli specchi non resistono (Oboje się śmieją). Il suo amico non capisce l'italiano?*

A.C. *No, come ha visto. Perche me lo chiede?*

KELNER *Perche vorrei rivederla. Ho una candela ancora piu bella?! (Kiwa głową albo w stronę Stacha, albo świeczki. Śmieją się oboje).*

S.P. No dobra, bratku, spadaj stąd, pókiś nie oberwał po tej swojej maszynie do makaronów...

KELNER *(do Ady) Scusi? Cosa sta dicendo il suo amico?*

A.C. *Ho trovato il servizio eccezionale.*

6 Słucham panią. Podać coś jeszcze? / Dziękuję, proszę rachunek.

7 Proszę zatrzymać resztę. Co się stało z lustrem? / Dziękuję. Zdarza się, że lustra nie wytrzymują. Pani przyjaciel nie rozumie po włosku? / Jak pan widzi. A co? / Chciałem powiedzieć, żeby pani tu jeszcze przyszła. Mam o wiele lepszą świeczkę niż ta!

KELNER *Si sazebbe trovata ancora meglio se fosse venuta da sola, signora! Buona sera*⁸!

Kelner odchodzi, Ada, wciąż jeszcze uśmiechając się, patrzy w ślad za nim i mówi:

— Natręt!

s.p. Wycisnąć z niego keczup?

Wstają zza stołu, widać, jak Perfekim zarzuciło gdzieś w bok, poza kadr. Zdążył jednak zdmuchnąć świeczkę. Potem oboje znikają z pola widzenia, ale udaje się jeszcze usłyszeć odpowiedź Ady:

— No co ty, Orfeuszu... Wszystko w porządku, chodźmy...

Być może wzięła go pod rękę i wyprowadziła z knajpy na zewnątrz. Najpewniej tak właśnie było.

Jeszcze przez jakiś czas w kadrze widać pusty stół, kieliszek, popielniczkę, dzbanek na wino, menzurkę, pęknięte lustro, zgaszoną świeczkę. Potem obraz znika.

8 Słucham? Co mówi pani przyjaciel? / Że jest bardzo zadowolony z obsługi. / O, spodobałoby się pani o wiele bardziej, gdyby była pani bez niego! Dobrej nocy!

TESTAMENT

Stanisława Perfeckiego

spisany 10 marca 1993 r. w mieście Wenecja

Ja, Stanisław Perfecki, właściciel czterdziestu imion i kilku innych wątpliwych wartości, zarówno duchowych, jak i materialnych, w obliczu zbliżającej się śmierci, będąc w pełni sił i władz umysłowych, a także znajdując się w stanie zasadniczo trzeźwym, tym Testamentem przekazuję należące do mnie przedmioty na rzecz niżej wymienionych osób i instytucji. Osobę urzędową, której dane będzie mój Testament odnaleźć oraz zbadać, proszę o łaskawe jego wypełnienie — w miarę możliwości — i rozporządzenie zgodnie z moją ostatnią wolą całym bez wyjątku, opisanym poniżej majątkiem.

Tak więc, z przynależnych mi dziś dóbr oddaję, co następuje:

I. UBRANIA I IN.

· jedwabne koszule Angelo Ligrico, sztuk 5 — wszystkie bez wyjątku rozdać moim przyjaciołom we Lwowie i okolicach: błękitną, granatową i jasnofioletową — Jarostawowi D.-D. (Sławciowi) i obu jego braciom, starszemu i młodszemu; drugą jasnofioletową i żółtozieloną — Antonowi Sułykowskiemu (Cujkowskiemu, Ciuńkowskiemu), jako drobną rekompensatę za nie spłacony dług; czarną zostawiam na sobie;

- koszulę białą w czarne paski Emilio Perucci z muszką — Sulejmanowi Dawidowiczowi Pysznerowi, prezesowi banku Finanse i Dobrobyt;
 - garnitur od Giorgio Armaniego, z wyjątkiem spodni — Stowarzyszeniu Twórczemu Hop-stop-shop, Lwów — Żółkiew;
 - dżinsowe koszule, kurtki, kombinezony, chusteczki i spodnie Bonanza — kapelom rockowym Doktor Tahabat, Stacja Psychów i Srał pies;
 - płaszcz zimowo-wiosenny Luigi Lazzari — Maksymilianowi Pohulajskiemu (Maksowi), malarzowi;
 - różnokolorowe krawaty Mauricio Lupo, 4–7 szt.: młodym oraz najmłodszym poetom, artystom i aktorom, spotykającym się „Pod żabą”, z wyjątkiem jednego, który proszę przekazać do Muzeum Sowieckiego Undergroundu, jeśli takie muzeum zostanie założone;
 - półbutów, mokasynów ani skarpetek nie zapisuję nikomu, ponieważ są zbyt znoszone;
 - zapalniczkę, popielniczkę, wykałaczkę, zatyczkę, kantyczkę i inne drobiazgi — Jerry’emu F. Janeckowi (USA), filologowi z wielkiej litery, czyli Filologowi;
 - walizę z imitacji skóry krokodyla, którą otrzymałem w Pradze chyba od prezydenta Republiki Czeskiej — mojemu druhowi Józefowi Francowatemu (Franciszкови Józefowi), dyrygentowi chóru kościelnego, baletmistrzowi rewii „Czarna kotka”;
 - dyktafon Nitech wraz ze słuchawkami i akumulatorkami Philips — Służbie Bezpieczeństwa Ukrainy;
 - gaz łzawiący SG gas z nie zużytym wkładem — barmanowi Zenkowi (Ostapowi), kawiarnia „Pod muchą”.
- Co do karabinu snajperskiego „Śmierć w Wenecji” — nie jest on moją własnością, więc nim nie rozporządzam.

II. KSIĄŻKI I IN.:

- *Leksykon wybitnych upiórów, stworzy i zduszków oraz wszelkiego rodzaju umarłaków i umrzyków wraz z nieboszczykami* (1992, reprint napisanego w 1332 r. w Marburgu podręcznika, w języku dolnoniemieckim, z ilustracjami i fotografiami) — o. Remigiuszowi M., egzorcyście;
- *Książkę kucharską anarchisty* (1990, podziemne wydanie po amerykańsku — przepisy na przygotowanie substancji wybuchowych, narkotyków, trucizn itd. — Lubkowi Kak-czy, dyrektorowi spółki *joint-venture* „Bleff”;
- utwory zebrane R. M. Rilkego w 6 tomach, wydanie bibliofilskie (z przedmową Bedy Allemanna w jęz. niemieckim) — Jurijowi Andruchowyczowi, Iwano-Frankiowski;
- *Porno-Biblię* (1992, ilustrowana, z aneksem w formie kolorowych posterów) — dr. Kosti Pieczarce (Champignonowi), egzegecie;
- *Sztukę rzucania się z okna* (najnowszy bestseller nieznanego autora, nowy rodzaj powieści *nonsens action* i *fantasy fiction*, w jęz. retoromańskim) — bibliotece Lewiatan-fanklub, Lwów;
- mapę Wenecji (xv w., drukarz Jacopo de Barbari, z zaznaczonymi miejscami, gdzie mogliśmy się spotkać) — Ewie, studentce astrofizyki, Warszawa;
- plan komunikacji miejskiej w Monachium (*S-Bahn*, *U-Bahn*, autobusy, tramwaje, taxi) — Zarządowi Miasta Monachium z własnoręczną dedykacją;
- plan położenia burdeli, barów ze striptizem i kasyn w okolicach Charlottenburga, Berlin Zachodni (ksero) — firmie turystycznej Poznajmy Europę, Czortopole;
- kolekcję kartek pocztowych z widokami Pragi — Marcie i Romanowi Ch-skim, małżeństwu, pracownikom muzeum;
- kolekcję pocztówek z widokami z Bratysławy na Wiedeń — małżeństwu Annie i Łesi B-skim, bestiom;

- czarną kartkę pocztową z napisem „*Berlin by night*” — wspomnianemu już Maksymilianowi Pohulajskiemu, malarzowi;
- pocztówkę z wielbłądem na tle piramidy i napisem „Pozdrowienia z Monachium” — jeszcze nie wymienionej Olenie Pczyłce, artystce-modelce;
- notatnik ze złotym tłoczeniem „Diary” na oprawie i z niektórymi moimi najnowszymi tekstami, szkicami, przekładami itd. w środku — przyszłemu redaktorowi moich utworów zebranych.

III. KASETY (AUDIO I IN.):

- Toma Waitsa *The Black Rider* (1993, Island Records Inc.) — Iwanowi „Johnowi” Bombasowi, gitara, wokale;
- nielegalne nagranie Jima Morrisona z duetem Baccara (wersja mieszkaniowa) — Aleksowi „Ołeksie”, rap&blues;
- pełne wydanie Jimiego Hendrixa i B. B. Kinga (ale bez Lou Reeda) — Ronowi „Czajce” Seagullowi;
- musical poetycki *Chrysler Imperial* (redakcja trzecia), autentyczne nagranie cyfrowe, Opera Wiedeńska, 1993, z Montserrat Caballé w roli Melisandy Harazdeckiej — Pawłowi Macapurze, Kijów;
- *El condor pasa*, muzykę peruwiańskich Indian z Marienplatz oraz innych placów Europy — lwowskiej straży miejskiej;
- nagranie mojego wystąpienia w operze *Orfeusz w Wenecji*, teatr La Fenice, 8 marca 1993 r. (pirackie) — już wspomnianemu Józefowi Fr., dyrygentowi.

IV. PRZEDMIOTY MAGICZNE ORAZ INNE:

- srebrny sygnet z pieczęcią z anagramem „M.P.” — „Melchior Perfecki”, co również oznacza „Mistrz Przygnębienia”; posiada zdolność odwracania niespodziewanego niebezpieczeństwa, dodawania lekkości myśli oraz ochrony przed całkowitym upojeniem — Czortopolskiemu Muzeum Karpacko-Ruskiej Masonerii, jeśli wspomniane muzeum nie zostanie zamknięte; jeśli zostanie, to przetopić go na kulę i wystrzelić ze strzelby w kierunku południowego zbocza góry Howerla, ale wyłącznie w noc świętojańską, nie później i nie wcześniej niż w 1999 r.;

- igłę do wykiuwania oczu upiorom i do przewracania kart w zatrutych księgach (focza kość, wąż morsa, relief), prezent od wielce dostojnego rycerza Nachtigala von Ramensdorfa z Berlina, przydatna również do umieszczenia na samym czubku nieskończonej liczby wiedźm — o. Remigiuszowi, przełożonemu klasztoru;

- kości do gry w taroka, zrobione w XVI w. z kości wielkiego czarodzieja i wróżbity Agrippy von Nettesheima, uśmierniają ból zębów i przywracają erekcję, przynoszą zwycięstwo w grach hazardowych, okultystycznych oraz politycznych — Maćkowi Kuli (prawdziwego nazwiska nie znam), żebrakowi spod sklepu zwanego „Przeciąg”, al. Akademicka we Lwowie;

- srebrna moneta z podobizną skrzydlatej hieny (awers) oraz z napisem po łacinie: „Ergo bibamus” (rewers), wybita na dworze króla Gotów Vinitara, służąca dla przekupywania bizantyńskich eunuchów, nabyta przeze mnie od dagestańskiego Cygana Jaszki za 8 dolarów amerykańskich (jej wartość nominalna); ma zdolność zmniejszania i powiększania swej średnicy, czerwienienia i oczerniania, a prócz tego — mylnego przewidywania bliskiej przyszłości — T. T. Twardowskiemu, redaktorowi tygodnika „Idea XXI”, Lwów;

· korzeń mandragory (z rodziny psiankowatych) płci męskiej, zrodzony z polucji straconego na szubienicy w XVII w. rozbójnika górskiego, świecąc, ułatwia poszukiwanie skarbów; niestety, jego działanie ogranicza się do obszaru powiatu kołomyjskiego, w województwie stanisławowskim — Czortopolskiemu Muzeum Robbójnictwa Karpackiego;

· kawałek skóry i fragmenty okrywy włosowej z ciała znanego lwowskiego oszusta i sutenera Józia Ducia (XVIII w.), przechowywany w formalinie, nie posiada żadnych magicznych właściwości, dar Muzeum Anatomii Patologicznej m. Lwowa — wspomnianemu Muzeum zwrócić;

· pęk dwunastu kluczy do mieszkań moich najwspanialszych kochanek, z których to kluczy każdy można teraz jego właścicielce z wyrazami wdzięczności ode mnie zwrócić: pierwszy — Zorianie, drugi — Mariannie, trzeci — Roksolanie, czwarty — Mścistawie, piąty — Jaromirze, szósty — Bogodarze, siódmy — Ołesi, ósmy — Ułasi, dziewiąty — Olusi (Cycusi), dziesiąty — Ładzie, jedenasty — Marzannie, dwunasty — pani Stefie, ale nie tej, która obecnie jest żoną poety Rustana Smereczyńskiego, a tej, która niedawno rozwiodła się z deputowanym Rościstawem Smerekowskim (proszę nie pomylić).

V. ZAPISKI MOJE I O MNIE, ZEZNANIA ŚWIADKÓW, PAPIERY, TAŚMY, SŁOWEM, WSZYSTKIE DOKUMENTY, mające związek z moją osobą, jeśli takie dokumenty zechcą oddać ich autorzy albo właściciele — Jurijowi Andruchowyczowi, Iwanof-Frankiowski; do dalszego wykorzystania.

VI. MOJE DŁUGI w kwocie 27 tys. 730 USD — każdemu, kto w imię pamięci o mnie będzie mógł je spłacić, na co bardzo, bardzo, bardzo, choć bez większej nadziei liczę.

VII. MOJE IMIONA, w ogólnej liczbie czterdziestu, rozdaje wszystkim tym, którzy idą moim śladem i kontynuują moje dzieło, z wyjątkiem jednego jedynego (Stanisław Perfecki), które pozostawiam sobie z przyczyn eschatologicznych.

Testament ten sporządzony bez notariusza niczym nie został poświadczony, poza własnoręcznym podpisem. Testament nabiera mocy prawnej z chwilą mojego zgonu, czyli wczesnym rankiem 11 marca 1993 r. (godzina zostanie ustalona).

Wenecja, 10 marca, Roku Pańskiego 1993

St. Perfecki

Dopiero przy recepcji zauważyłam, że jest mocno wstawiony, dopiero przy recepcji, kiedy wchodziliśmy do hotelu. Nagle zapalał chęcią porozmawiania z czarnoskórym portierem, ubranym zgodnie z modą *cinquecento*, a przez to podobnym do Otella. Murzyn uśmiechał się tylko, a ten gulgotał do niego niezrozumiałą angielszczyzną, wciąż gasł mu papieros, Murzyn zaś służył mu zapalniczką, i tak z pięć razy, póki coś we mnie nie pękło, prawie siłą zaciągnęłam go na schody, a ten czarnuch, błyskając wszystkimi zębami, pomachał nam ręką. *Nie wiem dlaczego, ale naprawdę miałem ochotę na pogawędkę z przedstawicielem innej rasy, chciałem dać mu do zrozumienia, że nie wszyscy biali to zasańcy, zacząłem mu to tłumaczyć na przykładzie przyjaźni Szewczenki i Iry Aldridge'a, ale ona, ta niecierpliwa torpeda, nie dała mi dokończyć i dokądś pociągnęła za sobą. Nie opierałem się, tylko coś mnie korciło, by zaśpiewać na całe gardło jakąś dźwięczną naszą pieśń.*

Kiedy wreszcie dotarliśmy do pokoju, udało mi się ściągnąć z niego płaszcz. A więc tu mieszkacie, spytał i jak zhipnotyzowany ruszył do kilimu na przeciwległej ścianie. Dopiero po chwili domyśliłam się, co tam zobaczył — lutnię. Było za późno, by go zatrzymać, *bo taki już jestem, że muzykę przekładam nade wszystko*. Pomyślałam sobie: to na-

wet dobrze, niech sobie pobrzdąka z dziesięć minut, dopóki będę brać prysznic i wszystkiego nie przygotuję. Zrzuciłam z siebie żakiet i weszłam do łazienki, lecz tam czekała mnie przykra niespodzianka. Wanna, wypełniona wodą prawie po brzegi i cała podłoga w pianie. W wannie przebywał Riesenbock, pochrapywał z cicha z głową odchyloną do tyłu i sądząc po szczególnym odurzającym zapachu, bijącym odeń, był zupełnie pijany. Powiedziałam „shit!”, przekradłam się pod prysznic i zaciągnawszy szczelnie zasłonę, zaczęłam na złość wszystkim myć się. W tejże chwili z pokoju dobiegł jakiś straszliwy hurkot, jakby ktoś przesuwiał pięćsetletnie meble albo walił w mur kafarem. *Po prostu pomyślałem, że mogą po mnie przyjść w środku nocy, odłożyłem więc na bok lutnię, jak nie przymierzając Vogelweide, i zacząłem barykadować drzwi, podsuwając pod nie różne starocie w rodzaju orzechowych kredensów, hebanowych szaf z manierystycznymi amorkami i skrzydlatymi zdzirami.* Trwało to przez cały ten czas, kiedy się kąpałam, wcierając w siebie, w każdy z moich porów, pachnący żel. Wzdrygałam się co chwilę, słysząc hurkot mebli w pokoju; Riesenbock na szczęście się nie zbudził i zanurzony po szyję, nadal tkwił w ciepłej kąpieeli. **Śniły mi się mgłą osnute polany i senna trawa.**

Po co to zrobiłeś, spytałam, wskazując na zastawione drzwi. *Żeby się zesrali, odpowiedziałem i od razu przeprosiłem za niestosowne wyrażenie. Żebyśmy, kurwa, jakoś do rana, kurka blada, dodałem i zacząłem rozwiązywać buty, chociaż nie bardzo mi to szło.*

Lewego buta nie udawało się zrzucić, więc uklęknąłem koło niego. Nie widziałam wcześniej tego pierścienia, powiedziałam. *Często ratuje mnie przed nieszczęściem, wyjaśniłem. Kiedyś należał do mojego dziadka, urzędnika pocztowego.* But w końcu wylądował pod stołem, a wtedy on pocałował mnie w czoło, tak jak całuje się siostrę. Oto więc jeszcze jeden, po-

wiedziałam. Z okazji urodzin. Ode mnie. Otworzył pudełeczko i zobaczyłem w nim srebrny pierścień w kształcie ryby, która zamyka się obręczą. Będziesz go zakładać w najlepsze ze swoich dni, powiedziałam. *Możliwe. Nie zdołałem znaleźć odpowiednich słów. Pierścień rzeczywiście był zbyt piękny jak dla takiego palanta. Co wreszcie powiedziałem.*

Mamy zbyt mało czasu, przypomniałam, nie mógłbyś rozbierać się szybciej? *Mam nadzieję, że mi w tym pomożesz, zażyczyłem sobie. Marynarka poleciała gdzieś pod okno, rano się nie pozbierasz, skomentowała. Masz rację, zgodziłem się, pamiętając, że rano trzeba działać szybko i zdecydowanie.* Kiedy rozpięłam mu koszulę, ujrzałam na piersiach medalion. To ona?, zapytałam. A któż by inny, odburknął. Poczułam, jak wszystko w nim zamarło. Pocałowałam go, z tklivością i ciepło, tylko wargami — niedaleko serca, i wtedy, bardzo powoli, niemal niepostrzeżenie, ostrożnie, niczym saper, zaczęłam zdejmować mu przez głowę ten medalion. Sądziysz, że będzie przeszkadzać, pewnie, że tak — *nie protestowałem, ale i nie pomagałem. Jej już tu nie ma, a my jeszcze żyjemy, powiedziała, wydaje mi się, że to nie ma dla niej już znaczenia. Jeśli naprawdę cię kochała. Chcesz na nią spojrzeć, zapytałam.* Nie, odmówiłam zdecydowanie. No to w takim razie ja, ja sam spojrzę, odpłacił mi za niedyskrecję, otworzył medalion i wpatrywał się weń. *Ile razy bym nie patrzył, zawsze jest inna, tysiące kobiet noszą na sobie jej odbicia, każda jej coś ukradła, wszystkie kobiety na świecie chodzą opromienione jej doczesną obecnością.* Pewnie i ja coś z niej mam, co takiego, chciałam zapytać, ale w tym momencie z łazienki dała się słyszeć surma — zachrapał Riesenbock, na szczęście tylko raz. Co się dzieje, bez widocznego zaniepokojenia zapytał. *Rury grają, odpowiedziała, ci Włosi mają wieczne problemy z kanalizacją.*

Teraz jeszcze te spodnie, przypomniałam. Tak, tak, spodnie, przytaknął, spodnie to moja chluba. Wsunęłam rękę w jego

włosy, bardzo lubię te włosy w dotyku, nasze wargi w końcu się spotkały, jak zawsze zdołał doprowadzić mnie do szału, ale te spodnie. Przeszkadzały, coś trzeba było z nimi zrobić. *Zgasz światło i połóż się, powiedziałem, zaraz przyjdę.* Nigdy nie spałeś pod baldachimem, szepnęłam, *a ja odpowiedziałem, że nawet nie leżałem, chociaż nie, w muzeum, w muzeum historycznym, gdzie kochaliśmy się przez kilka nocy, wpuszczali nas tam przyjaciele, nocowaliśmy w muzeum, za każdym razem w innym stuleciu, wtedy nie było jeszcze kondomów, pewnego razu pod baldachimem.* Jesteś okrutny, przypomniałam o sobie, mógłbyś mi tego nie opowiadać, przez pięć dni myślałam tylko o tym, jak będziemy we dwoje pod baldachimem, byłam pewna, że nigdy jeszcze nie spałeś na takich łóżkach z takimi kobietami, ale okazuje się, że i tu ona mnie ubiegła, ta martwa pani. Coś ty, coś ty?, uspokajał mnie, wszystko to wymyśliłem, nie było żadnego muzeum, a ściślej, było muzeum, w którym nocowałem, ale bez niej, bez Niej, i nie na łóżku pod baldachimem, a w sarkofagu, obok szkieletu jakiejś księżniczki, *kłamałem, jak umiałem, mówiąc zdławionym głosem, gdzieś tam, w przestrzeń pokoju, gdzie odeszła, potem był szelest prześcieradeł, zza okien dolatywała przyciszona muzyka, na gondoli ktoś wyśpiewywał, dołączyło się jeszcze kilka głosów, razem było ich trzy, fi-da-lin, fi-da-lin...*

Jeszcze dobry kwadrans grzebał się ze spodniami, składał je w kant, z kieszeni wysypywały się monety, orzeszki w lukrowej polewie, pęk jakichś kluczy, kości do gry, *w żaden sposób nie mogłem tej kretyńskiej kolekcji pozbiierać z podłogi, w końcu machnąłem ręką na orzeszki, bo potoczyły się aż pod drzwi i żeby je stamtąd wydostać, trzeba byłoby znowu odsunąć ten ogromniasty mebel, którym na amen zabarykadowałem wszystko na świecie. Zgaszę światło, powiedziałem.* Po co, spytałam z półmroku, przecież w pokoju płoną tylko trzy świece. *Dla snajperów, zapytałem.* Paranoja, westchnęłam

w odpowiedzi. Machnął ręką, i w końcu podszedł do łóżka, usiadł w cieniu baldachimu. Łóżko było szerokie, ale dosięgnął mnie ręką. Zadrżałam. Po co ci okulary, spytałam. Żeby cię lepiej widzieć, zabrzmiało w odpowiedzi.

Schwyciłam jego rękę wirtuoza, tę lilie, która zmusiła mnie, by szybciej oddychać, jego długie palce. Uczciłam każdy z nich, wszystkie razem i każdy z osobna, na serdecznym palcu miał pierścień, na wargach poczułam smak srebra, to ryba, powiedział, szarpnęłam go za rękę, pościel zaszeleściła pod nim, wyłonił się z ciemności panujących w pokoju tuż nade mną. *I zaczęłam rozwijać ją jak lalkę z niezliczonej ilości prześcieradeł*, zdjęłam mu okulary, cisnęłam gdzieś za wezglowie, za jasnożółtą zasłonę, która delikatnymi fałdkami opadała baldachimowo, głosów za oknem zrobiło się cztery, *to ja zamówiłam muzykantów, szepnęła, fi-da-lin.*

Prawie przestałam ją widzieć, tylko biel — szeleszczące płachty, i czerń — włosy, rozsypane na bieli, i ciepło, które zwijało się w moich rękach, odpowiadając na każde dotknięcie to drgnieniem, to jękiem, to samym sobą — na pół wygięciem, na pół obrotem, na pół wezwaniem. Przedzierałam się przez pościel, przez te pachnące szmaty, przez opakowania wszystkich materii na świecie, w które ją spowito, wy dostałam się wreszcie ze wszystkich tych szat, a on wznosił się nade mną jak olbrzym, zamarły w strumieniu wody, pieśń pod oknami nie miała końca, omdlewałam od jego oddechu, rozchyliłam nogi i skrzyżowałam dłonie na jego plecach. Wtedy zrozumiałam, że wszystko to było na darmo i pieśń — fi-da-lin — skończyła się.

To alkohol, powiedziałem, wybacz mi, jeśli możesz. To nie alkohol, a twoja wina, powiedziałam, czujesz się przed nią winny, tą z medalionu. *Możliwe, możliwe, przedrzeźniał, kładąc się obok. Chciałam, żebyś mnie troszkę zapamiętał, nic więcej — gładziłam go ręką po włosach. Chciałam ci przy-*

nieść jak najwięcej radości, wybac. *Nie, to ty mi wybac.* Z łazienki dał się słyszeć plusk. Pewnie Riesenbock. Poruszył się we śnie. Miałem wszystko w dupie i właśnie puściłem się pędem za młodziutką hamadriadą o twarzy tego uwodzicielskiego smarkacza, który zamroczył mnie na całe dwa dni; biegaliśmy wokół starej lipy, zaśmiewałem się, cały rozczapierzony.

Zacisnęłam usta: przekleństwo z tymi pijakami — wart jeden drugiego. A ty się męcz, kobito. *Leżałem obok i wdychałem jej gorycz. Wybac, powiedziałem znów. Głupstwo, odpowiedziała. Zbyt się przemęczyłeś w tej Wenecji. Zbyt się zmęczyłem, poprawił mnie. Program był rzeczywiście intensywny, zgodziłem się.* Widzisz, westchnęłam i przewróciłam się na bok. Po co im były takie szerokie łóżka, zapytał, czyżby posuwali się w dziesięć osób na raz. Nie wiem, ziewnęłam, nie chcę wiedzieć. Wszystko sprzysięgło się przeciw nam.

Noc była gęsta i grząska. Znaleźliśmy się na samym dnie. Ciemność pochłaniała ciemność, ciało pochłaniało ciało, przedmioty stawały się i ciemnością, i ciałem. Usłyszałam, jak spod okna odpływają muzykanci. I tyle, powiedziałam, jutro przyjdzie rachunek. Dobranoc. O której cię zbudzić, żebyś się nie spóźnił. No dobrze, powiedział, choć to nic nie oznaczało.

No dobrze, powiedziałem, waląc pięścią w poduszkę. Jeśli ty tak uważasz, to tak ma być. Zerwałem się na równe nogi, rozdzierając gęstwinę prześcieradeł. Zobaczyłam, jak ruszył w kierunku stołu, prawie po omacku, wyciągniętymi przed siebie rękoma łapał tylko skrzepy czarnego nocnego powietrza. Dobrnął wreszcie do stołu, tułowiem położył się na nim, macając rękoma po blacie. Czego szukasz, zapytałam sennie. Zaraz, zaraz wszystko będzie OK, odpowiedział, coraz głośniej waląc dłońmi po drewnianym stole, odzywającym się echem. Raz po raz natrafiał to na kielich, to na klepsydrę i bezlitośnie zmiatał je na podłogę. Jest, oto on, w końcu zdu-

szonym głosem wyrzucił z siebie. Zdawało mi się, że trzyma w ręku medalion.

A jednak wymacałem go. Pode mną rozwarła się przepaść. Jeśli tak uważasz, to tak ma być, obudziło we mnie echo. Zdążyłam jednak złapać go za rękę, kiedy już walczył z oknem, na szczęście zamkniętym w tak starodawny sposób, że trzeba umieć je otworzyć. Złapałam go za ramiona i odciągnęłam. Medalion upadł na podłogę. Chciałem się go w końcu pozbyć, mówił, ile go można nosić, po coś mnie powstrzymała. Głupstwa, odpowiadałam, potem byś do śmierci tego żałował. Nie chcę być przyczyną. Nie chcę być demonem twojego grzechu. Nie chcę być twym przekleństwem, Orfeuszu. Plotłam jakieś niestworzone rzeczy, żywcem wzięte z powieści dla historycznych panienek, siedzieliśmy obok siebie na podłodze, trzymała mnie za ręce tak, żebym nie zrobił głupstwa, ale wtedy uwolniłem dłonie, byłem wolny, by położyć te dłonie na niej, wziąłem w nie jej piersi, znów rozbudzone, potem szyję, ramiona. Poprosiłam wszelkie Siły Świata, by zmiłowały się nad nami i dały mu moc. Szedłem przez nią niczym wędrowiec, poznając wszystko od początku, powoli i dokładnie, położyłem się w niej, niczym w strumieniu. Upadłam na wznak, czułam pod łopatkami i kręgosłupem runo dywanu, ale nie wypuściłam jego ptaka, jeszcze przed chwilą tak skąpego i wątlego, a teraz unosił głowę i rozprostowywał skrzydła, więc mógł odlecieć ode mnie gdzie indziej, do innych krajów, pomagałam mu, czym mogłam, poznawałam słowo „oswoić”. Owinąłem się wokół jej bioder, o których można by opowiadać całą wieczność. Odwdzięczyłam się mu miodem i mlekiem, które naraz popłynęły ze mnie. I cytrynowym sokiem wybuchła. I złotym berłem dotykał mnie wszędzie, a tam, gdzie dotykał, wyrastał ze mnie kwiat, albo rana, albo. I krew wzbierała we mnie, jak wiosna, robiłem się coraz większy i trwałem bezbrzeżnie. I moje usta śpiewały mu bez słów i bez. I mój ję-

zyk odkrywał w niej najbardziej sekretne zamki. I choć inne światło już zgasło, dla nas płonęła ta najwspanialsza. Bo jej sądzono było oświetlić wielkim i białym płomieniem, co?

Najwspanialszą z ciemnic. Najgłębszą z głębin.

I w tej ciemności, lepkiej i nieprzebytej, raptem dojrzałem coś jeszcze — sunęło na czworaka: wielka płaska gęba, oblicze fauna z brodą i zakolami łysiny, z uśmiechem, który tkwił na nim jak szczelina do wrzucania listów — Riesenbock, zszedł z gobelinu, nie inaczej (mimo wszystko usłyszałam, jak skrzyknęły drzwi do łazienki i jęknęłam w przeczuciu), bo skąd, skąd jeszcze mógłby zejść, jak nie z gobelinowych lasów, gdzie nad strumieniami wylegiwał się w ciemnej trawie, dopóki nie zwabiliśmy go, i zbiegł do nas, na naszą polanę? Rzeczywiście zbudziła mnie szamotanina w pokoju, przejście ze snu do jawy było momentalne, strząsnąłem z siebie pianę, woda w wannie zrobiła się całkiem chłodna, strząsnąłem pianę i zaśmiałem się, było tak, jakby oczy mi się zaświeciły (oczy mu się świeciły, a uśmiech nie schodził z ust, niczym cecha szczególna bandyty), chciałem się podkraść jak najciszej, ale kopyta odbijały się głośnie echem po podłodze, dlatego uklęknałem i ruszyłem na czworaka...

Oto i ja, moi słodziutcy, tchnął mi w ucho Riesenbock (*ja też to usłyszałem*), **oto i ja, a to ja**, i we dwóch zespolili się nade mną, takich przygód jeszcze nie było, o, od razu dwa olbrzymy, robiło się i śmieszno i straszno, byli nade mną i pode mną, tak, że nie wiedziałam, który z nich gdzie jest, każdy mógł się wynurzyć znikąd — uniesiona ku górze brew Stacha, krzywy uśmiech Riesenbocka, natężony oddech, wszystko się mieszało, dzieliłam siebie, rozpadałam się na dwoje i jednociłam ich w sobie, byli moimi cudownymi chłopcami, tak kochałam ich teraz, ich ciała, choć w takie chwile to jedno i to samo — ty sam i twoje ciało, a oni kochali każdą cząstkę mnie i mnie całą, i każdą z nas dwóch...

Kiedy więc w końcu wybuchłem i spłynąłem na dywan jasnym strumieniem, to było w nim moje przerażenie. Nigdy, nigdy, powtarzałem, bo nie ma kiedy. Jeszcze unosiła się falą rzeczną, jeszcze Riesenbock ciężko dyszał i zadowolony śmiał się w trawie, pozostawiając na wszystkim, co żywe, ślady swojego uśmiechu niczym mglistą mleczną smugę, a ja już spadałem w przepaść, w wycieńczenie i ciszę, jeszcze czyjeś palce trzymałem w swoich, lecz może nie jej, a fauna — kościste, chwytne, silne, jeszcze ktoś pocałował mnie w ranę, ale może to i nie były jej usta, a fauna — granatowe, lepkie, przepojone zapachem wina. Dopiero wtedy nastąpiła całkowita ciemność.

Wenecja, 11 marca, koło szóstej rano. Nazywam się Stanisław Perfecki.

Godzinę temu zbudziłem się w zupełnie innym pokoju. Na szerokim łóżku pod baldachimem. Razem z pewną parą małżeńską. Ona nazywa się Ada Cytryna, a on — Janus Maria Riesenbock. Chyba mówiłem już gdzieś o tym. Spaliśmy we troje. Trudno mi przypomnieć sobie, jak do tego doszło. Nie chce mi się, słowo honoru. Zresztą to i tak nie ma już żadnego znaczenia.

Ada leżała na wznak między nami dwoma. Nie zdołałem jej zbudzić. Po co? Tak, zrozumiałem: napad senności.

Miała inną twarz. Jakiś cień na niej. Cień na wszystkim, w każdym wgłębieniu, żółć. Cień i sen, sen i cień, poranna dziura, czeluść.

Riesenbock. Jego ręka przepływała pod jej głową i dłonią sięgała do mnie. Do moich włosów. Riesenbock leżał na boku. Twarz, nawet we śnie bezwstydną, odwrócona ku Adzie. Wąski uśmiech. Szczelina dla much.

Ja: także leżałem na boku. Ale odwrócony do nich plecami. Od nocy trwało słowo: „nigdy”. Gdzie je usłyszałem? Nie ma czasu, by w to wnikać. Ale tak to wyglądało.

Muszę zniknąć przed siódmą. Im prędzej, tym lepiej. Są po temu pewne przyczyny.

Nie zdołałem jej obudzić. Ostrożnie wyplątałem się — pomięte, niektóre nawet podarte prześcieradła, było ich dużo, wystarczyłoby na sto lupanarów.

Byłem oczywiście goły. Dobry kwadrans szukałem w porannym półmroku swoich okularów. Potem poszło już łatwiej. Choć części swojej garderoby znajdowałem w najbardziej niewiarygodnych miejscach.

Co to za cień położył się na niej? Cień i matowa żółć. Baldachim.

Prócz tego pełno wszelkich drobiazgów, które mam zwyczaj nosić po kieszeniach. Miałem zwyczaj nosić po kieszeniach, tak będzie ściślej.

Pozostaje więc jedynie czas na zakończenie tego [pauza] posłania. Żeby wypalić papierosa. Dobrze, że jest tylko jeden. Zdolny ze mnie reżyser, zawsze to podejrzewałem.

Ada: westchnęła? Chciałem lekko pocałować ją, doszczętnie spaloną.

Wtrąciłem się w nie swoje sprawy.

Nie miałem do tego prawa.

W co ja się wplątałem?

Nic o niej nie wiem, prócz tego, że do samego... chciałem być z nią. Do samego końca. Nie za głośno? Możliwe. Taka pora. Wpływa. Chwila przed świtem. Do głowy przychodzą różne górnotne bzdury. Przepraszam.

Ten pokój był pułapką. Drzwi jakaś zaraza zastawiła starymi potężnymi meblami. Nie zabrałem się do odsuwania ich — zbudziłbym cały hotel. I tylko Ada. Spałaby dalej. Co miałem robić?

Mordowałem się z oknem z dobrych dziesięć minut. Jakieś średniowieczne sztuczki. Wtedy się wyjaśniło: okno było już otwarte. Za to w końcu skumałem, jak to się robi. Ze swoim nie będę miał tyle kłopotu.

Od kanału powiało chłodem. Stałem na parapecie. Ledwo powstrzymałem się od pokusy.

Riesenbock. Zaszleścił prześcieradłami.

Nie było żadnych szans, by dostać się do siebie do pokoju. To znaczy od strony kanału.

Wtedy przypomniałem sobie: łazienka. Ich jest akurat pod moją, piętro niżej. W wannie z jakiegoś powodu było pełno wody. Z resztkami pachnącej piany. Tam też unosił się inny zapach — Ady. Ma wiele pięknych zapachów. Ten należał do minionej nocy. *Bye, bye.*

Otworzyłem okno. I co? I pomyślałem o nieubłaganym.

Przepraszam. Tam była drabina, swego czasu pozostawiona przez W. Niczym zaproszenie. Lęk wysokości, którego nie zdołałem się pozbyć.

Skądś: urywki z oper. Niektóre rozpoznawałem.

Co pozostawało? Jeszcze raz zajrzeć do pokoju? Ada spała sama? Zdawało mi się? Gdzie się podział Riesenbock? Znowu stał się faunem? Nie podszedłem do niej. *Bye, bye.*

Wtedy wspiąłem się po drabinie. Poda mną był ogród. Prawie niewidoczny. Ostatnia nocna ciemność. Też pachniał — mirtem i trawą.

„Gdzież on jest, to pragnę wiedzieć” — śpiewała ze zdecydowaniem Elvira. Dałem nura w okno łazienki. Tak znalazłem się znowu u siebie.

Zdaje mi się, że o niczym nie zapomniałem. Muszę się pośpieszyć. Kanał ożył. O siódmej przyjdą. [*Pauza*]. Nie chcę takich numerów. Z palnikami itd. Obejdą się beze mnie. Kto to słucha operowych kawałków o szóstej rano?

Czy to może we mnie?

Kuszenie muzyką?

Nareszcie ciąg dalszy. Musiałem wyłączyć dyktafon. Znowu męczyłem się z oknem. Wszystkie drogi otwarte. Dobrze odbić się nogami od parapetu. Inaczej nadziejesz się brzuchem na pal. Taka niby kozacka historyjka. Jaka jest średnia głębokość kanału? Kto mi powie, hej?

Milczenie.

Po co mi tam okulary?

Tak. Kilka ostatnich uwag. Dla tych, którzy potem będą tego słuchać. Moje samobójstwo: proszę widzieć w nim jedynie akt estetyczny. Nikogo o nic nie obwiniać. Kierunek lotu: wedle butów.

Zaszyłem się. I tyle. To tylko moje problemy. Mnie już śpiewają aniołowie. Po włosku.

Kto tam słucha aniołów o wpół do siódmej rano?

Staję na parapecie. Zachwiałem się. Wysokie są te gotyckie okna. To mógłby być początek wiersza: Wysokie są te gotyckie okna. Pewnie śmiesznie wyglądam w jego obramowaniu.

No jak tam? Wszystko na miejscu. Wenecja wynurza się z ciemności. Santa Maria della Salute. To zamiast modlitwy.

Teraz poczekam, aż przepłynie barka i naprzód. Do domu. Do wody. Ryba chce pływać. Czeka na mnie ocean. Zamieszkałam zatopione piętra tych budynków.

Dajcie głośniej aniołów! Do oporu! Jako ostatni nagra się plusk wody. Wody, która zamknie się nade mną. I uratuje mnie. Przepraszam.

A więc. Dziękuję wszystkim. Dziękuję za wszystko. To było wspaniałe. Muszę was opuścić. Przepraszam, że tak długo. Nie co dzień przecież!...

Dziękuję za uwagę. Do widzenia. Słuchajcie dalej. Słuchajcie tego życia.

Słuchajcie aniołów, słuchajcie plusku wody.

POSŁOWIE OD WYDAWCY

Nie usłyszeliśmy obiecanego przez Stanisława Perfeckiego plusku wody. Być może przyczyną była zbyt duża odległość między dyktafonem i wirem, w który zanurzył się po raz ostatni nasz bohater? Możliwe. Do końca taśmy pozostało tylko dwanaście i pół minuty ciszy. I tyle.

Po przebrnięciu przez labirynty tej książki Szanowny Czytelnik niewątpliwie zgodzi się ze mną: w całej naszej historii pozostaje znacznie więcej niejasności i niedomówień, niż tego można było się spodziewać. A najważniejsze pytanie, na które jak dotąd nie znam odpowiedzi, to czy naprawdę był to skok z okna, czy rzeczywiście było to samobójstwo.

Zajmując się krótko (zbyt krótko, jak na Perfeckiego!) tą sprawą, policja ustaliła kilka faktów. Po pierwsze, w pokoju hotelowym Stacha pozostały wszystkie jego rzeczy łącznie z okularami, leżącymi na biurku obok odręcznie spisanego testamentu, który Perfecki sporządził dzień wcześniej. Ekspertyza grafologiczna potwierdziła, że był to własnoręczny testament Perfeckiego. Po drugie, bardzo wysokie okno (skrajne w arkadzie), wychodzące na Canal Grande, rzeczywiście było otwarte, więcej nawet — otwarte na oścież, po pokoju hulał wiatr, przesycony zapachem lasów południowych, a buty Perfeckiego rzeczywiście stały na parapecie, co całkowicie zgadza się z opisem sytuacji przedstawionej w ostatnim (?) monologu Stanisława, nagrany na dyktafon. Po trzecie, śledczy odnieśli wrażenie, że pomiędzy momentem zniknięcia Perfeckiego i pojawienia się w jego pokoju boya hotelowego (to on właśnie powiadomił policję,

a potem i cały świat o tajemniczym zniknięciu), między tymi dwoma wydarzeniami w pokoju jeszcze ktoś był. Nic konkretniejszego na temat tej wizyty policja niestety nie zdołała (lub nie zechciała) ustalić.

Tymczasem różnych pytań bez odpowiedzi oraz fascynujących luk pozostaje znacznie więcej. Po pierwsze, jak już pisałem w przedmowie, mimo poszukiwań ciała nie znaleziono. Stało się to chyba najsłabszym ogniwiem w wersji śledczego o samobójstwie. Tak zrodziło się dość niezręczne podejrzenie w postaci hipotezy, że ciało Perfeckiego mogło zostać wyniesione na otwarte morze podczas odpływu. Z jakiegoś powodu nikogo nie zaniepokoiła i ta okoliczność, że na otwartym morzu również ciała nie znaleziono. Może zjadły je rekiny czy jakieś inne morskie potwory?

Po drugie, poszukiwania ludzi, których zeznania bez wątpienia mogłyby rzucić światło na całą sprawę, nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Nie znaleziono wspomnianych przez Perfeckiego ani Ady Cytryny, ani jej męża, doktora urologii. Co prawda, niektórzy świadkowie opowiadali o samochodzie dziwacznej konstrukcji, potwornie pędzącym autostradą Wenecja–Rzym. Za jego kierownicą (i to rzekomo zwróciło uwagę jadących z naprzeciwka) siedział łysiejący brodacze, który jakoby stale się uśmiechał. Obok niego siedziała młoda kobieta, bardziej pociągająca niż nie pociągająca, w czarno-wiśniowym odzieniu, nieruchoma i jakby pokryta cieniem. Więcej nie zauważono. Poszukiwania doktora Riesenbocka we wspomnianej przez Perfeckiego willi „Meluzyna” w bawarskim miasteczku Possenhofen również nie zakończyły się powodzeniem, choć policja włoska zwróciła się do swych niemieckich partnerów, którzy potwierdzili, że w Possenhofen rzeczywiście znajduje się willa o podobnej nazwie, ale należy nie do jakiegoś Riesenbocka, doktora urologii, a Wiesenbocka, doktora ichtiologii. Ze wszystkich uczestników seminarium również nikogo nie udało się znaleźć: paradoksalne, ale jedyne, co udało się ustalić, to to, że prochy Casalegry rozwiano na cztery strony świata. Istnienie pozostałych osób wygląda na bardzo problematyczne i gdyby swego czasu nie odnotowano ich pojawienia się w weneckich mass mediach, mielibyśmy wszelkie powody, by sądzić, że całe to towarzystwo było wspania-

łym wymysłem Twórcy. Śledczym udało się odszukać jedynie pana Ameriga Dappertutta, sekretarza fundacji, która zorganizowała seminarium. Wedle jego słów, Perfecki istotnie sprawił dziwne wrażenie. Uściślać, co mianowicie przez to rozumie, szanowny urzędnik nie zamierzał.

Wśród przedmiotów wspomnianych przez Perfeckiego w swym testamencie wymieniono broń snajperską, której nikomu nie zapisał, ponieważ nie była jego własnością. Ta broń okazała się jedynym z wymienionych w testamencie przedmiotów, którego w chwili wkroczenia policji już nie było. A może nie było jej wcale? Podobnie jak nie było drabiny, spuszczonej z okna łazienki do ogrodu?

Teraz kilka moich własnych domysłów. Opieram się przy tym przede wszystkim na pakiecie dokumentów (czy może raczej tekstów), które przekazał mi wenecki nieznajomy i które — po wstępnym przemyśleniu i opracowaniu — postanowiłem opublikować w tej książce.

Przy całym skomplikowaniu i sprzeczności sytuacji wyłania się z nich motyw, który może służyć nam jako pewien klucz. To motyw (albo nastrój) polowania. Perfeckiego śledzą. Przeczucie dość poważnego niebezpieczeństwa, które nad nim zawisło, wyłania się zewsząd, z całej materii tekstów (mimo niejasności i niedomówień). Więcej nawet, wpada w oko ten szczegół, że źródeł owego niebezpieczeństwa jest co najmniej kilka. Jakby Stanisław Perfecki znalazł się w punkcie, w którym przecinają się różne, odległe, umiejscowione w zupełnie różnych płaszczyznach, interesy. Jego sytuacja rzeczywiście pozostawia wrażenie niezwykle skomplikowanej. Raczej trudno byłoby powiedzieć coś bardziej konkretnego, jednak nawet jeśli to możliwe, to ponad wszelką wątpliwość nie warto.

W swej przedmowie poruszyłem problem autorstwa każdego z przekazanych mi tekstów. Pisałem o tym, że prócz fragmentów, co do których wszystko jest jasne, istnieje pewna niewielka, lecz nader istotna, liczba innego rodzaju urywków, jak na przykład (zgodnie z nadaną przeze mnie numeracją) 7, 13 albo 25, których autorstwo należy do narratora, opowiadającego z głęboką znajomością najdrobniejszych szczegółów, a jednocześnie w żaden sposób nie będącego uczestnikiem opisywanych sytuacji. Kim jest ten obserwator?

Albo kim są ci obserwatorzy? Kto zdołał wniknąć w głąb Perfeckiego albo jego towarzyszek z tak pełną znajomością rzeczy i pozostał zarazem niewidzialny?

Odpowiedź moim zdaniem może być tylko jedna. Ale nie spieszymy się z nią.

Ani przez chwilę nie wierzyłem i do dziś nie wierzę, że Stanisław Perfecki popełnił samobójstwo. Jedynym dowodem na rzecz tego absurdu są pozostawione (by nie powiedzieć — „podrzucone”) przez niego dokumenty. Ale jakże słaby to dowód! Wcale nie dziwię się weneckiej policji, która dała się nabrać na ten trik — nikt z nich nie znał Stacha osobiście, ani też nie brał udziału w jego wędrówkach. Ale po tysiąckroć dziwię się tym łatwowiernym dawnym bliskim znajomym i przyjaciółom, którzy bez żadnych pytań przyjęli tę mistyfikację!

O, gdyby tylko mistyfikację! Gdyby o Perfeckim można było powiedzieć tylko tyle, że jest mistyfikatorem, to i tego byłoby dość, by raz na zawsze odrzucić wersję samobójstwa. Ale każdy z nas znał go także jako fantastę, bezgranicznie zakochanego w życiu, wiecznego gracza, wszechobecnego performera, wielkiego mistrza rybiego wyślizgiwania się ze wszystkiego, nawet z własnej skóry. Najcelniej ujął to swego czasu Maks Pohulajski: „Kiedy od pięciu różnych ludzi słyszę, że każdy z nich widział wczoraj Perfeckiego, ale: pierwszy przysięga się, że na koncercie orkiestry symfonicznej, drugi — że na wernisażu, trzeci — że cały wieczór tylko we dwóch pili, czwarty — że byli razem na panienkach, a ostatni — że właśnie wczoraj Perfeckiego zwinęły gliny, kiedy więc to słyszę, jestem pewien, że wszyscy oni mówią prawdę, ponieważ na świecie istnieje co najmniej pięć Perfeckich”.

I jeszcze jedna rzecz, bardzo istotna. Wszyscy znaliśmy Stanisława Perfeckiego jako osobę bez reszty oddaną Tajemnicy. Można powiedzieć, że był jej rycerzem (proszę mi wybaczyć tę nieco staromodną charakterystykę). Żył tajemnicami i dla tajemnic. Któż może pochwalić się, że dużo o nim wiedział?

Ale tego, co wiedzieliśmy i wiemy, wystarcza w zupełności, by twierdzić: Stanisław Perfecki nie zniknął w wodach Canal Grande rankiem 11 marca 1993 roku!

Ciasny węzeł, który dusił go w tych dniach, rozciął zdecydowanie i prosto — swym własnym rozplynięciem się. Pewnego razu rzekł do mnie tak: „Zawsze marzyłem o tym, by zacząć wszystko od początku. Ty tego nie zrozumiesz, stary. To nieprawdopodobna satysfakcja: wysiąść z pociągu na nieznannej stacji i co chwilę stwarzać sobie nowe możliwości nowego początku”.

Chyba dopiero teraz dane jest mi to zrozumieć. Mam nadzieję.

Potwierdzenia moich domysłów same mnie znajdowały. Najpierw Bumcyk, perkusista grupy Stacja Psychów, opowiedział o tym, jak uśmiechnięte oblicze Perfeckiego mignęło w telewizyjnym dodatku do „Playboya”, pokazywanym w RTL; nasz bohater wsuwał jakieś egzotyczne potrawy w knajpie, w której obsługiwały rozebrane do pasa dziewczyny z obfitymi biustami — jego uniesionej do góry brwi nie sposób pomylić. Jednakże nawet nie ona każe mi wierzyć, że Bumcyk się nie myli, a to, że doskonale znam skłonność Perfeckiego do jędrnych kobiecych piersi. Niestety, wskutek nieznamomości niemieckiego Bumcyk nic więcej nie potrafił powiedzieć o kraju, w którym wspomniana knajpa się znajduje.

Potem była wiadomość związana z telewizją. Przeor Piotr M. zauważył kawałek twarzy Stacha podczas relacji z pasterki w rzymskiej Bazylice św. Piotra. Perfecki siedział całkiem blisko obecnego premiera Włoch, wśród pozostałych gości honorowych.

Potem nadeszło jeszcze kilka wiadomości, pozwalających prześledzić dalsze przemieszczanie się Perfeckiego przez miasta i kraje. Ostatnio nasi rodacy coraz częściej podróżują. Zwiedzenie najbardziej nawet odległych zakątków kuli ziemskiej nie jest już teraz czymś nieosiągalnym. Po powrocie nasi podróżnicy często dzielą się swymi wspomnieniami o tych dziwach, jakie widzieli i przeżyli: o sześciopalcych ludziach, ośmiookich smokach, latających mercedesach i ruchomych supermarketach. Z tych opowieści dowiedziałem się o pewnym bardzo krótkowzrocznym akrobacie z Florencji, który zjeżdżał po linie, rozciągniętej między wierzchołkiem dzwonnicy Santa Maria del Fiore i loggią jednego z sąsiednich budynków; o interesującym pucybutie z ateńskiego placu Omonia, który w trakcie każdego czyszczenia zdążał wyrecytować klientowi co raz to inny wiersz w obcym języku; kobietom podobały się jego

jedwabiste włosy; o pomyslowym muzyku, który przez pewien czas pokazywał się między Hagia Sophia a Błękitnym Meczetem w Stambule; wystawiał przed sobą niesamowite mnóstwo różnych bardziej i mniej napełnionych wodą słoików i zgrabnymi pałeczkami wybijał na nich melodie *Marsza tureckiego*, *Eine Kleine Nachtmusik*, *Allegro Molto z Czterdziestej Symfonii* oraz innych utworów Mozarta; z jakiegoś powodu wszyscy bez wyjątku zwracali uwagę na to, że miał srebrny pierścień w kształcie ryby.

Przy okazji proszę tych, którym zdarzyło się widzieć podobnych sztukmistrzów, zwłaszcza ulicznych muzykantów, by zapamiętywali wszystko z najdrobniejszymi szczegółami i przekazywali mi.

Bo Stach Perfecki, którego prawie wszyscy na świecie mają za samobójcę-topielca i który jest prawdziwym autorem wszystkich (a nie tylko niektórych!) fragmentów tej książki, Stach Perfecki dalej jest wśród nas. On żyje, i powiem więcej — wraca do nas. Na początku — w formie książki, przez niego samego sprytnie podruczonej.

Widzę nawet, jak rankiem o wpół do siódmej, 11 marca 1993 r., kończy ostatnie przygotowania, otwiera okno, stawia na parapecie buty czubkami do przodu (przecież to nie jedyna para jego butów, na miłość boską!), na biurku pozostawia okulary, zakłada inne, nowe, zerka w lustro, pokazuje sobie, lustru i całemu światu figę, jeszcze raz spogląda na pokój, dyktafon wciąż się kręci, cicho (bezszelestnie!) wymyka się na korytarz, grube dywany tłumią jego kroki, skrada się po schodach, prześlizguje koło recepcji i śpiącego tam Murzyna, podobnego do króla Kacpra i Otella zarazem, Murzyn otwiera oczy, ale już za późno, za późno, drzwi wejściowe właśnie się za kimś zamknęły, ale za kim? — za nim, za tym wiecznym uciekinierem, no co tam, jak tam, Wenecja poranna i wspaniała, kanały pachną wodą, właśnie się rozwidniło, wiatr od laguny przesiąknięty zapachem lasów, wiosna dopiero się zaczyna, pół życia jeszcze zostało...

J. A.

lipiec 1995 r.

NOTA WYDAWCY POLSKIEGO

Słowo wstępne..., rozdziały 1–9, 14, 18, 21–23, 25–26, 30–31
oraz *Posłowie...* przełożyła OLA HNATIUK

Rozdziały 10–13, 15–17, 19–20, 24 oraz 27–29
przełożyła RENATA RUSNAK

Wiersze w rozdziałach 8, 14, 18 oraz 20
przełożył ADAM POMORSKI

Książki JURIJA ANDRUCHOWYCZA
opublikowane przez WYDAWNICTWO CZARNE

Moscoviada. Powieść grozy, 2000

Moja Europa. Dwa eseje o Europie zwanej Środkową
[z ANDRZEJEM STASIUKIEM], 2000 i 2001

Ostatnie terytorium. Eseje o Ukrainie, 2002

Perwersja, 2003

Dwanaście kręgów, 2005

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel./fax +48 18 353 58 93 e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl,
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,
honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,
dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: ewa.nowakowska@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: Beata Motyl, MTM Firma
ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa
tel./fax +48 22 632 83 74
e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład: d2d.pl
ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52
e-mail: info@d2d.pl

Wydanie III
Ark. wyd. 14,5; ark. druk. 23

Cena: 26,90 zł